

JEFF LINDSAY



DEXTER

DZIEŁO DEXTERA

 SAGA
EGMONT

Jeff Lindsay

Dzieło Dextera

Tłumaczenie Tomasz Wilusz

Saga

Dzieło Dexter

Tłumaczenie Tomasz Wilusz

Tytuł oryginału *Dexter by Design*

Język oryginału angielski

DEXTER SERIES #4: DEXTER BY DESIGN: Copyright ©
2009 by Jeff Lindsay

Copyright © 2009, 2022 Jeff Lindsay i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728516096

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dzieło Dextera

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

Epilog

o książce Dzieło Dextera

Pardonnez-moi, Monsieur. Où est La Lune? Alors, mon ancien, là lune est ici, ouvre la Seine, énorme, rouge et humide. Merci, mon ami, teraz go widzę. Et actuellement, na psa urok, to noc księżycy, noc stworzona do ostrych przyjemności księżycowego blasku, do danse macabre Demona Dextera i jego szczególnego przyjaciela.

Ale *merde alors!* To księżyc nad *la Seine*? Dexter jest w Paryżu! *Quelle tragédie!* W Paryżu z Tańca nici! Tu nie znajdziemy jego szczególnego przyjaciela - brakuje osłony nocy znad Miami i łagodnych, gościnnych wód oceanu gotowych pochłonąć resztki. Są tylko taksówki, turyści i ten ogromny samotny księżyc.

I oczywiście Rita. Wszędzie Rita, wertująca rozmówki, składająca i rozkładająca dziesiątki map, przewodników i broszurek obiecujących szczęście doskonale i jakimś cudem szczęście to zapewniających - jej. Tylko jej. Bowiem paryska idylla małżeńska Rity jest w istocie przedstawieniem jednego aktora, zaś jej świeżo upieczony małżonek, były arcykapłan księżycowej beztroski, Dexter w Stanie Zawieszenia, może tylko zachwycać się księżycem, trzymać w ryzach niecierpliwie podrygującego Mrocznego Pasażera i mieć nadzieję, że całe to radosne szaleństwo wkrótce się skończy i powróci uporządkowane, normalne życie upływające na łapaniu i rozcinaniu innych potworów.

Dexter bowiem przyzwyczajony jest rozcinać swobodnie, schludną, radosną ręką, która teraz może tylko chwytać dłoń Rity, podziwiać księżyc i delectować się ironią miesiąca miodowego, w którym wszystko, co słodkie i z miesiącem na niebie związane, jest zabronione.

A więc Paryż. Dexter posłusznie wlecze się za ciągnącym go holownikiem „Rita”, gapi się i przytakuje, kiedy trzeba, a od czasu do czasu rzuca błyskotliwe, dowcipne uwagi typu „O rany” albo „Uhm”, gdy Rita folguje żądzy Paryża, która narastała w niej od lat i wreszcie może zostać skonsumowana.

Ale chyba nawet Dexter nie pozostaje nieczuły na legendarne uroki Miasta Świąteł? Chyba nawet on na widok tych wszystkich

wspaniałości odczuwa jakieś delikatne, syntetyczne drgnienie gdzieś w ciemnej, pustej jamie, w której powinna być dusza? Czy Dexter naprawdę może przyjechać do Paryża i nie czuć nic?

Ależ skąd. Dexter czuje, i to intensywnie: Dexter czuje zmęczenie i nudę. Dexter czuje też lekkie zniecierpliwienie brakiem towarzysza zabawy. Szczerze mówiąc, im szybciej go znajdzie, tym lepiej, bo z jakiegoś powodu Małżeństwo nieco zaostrza apetyt.

Ale taka jest umowa – Dexter musi spełniać warunki, by móc robić to, co robi. W Paryżu, jak w domu, Dexter musi *maintenez le dèguisement*. Nawet jakże światowi Francuzi mogliby nieco się stropić na myśl, że jest wśród nich potwór, nieludzki demon, który żyje tylko po to, by zrzucić podobnych sobie w otchłań zasłużonej śmierci. A Rita, w swoim nowym wcieleniu rumieniącej się panny młodej, jest idealnym *dèguisement* dla tego, czym naprawdę jestem. Nikomu nie przysłoby do głowy, że zimny, bezduszny morderca mógłby potulnie wlec się za tak doskonałym symbolem amerykańskiej turystyki. Z pewnością, *mon frère. C'est impossible*.

W tej chwili, niestety, *très impossible*. Nie ma szans wymknąć się na kilka godzin zasłużonej rozrywki. Nie tutaj, gdzie nie znają Dextera, a on nie zna obyczajów policji. Nigdy na obcym, niezbadanym terenie, na którym nie obowiązuje surowy Kodeks Harry'ego. Harry był gliną z Miami i w Miami każde jego słowo stawało się ciałem. Tyle że wśród tych słów nie było ani jednego francuskiego; ryzyko jest więc tu za duże, bez względu na to, jak mocno bije puls ciemności na zaciemnionym tylnym siedzeniu.

Wielka szkoda, bo ulice Paryża są stworzone, by czaić się na nich ze złymi zamiarami. Wąskie, ciemne, nie podlegają żadnym logicznym regułom zrozumiałym dla rozsądnego człowieka. Aż za łatwo wyobrazić sobie Dextera owiniętego peleryną, z połyskującym ostrzem w dłoni, przemykającego tymi ocienionymi zaułkami, spieszącego na pilne spotkanie w jednym z tych starych gmachów, które zdają się nad nim pochylać i żądać, by był niegrzeczny.

Nawet ulice to wymarzone miejsce na burdę; wyłożone są dużymi kamieniami, które w Miami ludzie już dawno by powyciągali, żeby wybijać nimi szyby przejeżdżających samochodów albo sprzedać je firmom budującym nowe drogi.

Ale to niestety nie jest Miami. To Paryż. Dlatego czekam cierpliwie, aż ten nowy, kluczowy element przebrania Dextera okrzepnie, i liczę, że jakoś wytrzymam jeszcze jeden tydzień wymarzonego miesiąca miodowego Rity. Piję francuską kawę – w porównaniu z tą w Miami to lura – oraz *vin de table*, którego krwista czerwień przywołuje niepokojące wspomnienia, i nie mogę się nadziwić łatwości, z jaką moja nowa żona chłonie wszystko, co francuskie. Nauczyła się ślicznie rumienić, kiedy mówi *table pour deux, s'il vous plaît*, dzięki czemu francuscy kelnerzy od razu wiedzą, że mają przed sobą młodą parę i, niemal jakby się zmówili, żeby podsycać romantyczne fantazje Rity, wśród serdecznych uśmiechów oraz ukłonów zapraszają nas do stolika i wydaje się, że za chwilę chóralnie odśpiewają refren *La Vie En Rose*.

Ach, Paryż. Ach, *l'amour*.

Całymi dniami włóczymy się po ulicach i przystajemy w niezwykle ważnych miejscach zaznaczonych na planie miasta. Wieczory spędzamy w małych, urokliwych knajpkach, często z dodatkową atrakcją w postaci francuskiej muzyki na żywo. Raz wybieramy się nawet do Comédie Française na przedstawienie *Chorego z urojenia*. Z bliżej nieznanego powodu sztuka w całości grana jest po francusku, ale Rita i tak dobrze się bawi.

Dwa wieczory później równie dobrze bawi się na rewii w Moulin Rouge. Prawdę mówiąc, w Paryżu podoba jej się prawie wszystko, nawet rejs po rzece. Nie zwracam jej uwagi, że przejażdżki łodzią w Miami są dużo ciekawsze, a mimo to jakoś nigdy się nimi nie zainteresowała, ale zaczynam się zastanawiać, co też sobie myśli, jeśli w ogóle cokolwiek.

Przypuszcza atak na wszystkie znane zabytki, a Dexter występuje w roli oddziału szturmowego mimo woli, i nic nie może jej powstrzymać. Wieża Eiffla, Łuk Triumfalny, Wersal, Katedra Notre Dame; wszystkie kapitulują przed tą wściekle skoncentrowaną blondynką uzbrojoną w śmiercionośny przewodnik turystyczny.

Zaczyna się to wydawać cokolwiek wysoką ceną za *déguisement*, ale Dexter to żołnierz wzorowy. Brnie naprzód, obarczony ciężarem obowiązku i butelek wody. Nie uskarża się na upał, bolące nogi ani na ogromne, nieładne tłumy ludzi w zbyt obcisłych szortach, pamiątkowych T-shirtach i klapkach.

Podejmuje za to jedną nieśmiałą próbę znalezienia czegoś ciekawego dla siebie. W czasie wycieczki autobusem po Paryżu, gdy głos z taśmy cedzi w ośmiu językach nazwy rozmaitych fascynujących miejsc o wielkim znaczeniu historycznym, do duszącego się powoli mózgu Dextera dociera nieproszona myśl. Umęczonemu potworowi też należy się tu, w Mieście Niemilkających Akordeonów, jakiś skromny obiekt kultu i już wiem, co to jest. Na następnym przystanku stoję przy drzwiach autobusu i zadaję kierowcy proste, niewinne pytanie.

- Przepraszam - mówię. - Czy będziemy przejeżdżać koło Rue Morgue?

Kierowca słucha iPod'a. Poirytowanym, zamaszystym gestem wyciąga jedną słuchawkę z ucha, mierzy mnie od stóp do głów i unosi brew.

- Rue Morgue - powtarzam. - Czy będziemy jechać koło Rue Morgue?

Łapię się na tym, że mówię za głośno, jak typowy jankeski antylingwista zaczynam się jąkać, w końcu milknę. Kierowca patrzy na mnie. Z dyndającej słuchawki dochodzi rżenie hip-hopu. Wreszcie wzrusza ramionami. Zarzuca mnie szybką serią francuskich słów krótko, ale wyraziście tłumaczących moją kompletną ignorancję; wkłada słuchawkę z powrotem do ucha i otwiera drzwi autobusu.

Wsiadam za Ritą, potulny, pokorny i trochę zawiedziony. Wydawało się to takie proste - zatrzymać się na chwilę zadumy na Rue Morgue i złożyć hołd ważnemu miejscu w dziejach Potworów, a jednak nie. Później to samo pytanie zadaję taksówkarzowi i dostaję tę samą odpowiedź, którą Rita tłumaczy z uśmiechem lekkiego zakłopotania.

- Dexter - mówi. - Masz fatalną wymowę.

- Po hiszpańsku wyszłoby lepiej - odpowiadam.

- Nic by to nie zmieniło - stwierdza. - Rue Morgue nie istnieje.

- Co takiego?

- Jest wymyślona - mówi. - Przez Edgara Allana Poe. Tak naprawdę nie ma żadnej Rue Morgue.

Czuję się tak, jakby powiedziała mi, że nie ma Świętego Mikołaja. Nie ma Rue Morgue? Ani radosnego zabytkowego stosiku trupów paryżan? Jak to możliwe? Jednak to z pewnością prawda. Do wiedzy

Rity o Paryżu nie sposób się przyczepić. Przez zbyt wiele lat studiowała zbyt wiele przewodników turystycznych, by mogło jej się coś pomylić.

Chowam się więc z powrotem do skorupy tępej uległości, jedyna iskierka zainteresowania gaśnie na amen jak sumienie Dextera.

Kiedy już tylko trzy dni dzielą nas od powrotu do błogosławionej złości i zamętu Miami, nadchodzi Dzień Zwiedzania Luwru. Nawet ja jestem odrobinę zaciekawiony; w końcu to, że nie mam duszy, wcale nie znaczy, że nie doceniam sztuki. Wręcz przeciwnie. Ostatecznie w sztuce chodzi o to, by tworzyć kompozycje, które będą w znaczący sposób oddziaływać na zmysły. A czy nie tym właśnie zajmuje się Dexter? Oczywiście, w moim przypadku „oddziaływanie” należy rozumieć nieco bardziej dosłownie, ale mimo wszystko potrafię docenić inne rodzaje twórczości.

Dlatego co najmniej umiarkowanie zainteresowany poszedłem za Ritą przez wielki dziedziniec Luwru, a potem schodami w dół do wnętrza szklanej piramidy. Postanowiła zwiedzać na własną rękę, nie w grupie - nie powodował nią wstręt do stad gapiących się, zaślinionych, rozpaczliwie niedouczonej baranów lgnących praktycznie do wszystkich przewodników, lecz determinacja, by pokazać, że niestraszne jej żadne muzeum, nawet francuskie.

Pomaszerowała prosto do kolejki po bilety, w której staliśmy kilka minut, zanim wreszcie kupiła je i cuda Luwru stanęły przed nami otworem.

Pierwszy cud objawił się, gdy tylko przeszliśmy schodami z holu do sali muzealnej. W jednej z pierwszych galerii, w części ogrodzonej czerwonym aksamitnym sznurem, zgromadził się ogromny tłum złożony chyba z pięciu dużych grup zwiedzających. Rita wydała dźwięk, który zabrzmiał jak „mrmf”, i pociągnęła mnie dalej. Kiedy szybko mijaliśmy tłum, odwróciłem się - to była *Mona Lisa*.

- Jaka mała - wykrztusiłem.

- I strasznie przereklamowana - oschle powiedziała Rita.

Wiem, że miesiąc miodowy ma być czasem, kiedy można lepiej poznać swojego nowego partnera życiowego, ale takiej Rity jeszcze nie widziałem. Ta, którą myślałem, że znam, według mojej wiedzy nie miała zdecydowanych poglądów na żaden temat, a już na pewno nie takich, które byłyby sprzeczne z opinią ogółu. A tu proszę, twierdzi,

że najstynniejszy obraz świata jest przereklamowany. To się nie mieściło w głowie; przynajmniej w mojej.

- To *Mona Lisa* - powiedziałem. - Jak może być przereklamowana?

Wydała kolejny dźwięk złożony z samych spółgłosek i trochę mocniej pociągnęła mnie za rękę.

- Chodź obejrzeć tycjany - zaproponowała. - Są dużo ładniejsze.

Tycjany były bardzo ładne. Podobnie jak rubensy, choć na widok tych wszystkich rubensowskich kształtów trochę zgłodniałem. Zręcznie poprowadziłem więc Ritę przez trzy następne długie sale z bardzo ładnymi obrazami do kawiarni na wyższym piętrze.

Po przekasce droższej niż na lotnisku i tylko trochę smaczniejszej przez resztę dnia chodziliśmy po muzeum i zwiedzaliśmy salę za salą, wszystkie pełne obrazów i rzeźb. Naprawdę było ich strasznie dużo i kiedy o zmierzchu wreszcie wyszliśmy na dziedziniec, mój do niedawna wspaniały umysł był rozłożony na obie łopatki.

- Cóż - powiedziałem, kiedy szliśmy niespiesznie po kamiennych płytach - to się nazywa dzień pełen wrażeń.

- Oooh - westchnęła. Jej oczy wciąż były wielkie i błyszczące, jak niemal przez cały dzień. - To było po prostu niesamowite! - Po czym objęła mnie ramieniem i przytuliła się do mnie, jakbym to ja osobiście stworzył całe muzeum. Trochę to utrudniało chodzenie, ale cóż, w końcu właśnie takie rzeczy robi się podczas miesiąca miodowego w Paryżu, więc pozwoliłem jej się do mnie przylepić. Chwiejnym krokiem przemierzaliśmy dziedziniec i wyszliśmy przez bramę na ulicę.

Kiedy skręciliśmy za róg, stanęła przed nami młoda kobieta o twarzy ozdobionej tyłoma kolczykami, że z trudem starczało na nie miejsca. Wcisnęła Ricie w rękę jakąś kartkę.

- Teraz pora na prawdziwą sztukę - oznajmiła. - Jutro wieczorem, he?

- *Merci* - bąknęła Rita w osłupieniu, a kobieta poszła rozdawać ulotki następnym wychodzącym.

- Może zmieściłaby jeszcze kilka kolczyków w lewym policzku - zauważyłem, gdy Rita, marszcząc brwi, wpatrywała się w kartkę. - I zostało jej jedno wolne miejsce na czole.

- Och - mruknęła. - To performance.

Teraz przyszła moja kolej, by osłupieć i tak uczyniłem.

- Czyli co?

- Och, fantastyczna sprawa - powiedziała. - A na jutrzejszy wieczór nie mamy żadnych planów. Pójdziemy tam!

- To znaczy gdzie?

- Ale nam się świetnie trafiło - stwierdziła.

I może Paryż rzeczywiście jest magicznym miejscem. Bo Rita miała rację.

2

Fantastyczna sprawa odbywała się na ocienionej uliczce nieopodal Sekwany - Rita poinformowała mnie z zapartym tchem, że to na Rive Gauche - w małej galerii o nazwie Realite, gdzie wcześniej był sklep. Pospiesznie zjedliśmy kolację - zrezygnowaliśmy nawet z deseru! - żeby być na miejscu o wpół do ósmej, jak nakazywała ulotka. Kiedy tam dotarliśmy, zastaliśmy ponad dwadzieścia osób skupionych w małych grupkach przed rzędem płaskich ekranów zawieszonych na ścianie. Wydawało się, że to zwykła galeria, dopóki nie wziąłem do ręki jednej z broszur. Była napisana po francusku, angielsku i niemiecku. Przeszedłem do tekstu angielskiego i zacząłem czytać.

Ledwie przeczytałem kilka zdań, a moje brwi powędrowały w górę. Był to swego rodzaju manifest napisany w topornym, żarliwym stylu, niezbyt nadający się do tłumaczenia, no, może na niemiecki. Mówił o ekspansji sztuki na nowe obszary percepcji i zniesieniu arbitralnego podziału między sztuką a życiem, narzuconego przez archaicznych i patriarchalnych akademików. I choć pierwsze kroki w tym kierunku uczynili już tacy twórcy, jak Chris Burden, Rudolf Schwarzkogler, David Nebreda i inni, nadszedł czas, by zburzyć mur i wkroczyć w XXI wiek. I to właśnie miało stać się dziś, za sprawą dzieła pod tytułem *Noga Jennifer*.

Było w tym mnóstwo pasji i idealizmu, co zawsze wydawało mi się mieszanką wybuchową, i może nawet uznałbym to za dość śmieszne, gdyby podobnej opinii, i to bardzo dobitnie, nie wyraził Ktoś Inny; gdzieś w najgłębszym lochu Zamku Dexter usłyszałem cichy, syczący chichot Mrocznego Pasażera, a jego rozbawienie, jak zawsze, wyostrzyło moje zmysły i wzmogło czujność. To znaczy, bez żartów - Pasażer koneserem sztuki?

Rozejrzałem się po galerii z większą uwagą. Stłumione szepty ludzi przy monitorach nie wydawały się już pełne nabożnego szacunku dla sztuki. Teraz w niemal całkowitym milczeniu wyczuwałem niedowierzanie, a nawet szok.

Spojrzałem na Ritę. Czytała ze zmarszczonym czołem i kręciła głową.

- O Chrisie Burdenie słyszałam, to Amerykanin - powiedziała. - Ale ten drugi, Schwarzkogler? - Zacięła się na tym nazwisku i nic dziwnego, skoro przez cały ten czas uczyła się francuskiego, nie niemieckiego. - Och - powiedziała i się zarumieniła. - Tu piszą, że... że obciął sobie... - Podniosła wzrok na ludzi, którzy w milczeniu patrzyli na monitory. - O mój Boże - jęknęła.

- Może lepiej chodźmy - zasugerowałem, a rozbawienie mojego wewnętrznego przyjaciela stale rosło.

Ale Rita już stała przed pierwszym ekranem i kiedy zobaczyła, co na nim było, otworzyła usta, które drżały, jakby daremnie próbowały wymówić jakieś bardzo długie i trudne słowo.

- To, to, to... - zacięła się.

I rzut oka na monitor potwierdził, że znów miała rację: tak, to było to.

Na ekranie była młoda kobieta w staromodnym kostiumie striptizerki z bransolet i piór. Jednak zamiast przybrać prowokacyjną pozę odpowiednią dla takiej kreacji, stała z nogą na stole, opuszczając na nią wirującą piłę tarczową i odrzucała głowę do tyłu, z szeroko otwartymi z bólu ustami. Po kilkunastu sekundach nagranie wracało do początku i robiła to wszystko od nowa.

- Dobry Boże - jęknęła Rita. Pokręciła głową. - To... to jakiś trik. To musi być trik.

Nie byłem tego taki pewien. Po pierwsze, dostałem już cynk od Pasażera, że dzieje się tu coś bardzo ciekawego. A po drugie, mina kobiety była mi dobrze znana z moich własnych przedsięwzięć artystycznych. Wyrażała autentyczny ból, nie miałem co do tego wątpliwości, prawdziwe, wielkie cierpienie - a mimo to w toku moich szeroko zakrojonych badań nie spotkałem jeszcze nikogo, kto tak ochoczo by je sobie zadawał. Nic dziwnego, że Pasażer dostał ataku śmiechu. Mnie nie było wesoło: jeśli takie rozrywki się upowszechnią, będę musiał znaleźć sobie nowe hobby.

Z drugiej strony, był to interesujący zwrot akcji i w normalnych okolicznościach pewnie chętnie rzuciłbym okiem na pozostałe filmiki. Czułem się jednak w jakimś sensie odpowiedzialny za Ritę, a te obrazki

zdecydowanie nie były dla niej wskazane, jeśli nadal chciała widzieć świat w różowych barwach.

- Chodź - powiedziałem. - Pójdziemy na deser.

Ona jednak tylko pokręciła głową i powtórzyła:

- To musi być trik. - I przesunęła się do następnego ekranu.

Poszedłem za nią i w nagrodę obejrzałem następny piętnastosekundowy fragment filmu z młodą kobietą w tym samym kostiumie. W tym zdawała się wykrawać sobie z nogi kawał mięsa. Jej twarz wykrzywił grymas niemego, niekończącego się cierpienia, jakby ból trwał tak długo, że zdążyła do niego przywyknąć, a mimo to wciąż go odczuwała. Nasunęło mi się dziwne skojarzenie: podobną minę miała aktorka pod koniec filmu, który Vince Masuoka puścił podczas mojego wieczoru kawalerskiego - tytuł brzmiał, zdaje się, *Grupowe dymanko w akademiku*. W oczach obu spod zmęczenia i bólu wyzierał ten sam błysk satysfakcji, jakby chciały powiedzieć „Pokazałam wam, co?”; tyle że ta tutaj patrzyła na kilkunastocentymetrowy odcinek pomiędzy kolanem a golenią, gdzie wyrwane ciało obnażało nagą kość.

- O mój Boże - szepnęła Rita. I z jakiegoś powodu przesunęła się do następnego monitora.

Nie twierdzę, że rozumiem ludzi. W życiu staram się kierować logiką, a z niej niewiele jest pożytku, gdy próbuję pojąć ich sposób myślenia. To znaczy, o ile było mi wiadomo, Rita naprawdę była słodka, urocza i pełna optymizmu jak Ania z Zielonego Wzgórza. Potrafiła się rozplakać na widok rozjechanego kota. Tymczasem teraz metodycznie zwiedzała wystawę, o jakiej nie śniła w najgorszych koszmarach. Wiedziała, że każdy kolejny urywek filmu będzie równie drastyczny i niewiarygodnie obrzydliwy. A mimo to, zamiast rzucić się do wyjścia, spokojnie przechodziła od ekranu do ekranu.

Napływało coraz więcej ludzi i u wszystkich po kolei widziałem tę samą reakcję: najpierw zrozumienie, potem szok. Pasażer najwyraźniej doskonale się bawił, ja za to, jeśli mam być całkowicie szczery, zaczynałem się trochę nudzić. Nie czułem klimatu, nie bawiły mnie męki publiczności. Bo właściwie o co tu chodzi? No dobrze, Jennifer kawałek po kawałku obcina sobie nogę. I co z tego? Po co zadawać sobie potworny ból, skoro Życie prędzej czy później zrobi to za ciebie? Czego to dowodzi? Co wydarzyło się potem?

Mimo to Rita widać uparła się, by uprzykrzyć sobie ten wieczór jak tylko się da i twardo przesuwiała się od jednego ekranu do drugiego. A ja z braku lepszego pomysłu szedłem za nią i szlachetnie znosiłem westchnienia: „O Boże. O mój Boże”, które wydawała na widok kolejnych okropności.

Na drugim końcu sali największa grupa stała wpatrzona w coś, co wisiało na ścianie pod takim kątem, że widzieliśmy tylko metalową krawędź ramy. Po ich minach znać było, że to prawdziwa bomba, główna atrakcja wystawy, i już nie mogłem się doczekać, by ją zobaczyć i mieć to z głowy, ale Rita postanowiła obejrzeć po drodze wszystkie fragmenty filmu. W każdym kolejnym kobieta robiła coraz to ohydniejsze rzeczy ze swoją nogą, a ostatni, nieco dłuższy, pokazywał ją siedzącą nieruchomo i wpatrzoną w nogę, z której nie zostało nic oprócz gładkiej białej kości łączącej kolano z kostką. Skóra stopy była nietknięta i wyglądała bardzo dziwnie na końcu długiej bladej piszczeli.

Jeszcze dziwniejsza była mina Jennifer, wyrażająca wyczerpanie i triumfujący ból, który oznaczał, że coś udowodniła. Ponownie zajrzałem do programu wystawy, ale nie napisali, co to było.

Rita też nie miała na ten temat nic ciekawego do powiedzenia. Stała tylko, odrętwiała i milcząca, i wpatrywała się w monitor. Trzy razy obejrzała ostatni urywek, wreszcie pokręciła głową i jak w transie podeszła do grupy zgromadzonej na drugim końcu sali, wokół tego Czegoś w metalowej ramie.

Okazało się to najciekawszym do tej pory eksponatem, jak dla mnie najjaśniejszym punktem wystawy, i usłyszałem jak Pasażer chichocze na znak zgody. Rita po raz pierwszy nie mogła wydusić z siebie nawet „O mój Boże”.

Na płycie ze sklejki, osadzonej w stalowej ramie, zamocowana była kość nogi Jennifer, od kolana w dół.

- Cóż - stwierdziłem - przynajmniej wiemy na pewno, że to nie był trik.

- Jest sztuczna - powiedziała Rita, ale chyba sama w to nie wierzyła.

Gdzieś na zewnątrz, w blasku światła najbardziej magicznego miasta na świecie, biły dzwony kościelne. Ale tu, w tej małej galerii, było w tej chwili niewiele magii, a bicie dzwonów wydawało się niezwykle głośne. Prawie zagłuszało inny dźwięk - cichy znajomy syk dający mi znać,

że zaraz zrobi się jeszcze ciekawiej, a ponieważ z doświadczenia wiedziałem, że głos ten prawie nigdy się nie myli, obejrzałem się za siebie.

I rzeczywiście, atmosfera zgęstniała, ledwie zerknąłem na frontową część sali. Bowiem na moich oczach drzwi się otworzyły, zaszeleściły cekiny i weszła Jennifer we własnej osobie.

Myślałem, że wcześniej było cicho, ale był to karnawał w Rio w porównaniu z ciszą, jaka podążała w ślad za kobietą idącą o kulach przez salę. Błada i wychudzona, w luźno wiszącym na niej kostiumie striptizerki, szła powoli i ostrożnie, jakby jeszcze nie przywykła do kul. Kikut od niedawna brakującej nogi obwiązany był czystym białym bandażem.

Kiedy Jennifer podeszła do nas, stojących przed oprawioną kością nogi, wyczułem, że Rita się cofa, żeby uniknąć kontaktu z jednonogą kobietą. Zerknąłem na nią; była prawie tak blada jak Jennifer i najwyraźniej zrezygnowała z oddychania.

Ponownie podniosłem wzrok. Reszta towarzystwa wzorem Rity chyłkiem schodziła Jennifer z drogi, wytrzeszczając na nią oczy. Ona sama wreszcie zatrzymała się pół metra od swojej nogi. Długo jej się przyglądała, chyba nieświadoma tego, że pozbawia tlenu całą salę ludzi. Potem uniosła dłoń z kuli, wychyliła się do przodu i dotknęła kości.

- Seksowna - powiedziała.

Odwróciłem się do Rity z zamiarem, żeby szepnąć *ars longa* czy coś w tym stylu. Ale to na nic.

Rita zemdląła.

3

Wróciliśmy do Miami w piątek wieczorem, dwa dni później, i na widok wzburzonego morza ludzi, którzy klęli i przepychali się wokół taśmociągu bagażowego, prawie łezka mi się w oku zakręciła. Ktoś próbował odejść z walizką Rity i warknął na mnie, kiedy mu ją wyrwałem; takiego właśnie powitania było mi trzeba. Dobrze być znów w domu.

A gdyby nie dość było tych czułości, dodatkową porcję dostałem w poniedziałek z samego rana, pewnego dnia w pracy. Ledwie wyszedłem z windy, wpadłem na Vince'a Masuokę.

- Dexter - odezwał się tonem, który, nie wątpię, wyrażał głębokie wzruszenie - przyniosłeś pączki? - Każdemu zmięłoby serce na tak przekonujący dowód tęsknoty; mnie też, gdybym tylko miał serce.

- Nie jadam już pączków - powiedziałem mu. - Tylko *croissants*.

Vince zamrugał.

- Jak to? - spytał.

- *Je suis Parisien* - wyjaśniłem.

Pokręcił głową.

- Powinieneś był przynieść pączki - stwierdził. - Mamy naprawdę dziwną sprawę w South Beach, a tam nigdzie ich nie kupimy.

- *Quel tragique* - rzuciłem.

- Cały dzień będziesz taki? - mruknął. - Bo zanoszą się na ciężki dzień.

I rzeczywiście, było ciężko, tym bardziej że na miejscu zebrał się już dziki tłum dziennikarzy i innych gapiów, którzy ustawili się w trzech szeregach przy żółtej taśmie ogradzającej kawałek plaży blisko najdalej na południe wysuniętego krańca South Beach. Zanim przecisnąłem się przez tłum na plażę, gdzie Angel Batista-Bez-Skojarzeń nieopodal ciał oglądał na czworakach coś, czego nie dostrzegał nikt inny, zdążyłem się spocić.

- Jest tam coś niezwykłego? - zagadnąłem go.

Nawet nie podniósł wzroku.

- Żaba z cyckami - powiedział.

- Z pewnością, ale Vince mówił, że coś jest nie tak z ciałami.

Przyjrzał się czemuś ze zmarszczonym czołem i opuścił głowę niżej.

- Nie boisz się roztoczy piaskowych? - spytałem.

Angel tylko skinął głową.

- Zginęli gdzie indziej - oznajmił. - Ale z jednego trochę ciekło. - Zmarszczył brwi. - Tyle że nie krew.

- Szczęściarz ze mnie.

- Poza tym - dodał i pincetą włożył do plastikowej torebki coś niewidocznego - ktoś ich... - Tu urwał, nie w związku z niewidzialnymi znaleziskami, lecz jakby po to, żeby poszukać słowa, które mnie nie wystraszy, a ja w ciszy usłyszałem narastający furkot skrzydeł rozpościerających się na mrocznym tylnym siedzeniu Dexter-mobilu.

- Co? - rzuciłem, bo już nie mogłem dłużej wytrzymać.

Angel lekko pokręcił głową.

- Ktoś ich... upozował - powiedział i, jakby paraliżujący go czar prysł, drgnął, zakleił torebkę, ostrożnie odłożył ją na bok i ukląkł znów na jednym kolanie.

Jeśli to było wszystko, co miał do powiedzenia na ten temat, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko samemu zobaczyć, cóż oznaczało to syczące milczenie. Przeszedłem więc sześć metrów dzielących mnie od ciał.

Było ich dwoje, mężczyzna i kobieta, pewnie po trzydziestce, i raczej nie uroda przyciągnęła uwagę zabójcy. Oboje bladzi, otyli i włochaci, spoczywali starannie ułożeni na pstrych ręcznikach kąpielowych w stylu tych, które są tak popularne wśród turystów ze Środkowego Zachodu. Kobieta miała na kolanach niedbale otwartą jasnoróżową książkę w miękkiej okładce, z krzykliwą okładką - nieodłączny atrybut turystów z Michigan - pod tytułem *Sezon turystyczny*. Najzwyklejsze małżeństwo wylegające się na plaży.

Dla podkreślenia szczęścia, którego powinni doświadczać, każde z nich miało na twarzy półprzezroczystą plastikową maskę, chyba naklejoną, z szerokim, sztucznym uśmiechem nakładającym się na prześwitujące rysy twarzy. Miami, Stolica Przyklejonego Uśmiechu.

Tylko że ci dwoje mieli dość kuriozalne powody do tego, by się uśmiechać; powody, które sprawiły, że mój Mroczny Pasażer krztusił się ze śmiechu. Ktoś rozciął oba ciała od klatki piersiowej po pas, a następnie rozchylił płaty skóry, by pokazać, co jest w środku. I nie potrzebowałem nagłego wybuchu wesołości mojego księżycowego kompana, by zauważyć, że to, co było w środku, wyglądało cokolwiek niezwykle.

Po pierwsze, wszystkie zwyczajne obrzydliwości zniknęły bez śladu. Nie było ani ohydnej oślizłej kupy jelit, ani reszty wstrętnych lśniących bebeczków. Opróżniona z tej strasznej krwistej brei jama brzuszna kobiety została starannie, gustownie zamieniona w kosz owoców cytrusowych, jakim dobre hotele witają szczególnych gości. Dostrzegłem dwa owoce mango, papaje, pomarańcze i grejpfruty, ananasa i, oczywiście, kilka bananów. Klatkę piersiową zdobiła jasnoczerwona wstążka, a spomiędzy owoców wystawała butelka taniego szampana.

Wewnętrzny wystrój mężczyzny był bardziej swobodny i urozmaicony. Zamiast barwnej, miłej dla oka kompozycji z owoców jego wypatroszony brzuch wypełniały wielkie, pstre okulary przeciwsłoneczne, maska i fajka do nurkowania, miękka butelka kremu z filtrem przeciwsłonecznym, środek odstraszający owady i – co na tym piaszczystym pustkowiu pozbawionym pączków wydawało się karygodnym marnotrawstwem – talerzyk *pasteles*, kubańskich ciastek. Oparta o boczną ścianę jamy brzusznej stała jakaś książeczka, jakby broszura. Nie mogłem dojrzeć okładki, więc pochyliłem się, żeby zobaczyć ją z bliska; to był *Bikini kalendarz South Beach*. Zza kalendarza wyglądała głowa granika, którego rozdziawiony rybi pyszczyk zastygł w uśmiechu niesamowicie podobnym do tego na plastikowej masce przyklejonej do twarzy mężczyzny.

Z tyłu zaszurały nogi brnące przez piach i się obejrzałem.

- Znajomy? - rzuciła moja siostra Debora i ruchem głowy wskazała trupy. Może powinienem powiedzieć „sierżant Debora”, bo w pracy wymaga się ode mnie uprzejmości wobec tych, którzy w policyjnej hierarchii zaszli tak wysoko jak ona. I zazwyczaj jestem uprzejmy do tego stopnia, że zignorowałem jej kąśliwą uwagę. Ale widok tego, co miała w ręku, z miejsca przekreślił wszelkie polityczne zobowiązania. Jakimś cudem zdobyła pączka, i to z moim ulubionym

kremem bawarskim. Ugryzła duży kęs. Rażąca niesprawiedliwość. – Co sądzisz, braciszku? – powiedziała z pełnymi ustami.

– Że powinnaś była przynieść jednego dla mnie – odparłem.

Obnażyła zęby w szerokim uśmiechu, co nie poprawiło sytuacji, bo na dziąsłach miała czekoladową polewę z pączka.

– Przyniosłam – młasnęła – ale zgłodniałam i go zjadłam.

Miło było zobaczyć, jak moja siostra się uśmiecha, bo w ostatnich paru latach zdarzało jej się to dość rzadko; uśmiech po prostu nie pasował do wizerunku policjanta, za jakiego się uważała. We mnie jednak jej widok nie wzbudził serdecznych braterskich uczuć – wzbudziłby, gdyby dała mi pączka. Mimo to moje badania dowodziły, że szczęście bliskich jest prawie tak ważne jak własne, więc zrobiłem dobrą minę do złej gry.

– Ogromnie się cieszę – powiedziałem.

– Wcale nie. Dąsas się – odparowała. – I jak, co sądzisz? – Wcisnęła do ust ostatni kawałek pączka z kremem bawarskim i znów ruchem głowy wskazała na trupy.

Oczywiście, Debora jak nikt inny miała prawo odwoływać się do mojej dogłębnej wiedzy na temat chorych, pokreconych zwierząt, które zabijały w taki sposób, bo po pierwsze, była moją jedyną krewną, a po drugie, ja sam byłem chory i pokrecony. Tyle że pomijając powoli słabnące rozbawienie Mrocznego Pasażera, nie miałem żadnych błyskotliwych spostrzeżeń na temat powodów, dla których przerobiono dwa trupy na prezent powitalny od mocno niezrównoważonego lokalnego patrioty. Długo nasłuchiwałem w skupieniu i udawałem, że oglądam zwłoki, ale nie zobaczyłem ani nie usłyszałem nic oprócz słabego, zniecierpliwionego chrząknięcia dobiegającego z ciemnego zakamarka Château Dexter. Ale Debora oczekiwała oficjalnego komunikatu.

– Strasznie to przekombinowane – wykrztusiłem.

– Ładne określenie – skwitowała. – Co, do cholery, masz na myśli?

Zawahałem się. Jako specjalista od niezwykłych zabójstw, zwykle nie mam kłopotu z odgadnięciem, jakiego rodzaju chaos psychologiczny mógł doprowadzić do powstania badanej sterty ludzkich ochłapów. Jednak w tym przypadku nic nie przychodziło mi do głowy. Nawet taki ekspert jak ja nie może wiedzieć wszystkiego i uraz psychiczny, jakiego

trzeba było doznać, by zrobić z pulchnej kobiety kosz owoców, był zagadką i dla mnie, i dla mojego wewnętrznego pomocnika.

Debora patrzyła na mnie wyczekująco. Nie chciałem powiedzieć jej na odczepnego nic, co mogłaby wziąć za doniosłe odkrycie, które naprowadziłoby ją na fałszywy trop. Z drugiej strony, moja reputacja wymagała wygłoszenia fachowej opinii.

- To nic pewnego - zaznaczyłem. - Rzecz w tym, że... - Tu na chwilę zamilkłem, bo zrozumiałem, że moje spostrzeżenie rzeczywiście jest istotne, i potwierdził to cichy, zachęcający chichot Pasażera.

- Co, do cholery? - warknęła Debora i trochę mi ulżyło, że wraca właściwa jej zrzędlivość.

- Widać w tym zimne wyrachowanie, jakiego zazwyczaj się nie spotyka - powiedziałem.

- Normalnie - prychnęła. - To znaczy u ciebie?

Byłem zaskoczony, że zebrało się jej na wycieczki osobiste, ale to przemilczałem.

- Normalnie to znaczy u kogoś, kto mógłby zrobić coś takiego - powiedziałem. - W tym musi być trochę pasji, jakiś znak, że sprawca naprawdę, hm... że czuł potrzebę, by to zrobić. Nie tak jak tutaj, na zasadzie, co by tu zrobić potem, żeby było fajnie.

- Dla ciebie to jest fajne? - spytała.

Pokręciłem głową poirytowany tym, że celowo nie chce mnie zrozumieć.

- Nie, nie jest, o tym właśnie mówię. To akt zabijania ma być fajny i ciała powinny tego dowodzić. Tymczasem tu wcale nie chodziło o to, żeby zabić, to był tylko środek do celu. Nie cel sam w sobie... Co tak patrzysz?

- Ty tak masz? - wycodziła.

Poczułem się zaskoczony - niezwykła sytuacja dla Dziarskiego Dextera, mistrza dowcipnej riposty. Debora wciąż nie bardzo mogła pogodzić się z myślą o tym, kim jestem i kim uczynił mnie jej ojciec, a ja potrafiłem zrozumieć, że ciężko było jej radzić sobie z tą świadomością na co dzień, zwłaszcza w pracy, która w końcu polegała na tropieniu takich jak ja i posyłaniu ich na krzesła elektryczne.

Z drugiej strony, naprawdę nie było to coś, o czym mógłbym mówić bez dużego skrępowania, nawet z Deborą. To tak, jakby rozmawiać z matką o seksie oralnym. Postanowiłem więc dyskretnie zboczyć z tematu.

- Chodzi mi o to - zacząłem - że tu najważniejsze nie było to, żeby zabić, tylko to, co zrobiono potem z ciałami.

Chwilę mi się przyglądała, aż w końcu pokręciła głową.

- Bardzo jestem ciekawa, co to według ciebie znaczy - powiedziała. - Ale chyba jeszcze bardziej chciałabym wiedzieć, co dzieje się w tym twoim łbie.

Odetchnąłem głęboko i powoli wypuściłem powietrze. Zabrzmiało to kojąco, jak dźwięk, który mógłby wydać Pasażer.

- Słuchaj, Deb - podjąłem. - Mówię tylko, że nie mamy do czynienia z mordercą, tylko z kimś, kto lubi się zabawiać martwymi ciałami, nie żywymi.

- A to coś zmienia?

- Tak.

- Ale jednak zabija? - upewniła się.

- Jak widać.

- I prawdopodobnie zrobi to znowu?

- Prawdopodobnie - odpowiedziałem przy wtórze zimnego chichotu wewnętrznej pewności, który słyszeć mogłem tylko ja.

- To jaka jest różnica? - spytała.

- Różnica jest taka, że nie będzie się trzymał schematu. Nie możesz przewidzieć, kiedy to zrobi ani komu to zrobi, żadnej z tych rzeczy, które normalnie pomogłyby ci go złapać. Możesz tylko czekać i liczyć na łut szczęścia.

- Cholera - mruknęła. - Nigdy nie umiałam czekać.

Przy zaparkowanych samochodach zrobiło się małe zamieszanie i otęły detektyw nazwiskiem Coulter podszedł do nas, brnąc w piachu.

- Morgan - sapnął.

- Tak? - spytaliśmy oboje.

- Nie ty - powiedział do mnie. - Ty, Debbie.

Debra skrzywiła się; nie znosiła, kiedy mówiono na nią Debbie.

- Co? - burknęła.

- Mamy razem prowadzić dochodzenie - wyjaśnił. - Tak powiedział kapitan.

- Już się tym zajęłam - oznajmiła. - Obędę się bez partnera.

- Nie obędziesz się - odparował Coulter. Pociągnął łyk wody sodowej z dużej butelki. - Mamy następne do kolekcji - wysapał. - W Fairchild Gardens.

- Szczęściara - zwróciłem się do Debory. Przeszyła mnie wzrokiem, a ja wzruszyłem ramionami. - No co? Nie chciałaś czekać - stwierdziłem.

4

Jedną z największych zalet Miami zawsze była pełna gotowość jego mieszkańców do wybetonowania wszystkiego po kolei. Nasze Piękne Miasto zaczynało jako subtropikalny ogród obfitujący w faunę i florę, ale wystarczyło kilka lat ciężkiej pracy, by wszystkie rośliny zniknęły, a zwierzęta wymarły. Oczywiście, pamięć o nich żyje w osiedlach apartamentowców, które je zastępują. Jest niepisana zasada, że każde nowe osiedle dziedziczy nazwę po tym, co zniszczono podczas budowy. Wytrzebiono orły? No to mamy Strzeżone Osiedle Orle Gniazdo. Wyrżnięto pumy? Proszę bardzo: Ośrodek Opieki Sus Pumy. Proste, zgrabne i na ogół bardzo lukratywne.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Fairchild Gardens to betonowy parking, gdzie dokonano masakry rodziny Fairchildów i ich tulipanów. Co to, to nie. Przeciwnie, jest to miejsce, w którym rośliny biorą odwet. Oczywiście, żeby się tam dostać, trzeba minąć sporo Zatok Orchidei i Cyprysowych Dolin, ale u kresu drogi czeka rozległy, naturalnie wyglądający gąszcz drzew i orchidei, niemal wolny od strzygącej żywo płoty ludzkości. Nie licząc autokarów z turystami, rzecz jasna. Mimo to da się tam znaleźć jedno czy dwa miejsca, gdzie można zobaczyć prawdziwą palmę bez neonów w tle, a ja tak naprawdę zwykle odczuwałem ulgę, spacerując wśród drzew i wegetując z dala od zgiełku.

Jednak tego ranka, kiedy przyjechaliśmy, parking był przepełniony, Gardens bowiem zamknięto z powodu Makabrycznego Odkrycia i u wejścia kłębił się tłum niedoszłych spacerowiczów, którzy liczyli, że mimo wszystko dostaną się do środka, by odhaczyć ten punkt programu, a może nawet zobaczyć coś strasznego i mieć okazję udawać zaszokowanych. Wymarzony urlop w Miami - orchidee i trupy.

Byli nawet dwaj filigranowi młodzieńcy z kamerami wideo, którzy krążyli w tłumie i filmowali - cóż za atrakcja - czekających ludzi. Co parę kroków wykrzykiwali „Morderstwo w Gardens!” i inne słowa

zachęty. Może mieli dobre miejsce parkingowe i chcieli je zachować, bo na parkingu nie zmieściłoby się już nic większego od motocykla.

Debora, oczywiście, jako rodowita mieszkanka Miami i policjantka z Miami, bez ceregieli przebiła się służbowym fordem przez tłum, zaparkowała przed samym wejściem do parku, gdzie stało już kilka innych aut, i wyskoczyła z samochodu. Kiedy wysiadłem, rozmawiała z pełniącym wartę mundurowym, niskim, krępyim gościem nazwiskiem Meltzer, którego znałem z widzenia. Pokazał jej coś w głębi jednej ze ścieżek za bramą i tam się skierowała.

Ruszyłem za nią najszybciej, jak mogłem. Jak zwykle zostałem z tyłu i musiałem ją gonić, ale do tego zdążyłem już przywyknąć, bo moja siostra gnała jak chart na każde miejsce zbrodni, a ja jakoś nigdy nie uznałem za słuszne zwrócić jej uwagi, że nie ma się co spieszyć. W końcu nieboszczyk nigdzie się nie wybierał. Debora mimo to spieszyła się i oczekiwała, że będę przy niej i powiem jej, co ma myśleć. Dlatego też, zanim zdążyła zabłądzić w starannie wypielęgnowanej dżungli, popędziłem za nią.

Dogoniłem ją wreszcie, kiedy wyhamowała na polance przy ścieżce, w części parku zwanej Lasem Tropikalnym. Była tam ławka, na której strudzony miłośnik natury mógł odpocząć pośród kwiecica i zregenerować siły. Nieszczęśliwie dla biednego Dextera, ledwo dyszącego po szaleńczej gonitwie za Deb, ławkę zajął już ktoś, komu było to dużo bardziej potrzebne niż mnie.

Siedział nad ruczajem w cieniu palmy, ubrany w lekkie, obszerne bawełniane szorty, w których od niedawna, nie wiedzieć czemu, można pokazywać się publicznie, i gumowe japonki, które niezmiennie idą w parze z szortami. Miał też T-shirt z napisem „Jestem z głąbem” i zawieszony na szyi aparat fotograficzny, a w rękach ścisnął bukiet, nad którym jakby się zadumał. Mówię „zadumał”, choć to jego zadumanie wyglądało dość osobliwie, bo ktoś starannie uciął mu głowę i zastąpił ją pstrą wiązanką tropikalnych kwiatów. W trzymanym bukiecie zaś, zamiast kwiatów, był radośnie lśniący zwój jelit, zwieńczony, jak się wydawało, sercem i otoczony chmurą zadowolonych much.

- Sukinsyn - powiedziała Debora i trudno było nie zgodzić się z jej tokiem rozumowania. - Cholerny sukinsyn. Troje w jeden dzień.

- Nie mamy pewności, że jest związek - zauważyłem ostrożnie i spiorunowała mnie wzrokiem.

- To jak, mamy dwóch takich grasujących obsrańców? - rzuciła.

- To raczej mało prawdopodobne - przyznałem.

- A żebyś, cholera, wiedział. Kapitan Matthews i cała prasa ze Wschodniego Wybrzeża zaraz dobiorą mi się do dupy.

- To będzie niezła zabawa - zauważyłem.

- Więc co mam im powiedzieć?

- Badamy różne tropy i mamy nadzieję, że wkrótce będziemy mogli podać bliższe informacje - wyrecytowałem.

Debora spojrzała na mnie z miną ogromnej, bardzo rozeźlonej ryby z wielkimi zębami i wyłupiastymi ślepiami.

- Te pierdoły mogę wyklepać bez twojej pomocy - powiedziała. - Nawet dziennikarze już znają je na pamięć. To kapitan Matthews wymyślił.

- A jakie pierdoły wolałabyś usłyszeć? - spytałem.

- Takie, które wyjaśnią mi, o co tu chodzi, zasrańcu.

Puściłem obelgę mimo uszu i ponownie spojrzałem na naszego nowego znajomego - miłośnika przyrody. Pozycja ciała miała w sobie pewien wystudiowany spokój, mocno kontrastujący z faktem, że był to definitywnie nieżywy i bezgłowy eks-człowiek. Ktoś upozował go z niezwykłą starannością i znów odniosłem nieodparte wrażenie, że tworzenie tej martwej natury było ważniejsze od samego zabójstwa. Mimo drwiącego chichotu Mrocznego Pasażera trochę mnie to niepokoiło. To tak, jakby ktoś przyznał, że choć uważa seks za obrzydliwy i męczący, to uprawia go po to tylko, żeby móc potem zapalić papierosa.

Równie niepokojący był fakt, że podobnie jak na poprzednim miejscu zbrodni, nie dostawałem od Pasażera żadnych wskazówek, jeśli nie liczyć swoistego, nieokreślonego rozbawienia, w którym wyczuwało się nutę uznania.

- Wydaje się, że chodzi tu - zacząłem z wahaniem - o jakiś przekaz.

- Przekaz - mruknęła Debora. - Jaki przekaz?

- Nie wiem.

Debora popatrzyła na mnie jeszcze chwilę, aż w końcu pokręciła głową.

- Dzięki Bogu, że mam ciebie do pomocy - powiedziała i zanim zdążyłem wymyślić stosowną ripostę, którą mógłbym się obronić i jednocześnie trochę jej dogryźć, do naszego małego zacisza wtargnęła ekipa kryminologiczna i zaczęła fotografować, mierzyć, szukać odcisków palców i zaglądać do wszystkich zakamarków, w których mogły się kryć odpowiedzi. Debora natychmiast odwróciła się, żeby porozmawiać z Camillą Figg, jedną z laboratoryjnych dziwaków, i zostawiła mnie, bym cierpiał w samotności świadomy, że zawiodłem siostrę.

Nie wątpię, że cierpiałbym katusze, gdybym był zdolny odczuwać wyrzuty sumienia czy inne paraliżujące ludzkie emocje, ale do tego nie zostałem stworzony, więc nie czułem nic prócz głodu. Wróciłem na parking i rozmawiałem z funkcjonariuszem Meltzerem, dopóki nie zjawiał się ktoś, kto mógł zabrać mnie z powrotem do South Beach. Zostały tam moje przybory, poza tym nawet nie zacząłem jeszcze szukać śladów krwi.

Przez resztę poranka kursowałem między dwoma miejscami zbrodni. Śladów właściwie nie było, nie licząc kilku małych, prawie zaschniętych kropeł na piasku, które wskazywały, że para z plaży zginęła gdzie indziej i dopiero później trafiła tam, gdzie ją znaleźliśmy. Byłem przekonany, że wszyscy od początku przyjęliśmy taką hipotezę - istniało znikome prawdopodobieństwo, że ktoś zajął się siekaniem i twórczym aranżowaniem ciał w miejscu publicznym - więc nie wspominałem o tym Deborze, która i bez tego miotała się w bezrozumnym szale, a ja nie chciałem znów paść jego ofiarą.

Tego dnia tylko raz dopisało mi szczęście: tuż przed pierwszą, kiedy Angel-Bez-Skojarzeń zaproponował, że podrzuci mnie na komendę, a po drodze wpadniemy na lunch do jego ulubionej kubańskiej restauracji Habanita na Calle Ocho. Zjadłem bardzo porządny kubański stek z mnóstwem dodatków oraz tartę z dwiema *cafecitas* na deser i podniesiony na duchu wróciłem do pracy, machnąłem legitymacją i wszedłem do windy.

Kiedy drzwi się zasunęły, Pasażer drgnął niepewnie i wyteżyłem słuch, ciekaw, czy to reakcja na poranne panoptikum zbrodni, czy może skutek nadmiernej ilości cebuli na steku. Nie wychwyciłem jednak nic oprócz pewnego napięcia w czarnych, niewidzialnych skrzydłach, które bardzo często wskazywało, że coś jest nie w porządku. Nie wiedziałem,

dlaczego doszło do tego w windzie, i przeszło mi przez myśl, że Pasażer może być nadal lekko wytrącony z równowagi swoim niedawnym urlopem wymuszonym przez Molocha. Oczywiście, nie zadowalało mnie towarzystwo nie w pełni sprawnego Pasażera i właśnie zastanawiałem się, co począc, kiedy drzwi windy otworzyły się i wszystko stało się jasne.

Jakby wiedział, że zastanie nas w środku, sierżant Doakes wpatrywał się gniewnym, nieruchomym spojrzeniem dokładnie w miejsce, w którym staliśmy, i wrażenie było dość wstrząsające. Nigdy mnie nie lubił; zawsze żywił nedorzeczne podejrzenie, że jestem potworem, którym oczywiście jestem, i wziął się, by w jakiś sposób to udowodnić. Cóż, kiedy wpadł w ręce chirurga amatora, który amputował mu dłonie, stopy i język, a ja nie mała się natrudzić, żeby go ocalić - i przecież w dużym stopniu mi się udało - uznał, że jego nowa, opływowa sylwetka to moja wina, i zniechęcił mnie jeszcze bardziej.

Nie pomagało nawet to, że bez języka nie był w stanie powiedzieć niczego choćby odrobinę sensownego; mówił i tak, a my musieliśmy wysłuchiwać tej jego dziwnej nowej mowy złożonej głównie z głosek „g” i „n”, artykułowanej natarczywym, groźnym tonem, który sprawiał, że każdy, kto usiłował go zrozumieć, dyskretnie rozglądał się za najbliższym wyjściem awaryjnym.

Dlatego i tym razem psychicznie przygotowałem się na dawkę gniewnego bełkotu, a Doakes stał i patrzył na mnie z miną zarezerwowaną dla gwałcicieli staruszek. Pomyślałem, że może da się go ominąć, ale nic nie wydarzyło się aż do chwili, kiedy drzwi zaczęły się zamykać. Zanim jednak zdołałem uciec windą z powrotem na dół, Doakes wysunął prawą rękę - a właściwie lśniący stalowy szpon - i zablokował drzwi.

- Dziękuję - powiedziałem i ostrożnie zrobiłem krok do przodu. On jednak się nie odsunął ani nawet nie mrugnął okiem i wyglądało na to, że nie wyjdę, jeśli go nie staranuję.

Doakes wciąż wpijał się we mnie nieruchomym, nienawistnym wzrokiem. Wreszcie uniósł małe srebrne urządzenie wielkości książki w twardej oprawie. Otworzył je - okazało się, że to mały kieszonkowy komputer albo notes elektroniczny - i nadal nie odrywając ode mnie oczu, stuknął szponem w klawiaturę.

- Postaw to na biurku - odezwał się zupełnie niepasujący do sytuacji męski głos z komputera. Doakes nasrożył się jeszcze bardziej i ponownie dźgnął jakiś klawisz. - Czarna, dwie kostki cukru - powiedział głos i szpon stuknął w klawiaturę raz jeszcze. - Miłego dnia - rozległo się tym razem i był to naprawdę przyjemny baryton, jakim powinien mówić zadowolony biały grubas, a nie ten ponury czarny cyborg złańniony zemsty.

Za to przynajmniej musiał wreszcie oderwać ode mnie wzrok, by spojrzeć na klawiaturę przedmiotu, który trzymał w szponie. Chwilę wpatrywał się w, jak sądzę, listę uprzednio nagranych zdań, aż w końcu znalazł to, którego szukał.

- Nadal mam cię na oku - oznajmił radosny baryton i choć ten pogodny, optymistyczny ton powinien znacznie poprawić mi nastrój, fakt, że przemawiał w imieniu Doakesa, jakoś psuł ogólne wrażenie.

- Od razu mi raźniej - odparłem. - Mógłbyś mieć mnie na oku, kiedy będę wychodził z windy?

W pierwszej chwili uznał, że nie mógłby, i znów zbliżył szpon do klawiatury. W porę się jednak zreflektował, że poprzednio bez patrzenia nie poszło mu za dobrze, więc zerknął w dół, wcisnął klawisz i spojrzał na mnie, podczas gdy wesoły głos rzucił „Skurwysynu” takim tonem, jakby mówił „Pączek z dżemem”. Ale przynajmniej Doakes odsunął się trochę na bok, żebym mógł wyjść.

- Dziękuję - powiedziałem i ponieważ czasem potrafię być niemiły, dodałem: - I postawię ci ją na biurku. Czarną z dwiema kostkami cukru. Miłego dnia. - Ominąłem go i ruszyłem w głąb korytarza, ale przez całą drogę do mojego boksu czułem na sobie jego spojrzenie.

5

Ten dzień przysporzył mi już dość cierpień, poczynając od pączkowej posuchy rano aż po przerażające spotkanie z pozostałością sierżanta Doakesa w wersji z ulepszonym głosem. To wszystko jednak i tak nie przygotowało mnie na szok, jaki przeżyłem po powrocie do domu.

Liczyłem na przyjemne rozleniwienie po dobrym posiłku i trochę relaksu z Codym i Astor – może zabawę w chowanego na powietrzu przed kolacją. Kiedy jednak zatrzymałem wóz przed domem Rity – teraz także Moim Domem, do czego niełatwo się było przyzwyczaić – ku swojemu zdumieniu zobaczyłem na podwórku dwie małe, potargane główki, które najwyraźniej czekały na mnie. Ponieważ wiedziałem, że o tej porze w telewizji jest *Sponge Bob*, nie miałem pojęcia, z jakiego powodu siedzieli tutaj, a nie przed telewizorem. Dlatego z rosnącym niepokojem wysiadłem z samochodu i podszedłem do nich.

- Witam obywateli – przywitałem się. Spojrzeli na mnie, oboje z tym samym głębokim smutkiem w oczach, ale się nie odezwali. Cody'emu się nie dziwiłem, w końcu nigdy nie mówił więcej niż cztery słowa za jednym zamachem. Zaniepokoiła mnie za to Astor; mała odziedziczyła po matce umiejętność oddychania permanentnego, pozwalającą mówić bez przerw na wdech, i widok jej siedzącej w milczeniu był czymś niemal bezprecedensowym. Przerzuciłem się zatem na inny język i spróbowałem jeszcze raz: – Co tam, ziomy?

- Kaławan – mruknął Cody. A przynajmniej tak zrozumiałem. Ponieważ jednak nikt mnie nigdy nie nauczył, jak odpowiedzieć na coś takiego, spojrzałem na Astor w nadziei na jakąś wskazówkę.

- Mama mówiła, że dla nas będzie pizza, a dla ciebie kaławan, ale nie chcieliśmy, żeby cię zabrali, więc wyszliśmy cię ostrzec. Chyba sobie nie pojedziesz, co, Dexter?

Trochę mi ulżyło, że jednak się nie przesłyszałem, choć teraz musiałem wydedukować, czym jest „kaławan”. Czy Rita naprawdę to powiedziała? Czy to znaczyło, że zrobiłem coś bardzo złego, o czym

nie wiedziałem? To byłoby niesprawiedliwe - lubię pamiętać swoje złe uczynki i móc się nimi nacieszyć. No i raptem dzień po miesiącu miodowym - czy nie było to zbyt nagłe?

- O ile wiem, nigdzie się nie wybieram - bąknąłem. - Jesteście pewni, że to właśnie powiedziała wasza mama?

Pokiwali głowami w równym rytmie.

- Uhm - chrząknęła Astor. - Mówiła, że się zdziwisz.

- I miała rację - stwierdziłem, szczerze przekonany, że spotyka mnie jakaś niesprawiedliwość, i kompletnie zbity z tropu. - Chodźcie - rzuciłem. - Powiemy jej, że nigdzie nie jadę. - Wzięli mnie za rękę i weszliśmy do środka.

Powietrze w domu przesycone było kuszącym zapachem, dziwnie znajomym, a przy tym egzotycznym - jakby powąchać różę i poczuć zapach placka z dynią. Dochodził z kuchni, więc poprowadziłem tam mój mały zastęp.

- Rita? - zawołałem i odpowiedział mi brzęk patelni.

- Jeszcze niegotowe! - odkrzyknęła. - To niespodzianka.

Jak wiadomo, niespodzianki zwykle są groźne, chyba że ma się akurat urodziny - a i wtedy różnie bywa. Mimo to mężnie wdarłem się do kuchni i zastałem Ritę krzątającą się w fartuszku przy kuchence, z niezauważonym blond kosmykiem opadającym na czoło.

- Coś przeszkrobałem? - spytałem.

- Co? Nie, pewnie, że nie. Dlaczego miałbyś... o cholera! - syknęła, wsadziła oparzony palec do ust i wściekle zamieszała w patelni.

- Cody i Astor twierdzą, że chcesz mnie wyrzucić z domu - wyjaśniłem.

Rita upuściła łyżkę do mieszania i spojrzała na mnie z niepokojem.

- Wyrzucić? Głupstwa opowiadasz, po co miałabym... - Schyliła się po łyżkę i znów przypadła do patelni.

- Czyli nie wezwwałaś kaławanu? - upewniłem się.

- Dexter - powiedziała z pewnym napięciem w głosie - chcę ci przyrzadzić coś wyjątkowego i ciężko pracuję, żeby się udało. Czy to nie może poczekać? - Skoczyła do blatu, złapała miarkę kuchenną i rzuciła się z powrotem do patelni.

- Co gotujesz? - zagadnąłem.

- Jedzenie w Paryżu tak bardzo ci smakowało - odparła i ze zmarszczonym czołem powoli dodała na patelnię to, co było w miarce.

- Jedzenie smakuje mi prawie zawsze - stwierdziłem.

- Dlatego chciałam ci zrobić pyszną francuską potrawę - dokończyła. - *Coq au vin*. - Wymówiła to ze swoim najlepszym francuskopodobnym akcentem „kak-ła-wan”, i w mojej głowie zaświeciła się bardzo mała żarówka.

- Kakaławan? - powiedziałem i spojrzałem na Astor.

Skinęła głową.

- Kaławan - potwierdziła.

- Cholera! - zaklęła Rita i tym razem usiłowała wsadzić do ust oparzony łokieć. Nie udało się.

- Pójdźcie, dzieci - odezwałem się głosem Mary Poppins. - Wszystko wyjaśnię na dworze. - I zaprowadziłem ich korytarzem do ogródka za domem. Usiedliśmy na schodku i oboje spojrzeli na mnie wyczekująco. - No dobrze - oznajmiłem. - Z tym kaławanem to nieporozumienie.

Astor pokręciła głową. Ponieważ wiedziała absolutnie wszystko, nieporozumienie nie wchodziło w grę.

- Anthony mówił, że kał to to samo, co kupa - powiedziała z przekonaniem. - A kaławan to taki karawan, tylko że na kupy.

- *Coq au vin* to po francusku - wyjaśniłem. - To coś, co poznaliśmy z waszą mamą we Francji.

Astor pokręciła głową, już z mniej pewną miną.

- Nikt nie mówi po francusku - stwierdziła.

- Jest kilku takich we Francji - zaoponowałem. - Nawet u nas niektórym się wydaje, że to potrafią. Na przykład waszej mamie.

- Czyli co to jest? - spytała.

- Kurczak.

Popatrzyli na siebie, potem znów na mnie. O dziwo, to Cody przerwał milczenie.

- A pizza będzie?

- No jasne - obiecałem. - To co, może zbierzemy drużynę do zabawy w chowanego?

Cody szepnął coś do Astor, a ona skinęła głową.

- A nie nauczyłybyś nas czegoś? No wiesz, z tych rzeczy?

„Te rzeczy”, o których mówiła, to ma się rozumieć Mroczne Mądrości wpajane Uczniom Dextera. Niedawno odkryłem, że wskutek nieustającej traumy, jaką było życie z biologicznym ojcem, który regularnie tłukł ich meblami i małymi artykułami gospodarstwa domowego, ta dwójka zmieniła się w istoty, które nazwać mogę tylko Swoimi Dziećmi. Potomstwem Dextera. Trwale okaleczeni jak ja, na zawsze odeszli ze świata pluszowych misiów do mrocznej krainy niegodziwych przyjemności. A że nazbyt rwali się do niegodziwych zabaw, jedynym ratunkiem dla nich byliśmy ja i Droga Harry’ego.

I prawdę mówiąc, bardzo chętnie poprowadziłbym dziś krótką lekcję; uczynił pierwszy krok na drodze do dawnego normalnego życia, o ile może być o takim mowa w moim przypadku. Miesiąc miodowy nadszarpnął moje zasoby sztucznej uprzejmości w stopniu dotąd niespotykanym i byłem gotów wyszlifować kły i wpełznąć z powrotem w mrok. Czemu by nie zabrać ze sobą dzieci?

- W porządku - powiedziałem. - Idźcie po kolegów, pobawimy się w chowanego i przy okazji pokażę wam coś, co możecie wykorzystać.

- Przy zabawie w chowanego? - nadąsała się Astor. - Nie to chcemy umieć.

- Czemu zawsze wygrywam w chowanego? - spytałem ich.

- Nie zawsze - nie zgodził się Cody.

- Czasem daję wam wygrać - odparłem wyniośle.

- Ha. - To znowu Cody.

- Wszystko dzięki temu, że umiem się cicho poruszać - wyjaśniłem. - Jak myślicie, dlaczego to ważne?

- Można się do kogoś podkraść - powiedział Cody i jak na niego było to całe przemówienie. To wspaniale, że dzięki nowemu hobby wychodził ze swojej skorupy.

- Otóż to - rzuciłem. - A przy zabawie w chowanego można to potrenować.

Popatrzyli na siebie.

- Najpierw nam pokaż - zażądała Astor - potem zawołamy innych.

- Zgoda - powiedziałem, wstałem i zaprowadziłem ich do żywopłotu oddzielającego podwórko od terenu sąsiadów.

Było jeszcze widno, ale tam, gdzie stanęliśmy, w trawie obok żywoplotu, cienie już się wydłużały. Zamknąłem oczy, tylko na chwilę; coś poruszyło się na mrocznym tylnym siedzeniu, zaszeleściły czarne skrzydła i poczułem, że wtapiam się w cień, staję się częścią ciemności...

- Co ty robisz? - zainteresowała się Astor.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na nią. Ona i jej brat patrzyli na mnie tak, jakbym nagle zaczął gryźć ziemię, i uświadomiłem sobie, że próby klarowania takich pojęć, jak „zlewanie się w jedno z ciemnością” mogą napotkać pewien opór materii. Cóż, sam tego chciałem, teraz musiałem się wytłumaczyć.

- Po pierwsze - zacząłem, usiłując przybrać swobodny, rzeczowy ton - musicie się odprężyć i poczuć, że jesteście częścią otaczającej was nocy.

- To nie jest noc - zauważyła Astor.

- No to częścią późnego popołudnia, dobrze? - rzuciłem. Patrzyła na mnie z powątpiewaniem, ale nic nie powiedziała, więc kontynuowałem: - No dobrze. Macie w sobie coś, co musicie przebudzić, i czego musicie słuchać. Rozumiecie, o czym mówię?

- O panu z cienia - powiedział Cody i Astor skinęła głową.

Spojrzałem na nich i doznałem jakby religijnego uniesienia. Wiedzieli o Panu z Cienia - jak nazywali Mrocznego Pasażera. Mieli go w sobie, jak ja, i znali go dość dobrze, by nadać mu imię. Nie było co do tego wątpliwości - żyli już w moim mrocznym świecie. To była doniosła chwila, moment pełnego zrozumienia, i teraz już wiedziałem, że postępuję słusznie - to były dzieci moje i Pasażera, i myśl, że łączy nas ta więź, silniejsza od więzów krwi, poruszyła mnie do głębi.

Nie byłem sam. Co więcej, na moich barkach spoczywała ogromna, ale cudowna odpowiedzialność: musiałem zająć się tą dwójką i poprowadzić ich Drogą Harry'ego, by bezpiecznie i konsekwentnie mogli stawać się tym, czym tak naprawdę już byli. To była piękna chwila i jestem pewien, że gdzieś w tle grała muzyka.

I na tym ten burzliwy, ciężki dzień powinien się skończyć. Słowo daję, gdyby było choć trochę sprawiedliwości na tym okrutnym świecie, baraszkowalibyśmy radośnie w wieczornym upale, zacieśniając łączącą

nas więź i poznając cudowne tajemnice, a w domu czekałaby na nas pyszna kolacja złożona z francuskiego jedzenia i amerykańskiej pizzy.

Ale, rzecz jasna, coś takiego jak sprawiedliwość nie istnieje i często nasuwa mi się refleksja, że życie chyba naprawdę za nami nie przepada. Nie powinienem więc być zaskoczony, gdy w tej samej chwili, kiedy wziąłem dzieci za ręce, zaświergotała moja komórka.

- Bierz dupę w troki i przyjeżdżaj - rzuciła Debora. Nawet „cześć” nie powiedziała.

- Jasne - odparłem. - Pod warunkiem że reszta mojego ciała może zostać na kolacji.

- Zabawne - powiedziała, choć nie wydawała się zbyt rozbawiona. - Ale już nie musisz mnie rozśmieszać, bo właśnie patrzę na następnego przekomicznego trupa.

Usłyszałem cichy pytający pomruk Pasażera i kilka włosków na moim karku stanęło dęba, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Następnego? - spytałem. - To znaczy, takiego jak te trzy upozowane ciała dziś rano?

- Dokładnie takiego - potwierdziła i się rozłączyła.

- Bu-ha-ha - mruknąłem i schowałem telefon.

Cody i Astor patrzyli na mnie z jednakowo zawiedzionymi minami.

- To była sierżant Debbie, prawda? - powiedziała Astor. - Chce, żebyś poszedł do pracy.

- Tak - przyznałem.

- Mama się wścieknie - stwierdziła i zapewne miała rację; z kuchni wciąż dochodziły odgłosy szaleńczej krzątaniny, od czasu do czasu przerywane okrzykami „Cholera!” Trudno mnie nazwać znawcą ludzkich oczekiwań, ale byłem prawie pewien, że Rita będzie zła, jeśli wyjdę, nie skosztowawszy jej przygotowanego w bólach specjału.

- No to teraz nie uniknę kaławanu - mruknąłem i wszedłem do środka. Zastanawiałem się, co jej powiedzieć, i miałem nadzieję, że coś wpadnie mi do głowy, zanim Rita mi ją urwie.

6

Dopóki nie dotarłem na miejsce, wcale nie byłem pewien, czy jadę tam, gdzie trzeba – cel mojej podróży wydawał się tak niezwykle, że do końca przekonał mnie dopiero widok żółtej taśmy zabezpieczającej, błyskających w półmroku kogutów radiowozów i rosnącego tłumu gapiów liczących, że zobaczą coś niezapomnianego. W restauracji Joe's Stone Crab ruch na ogół był duży, ale nie w lipcu. Otwierali ją dopiero w październiku i raczej nie opłacało się tak długo czekać, nawet w przypadku tego lokalu.

Jednak tłum, który zebrał się tu dziś, nie przyszedł na kraby. Byli głodni czegoś innego, czegoś, co Joe najchętniej pewnie wykreśliłby z karty dań.

Zaparkowałem i szlakiem, który wyznaczali mundurowi, poszedłem za budynek, gdzie dzisiejsze danie główne siedziało oparte o ścianę obok wejścia dla personelu. Nim cokolwiek zobaczyłem, już słyszałem syczący chichot; za to z bliska, w świetle reflektorów rozstawionych przez ekipę kryminologiczną, ukazał mi się widok naprawdę godny uśmiechu uznania.

Stopy miał wciśnięte w czarne buty z miękkiej skóry, takie, które przeważnie są włoskie i nadają się tylko do tańca. Ubrany był w bardzo ładne szorty w kolorze żurawiny i niebieską jedwabną koszulę w srebrne palmy. Koszula była rozpięta i odsłaniała otwartą klatkę piersiową, opróżnioną z całego ohydztwa, które powinno się w niej mieścić. Zamiast tego wypełniały ją lód, butelki piwa i coś, co wyglądało jak koktajl krewetkowy ze sklepu spożywczego. Prawa dłoń ścisnęła garść banknotów do gry w Monopol, a twarz zakrywała – znowu – naklejona plastikowa maska.

Vince Masuoka kucnął po drugiej stronie drzwi i wolnymi, miarowymi ruchami sypał na ścianę proszek do zbierania odcisków palców. Stałem obok niego.

- I co, dopisze nam dziś szczęście? - spytałem.

- Jeśli pozwolą zabrać parę tych gratisowych browarków - prychnął.
- Są zimne.

- Skąd wiesz?

Wskazał ciało ruchem głowy.

- To jest to nowe piwo, z tą etykietą, która po schłodzeniu robi się niebieska - wyjaśnił. Otarł czoło przedramieniem. - Jest ponad trzydzieści stopni, zimne piwko byłoby jak znalazł.

- Jasne - rzuciłem, wpatrzony w niesamowite buty trupa. - A potem można by pójść potańczyć.

- Hej - ożywił się. - Chcesz? Jak skończymy?

- Nie - powiedziałem. - Gdzie Debora?

Kiwnął głową w lewo.

- Tam. Rozmawia z kobietą, która go znalazła.

Podszedłem do Deb, która przesłuchiwała rozhisteryzowaną Latynoskę płaczącą w dłonie i jednocześnie kręcącą głową, co wydało mi się strasznie trudne - to tak jakby jedną ręką głaskać się po brzuchu, a drugą klepać po głowie. Radziła sobie jednak całkiem przyzwoicie, choć Debora z jakiegoś powodu nie była pod wrażeniem jej doskonałej koordynacji ruchowej.

- Arabelle - mówiła Deb - Arabelle, proszę, posłuchaj mnie. - Arabelle nie słuchała, a ja nie sądziłem, by gniewny i apodyktyczny ton głosu siostry mógł zjednać jej kogokolwiek, a co dopiero kobietę, która wyglądała jak przysłana z castingu do roli sprzątaczkki bez zielonej karty. Kiedy podszedłem, Debora spiorunowała mnie wzrokiem, jakby to przeze mnie Arabelle jej się bała, postanowiłem więc pomóc.

To nie tak, że uważam, iż Debora jest niekompetentna - świetnie zna się na swoim fachu; w końcu ma go we krwi. A myśl, że każdy musi mnie pokochać, nigdy nie przestąpiła mrocznego progu mojego umysłu. Wprost przeciwnie. Arabelle jednak była tak wstrząśnięta, że zamiast ekscytować się dokonaniem przez siebie odkryciem, wpadła w otchłań hysterii, a rozmawianie z histerykami, jak większość zwyczajnych ludzkich interakcji, szczęśliwie dla Mrocznego i Posępnego Dextera, nie wymaga szczególnego zrozumienia ani sympatii dla ludzi. To czysta technika, rzemiosło, nie sztuka, a co za tym idzie, umiejętność, którą osiągnąć może każdy, kto bada i naśladuje ludzkie zachowanie.

Uśmiechać się kiedy trzeba, kiwać głową, udawać, że się słucha - opanowałem to wieki temu.

- Arabelle - zacząłem uspokajającym głosem, ze stosownym środkowoamerykańskim akcentem, i na chwilę przestała kręcić głową. - Arabelle, *necitamos descubrir este monstre*. - Spojrzałem na Deb. - Ten, kto to zrobił, to potwór, zgadza się? - spytałem i jej podbródek poszedł w górę i w dół na znak zgody. - *Digame, por favor* - powiedziałem kojąco i Arabelle, chwala jej za to, zsunęła jedną dłoń z twarzy.

- *Si ?* - spytała nieśmiało, a ja znów nie mogłem się nadziwić potędze mojego całkowicie syntetycznego, wazeliniarskiego uroku. W dodatku skutecznego w dwóch językach.

- *En Ingles?* - zagadnąłem z nadzwyczaj udanym sztucznym uśmiechem. - *Por que mi hermana no habla Español*. - Kiwnąłem głową w stronę Debory. Byłem pewien, że nazwanie jej „moją siostrą”, a nie „uzbrojoną przedstawicielką władzy, która, gdy już cię pobiją i zgwałcą, odeśle cię do Salwadoru”, pomoże Arabelle trochę się otworzyć. - Znasz angielski?

- Trochu - sapnęła.

- To dobrze - stwierdziłem. - Powiedz mojej siostrze, co widziałaś. - I cofnąłem się o krok, ale Arabelle wyrzuciła rękę do przodu i złapała mnie za ramię.

- Nie iść? - bąknęła nieśmiało.

- Zostanę - zapewniłem. Chwilę przyglądała mi się badawczo. Nie wiem, czego szukała, ale widać uznała, że to znalazła. Puściła moje ramię, splotła dłonie przed sobą, odwróciła się do Debory i stanęła prawie na baczność.

Ja też spojrzałem na Deborę. Wpatrywała się we mnie z wypisanym na twarzy niedowierzaniem.

- Jezu - mruknęła. - Ufa tobie, nie mnie?

- Widzi, że mam dobre serce - stwierdziłem.

- Dobre do czego? - Deb pokręciła głową. - Jezu. Gdyby tylko wiedziała.

Musiałem przyznać, że ironiczne spostrzeżenie mojej siostry miało w sobie trochę prawdy. Dopiero niedawno dowiedziała się, kim jestem, i powiedzieć, że nie czuła się z tym dobrze, to zdecydowanie za mało.

Cóż, skoro za taki stan rzeczy odpowiadał – i w pełni go aprobował – jej ojciec, Święty Harry, który nawet po śmierci pozostawał dla Debory niekwestionowanym autorytetem, zresztą dla mnie też. Ton jej głosu był jednak trochę za ostry jak na kogoś, kto liczył na moją pomoc, i trochę mnie to zabolalo.

– Jak chcesz – rzuciłem – to pójdę i radź sobie sama.

– Nie! – powiedziała Arabelle i jej dłoń znów wystrzeliła do przodu i wczepiła się w moje ramię. – Ty mówił, że zostanie. – W jej głosie brzmiał wyrzut i niemal paniczny strach.

Spojrzałem na Deborę z uniesioną brwią.

Wzruszyła ramionami.

– No dobra – westchnęła. – Zostań.

Poklepałem dłoń Arabelle i oderwałem ją od siebie.

– Będę tutaj – zapewniłem i dodałem: – *Yo espero aqui* – z kolejnym całkowicie sztucznym uśmiechem, który nie wiedzieć czemu jakby dodał jej otuchy. Spojrzała mi w oczy, uśmiechnęła się, odetchnęła głęboko i odwróciła się do Deb.

– Mów – powiedziała moja siostra.

– Ja przyjechała o ta sama godzina co zwykle – zaczęła Arabelle.

– Ta sama, znaczy która? – drażyła Debora.

Arabelle wzruszyła ramionami.

– Piąta – bąknęła. – Teraz trzy razy w tygodniu, bo en Julio zamknięte, ale musi być czysto. Żadnych kra-laluchów. – Spojrzała na mnie i skinąłem głową; kra-laluchy są be.

– I poszłaś do tylnych drzwi? – spytała Debora.

– Zawsz... zw... – Spojrzała na mnie i zrobiła zakłopotaną minę. – *Siempre?*

– Zawsze – przetłumaczyłem.

Arabelle skinęła głową.

– Zawsze tylnymi drzwiami – powiedziała. – Główne zamknięte *hasta Octubre*.

Debora na chwilę przekrzywiła głowę, ale w końcu załapała: główne wejście zamknięte do października.

– No dobrze – podjęła – więc przyjechałaś, poszłaś do tylnych drzwi i zobaczyłaś ciało?

Arabelle znów zasłoniła sobie twarz, tylko na chwilę. Spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową, więc opuściła ręce.

- Tak.

- Zauważyłaś coś poza tym, coś niezwykłego? - spytała Deb i Arabelle spojrzała na nią tępo. - Coś, czego nie powinno tam być?

- *El cuerpo* - powiedziała Arabelle z oburzeniem i wskazała na zwłoki. - Nie powinien tu być.

- A widziałaś kogoś innego?

Arabelle pokręciła głową.

- Nikogo. Ja sama.

- A w okolicy? - Arabelle spojrzała na nią bez wyrazu i Debora pokazała palcem. - Tam? Na chodniku? Był tam ktoś?

Arabelle wzruszyła ramionami.

- *Turistas*. Z kamerami. - Zmarszczyła brwi i zniżyła głos, jakby chciała powiedzieć mi coś w zaufaniu. - *Creado que es posible que estan maricones* - wyjaśniła ze wzruszeniem ramion.

Skinąłem głową.

- Turyści geje - powiedziałem do Debory.

Debora przeszła wzrokiem ją, a potem mnie, jakby myślała, że strachem zmusi któreś z nas do wymyślenia następnego bardzo dobrego pytania. Jednak nawet moja legendarna błyskotliwość wyczerpała się do cna i mogłem tylko wzruszyć ramionami.

- Nie wiem - sapnąłem. - Pewnie nic więcej z niej nie wyciągniesz.

- Spytaj ją, gdzie mieszka - rzuciła Debora i po twarzy Arabelle przebiegł wyraz lęku.

- Raczej ci nie powie - zauważyłem.

- Dlaczego, kurwa, nie?

- Boi się, że powiesz La Migra - wyjaśniłem i Arabelle aż podskoczyła na dźwięk tego słowa. - Urzędowi imigracyjnemu.

- Wiem, co to La Migra, do cholery - warknęła Debora. - Też tu mieszkam, zapomniałeś?

- Nie - odparłem. - Ale nie chciałaś się uczyć hiszpańskiego.

- To poproś ją, żeby powiedziała tobie - zażądała Debora.

Wzruszyłem ramionami i odwróciłem się do Arabelle.

- *Necesito su direccion* - powiedziałem.

- *Por que?* - spytała dość nieśmiało.

- *Vamos a bailando* - zaproponowałem. Pójdziemy potańczyć.

Zachichotała.

- *Estoy casada* - powiedziała. Jestem mężatką.

- *Por favor?* - Ułożyłem usta w swój najlepszy sztuczny stuwatowy uśmiech i dodałem: - *Nunca por la migra, verdadamente.* - Arabelle uśmiechnęła się, wychyliła do przodu i szepnęła mi na ucho adres. Skinąłem głową; był w okolicy pełnej imigrantów z Ameryki Środkowej, w tym kilku legalnych. Wydawało się logiczne, że tam mieszkała, więc nie miałem powodu jej nie wierzyć. - *Gracias* - rzuciłem i już miałem odejść, kiedy znów złapała mnie za ramię.

- *Nunca por La Migra?* - spytała.

- *Nunca* - zapewniłem. Nigdy. - *Solamente para hallar este matador.*

- Tylko po to, żeby znaleźć tego mordercę.

Skinęła głową, jakby to, że jej adres jest mi potrzebny do odszukania zabójcy, rzeczywiście miało sens, i znów obdarzyła mnie swoim nieśmiałym uśmiechem.

- *Gracias* - powiedziała. - *Tu creo.* - Wierzę ci. Jej wiara we mnie była zaiste głęboko wzruszająca, tym bardziej że nie miała żadnego uzasadnienia prócz faktu, że się do niej uśmiechnąłem, i to na wskroś fałszywie. Aż zacząłem się zastanawiać, czy nie należałoby zmienić zajęcia; może powinienem sprzedawać samochody czy nawet kandydować na prezydenta.

- W porządku - odezwała się Debora. - Może iść do domu.

Skinąłem do Arabelle głową.

- *Va a su casa* - powiedziałem.

- *Gracias* - powtórzyła. Uśmiechnęła się szeroko, zrobiła w tył zwrot i prawie pobiegła na ulicę.

- Cholera - zaklęła Debora. - Cholera, cholera, cholera!

Spojrzałem na nią z uniesionymi brwiami. Pokręciła głową. Wyglądała na wypompowaną, uszły z niej cały gniew i napięcie.

- To głupie, wiem - powiedziała. - Po prostu miałam nadzieję, że coś widziała. To znaczy... - Wzruszyła ramionami, odwróciła się i spojrzała w kierunku ciała pod drzwiami. - Tych turystów gejów też nie znajdziemy. Nie w South Beach.

- I tak nie mogli niczego widzieć - pocieszyłem ją.

- W biały dzień. I nikt nic nie widział?

- Ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć - stwierdziłem. - Pewnie przyjechał furgonem dostawczym, a w takim byłby właściwie niewidzialny.

- Cholera - rzuciła, a ja uznałem, że nie jest to dobry moment na krytykę jej ubogiego słownictwa. Znów odwróciła się do mnie. - Domyślam się, że ty nie zauważyłeś niczego ciekawego.

- Daj mi zrobić parę zdjęć i trochę pomyśleć - powiedziałem.

- Więc mam rozumieć, że nie?

- To takie domyślne „nie” - wyjaśniłem. - Nie kategoryczne.

Debra pokazała mi środkowy palec.

- To sobie skategoryzuj - warknęła, odwróciła się i powlokła z powrotem do ciała.

7

Zaskakujące, ale prawdziwe: zimny *coq au vin* nie jest tak smaczny, jak być powinien. Wino z jakiegoś powodu cuchnie zwietrzałym piwem, kurczak robi się nieco oślizły i całe doświadczenie staje się ciężką próbą hartu ducha w obliczu gorzko zawiedzionych nadziei. Jednak akurat wytrwałości Dexterowi nie brak, i kiedy koło północy wróciłem do domu, z prawdziwie stoicką determinacją wmusiłem w siebie sporą porcję.

Nie budząc Rity, wśliznąłem się do łóżka i nie musiałem długo czekać na odpłynięcie w sen. Wydawało się, że ledwie zamknąłem oczy, a już radio z budzikiem zaczęło krzyczeć mi w ucho o rosnącej fali straszliwej przemocy grożącej zalaniem naszego biednego, znękanego miasta.

Z wysiłkiem uniosłem powiekę i zobaczyłem, że rzeczywiście już szósta, a zatem pora wstać. Choć uznałem, że to niesprawiedliwe, zwlokłem się z łóżka i poczłapałem pod prysznic, a kiedy dotarłem do kuchni, śniadanie było już na stole.

- Widzę, że zjadłeś trochę kurczaka - odezwała się Rita jakby z lekkim rozgoryczeniem i zrozumiałem, że bez drobnego kłamstwa się nie obejdzie.

- Był przepyszny - zapewniłem. - Lepszy niż w Paryżu.

Trochę poweselała, ale pokręciła głową.

- Kłamczuch - powiedziała. - Na zimno nie smakuje jak trzeba.

- Dokonałaś cudu - odparłem. - Smakował jak ciepły.

Zmarszczyła brwi i odgarnęła kosmyk z twarzy.

- Wiem, że musiałeś - przyznała. - To znaczy, taką masz pracę... Ale szkoda, że nie spróbowałaś go, kiedy... to znaczy, naprawdę rozumiem. - Niestety, tego samego nie mogłem powiedzieć o sobie. Rita postawiła przede mną talerz sadzonych jajek z parówkami i wskazała ruchem głowy mały telewizor przy ekspresie do kawy. - Od rana o tym

trąbią, o tych... O to chodziło, prawda? I pokazywali twoją siostrę, mówiła, że, no wiesz... Nie miała zadowolonej miny.

- Nie jest zadowolona, wcale a wcale - stwierdziłem. - Co mnie dziwi, bo ma ciekawą pracę i pokazują ją w telewizji. Czego więcej można chcieć?

Mój płochy żarcik nie rozweselił Rity. Przysunęła do mnie krzesło, usiadła, spłótła dłonie na podołku i zasępiła się jeszcze bardziej.

- Dexter - powiedziała - naprawdę musimy porozmawiać.

Z moich badań wynika, że są to słowa, które napełniają dusze mężczyzn trwogą. Tak się korzystnie składa, że nie mam duszy, lecz mimo to poczułem się nieswojo na myśl o tym, co może się kryć za tymi złowieszczymi sylabami.

- Tak zaraz po miesiącu miodowym? - zagadnąłem w nadziei, że choć trochę rozładuję poważną atmosferę.

Rita pokręciła głową.

- To nie... to znaczy... - Nerwowo zatrzepotała dłonią, po czym opuściła ją z powrotem na kolana. Westchnęła głęboko. - Chodzi o Cody'ego - wykrztusiła wreszcie.

- Aha - potaknąłem, choć nie miałem pojęcia, o czym mowa. Według mnie z Codym było wszystko w porządku; z drugiej strony, wiedziałem lepiej od Rity, że nie był małym, cichym dzieckiem, na jakie wyglądał, lecz Dexterem w powijkach.

- Ciągle wydaje się taki... - Ponownie pokręciła głową i spuściła wzrok. Zniżyła głos. - Wiem, że jego... ojciec... go krzywdził. To pewnie zmieniło go na zawsze. Ale... - Spojrzała na mnie oczami błyszczącymi od łez. - Tak nie powinno być... nie powinien nadal być taki. Prawda? Taki cichy i... - Znów spuściła głowę. - Po prostu boję się, wiesz czego. - Łza kapnęła na jej kolano i Rita pociągnęła nosem. - Że może być... no wiesz... trwale...

Kilka następnych łez dołączyło do tej pierwszej i choć w obliczu emocji na ogół jestem bezradny, wiedziałem, że nie obędzie się bez jakiegoś krzepiącego gestu.

- Cody'emu nic nie będzie - zapewniłem zadowolony, że umiem przekonująco kłamać. - Musi tylko trochę wyjść ze swojej skorupy.

Rita znów siąknęła nosem.

- Tak myślisz? Naprawdę?

- Absolutnie tak. - Położyłem dłoń na jej dłoni tak, jak to niedawno widziałem w jednym filmie. - Cody to wspaniały dzieciak. Dojrzewa trochę wolniej niż inni i tyle. Przez to, co go spotkało.

Pokręciła głową i łza trafiła mnie w twarz.

- Nie możesz tego wiedzieć - mruknęła.

- Mogę - odparłem i, o dziwo, tym razem mówiłem prawdę. - Doskonale wiem, co się z nim dzieje, bo sam przez to przeszedłem.

Spojrzała na mnie bardzo błyszczącymi, mokrymi oczami.

- Nigdy... nigdy nie mówiłeś, co cię spotkało.

- I nigdy nie powiem. Ale miałem doświadczenia podobne do przeżyć Cody'ego, więc wiem, o czym mówię. Zaufaj mi, Rito. - I znów poklepałem ją po dłoni, myśląc: Tak, zaufaj mi. Zaufaj, że zrobię z Cody'ego dobrze ułożonego, sprawnego potwora, takiego jak ja.

- Och, Dexter - załkała. - Ufam ci. Ale on jest taki... - Znów pokręciła głową, chlapiąc łzami po całym pokoju.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniłem. - Naprawdę. Musi tylko trochę się otworzyć. Nauczyć się obcować z rówieśnikami. - I udawać, że jest taki jak oni, dodałem w duchu, ale uznałem, że nie zabrzmiałoby to pocieszająco, więc nie powiedziałem tego głośno.

- Jeśli jesteś pewien - wymamrotała i pociągnęła nosem jak odkurzacz.

- Jestem - odrzekłem.

- W porządku. - Wzięła ze stołu serwetkę i otarła nos i oczy. - W takim razie... - Pociągnięcie nosem. Smark. - Musimy się zastanowić, jak go namówić do zabawy z innymi dziećmi.

- No właśnie - zgodziłem się. - Ani się obejrzyj, a już będzie oszukiwał w kartach.

Rita przeciągle wydmuchnęła nos, ostatni już raz.

- Czasem trudno się domyślić, że żartujesz - powiedziała. Wstała i pocałowała mnie w czubek głowy. - Jeśli ktoś nie zna cię tak dobrze jak ja.

Oczywiście, gdyby rzeczywiście znała mnie tak dobrze, jak jej się zdawało, dźgnęłaby mnie widelcem i uciekła ile sił w nogach, ale podtrzymywanie złudzeń to ważny element codziennego znoju, więc nic nie powiedziałem i cudownie kojąca monotonia śniadania

trwała dalej. Naprawdę przyjemnie być obsługiwany, zwłaszcza przez kogoś, kto w kuchni radzi sobie tak dobrze, że warto znieść cały towarzyszący temu trajkot.

Cody i Astor dołączyli do nas, kiedy zacząłem pić drugą kawę, i usiedli obok siebie z identycznymi, otępiałymi minami pacjentów pod wpływem silnych środków odurzających. Ponieważ nie mogli poratować się kawą, minęło kilka minut, zanim dotarło do nich, że już nie śpią. Naturalnie, to Astor pierwsza przerwała ciszę.

- Sierżant Debbie była w telewizji - powiedziała. Astor darzyła Deborę niezrozumiałym uwielbieniem od czasu, kiedy dowiedziała się, że Deb ma pistolet i może rozstawiać po kątach napakowanych mundurowych.

- To należy do jej obowiązków - wyjaśniłem, choć wiedziałem, że w ten sposób uczynię z niej jeszcze większą bohaterkę w oczach Astor.

- Dexter, dlaczego ciebie nigdy nie ma w telewizji? - spytała z wyrzutem.

- Nie chcę być w telewizji. - Spojrzała na mnie, jakbym zasugerował zdelegalizowanie lodów. - Naprawdę. Wyobraź sobie, co by było, gdyby wszyscy wiedzieli, jak wyglądam. Szedłbym ulicą, a ludzie wytykaliby mnie palcami i obgadywali za moimi plecami.

- Sierżant Debbie nikt nie wytyka palcami - zauważyła.

Skinąłem głową.

- To oczywiste - stwierdziłem. - Któż by śmiał? - Astor miała minę, jakby chciała ze mną polemizować, więc odstawiłem kubek z hukiem i wstałem. - Idę bronić bogobojnych obywateli naszego miasta - oświadczyłem.

- Mikroskopem nikogo nie obronisz - skostatowała Astor.

- Astor, wystarczy - skarciła ją Rita i podeszła, żeby znów mnie pocałować, tym razem w policzek. - Mam nadzieję, Dexter, że złapiecie tego typa. To okropna sprawa.

Też miałem nadzieję, że go złapiemy. Nawet ja miałem wrażenie, że cztery ofiary w jeden dzień to niejaka nadgorliwość. Coś takiego niechybnie wytworzy w mieście atmosferę paranoicznej czujności, a ja przez to nie będę mógł w spokoju się zabawić.

Dlatego do pracy pojechałem z autentyczną determinacją, by sprawiedliwości stało się zadość. Oczywiście, żeby naprawdę zaprowadzić porządek, trzeba by zacząć od ruchu ulicznego, bo kierowcy z Miami dawno zmienili prostą czynność, jaką jest przemieszczanie się z jednego miejsca do drugiego, w swoisty wyścig pod hasłem „kto przeżyje, ten wygrywa”, tym ciekawszy, że każdy kierowca stosuje się do innych reguł. Na przykład teraz jechałem autostradą w zwartym peletonie samochodów, gdy nagle zaczął na mnie trąbić facet z sąsiedniego pasa. Kiedy spojrzałem w bok, pokazał mi środkowy palec, wrzasnął: *Maricon!*, zajechał mi drogę, odbił na pobocze i wystrzelił naprzód.

Nie miałem pojęcia, co było inspiracją do tego popisu, więc tylko pomachałem do jego samochodu, oddalającego się przy wtórze koncertu na klaksony i okrzyki. Symfonia Godzin Szczytu w Miami.

Przyjechałem do pracy trochę za wcześnie, ale w budynku już trwała gorączkowa krzątanina. W sali prasowej tłoczyło się więcej ludzi, niż kiedykolwiek tam widziałem – przynajmniej zakładałem, że to ludzie, bo z dziennikarzami nigdy nic nie wiadomo. A w pełni uświadomiłem sobie powagę sytuacji, kiedy dostrzegłem dziesiątki kamer i mikrofonów, lecz nie zobaczyłem kapitana Matthews.

I to nie koniec bezprecedensowych, szokujących wydarzeń: przy windzie stał mundurowy, który wylegitymował mnie, choć znałem go z widzenia. Ale to jeszcze nic – bo kiedy wreszcie dotarłem do laboratorium, okazało się, że Vince przyniósł torebkę croissantów.

- Dobry Boże – jęknąłem wpatrzony w okruchy na jego koszuli. – Vince, ja tylko żartowałem.

- Wiem – odparł. – Ale pomyślałem sobie, że to jakiś rarytas, więc... – Wzruszył ramionami, zrzucając okruchy croissanta z koszuli na podłogę. – Robią takie z nadzieniem czekoladowym – powiedział. – A nawet z szynką i serem.

- W Paryżu nie byliby tym zachwyceni – zauważyłem.

- Gdzieś, kurwa, był?! – warknęła Debora zza moich pleców i złapała croissanta z szynką i serem.

- Niektórzy lubią się czasem przespać – powiedziałem.

- Niektórzy nie mają kiedy spać - odparowała. - Ponieważ niektórzy próbują pracować otoczeni przez ekipy telewizyjne z Brazylii i cholera wie, skąd jeszcze. - Z furją ugryzła croissanta i z pełnymi ustami spojrzała na trzymanego w dłoni rogalika. - Jezu Chryste, a to co?

- Francuski pączek - odpowiedziałem.

Rzuciła resztkę croissanta w stronę najbliższego kosza i chybiła o jakieś półtora metra.

- Paskudztwo - burknęła.

- Może polizesz mojego? Jest słodki - zaproponował Vince.

Nawet nie mrugnęła okiem.

- Dzięki, takim małym się nie nasycę - rzuciła i złapała mnie za ramię. - Chodź.

Zaprowadziła mnie korytarzem do swojego boksu i runęła na krzesło za biurkiem. Ja usiadłem na drugim, składanym, i czekałem na jej frontalny atak.

Przybrał formę bombardowania gazetami, którymi rzucała we mnie kolejno, wyliczając:

- „L.A. Times”. „Chicago Sun-Times”. „New York Times”, do cholery. „Der Spiegel”. „Toronto Star”.

Zanim ogłuszony zniknąłem pod stertą czasopism, złapałem Deb za rękę, która już zamierzała się na mnie „Karachi Observerem”.

- Deb, będę widział je lepiej, jak nie wydłubiesz mi nimi oczu.

- Takiej lawiny gówna jeszcze nie widziałeś - stwierdziła.

Prawdę mówiąc, niewiele w życiu widziałem lawin gówna, choć raz w gimnazjum Randy Schwartz wrzucił do pełnego sedesu petardę i spuścił wodę, a pan O'Brien musiał potem iść do domu się przebrać. Deb jednak wyraźnie nie była w nastroju do wspominków, choć pana O'Briena nie lubiła, podobnie jak ja.

- Domyśliłem się - przyznałem - po tym, że Matthews nagle zniknął. Prychnęła.

- Jak kamień w wodę.

- Nie sądziłem, że dożyję tak paskudnej sprawy, że kapitan nie zechce pokazać się w telewizji - stwierdziłem.

- Cztery zaszrane trupy w jeden zaszran dzień - rzuciła. - Czegóż takiego jeszcze nie było. Że też na mnie musiało trafić.

- Rita mówiła, że ładnie wyglądałaś w telewizji - pochwaliłem ją na pocieszenie, ale nie wiedzieć czemu skutek był taki, że Deb uderzyła w stertę gazet i strąciła jeszcze kilka na podłogę.

- Do cholery, nie chcę być w telewizji - wypaliła. - Ten kutas Matthews rzucił mnie lwom na pożarcie, bo to absolutnie najgłośniejsza i najbardziej popierdolona sprawa na całym zaszranym świecie, i chociaż nie udostępniliśmy zdjęć ciał, wszyscy wiedzą, że dzieje się coś dziwnego, a burmistrz dostaje kurwicy, nawet sam gubernator dostaje kurwicy, i jeśli nie znajdę sprawcy do lunchu, to cała Floryda pójdzie w cholereę na dno oceanu i mnie przygniecie. - Trzepnęła stertę gazet i tym razem przynajmniej połowa zleciała na podłogę. Najwyraźniej pomogło jej to rozładować złość, bo zwiesiła ramiona. Wyglądała na kompletnie wykończoną. - Braciszku, naprawdę potrzebuję pomocy. Nie cierpię tego, że muszę cię prosić, ale... jeśli możesz to rozgryźć, zrób to.

Nie bardzo wiedziałem, co sądzić. Nie lubi prosić mnie o pomoc? Przecież robiła to już nieraz, i to bez żadnych skrupułów. Ostatnio jednak zachowywała się dziwnie, stawiała się rozdrażniona, ile razy rozmowa schodziła na temat moich wyjątkowych zdolności. Ale co tam. Choć jestem pozbawiony uczuć, nie jestem całkowicie odporny na manipulację emocjonalną, i kiedy widziałem moją siostrę tak bezsilną, nie mogłem spokojnie przejść nad tym do porządku dziennego.

- Oczywiście, że ci pomogę, Deb - powiedziałem. - Nie wiem tylko, co tak naprawdę da się zrobić.

- Coś musisz zrobić, do cholery - odparowała. - Przecież idziemy na dno.

To miło, że powiedziała „my” i włączyła w to mnie, choć było dla mnie zupełną nowiną, że ja również idę na dno. Jednak to poczucie wspólnoty jakoś nie pobudziło mojego gigantycznego mózgu do pracy. Wręcz przeciwnie, skrywająca się pod kopułą mojej czaszki wszechmocna machina, jaką jest Intelpekt Dextera, zachowywała zwykle w jej przypadku milczenie, dokładnie tak jak przedtem, na miejscach zbrodni. Tak czy inaczej, sytuacja bez wątpienia wymagała odrobiny starej dobrej pracy zespołowej, więc zamknąłem oczy i spróbowałem zrobić głęboko zamyśloną minę.

No dobrze – jeśli rzeczywiście były jakieś namacalne dowody, znajdują je niezmordowani i wytrwali herosi medycyny sądowej. Potrzebowałem więc podpowiedzi od informatora, z którego usług moi współpracownicy nie mogli skorzystać – Mrocznego Pasażera. Pasażer jednak – rzecz niezwykła – siedział cicho, jeśli nie liczyć jego odrobinę zjadliwego chichotu, i nie byłem pewien, co z tego wyniknie. W normalnych okolicznościach każda demonstracja drapieżczego talentu wywołałaby u niego pewne uznanie, które wzbogaciłby rzucanymi półgębkiem wnikliwymi spostrzeżeniami. Tym razem jednak się nie odzywał. Dlaczego?

Może Pasażer jeszcze na dobre się nie zadomowił po swojej niedawnej rejteradzie. A może nadal dochodził do siebie po tamtych traumatycznych przejściach – choć to wydawało się mało prawdopodobne, sądząc po nasilającej się we mnie Potrzebie.

Skąd więc ta nagła nieśmiałość? Gdy pod naszym nosem działo się coś niesympatycznego, spodziewałem się innej reakcji niż tylko rozbawienia. Na próżno. Więc niby nie stało się nic niesympatycznego? To nie wydawało się sensowne, skoro mieliśmy cztery ze wszech miar martwe ciała.

Oznaczało to też, że najwyraźniej zdany byłem tylko na siebie – i była jeszcze Debora, która wbijała we mnie stalowe, wyczekujące spojrzenie. Więc cofnij się o krok, ty wielki, okrutny geniuszu. Te zabójstwa były w jakiś sposób nietypowe i nie chodziło tylko o tę kiczowatą kompozycję z ciał. Tak, kompozycja to było najlepsze słowo – zostały ułożone w sposób, który miał wywołać możliwie najsilniejsze wrażenia.

Ale na kim? Przeciętny psychopata powiedziałby, że im bardziej się popisujesz, tym bardziej zależy ci na uznaniu publiczności. Z drugiej strony, wszyscy wiedzą, że policja zachowuje tego typu atrakcje w głębokiej tajemnicy – a nawet gdyby tego nie robiła, żadne media nie pokazałyby tak potwornych obrazów; wierzcie, sprawdzałem.

Dla kogo więc przeznaczone są te kompozycje? Dla policji? Speców od medycyny sądowej? A może dla mnie? Nie, żaden z tych wariantów nie wydawał się prawdopodobny, a oprócz wyżej wymienionych i trzech czy czterech innych osób, które znalazły ciała, nie oglądał ich nikt i jedynym rezultatem było powszechne oburzenie w całej Florydzie, zatroskanej o los branży turystycznej.

Tknięty pewną myślą, otworzyłem oczy. Debora patrzyła na mnie jak seter irlandzki, który zwietrzył zwierzynę.

- Co, do cholery? - rzuciła.

- A jeśli właśnie o to mu chodzi? - podsunąłem.

Chwilę wpatrywała się we mnie z miną nieco podobną do tej, którą Cody i Astor mają po przebudzeniu.

- To znaczy? - spytała wreszcie.

- Gdy zobaczyłem ciała, pierwsza moja myśl była taka, że sprawcy nie chodziło o to, żeby zabić, tylko żeby później się z nimi pobawić. Zrobić z nich kompozycje.

Deb prychnęła.

- Pamiętam. I nadal uważam, że to nie ma sensu.

- A właśnie, że ma sens - upierałem się. - Jeśli ktoś próbuje wywołać określony efekt. Zrobić wrażenie. Spójrz na to z innej strony: jakie są skutki tego, co się stało?

- Oprócz zainteresowania mediów z całego świata...

- Nie. Nie oprócz tego. Właśnie to mam na myśli.

Pokręciła głową.

- Co?

- Co jest złego w zainteresowaniu mediów? Cały świat patrzy na Słoneczny Stan, na Miami, stolicę światowej turystyki...

- Patrzy i mówi: „za cholerę nie pojedę do tej rzeźni” - stwierdziła Debora. - Dex, proszę cię, do rzeczy. Mówiłam przecież, że... Aha. - Zmarszczyła brwi. - Myślisz, że ktoś zrobił to, żeby zaatakować branżę turystyczną? Cały pieprzony stan? Nie, to zbyt pokręcone.

- Uważasz, siostrzyczko, że ten, kto to zrobił, nie jest pokręcony?

- Ale kto, do cholery, miałby zrobić coś takiego?

- Nie wiem - powiedziałem. - Kalifornia?

- Daj spokój, Dexter - warknęła. - To powinno mieć sens. Jeśli ktoś robi takie rzeczy, musi mieć motyw.

- Ma o coś żal - stwierdziłem z przekonaniem, którego tak naprawdę mi brakowało.

- Żal do całego stanu? - zdziwiła się. - I co, to niby ma sens?

- Nie bardzo - przyznałem.

- To może wymyśli coś z sensem? I to zaraz. Bo gorzej już chyba być nie może.

Życie uczy nas jednego - jak tylko ktoś naiwnie wypowie te zgubne słowa, należy od razu rzucić się na ziemię i wturlać się pod najbliższy mebel. I rzeczywiście, ledwie ostatnia złowieszczą sylaba wyszła z ust Debory, zadzwonił telefon i cichy, dość nieprzyjemny głos szepnął mi na ucho, że to dobry moment, by zwinąć się w kłębek pod biurkiem.

Debora złapała słuchawkę, wciąż miażdżąc mnie wzrokiem, po czym nagle odwróciła się i zgarbiła. Zszokowanym tonem wymamrotała kilka sylab brzmiących jak: „Kiedy? Jezu. Dobra”, odłożyła słuchawkę i obdarzyła mnie spojrzeniem, przy którym to poprzednie było jak pierwszy pocałunek wiosny.

- Ty sukinsynu - wycedziła.

- Co ja zrobiłem? - spytałem, dość zaskoczony zimną furią w jej głosie.

- To właśnie chciałabym wiedzieć - odparła.

Nawet potwór nie ma nieograniczonych zasobów cierpliwości i moje, zdaje się, były na wyczerpaniu.

- Debora, albo zaczniesz mówić pełnymi zdaniami, i to do rzeczy, albo wracam do laboratorium czyścić spektrometr.

- Mamy nowe informacje w sprawie - oznajmiła.

- To dlaczego się nie cieszymy?

- Czekają w Izbie Turystycznej - odparła.

Otworzyłem usta, żeby rzucić jakąś błyskotliwą, ciętą uwagę, po czym je zamknąłem.

- No tak - mruknęła Debora. - Prawie jakby ktoś miał żal do całego stanu.

- I myślisz, że to ja? - powiedziałem i moja irytacja przeszła w najgłębsze zdumienie. Deb tylko na mnie patrzyła. - Chyba ktoś ci ołowiu do kawy dosypał. Floryda to mój dom. Co, mam ci zaśpiewać hymn stanu?

Pewnie to nie perspektywa słuchania moich popisów wokalnych tak ją ożywiła, ale jakkolwiek był tego powód, Deb przyglądała mi się jeszcze długą chwilę i nagle się zerwała.

- Chodź, jedziemy tam - rzuciła.

- Ja? A co z twoim partnerem Coulterem?

- Poszedł po kawę, chrzanić go - powiedziała. - Poza tym wołałabym guźca za partnera. Rusz się. - Jakoś nie puchłem z dumy na myśl o tym, że jestem ciut lepszy od guźca, ale kiedy obowiązki wzywają, Dexter przybywa, więc wyszedłem za nią.

8

Biuro Informacji Turystycznej i Biznesowej w Miami miało siedzibę w wieżowcu przy Brickell Avenue, jak na Bardzo Ważną Organizację przystało. Wzniosłość celów, jakim służyło, odzwierciedlał widok z okien, ukazujących uroczy fragment centrum i kanał Government Cut, część zatoki Biscayne, a nawet pobliską Arenę, w której co jakiś czas występuje drużyna koszykówki, żeby ponieść kolejną spektakularną porażkę. To była cudowna panorama, prawie jak z widokówki, mówiąca: „Patrzcie, oto Miami - nie żartowaliśmy”.

Dziś jednak niewielu ją podziwiała. Centrala przypominała ogromne, wyłożone dębiną gniazdo pszczoł, w które ktoś wsadził kij. Była zaledwie garstka pracowników, ale tak szybko przemykali korytarzem w tę i z powrotem, od jednych drzwi do drugich, że wydawało się, jakby były ich setki w nieustającym ruchu, krążących jak oszalałe cząsteczki w wirującym słoju z olejem. Debora czekała przy biurku recepcjonistki dwie minuty - dla osoby o jej cierpliwości była to cała wieczność - zanim jakaś tęga kobieta zatrzymała się i spojrzała na nią.

- Czego chcecie? - spytała.

Deb natychmiast machnęła blachą.

- Sierżant Morgan. Z policji?

- O mój Boże - powiedziała kobieta. - Pójdę po Jo Anne - i zniknęła za drzwiami po prawej stronie. Debora spojrzała na mnie, jakby to była moja wina, jęknęła „Jezu”, a wtedy drzwi znów rozwarły się na oścież i wypadła przez nie krótko ostrzyżona, drobna kobieta z długim nosem.

- Policja? - prychnęła ze słusznym oburzeniem w głosie. Spojrzała za nasze plecy, po czym zmierzyła Deborę wzrokiem od stóp do głów. - To ma być policja? Z *Aniołków Charliego* was przysłali czy jak?

Debora przywykła oczywiście do podobnych ataków, choć ten był wyjątkowo brutalny. Nawet lekko się zaczerwieniła, zanim raz jeszcze podniosła odznakę i powiedziała:

- Sierżant Morgan. Ma pani dla nas jakieś informacje?

- Nie pora na polityczną poprawność - stwierdziła kobieta. - Mnie jest potrzebny Brudny Harry, a ci przysyłają Legalną Blondynkę.

Debora zmrużyła oczy i śliczne rumieńce zniknęły z jej policzków.

- Jeśli pani chce, mogę wrócić z nakazem sądowym - oświadczyła. - I ewentualnie nakazem aresztowania za utrudnianie pracy policji.

Kobieta tylko na nią patrzyła. Nagle z zaplecza dobiegł krzyk i coś dużego przewróciło się i rozbiło na podłodze. Nasza rozmówczyni podskoczyła nieznacznie, rzuciła „Mój Boże. No dobrze, chodźcie”, i znów zniknęła za drzwiami. Debora wypuściła powietrze z ust, obnażyła kilka zębów i poszliśmy.

Drobna kobieta już zniknęła w drzwiach na drugim końcu korytarza i kiedy ją dogoniliśmy, właśnie sadowiła się na krzesło obrotowym przy stole konferencyjnym.

- Siadajcie - powiedziała i machnęła wielkim czarnym pilotem, wskazując krzesła. Nie czekając, aż usiadziemy, wycelowała pilotem w duży płaski ekran. - Przyszło wczoraj, ale obejrzeliśmy to dopiero dziś rano. - Zerknęła na nas. - Zadzwoniliśmy od razu - dodała. Jeśli nadal trzęsła się ze strachu przed nakazem, którym zagroziła jej Debora, zadziwiająco dobrze to ukrywała.

- O co chodzi? - spytała Debora i opadła na krzesło. Ja usiadłem obok.

- Patrzcie w telewizor - poinstruowała kobieta.

Telewizor zamigotał, pokazał kilka nadzwyczaj pouczających plansz z prośbą, żebyśmy poczekał albo wybrali taką czy inną opcję, po czym obudził się do życia z przenikliwym wrzaskiem. Obok mnie Debora mimowolnie podskoczyła.

Ekran rozjaśnił się, a obraz wyostrzył - zobaczyliśmy filmowane nieruchomą kamerą z góry ciało, leżące na białym porcelanowym tle. Oczy były szeroko otwarte i, co oczywiste dla kogoś z moim skromnym doświadczeniem, martwe. Nagle w kadr weszła postać, która częściowo zasłoniła zwłoki. Widzieliśmy tylko plecy, a potem wzniesioną rękę trzymającą piłę mechaniczną. Ręka opadła i usłyszeliśmy wizg brzeszczotu wrzynającego się w ciało.

- Jezu Chryste - jęknęła Debora.

- Potem jest jeszcze gorzej - rzuciła drobna kobieta.

Brzeszczot warkotał i ryczał, postać na pierwszym planie ciężko pracowała. Wreszcie piła umilkła, postać upuściła ją na porcelanę, wyciągnęła ręce przed siebie, wyjęła wielki zwój okropnych, lśniących flaków i umieściła je tam, gdzie były najlepiej widoczne dla kamery. A na tle tej kupy jelit pojawiły się wielkie białe litery:

„Nowe Miami: wypruje ci flaki”.

Obraz na chwilę znieruchomiał i zgasł.

- Moment - powiedziała kobieta, po czym ekran znów zamrugał i rozblęły nowe litery:

„Nowe Miami: spot 2”

Zobaczyliśmy wschód słońca na plaży. Grała spokojna latynoska muzyka. Fala omyła piasek. W kadr wbiegł miłośnik porannego joggingu, który nagle potknął się i stanął jak wryty. Na ekranie pojawiło się zbliżenie jego twarzy, na której szok przechodził w przerażenie, i biegacz popędził sprintem po piasku w stronę odległej ulicy. Kamera cofnęła się, ukazując moich dobrych znajomych, szczęśliwą parę, którą znaleźliśmy wypatroszoną na plaży w South Beach.

Tu nastąpiło cięcie i zobaczyliśmy, jak pierwszy policjant na miejscu zdarzenia krzywi się i odwraca, żeby wymiotować. Potem ujrzeliśmy twarze wyciągających szyje, zamierających gapiów, pojawiające się jedna po drugiej, coraz szybciej, każda z inną miną, każda na swój sposób wyrażająca przerażenie.

Wreszcie obraz zawirował i pokazały się te same twarze, w ramkach, jedna obok drugiej, aż wypełniły cały ekran, upodabniając go do karty z księgi pamiątkowej, z tuzinem fotek wstrząśniętych ludzi w trzech rzędach.

Ponownie rozblęły litery:

„Nowe Miami: robi wrażenie”.

I obraz zgasł.

Nie przyszło mi do głowy właściwie nic do powiedzenia i rzut oka na moje towarzyski przekonał mnie, że nie tylko ja mam ten kłopot. Rozważyłem, czy nie skrytykować pracy kamery po to tylko, żeby przerwać krępujące milczenie - w końcu współczesny widz woli nieco bardziej dynamiczne ujęcia. Jednak nastrój w pomieszczeniu raczej nie sprzyjał dyskusji o technice filmowej, więc siedziałem cicho.

Debora zaciskała zęby. Niska kobieta nie mówiła nic, tylko podziwiała piękny widok za oknem.

- Zakładamy, że jest tego więcej - odezwała się wreszcie. - To znaczy, w wiadomościach mówili, że były cztery ciała, więc... - Wzruszyła ramionami. Próbowałem zajrzeć za nią i zobaczyć, co ją tak zainteresowało za oknem, ale dostrzegłem tylko motorówkę płynącą Government Cut.

- To przyszło wczoraj? - spytała Debora. - Ze zwykłą pocztą?

- W zwyczajnej kopercie ze stemplem Miami - powiedziała kobieta. - Na normalnej płycie, takiej samej, jakie mamy w biurze. Można je dostać wszędzie, w Office Depot, WalMarcie i takich tam.

Powiedziała to z takim obrzydzeniem i z tak cudnym wyrazem prawdziwego człowieczeństwa na twarzy - lokującym się gdzieś pomiędzy pogardą a obojętnością - że mimo woli zacząłem się zastanawiać, jak ta kobieta może kogokolwiek do czegoś zachęcić, a co dopiero ściągnąć miliony ludzi do miasta, w którym mieszka między innymi ktoś taki jak ona.

I kiedy ta myśl poniosła się echem po wyłożonych marmurem zakamarkach mojego umysłu, mały, sapiący pociąg wyruszył ze stacji Dexter i wjechał na właściwe tory. Przez chwilę tylko patrzyłem na parę buchającą z jego komina, aż w końcu zamknąłem oczy i wsiałem.

- Co? - rzuciła Debora. - Masz coś?

Pokręciłem głową i przemyślałem wszystko raz jeszcze. Usłyszałem bębnienie palców Debory o stół, potem stukot odkładanego pilota, i pociąg wreszcie się rozpędził. Otworzyłem oczy.

- A jeśli ktoś chce zrobić Miami złą reklamę?

- Już to mówiłeś - warknęła Debora - i nadal uważam, że to głupie. Jak można mieć żal do całego zasranego stanu?

- A jeśli nie chodzi o cały stan? - podsunąłem. - Tylko o ludzi, którzy go promują? - Spojrzałem wymownie na niską kobietę.

- O mnie? - zdumiała się. - Ktoś to zrobił, żeby odegrać się na mnie?

Wzruszony jej skromnością obdarzyłem ją jednym z moich najcieplejszych sztucznych uśmiechów.

- Na pani albo na waszej agencji.

Zmarszczyła brwi, jakby w głowie jej się nie mieściło, że ktoś miałby zaatakować jej agencję, a nie ją samą.

- Cóż - mruknęła z powątpiewaniem.

Za to Debora uderzyła dłonią w stół i skinęła głową.

- No właśnie - zgodziła się. - Teraz to ma sens. Pani kogoś zwolniła, on się wkurzył.

- Zwłaszcza jeśli i bez tego nie był całkiem normalny - dodałem.

- Jak większość tych pseudoartystów - zauważyła Debora. - Czyli ktoś traci pracę, jakiś czas gryzie się z tego powodu i w końcu tak się odgrywa. - Odwróciła się do niskiej kobiety. - Muszę przejrzeć wasze akta personalne.

Kobieta kilka razy otworzyła i zamknęła usta, po czym pokręciła głową.

- Nie mogę na to pozwolić - powiedziała.

Debora chwilę wbijała w nią wzrok, po czym, kiedy już myślałem, że zacznie się kłócić, wstała.

- Rozumiem - rzekła. - Chodź, Dex. - Ruszyła do drzwi, a ja wstałem, żeby pójść za nią.

- Co... dokąd idziecie? - zawołała kobieta.

- Po nakaz sądowy. I nakaz aresztowania - odpowiedziała Debora i odwróciła się, nie czekając na odpowiedź.

Patrzyłem na kobietę. Wytrzymała dobre dwie i pół sekundy, zanim zrozumiała, że to nie błąd, i pobiegła za Deb z krzykiem:

- Chwileczkę!

A kilka minut później siedziałem przy terminalu komputerowym w pokoju na zapleczu. Obok mnie, przy klawiaturze, urzędował Noel, groteskowo chudy Haitańczyk w grubych okularach, o twarzy pooranej bliznami.

Nie wiedzieć czemu, zawsze kiedy trzeba zrobić coś przy komputerze, Debora wzywa na odsiecz swojego brata, Pana Cyberprzestrzeni, Dextera. I prawdą jest, że arkaną sztuki tropienia przy użyciu komputera opanowałem dość biegle, okazała się ona bowiem nader przydatna w moim małym, nieszkodliwym hobby polegającym na namierzaniu złych ludzi prześlizgujących się przez luki w systemie prawnym i przerabianiu ich na części zamienne w schludnych i porządnym workach na śmieci.

Jednak prawdą jest również, że nasza wspaniała policja ma kilku ekspertów komputerowych, którzy z powodzeniem poradziłiby sobie

z robotą tego typu i tym samym oszczędzili mi pytań, dlaczego spec od śladów krwi jest tak dobrym hakerem. Te pytania z czasem mogą stać się niewygodne i dać podejrzliwym ludziom do myślenia, czego w pracy wolałbym uniknąć, bo gliniarze znani są z podejrzliwości.

Ale nie ma co narzekać. To też zwraca uwagę, a ponadto cała policja przywykła już do tego, że my dwoje jesteśmy nierozłączni, zresztą jakże mógłbym odmówić czegokolwiek mojej nieszczęsnej siostrzyczce, nie narażając się na kilka jej słynnych kuksańców w ramię? Poza tym ostatnio była cokolwiek zręczliwa i rozkojarzona i podwyższenie mojego WLU, czyli Współczynnika Lojalności i Użyteczności, nie mogło zaszkodzić.

Dlatego odgrywając rolę Uczynnego Dextera, siedziałem z Noelem, który zdecydowanie przeholował z wodą kolońską, i zastanawialiśmy się, czego szukać.

- Słuchaj - zaczął Noel z silnym kreolskim akcentem - dam ci listę wszystkich zwolnionych przez ostatnie, ile, dwa lata?

- Może być - odparłem. - Jeśli nie będzie ich za dużo.

Wzruszył ramionami, co przy jego wątłych barkach wyglądało na czynność dość bolesną.

- Tylko kilku - powiedział. Uśmiechnął się i dodał: - Dużo więcej jest takich, którzy sami odchodzą przez Jo Anne.

- Wydrukuj tę listę - rzuciłem. - Potem zobaczymy, czy w ich aktach nie ma mowy o jakichś niezwykłych skargach lub groźbach.

- Są jeszcze zewnątrzni wykonawcy, których zatrudniamy przy projektach - rzekł. - Nie każdy przetarg wygrywają i kto wie, jak bardzo są niezadowoleni.

- Ale zawsze mogą spróbować następnym razem, prawda?

Noel ponownie wzruszył ramionami i wydawało się, że za chwilę przebijie sobie uszy zbyt ostrymi obojczykami.

- Może i tak - zgodził się.

- Więc jeśli nie było żadnej wielkiej awantury, po której powiedzieliście coś w stylu „już nigdy przenigdy was nie zatrudnimy”, ten wariant jest mniej prawdopodobny.

- No to zostajemy przy zwolnionych - powiedział Noel i po paru minutach wydrukował listę z, jak mówił, kilkoma nazwiskami i Ostatnimi Znanymi Adresami; dokładnie było ich dziewięć.

Debora przez cały czas wyglądała przez okno, ale kiedy usłyszała buczenie pracującej drukarki, podeszła i oparła się o moje krzesło.

- Co masz? - zagadnęła.

Wyjąłem kartkę z drukarki.

- Może nic - powiedziałem. - Dziewięciu zwolnionych pracowników.

Wyrwała mi listę z ręki i wbiła w nią wzrok, jakby podejrzewała ją o zatajenie dowodów.

- Zajrzymy do ich akt - wyjaśniłem - żeby sprawdzić, czy się odgrażali.

Debora zazgrzytała zębami i wiedziałem, że chciała natychmiast pognać pod pierwszy adres z listy, ale przecież lepiej było najpierw wybrać te najbardziej obiecujące i zacząć od nich, żeby zaoszczędzić czas.

- Dobrze - ustąpiła wreszcie. - Ale pospieszcie się, co?

I pospieszyliśmy się; dwóch pracowników mogłem wykreślić, bo zostali „zwolnieni”, kiedy urząd imigracyjny wydalil ich z kraju. Jedno nazwisko od razu wskoczyło na czoło listy: Hernando Meza, który się awanturował - tak właśnie opisano to w aktach - i trzeba było siłą usunąć go z budynku.

A co w tym najpiękniejsze? Hernando projektował dekoracje na lotniskach i w terminalach portowych.

Dekoracje takie jak te, które obejrzelismy w South Beach i Fairchild Gardens.

- O kurczę - mruknęła Debora, kiedy ją o tym poinformowałem. - Pierwszy strzał i od razu gol.

Zgodziłem się, że chyba warto będzie pogawędzić z Mezą, ale cichy, upierdliwy głos mówił mi, że nigdy nie jest tak łatwo, że kiedy pierwszy strzał wydaje się celny, piłka zakręca w ostatniej chwili - a czasem nawet odbija się i leci prosto na ciebie.

A wszyscy powinniśmy już wiedzieć, że ilekroć człowiek przewiduje niepowodzenie, jest duże prawdopodobieństwo, że ma słuszość.

9

Hernando Meza mieszkał w ładnej, ale nie za ładnej części Coral Gables, która chroniona przez własną przeciętność niewiele się zmieniła w ciągu ostatnich dwudziestu lat, w odróżnieniu od prawie całej reszty Miami. Co więcej, jego domek stał może dwa kilometry od lokum Debory, a zatem byli niemal sąsiadami. Niestety, nie skłoniło to żadnego z nich do okazania sobie dobrosąsiedzkiej życzliwości.

Zaczął się, ledwie Debora zapukała. Po tym jak podrygiwała jej noga, poznałem, że jest podekscytowana i naprawdę wierzy, że wpadła na właściwy trop. Ale kiedy drzwi otworzyły się do wewnątrz z jakby mechanicznym warkotem i ukazał się Meza, Debora przestała podrygiwać i wymamrotała „O cholera” – pod nosem oczywiście, ale raczej nie dość dyskretnie.

Meza usłyszał ją i odpowiedział:

- Sama idź w cholere. - Patrzył na nią z imponującą wrogością, biorąc pod uwagę, że był na elektrycznym wózku inwalidzkim i nie miał władzy w rękach i nogach, może z wyjątkiem paru palców każdej dłoni.

Szarpnął palcem drążek na jasnym metalowym pulpicie zamontowanym z przodu wózka i podjechał kilkanaście centymetrów bliżej.

- Czego, kurwa? - rzucił. - Macie za durne mordy jak na Jehowych, więc co, handlujecie czymś? Przydałyby mi się nowe narty.

Debora zerknęła na mnie, ale nie miałem na podorędziu żadnych rad ani spostrzeżeń, więc tylko się uśmiechnąłem. To ją z jakiegoś powodu rozzłościło; jej brwi wpadły na siebie, a usta zacisnęły się w bardzo wąską kreskę. Odwróciła się do Mezy i wzorcowym tonem Zimnego Gliny spytała:

- Pan Hernando Meza?

- To, co z niego zostało - burknął Meza. - Hm, gadasz jak glina. Co, ktoś doniósł, że latałem na golasa po Orange Bowl?

- Chcielibyśmy zadać panu parę pytań - odparła Deb. - Możemy wejść?

- Nie - warknął.

Debora już oderwała nogę od ziemi i właśnie przenosiła ciężar ciała do przodu, bo spodziewała się, że Meza, jak wszyscy, automatycznie ją wpuści. Teraz znieruchomiała gwałtownie i cofnęła się o pół kroku.

- Słucham? - spytała.

- Niiieeeee - Meza przeciągnął słowo, jakby uważał, że jest zbyt trudne dla takiej idiotki jak ona. - Niiieeee, nie możecie wejść. - I poruszył palcem stery wózka, który bardzo agresywnie ruszył w naszą stronę.

Debora nerwowo odskoczyła w bok, zaraz jednak odzyskała zawodową godność i stanęła przed Mezą, choć w bezpiecznym oddaleniu.

- W porządku - powiedziała. - Zrobimy to tutaj.

- O tak - odparł Meza. - Zróbmy to tutaj. - I pstrykając drążkiem, poruszył wózkiem kilka razy w przód i w tył. - O tak, mała, tak, mała, tak, mała - sapał.

Debora wyraźnie straciła kontrolę nad przesłuchaniem podejrzanego, czego podręczniki policyjne nie pochwalają. Znów odskoczyła w bok, kompletnie wytrącona z równowagi symulacją seksu na wózku inwalidzkim w wykonaniu Mezy, a on zaczął ją gonić.

Przykro mi, jeśli zabrzmi to tak, jakbym coś odczuwał, ale czasem jest mi trochę żal Debory, która naprawdę bardzo się stara. I dlatego, kiedy Meza z mozołem, centymetr po centymetrze, zakręcał w stronę Deb, stanąłem za nim, nachyliłem się nad oparciem wózka i wyrwałem z akumulatora kabel zasilający. Wycie silnika ustało, wózek znieruchomiał gwałtownie i słychać było już tylko odległą syrenę oraz cichy klekot trącanego palcem Mezy drążka sterowniczego.

Największą zaletę Miami stanowi to, że jest miastem dwóch kultur i języków, i ci, którzy nimi nasiąkli, wiedzą, że inna kultura może nauczyć nas wielu nowych, wspaniałych rzeczy. Zawsze podzielałem to przekonanie i teraz dobrze na tym wyszedłem, Meza bowiem okazał się cudownie kreatywny zarówno po hiszpańsku, jak i po angielsku. Przeleciał imponującą listę standardów, po czym jego artystyczne ciągoty ujawniły się w pełnej krasie i zwyzywał mnie od stworzeń, które

nigdy nie istniały, chyba że w równoległym wszechświecie zaprojektowanym przez Hieronima Boscha. Jego monolog brzmiał tym bardziej nierealnie i nieprawdopodobnie, że wygłoszony był słabym i chrapliwym głosem, Meza jednak nie pozwolił, by stało mu to na przeszkodzie. Byłem pełen szczerego podziwu, Debora chyba też, bo oboje tylko słuchaliśmy, aż Meza zmęczył się i zakończył „lachociągiem”.

Stałem przed nim, u boku Debory.

- Nie mów tak - powiedziałem, a on tylko spiorunował mnie wzrokiem. - To takie banalne, stać cię na dużo więcej. Jak to szło? „Gównozerny wór oposich rzygów”? Znakomite. - I nagrodziłem go lekkimi brawami.

- Podłącz mnie, *pedo de puta* - odparował. - Zobaczymy, jaki wtedy będziesz dowcipny.

- Żebyś nas rozjechał tą swoją miejską terenówką? - spytałem. - Nie, dzięki.

Debora wyrwała się z niemego zachwytu nad spektaklem i wróciła do roli samca alfa. Odepchnęła mnie na bok i znów zaczęła wpatrywać się w Mezę z kamienną twarzą.

- Panie Meza, chcemy, żeby odpowiedział pan na parę pytań, jeśli pan odmówi, zabiorę pana na komisariat i zadam je tam.

- Proszę bardzo, pizdo - syknął. - Mój adwokat będzie zachwycony.

- Możemy go tak zostawić - zaproponowałem. - Aż ktoś go ukradnie i sprzeda na złom.

- Podłącz mnie, ty jaszczurczy wągrze.

- Powtarza się - zwróciłem się do Debory. - Chyba pęka.

- Czy groził pan śmiercią kierownicze Izby Turystycznej? - spytała Debora.

Meza się rozplakał. Nie był to przyjemny widok; głowa bezwładnie opadła mu na bok, z ust i nosa pociekł śluz, który razem ze łzami powędrował po twarzy.

- Bydlaki - powiedział. - To mnie powinni byli zabić. - Pociągnął nosem słabo i bezskutecznie, jeśli nie liczyć towarzyszącego temu cichego, wilgotnego dźwięku. - Zobaczcie, zobaczcie, co ze mną zrobili - wymamrotał zachrypniętym głosem, z którego uleciał cały wigor.

- Co z panem zrobili, panie Meza? - spytała Deb.

- Zobaczcie - sapnął. - To przez nich. Zobaczcie. Żyję na tym *chingado* wózku, nawet wyszczać się nie mogę, dopóki jakiś *maricon* pielęgniarz nie potrzyzyma mi fiuta. - Podniósł głowę i jego pokryta śluzem twarz znów przybrała lekko wyzywający wyraz. - Wy na moim miejscu nie chcielibyście pozabijać tych *puercos*?

- Twierdzi pan, że oni to panu zrobili? - dociekała Deb.

Znów pociągnął nosem.

- To się stało w godzinach pracy - wyjaśnił, jakby na swoją obronę. - Ale oni powiedzieli, że nie, za wypadek samochodowy nie zapłacą. A potem mnie wylali.

Debora otworzyła usta, po czym zamknęła je ze słyszalnym szczękiem. Chyba chciała zadać pytanie w stylu, „Gdzie pan był ostatniej nocy między 3.30 a 5.00”, i przyszło jej do głowy, że najpewniej siedział tu, na swoim elektrycznym wózku. Ale Meza, cokolwiek o nim powiedziec, był bystry i też to zauważył.

- Co? - warknął i pociągnął nosem tak potężnie, że nawet udało mu się lekko ciuteńko poruszyć strużkę śluzu. - Ktoś w końcu rozwalił jednego z tych *chingado maricones*? I myślicie, że to nie mogłem być ja, bo siedzę na wózku? Podłącz mnie, suko, to ci pokażę, jak łatwo mogę zabić każdego, kto mnie wkurwi.

- Którego z *maricones* zabiłeś? - spytałem go, a Debora dźgnęła mnie łokciem, choć nadal nie miała nic do powiedzenia.

- Tego, który zdechł, skurwysynu - wyrzęził do mnie. - Mam nadzieję, że to ta kurwa Jo Anne, ale chuj tam, zabiję wszystkich.

- Panie Meza - wtrąciła Debora z lekkim wahaniem w głosie, które u kogoś innego można by wziąć za współczucie; w jej przypadku było to rozczarowanie, że ta nieszczęsna klucha na wózku to nie jej podejrzany. A Meza i tym razem ją wyczuł i przeszedł do ataku.

- Tak, ja to zrobiłem - powiedział. - Skuj mnie, pizdo. Wrzuć mnie na tył radiowozu razem z psami. Co, boisz się, że ci zdechnę? Zrób to, suko. Bo cię zabiję, jak tych dupków z Izby.

- Nikt nie zabił Izby - sprecyzowałem.

Przeszył mnie wzrokiem.

- Nie? - Odwrócił głowę do Debory i w słońcu błysnął śluz. - To na chuj dupę mi zawracasz, świnię?

Debora zawahała się i spróbowała raz jeszcze.

- Panie Meza - powiedziała.
- Pierdol się i wypierdalaj - odparł.
- To w sumie niegłupi pomysł, Deb - zauważyłem.

Debora pokręciła głową z frustracją i wyrzuciła powietrze z ust krótkim gwałtownym tchnieniem.

- Cholera - mruknęła. - Idziemy. Podłącz go. - I odwróciła się, i zeszła z ganku, pozostawiając mi niebezpieczne i niewdzięczne zadanie włożenia wtyczki do akumulatora wózka Mezy. To dowodzi jak samolubnymi i bezmyślnymi istotami są ludzie, nawet ci z rodziny. Przecież Debora była uzbrojona; dlaczego sama go nie podłączy?

Meza najwyraźniej był tego samego zdania. Zaczął nowy rozdział swojej obrazowej surrealistycznej twórczości, adresowanej do pleców Debory. Ja zasłużyłem tylko na pospiesznie wymamrotane: „Szybciej, pedale”, kiedy zrobił przerwę na złapanie tchu.

Spieszyłem się. Nie dlatego, że koniecznie chciałem dogodzić Mezie, lecz po to, by nie być w pobliżu, kiedy jego wózek odzyska pełną sprawność. Wiązałoby się to ze zbyt dużym niebezpieczeństwem - a poza tym uznałem, że straciłem już dość cennego i niezastąpionego światła dziennego na wysłuchiwanie jego marudzenia. Nadszedł czas, by wyjść z powrotem na świat i łapać potwory, a nawet być jednym z nich, i oprócz tego, przy odrobinie szczęścia, kiedyś wreszcie zjeść lunch. Te wszystkie atrakcje mnie ominą, jeśli utknę na tym ganku zmuszony robić uniki przed szarżami elektrycznego wózka i jego pyskatego właściciela.

Wcisnąłem więc wtyczkę z powrotem do akumulatora i zeskoczyłem z ganku, zanim Meza się zorientował, że wózek znów działa. Pobiegłem do samochodu i wsiadłem. Debora wrzuciła bieg i ruszyła pełnym gazem, zanim zdążyłem zamknąć drzwi; widać obawiała się, że Meza rozbije nam auto wózkami. Wkrótce morderczy ruch uliczny w Miami spowił nas ciepłym, puszystym kokonem.

- Kurwa - odezwała się wreszcie Debora i po wysłuchaniu Mezy słowo to cucilo jak łagodny letni wietrzyk - byłem pewna, że to on.

- Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - zauważyłem. - Przynajmniej nauczyłaś się kilku ładnych nowych słów.

- Spadaj na drzewo, obsrańcu - wypaliła Deb. W końcu też miała w tym niejaką wprawę.

Do przerwy na lunch zostało dość czasu, żeby sprawdzić jeszcze dwa nazwiska z listy. Pierwszy mieszkał w Coconut Grove i z domu Mezy dotarliśmy tam w jakieś dziesięć minut. Debora jechała tylko trochę szybciej niż powinna – jak na Miami tak wolno, jakby miała na plecach kartkę z napisem „Daj mi kopa”. I choć ruch był mały, po drodze towarzyszyła nam nasza własna ścieżka dźwiękowa, którą tworzyły klaksony, okrzyki i wdzięcznie uniesione środkowe palce, a inni kierowcy przemykali obok nas jak ławica żarłocznych piranii omijająca głaz w rzece.

Deb jakby tego nie zauważała. Usilnie nad czymś myślała, a na jej czole pojawiły się głębokie bruzdy i miałem ochotę ją przestrzec, że jeśli nie wyluzuje, już tak jej zostanie. Wiedziałem jednak z doświadczenia, że jeśli wyrwę ją z zadumy tą lub podobną dobrą radą, nic mnie nie uchroni przed potężnym ciosem w ramię, więc siedziałem cicho. Nie bardzo rozumiałem, nad czym mogła tak wnikliwie się zastanawiać: mieliśmy cztery ozdobne trupy i żadnej wskazówki, kto je udekorował. No ale oczywiście to Debora była wykwalifikowanym śledczym, nie ja. Może na jednym z kursów w Akademii nauczyli ją czegoś, co mogło się teraz przydać, a co wymagało intensywnego marszczenia czoła.

Tak czy owak, wkrótce dotarliśmy na miejsce. Był to skromny, stary domek przy Tigertail Avenue, z małym, zarośniętym ogródkiem i tabliczką „Na sprzedaż” ustawioną przed dużym drzewem mangowym. Na podwórku wałało się kilka starych gazet, wciąż zafoliowanych, częściowo ukrytych w wysokiej, zaniedbanej trawie.

- Cholera – zakląła Debora, kiedy zaparkowała wóz. Było to zwięzłe, acz trafne podsumowanie sytuacji. Dom wyglądał na niezamieszkały od wielu miesięcy.

- A ta co zrobiła? – zagadnąłem, wpatrzony w kolorową płachtę papieru gazetowego, niesioną wiatrem przez podwórko.

Deb zerknęła na listę.

- Alice Bronson - powiedziała. - Kradła pieniądze z konta agencji. Kiedy zażądali wyjaśnień, zagroziła im pobiciem i śmiercią.

- Oddzielnie czy jednocześnie? - spytałem, ale Deb tylko przeszyła mnie wzrokiem i pokręciła głową.

- Nic z tego nie będzie - uznała i skłonny byłem się z nią zgodzić. Tyle że praca policji, rzecz jasna, polega głównie na robieniu tego, co oczywiste, w nadziei, że choć raz się poszczęści, więc odpięliśmy pasy i przebrnęliśmy przez liście i inne śmieci do drzwi wejściowych. Deb machinalnie w nie załomotała i usłyszeliśmy echo jej uderzeń niosące się po domu. Było jasne, że jest tak pusty jak moje sumienie.

Debora odszukała na liście nazwisko podejrzanej, która miała tu mieszkać.

- Pani Bronson! - zawołała, ale odzew był jeszcze skromniejszy, bo jej głos, w odróżnieniu od pukania, nie zadudnił echem. - Cholera - powtórzyła Debora. Rąbnęła w drzwi raz jeszcze, z tym samym skutkiem - cisza.

Dla pewności obeszliliśmy dom wkoło i zajrzeliśmy w okna, ale nie zobaczyliśmy nic oprócz paskudnych zielono-czerwonawych zasłon, które zachowały się w pustym salonie. Za to kiedy wróciliśmy do samochodu, zastaliśmy przy nim chłopaka na rowerze. Patrzył na nas. Miał jedenaście albo dwanaście lat i długie dredy związane z tyłu.

- Nie ma ich od kwietnia - powiedział. - Wam też wisieli kasę?

- Znałeś Bronsonów? - spytała go Debora.

Spojrzał na nas z głową przechyloną na bok jak papuga, która zastanawia się, czy wziąć ciastko, czy ugryźć palec.

- A wy co, gliny? - rzucił.

Debora podniosła odznakę i chłopak przysunął się z rowerem, by obejrzeć ją z bliska.

- Znałeś tych ludzi? - powtórzyła pytanie.

Skinął głową.

- Wołałem się upewnić - wyjaśnił. - Dużo osób nosi fałszywe blachy.

- My naprawdę jesteśmy glinami - zapewniłem. - Wiesz, dokąd Bronsonowie wyjechali?

- Nie. Tata mówił, że wszystkim wisieli pieniądze i pewnie zmienili nazwisko albo uciekli do Ameryki Południowej czy gdzieś.

- A kiedy to było? - chciała wiedzieć Debora.

- W kwietniu - powiedział. - Już mówiłem.

Spojrzała na niego z tłumioną irytacją, po czym zerknęła na mnie.

- To prawda - potwierdziłem. - Mówił.

- Co zrobili? - spytał chłopak z trochę zbyt dużym, według mnie, zaciekawieniem.

- Pewnie nic - odparłem. - Chcieliśmy tylko zadać im kilka pytań.

- O rany - jęknął małolat. - Morderstwo? Serio?

Debora zrobiła dziwny, lekki ruch głową, jakby odganiała chmurę muszek.

- Czemu uważasz, że chodzi o morderstwo?

Wzruszył ramionami.

- Tak jest w telewizji - wyjaśnił prosto. - Przy morderstwie zawsze mówią, że to nic takiego. A jak to nic takiego, mówią, że to poważne wykroczenie czy coś. - Parsknął śmiechem. - Wy-krocze-nie. - Dla ilustracji złapał się za krocze.

Debora spojrzała na niego i tylko pokręciła głową.

- Znów ma rację - powiedziałem do niej. - Widziałem to w *CSI*.

- Jezu. - Deb ciągle kręciła głową.

- Daj mu wizytówkę - poradziłem. - Ucieszy się.

- No. - Chłopak uśmiechnął się radośnie. - I niech mi każe zadzwonić, jak coś sobie przypomnę.

Debora przestała kręcić głową i prychnęła.

- No dobra, mały, wygrałeś - mruknęła. Rzuciła mu swoją wizytówkę, a on zręcznie ją złapał. - Zadzwoń, jak ci się coś przypomni.

- Dzięki - powiedział i wciąż się uśmiechał, kiedy wsiadaliśmy do samochodu i odjeżdżaliśmy, chociaż czy to dlatego, że wizytówka naprawdę mu się spodobała, czy po prostu cieszył się, że zapędził Debore w kozi róg, nie miałem pojęcia.

Zerknąłem na listę leżącą obok niej na siedzeniu.

- Następny jest Brandon Weiss - poinformowałem. - Hm, autor. Napisał parę tekstów reklamowych, które im się nie spodobały, i go wywalili.

Debora przewróciła oczami.

- Autor - prychnęła. - Co, groził im przecinkiem?

- Musieli wezwać ochronę, żeby wyprowadziła go siłą.

Debora odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Autor - powiedziała. - Dex, daj spokój.

- Tacy też potrafią być groźni - stwierdziłem, choć i mi wydało się to dość naciągane.

Debora spojrzała na jezdnię, skinęła głową i przygryzła wargę.

- Adres? - rzuciła.

Znów zerknąłem na kartkę.

- No, to wygląda obiecująco. - Odczytałem adres przy N. Miami Avenue. - W samym środku Dzielnicy Artystycznej. Gdzie indziej zaszyłby się projektant morderca?

- Kto ma to wiedzieć, jak nie ty - burknęła, ale nie bardziej niegrzecznie niż zwykle, więc pominąłem to milczeniem.

- Na pewno teraz pójdzie nam lepiej - pocieszyłem ją.

- No jasne, do trzech razy sztuka - burknęła.

- Deb, wyluzuj - powiedziałem. - Więcej entuzjazmu.

Debora zjechała na parking baru szybkiej obsługi, czym ogromnie mnie zaskoczyła, bo po pierwsze, było za wcześnie na lunch, a po drugie, to, co tu serwowali, trudno nazwać jedzeniem, choć obsługę rzeczywiście mieli szybką.

Ale nie ruszyła się z miejsca. Zaciągnęła ręczny hamulce i odwróciła się do mnie.

- Chrzanić to - wypaliła i poznałem, że coś ją gryzie.

- Chodzi o tego maślaka? - spytałem. - A może nadal jesteś wkurzona na Mezę?

- Ani to, ani to - odparowała. - Chodzi o ciebie.

Jeśli byłem zaskoczony jej wyborem restauracji, to temat, który poruszyła, wprowadził mnie w najwyższe zdumienie. Chodzi o mnie? Że niby co? Odtworzyłem w pamięci cały poranek i nie znalazłem niczego, co można by mi zarzucić. Byłem dobrym żołnierzem Jej Opryskliwej Mości; pozwoliłem sobie nawet na mniej przenikliwych, ciętych komentarzy niż zwykle, za co, jako ich główny adresat, naprawdę powinna być wdzięczna.

- Przykro mi - powiedziałem. - Nie wiem, co masz na myśli.

- Ciebie - odparła, co wcale mi nie pomogło. - Ciebie całego.

- Nadal nie rozumiem. Nie ma mnie znowu aż tak dużo.

Debora uderzyła dłonią w kierownicę.

- Cholera jasna, Dexter, te twoje mądrości już mi nie wystarczają.

Zauważyliście, że raz na jakiś czas przypadkiem w miejscu publicznym słyszy się nadzwyczaj klarowne zdanie oznajmujące, wypowiedziane z taką mocą i takim przekonaniem, brzmiące tak kategorycznie i przejrzyście, że człowiek musi, po prostu musi dowiedzieć się, cóż ono znaczy? Że aż chce się pójść za tym, który to powiedział, nawet jeśli to obcy, po to tylko, by sprawdzić, co kryje się w jego słowach i jak to wpłynie na losy wszystkich zainteresowanych?

Tak właśnie czułem się teraz: nie miałem bladego pojęcia, o czym ona mówi, ale bardzo chciałem się tego dowiedzieć.

Szczęśliwie dla mnie, nie kazała mi czekać.

- Ja chyba dłużej tak nie mogę - oznajmiła.

- To znaczy jak?

- Jeżdżę samochodem z gościem, który zabił ilu, dziesięciu, piętnastu ludzi?

Nigdy nie jest miło, gdy człowiekowi tak grubo zaniżają wyniki, ale uznałem, że niedyplomatycznie byłoby ją poprawić.

- Zgoda - powiedziałem.

- A przecież mam łapać i zamykać takich jak ty, tylko że jesteś moim bratem! - By podkreślić każdą sylabę, waliła dłonią w kierownicę - niepotrzebnie, bo słyszałem ją bardzo wyraźnie. I wreszcie zrozumiałem, czemu ostatnio była taka naburmuszona, choć nadal nie miałem pojęcia, dlaczego wybuchnęła akurat teraz.

Moja siostra dopiero od niedawna wiedziała o moim małym hobby i po namyśle musiałem przyznać, że miała wiele dobrych powodów, by go nie popierać. Choćby przez wzgląd na sam czyn, który, przyznając bez bicia, nie jest dla wszystkich. Do tego dodać należy fakt, że stałem się tym, kim jestem, za przyzwoleniem, a nawet przy czynnym współudziale jej ojca, Świętego Harry'ego od Niebieskiego Munduru; Harry'ego, którego czystą, świetlaną drogą dotąd podążała, czy raczej tak jej się wydawało. Teraz zaś odkryła, że istnieje alternatywna droga, wydeptana tymi samymi uświęconymi nogami, droga, która wiedzie w ciemne zakątki lasu i pozwala się nimi cieszyć. Wszystko, w co wierzyła, było sprzeczne z moją wspaniałą osobą;

a uformowała nas ta sama błogosławiona dłoń. Historia jak z Biblii, jeśli się nad tym zastanowić.

Oczywiście w tym, co mówiła, było dużo racji, i gdybym faktycznie był tak mądry, jak mi się wydaje, wiedziałbym, że do tej rozmowy musi kiedyś dojść i odpowiednio bym się przygotował. Ja jednak naiwnie przyjąłem, że nie ma na świecie nic trwalszego od status quo, i dałem się zaskoczyć. Tym bardziej że, o ile było mi wiadomo, ostatnio nie zdarzyło się nic, co mogło sprowokować tego rodzaju konfrontację; więc z czego takie sytuacje się biorą?

- Przykro mi, Deb - powiedziałem. - Ale, hm, co według ciebie powinienem zrobić?

- Chcę, żebyś z tym skończył - odparła. - Żebyś był kimś innym. - Spojrzała na mnie, jej usta drgnęły i znów odwróciła się do bocznej szyby, wybiegając wzrokiem w dal, za autostradę numer 1 i tory kolejowe. - Chcę, żebyś był... żebyś był człowiekiem, za jakiego zawsze cię uważałam.

Lubię myśleć, że jak mało kto potrafię wybrnąć z opresji. Jednak w tej chwili równie dobrze mogłem być skrępowany, zakneblowany i przywiązany do torów.

- Deb - rzekłem. Niedużo tego było, ale najwyraźniej nie miałem innej amunicji.

- Niech to szlag trafi, Dex - zakląła i uderzyła w kierownicę tak mocno, że cały samochód się zatrząsł. - Nie mogę z nikim o tym rozmawiać. Nawet z Kyle'em. A ty... - Znów walnęła w kierownicę. - Skąd mam wiedzieć, czy to w ogóle prawda, że to tata tak cię ustawił?

Pewnie nieściśle byłoby powiedzieć, że zraniła moje uczucia, bo jestem raczej pewien, że ich nie mam. Ale jej niesprawiedliwe słowa naprawdę mnie zaboląły.

- Ciebie bym nie okłamał - zapewniłem.

- Okłamujesz mnie całe życie, nie mówiąc mi, kim naprawdę jesteś - odparowała.

Wiem o filozofii New Age i poradach telewizyjnych guru psychologii tyle, co każdy, ale w końcu nadchodzi taka chwila, kiedy rzeczywistość zaczyna uwierać, i uznałem, że to właśnie ten moment.

- No dobrze, Deb - powiedziałem. - A co byś zrobiła, gdybyś wcześniej dowiedziała się, kim naprawdę jestem?

- Nie wiem - odparła. - Nawet teraz nie wiem, co zrobić.
- No widzisz - skwitowałem.
- Ale coś powinnam zrobić.
- Dlaczego?
- Bo zabiłeś ludzi, do cholery! - wybuchnęła.

Wzruszyłem ramionami.

- Nic na to nie poradzę - oznajmiłem. - I wszystkim się to naprawdę należało.

- Tak nie można!
- Tego chciał tata - stwierdziłem.

Obok samochodu przeszła grupka młodych ludzi wyglądających na studentów. Spojrzeli na nas, jeden z nich coś powiedział i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Cha, cha. Zobaczcie, jak ta śmieszna para się kłóci. Kolesz będzie dziś spał na sofie, che che.

Tyle że jeśli nie zdołam przekonać Debory, że wszystko jest dokładnie tak, jak być powinno, na wieki wieków amen, kto wie, czy nie będę dziś spał w celi.

- Deb - zaczęłam. - Tata tak to urządził. Wiedział, co robi.
- Na pewno? - spytała. - A może zmyślasz? Zresztą, nawet jeśli naprawdę tak było, czy miał słuszość? A może był tylko kolejnym zgorzkniałym, wypalonym gliną?
- Był Harrym - powiedziałem. - Twoim ojcem. Oczywiście, że miał rację.
- Potrzebuję czegoś więcej - stwierdziła.
- A jeśli nic więcej nie ma?

Wreszcie się odwróciła i ku mojej uldze nie uderzyła w kierownicę. Za to milczała tak długo, że zacząłem żałować, iż tego nie zrobiła.

- Nie wiem - odezwała się w końcu. - Nie wiem i tyle.

No właśnie. To znaczy mogłem zrozumieć, że jest to dla niej kłopot - co począć z przybranym bratem mordercą? W końcu jest uprzejmy, pamięta o urodzinach i daje świetne prezenty; jest produktywnym, ciężko pracującym, statecznym obywatelem - czy to ważne, że raz na jakiś czas wymyka się, żeby zabić złoczyncę?

Z drugiej strony, w jej zawodzie raczej nie pochwała się takiego postępowania. I, przynajmniej teoretycznie, jej zadaniem było tropić takich jak ja i sadzać ich na krzesła elektrycznym. Rozumiałem,

że mogło to stanowić dla niej pewien dylemat, szczególnie że to jej brat zmuszał ją do opowiedzenia się za którąś ze stron.

A może nie on?

- Deb, wiem, że to dla ciebie kłopot.

- Kłopot - mruknęła. I choć nie rozplakała się ani nie załkała, po jej policzku ściekła łza.

- Chyba nie chciał, żebyś o tym wiedziała - powiedziałem. - Miałem ci nic nie mówić. Ale... - Pomyślałem o tym, jak znalazłem ją przyklejoną taśmą do stołu, podczas gdy mój prawdziwy, rodzony brat stał nad nią z dwoma nożami, po jednym dla każdego z nas, a ja uświadomiłem sobie, że nie mógłbym jej zabić bez względu na to, jak bardzo tego potrzebowałem i jak bardzo zbliżyłoby mnie to do niego, mojego brata, jedyne go człowieka na całym świecie, który naprawdę mnie rozumiał i akceptował takiego, jakim jestem. Nie mogłem tego zrobić i tyle. Jakimś cudem usłyszałem głos Harry'ego, który nie pozwolił mi zejść z jego Drogi.

- Kurwa - zakląła Debora. - Co tata sobie myślał?

Czasem sam się nad tym zastanawiałem. Z drugiej strony, zastanawiałem się też, jak ludzie mogą wierzyć w to, co mówią albo dlaczego nie mogę latać, a takie rozważania należały do tej samej kategorii.

- Nie wiemy, co myślał - stwierdziłem. - Ale wiemy, co zrobił.

- Kurwa - powtórzyła.

- Niech ci będzie - powiedziałem. - I co z tym zrobisz?

Nadal nie patrzyła na mnie.

- Nie wiem - odparła. - Ale chyba muszę coś zrobić.

Długo siedzieliśmy w samochodzie, nie mając sobie nic więcej do powiedzenia. Wreszcie wrzuciła bieg i wjechaliśmy z powrotem na drogę.

Naprawdę trudno o lepszy sposób ucięcia rozmowy niż zakomunikowanie własnemu bratu, że rozważa się aresztowanie go za zabójstwo, i nawet moje legendarne poczucie humoru nie zdołało podsunąć mi czegoś, co warto byłoby powiedzieć. Dlatego jechaliśmy w milczeniu, autostradą numer 1 do 95 North i tuż za zjazdem na Julia Tuttle Causeway skręciliśmy do Dzielnicy Artystycznej.

Podróż w ciszy wydawała się o wiele dłuższa, niż była w rzeczywistości. Zerknąłem raz czy dwa razy na Debora, ale wyglądała na zatopioną w myślach – może o tym, czy skuć mnie porządными kajdankami, czy tymi tanimi, zapasowymi, które trzymała w schowku. Tak czy owak, patrzyła prosto przed siebie, machinalnie kręciła kierownicą i lawirowała wśród samochodów niemal bez namysłu i bez zainteresowania mną.

Adres znaleźliśmy w miarę szybko, i dobrze, bo napięcie związane z niepatrzeniem na siebie i nierozmawianiem stawało się nie do zniesienia. Debora zatrzymała się przed nieco przypominającym magazyn budynkiem na Czterdziestej i zaciągnęła ręczny hamulec. Zgasila silnik i wciąż na mnie nie patrzyła, ale na chwilę się zawahała. W końcu pokręciła głową i wysiadła.

Pewnie miałem jak zwykle pójść za nią, niczym ogromny cień Małej Deb. Mam jednak odrobinę godności, a poza tym, doprawdy – skoro zamierzała zwrócić się przeciwko mnie z powodu kilku marnych rekreacyjnych morderstw, czy rzeczywiście mogła oczekiwać, że teraz będę jej pomagał? To znaczy nie muszę sobie wyobrażać, że życie jest sprawiedliwe – bo nie jest – ale to niemalże przekraczało granice przyzwoitości.

Siedziałem więc w samochodzie i właściwie nie patrzyłem, jak Deb sztywno podchodzi do drzwi i wciska dzwonek. Drzwi się otworzyły – dostrzegłem to tylko kątem oka, zupełnie tym niezainteresowany – po czym ledwie odnotowałem nieciekawą szczegół, jakim było to, że Debora się wylegitymowała. I siedząc w samochodzie

i nie obserwując jej, nie mogłem stwierdzić, czy facet uderzył ją i upadła, czy też po prostu rzucił ją na ziemię i zniknął w środku.

Ale zaciekawiło mnie to, że podźwignęła się na jedno kolano, upadła znowu i tym razem już nie wstała.

Włączył mi się alarm: coś tu było bardzo nie w porządku i całe moje dąsy na Deborę wyparowały jak benzyna z nagrzanego asfaltu. Wypadłem z samochodu i pogałem chodnikiem ile sił.

Z odległości trzech metrów zobaczyłem trzonek noża sterczący z jej boku i nagły atak szoku na chwilę spętał mi nogi. Po chodniku już rozlewała się kałuża okropnej, mokrej krwi, a ja byłem z powrotem w chłodni z moim bratem Bineyem, patrząc na grubą warstwę ohydnej, lepkiej czerwieni na podłodze; nie mogłem się ruszyć ani nawet oddychać. Ale oto drzwi uchyliły się powoli i wyszedł mężczyzna, który przed chwilą dźgnął Deborę. Na mój widok padł na kolana i sięgnął do trzonka noża, a wtedy szelest wiatru w moich uszach przeszedł w szum rozpościerających się skrzydeł Mrocznego Pasażera. Szybko zrobiłem krok naprzód i mocno kopnąłem go w skroń. Zwalił się obok mojej siostry, twarzą w krew, i już się nie ruszył.

Ukląknęłam przy Deborze i wziąłem ją za rękę. Miała mocne tętno; zatrzepotała powiekami i otworzyła oczy.

- Dex - wyszeptała.

- Trzymaj się, siostrzyczko - powiedziałem i znów zamknęła oczy. Wyjąłem krótkofalówkę z futerału u jej pasa i wezwałem pomoc.

Przez tych kilka minut, zanim przyjechała karetka, zebrał się tłumek gapiów, ale grzecznie się rozstąpili, kiedy ratownicy wyskoczyli z wozu i pobiegli do Debory.

- Uch - odezwał się pierwszy z nich, masywny młodzieniec ostrzyżony na jeża à la marines. - Trzeba szybko zatamować krwawienie. - Ukląknął przy Deborze i zabrał się do pracy. Jego partnerka, jeszcze masywniejsza kobieta pod czterdziestkę, szybko podłączyła kroplówkę i kiedy wbijała igłę w ramię Debory, poczułem, że czyjaś dłoń ciągnie mnie w tył.

Odwróciłem się. To był mundurowy, Murzyn w średnim wieku. Skinął mi ogoloną głową.

- Twoja partnerka? - spytał.

Wyjąłem legitymację.

- Siostra - powiedziałem. - Jestem z laboratorium.

- Hm - mruknął, oglądając moją legitymację. - Zwykle nie przyjeżdżacie tak szybko. - Oddał mi ją. - Co możesz mi o nim powiedzieć? - Kiwnął głową w stronę mężczyzny, który zranił Deborę, a teraz siedział i trzymał się za głowę. Obok niego kuczał drugi policjant.

- Otworzył drzwi i ją zobaczył - powiedziałem. - A potem dźgnął ją nożem.

- Hm... - mruknął policjant. Odwrócił się do swojego partnera. - Frankie, skuj go.

Nie patrzyłem z poczuciem triumfu, jak dwaj gliniarze wykręcają nożownikowi ręce do tyłu i zakładają mu kajdanki, bo akurat w tej chwili ratownicy wnosili Deborę do karetki. Podeszedłem do tego z krótkimi włosami.

- Wyjdzie z tego? - spytałem.

Obdarzył mnie machinalnym, nieprzekonującym uśmiechem.

- Zobaczymy, co powiedzą lekarze, dobrze? - powiedział, co nie zabrzmiało tak pocieszająco, jak być może oczekiwał.

- Wieziecie ją do Jackson? - spytałem.

Skinął głową.

- Będzie na OIOM-ie, kiedy pan tam przyjedzie - powiedział.

- Mogę się z wami zabrać? - spytałem.

- Nie - odparł. Zatrzasnął drzwi, pobiegł do szoferki ambulansu i wsiadł. Patrzyłem, jak ostrożnie włączają się do ruchu i odjeżdżają na sygnale.

Nagle poczułem się strasznie samotny. To wszystko wydawało się wręcz nieznośnie melodramatyczne. Moja ostatnia rozmowa z Deb nie była przyjemna, a teraz mogła się okazać ostatnia w ogóle. Ten ciąg wydarzeń nadawał się raczej do telewizji, najlepiej do jakiejś popołudniowej opery mydlanej. W Mrocznym Teatrze Sensacji Dextera nie było dla niego miejsca. Ale stało się: Debora była w drodze na OIOM, a ja nie wiedziałem, czy stamtąd wyjdzie. Nie miałem nawet pojęcia, czy dojedzie tam żywa.

Spojrzałem na chodnik. Strasznie dużo krwi. Krwi Debory.

Szcześliwie dla mnie, nie musiałem za długo się tym gnębić. Przyjechał detektyw Coulter, nawet jak na niego wyraźnie niezadowolony. Patrzyłem, jak przez minutę stał na chodniku i się

rozglądał, zanim poczłapał do mnie. Jeszcze bardziej niezadowolony obrzucił mnie wzrokiem od stóp do głów, z taką samą miną jak ostatnio, kiedy spotkaliśmy się na miejscu zbrodni.

- Dexter - powiedział. Pokręcił głową. - Coś ty, kurwa, narobił?

Nie do wiary, ale w pierwszym ułamku sekundy zacząłem zaprzeczać, jakobym pchnął nożem siostrę. Potem dotarło do mnie, że to niemożliwe, by mnie oskarżał, i rzeczywiście, okazało się, że tylko przełamywał pierwsze lody przed przyjęciem mojego zeznania.

- Powinna była na mnie zaczekać - stwierdził. - Jestem jej partnerem.

- Poszedłeś po kawę - wyjaśniłem. - Uznała, że to nie może czekać.

Coulter spojrzał na zalany krwią chodnik i pokręcił głową.

- Te dwadzieścia minut mogła czekać - powiedział. - Zwłaszcza na partnera. - Podniósł oczy na mnie. - To święta więź.

Nie mam doświadczenia ze świętością, bo na ogół gram dla przeciwnej drużyny, więc powiedziałem tylko:

- Pewnie masz rację.

To zadowoliło go na tyle, że uspokoił się i przyjął moje zeznanie, od czasu do czasu zerkając spode łba na plamę krwi pozostawioną przez jego świętą partnerkę. Minęło dziesięć długich minut, zanim wreszcie się od niego uwolniłem i pojechałem do szpitala.

Szpital imienia Jacksona jest dobrze znany każdemu glinie, kryminaliście i ofierze w Miami, bo oni wszyscy tam byli albo jako pacjenci, albo po to, żeby kogoś odebrać. Jest to jedno z najbardziej zapracowanych centrów chirurgii urazowej w kraju i jeśli trening rzeczywiście czyni mistrza, OIOM w Szpitalu imienia Jacksona musi być najlepszy w opatrywaniu ran postrzałowych, kłutych, zadanych tępym narzędziem, a także obrażeń odniesionych wskutek pobicia i innych umyślnych działań. Wojskowi przyjeżdżają tu uczyć się medycyny polowej, bo pięć tysięcy razy w roku pogotowie przywozi kogoś z ranami, jakie poza tym zobaczyć można chyba tylko w Bagdadzie.

Wiedziałem więc, że Deb będzie w dobrych rękach, jeśli tylko dotrze na miejsce żywa. A strasznie trudno było mi wyobrazić sobie, że mogłaby umrzeć. To znaczy w pełni zdawałem sobie sprawę, że teoretycznie jest to możliwe; w końcu wcześniej czy później spotyka

to każdego z nas. Nie mogłem jednak wyobrazić sobie świata, w którym nie byłoby chodzącej i oddychającej Debory Morgan. To tak, jakby w układance złożonej z tysiąca kawałków nagle zabrakło dużego elementu w samym środku. To już nie byłoby to.

Zaniepokoiłem się, kiedy uświadomiłem sobie, jak bardzo się z nią zżyłem. Jasne, nigdy nie obsypywaliśmy się czułościami ani nie patrzyliśmy sobie głęboko w oczy, ale zawsze była przy mnie, całe moje życie, i w drodze do szpitala zrozumiałem, że jeśli ona umrze, wszystko bardzo się zmieni, i to zdecydowanie na gorsze.

Nie chciałem o tym myśleć. Było to bardzo dziwne uczucie. Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek tak się rozkleił. Nie tylko dlatego, że Deb mogła umrzeć, bo ze śmiercią miałem niewielkie doświadczenie. I nie dlatego, że była właściwie członkiem rodziny – to też już przechodziłem. Różnica polegała na tym, że kiedy umierali moi przybrani rodzice, zdążyłem się na to przygotować podczas ich długiej choroby i przekonać się o nieuchronności ich śmierci. A teraz wszystko stało się tak nagle. Może to ten nieoczekiwany szok sprawił, że prawie rozbudziły się we mnie emocje.

Na szczęście dla mnie, do szpitala nie było daleko – raptem parę kilometrów – i na parking wjechałem już po kilkuminutowym slalomie wśród samochodów z ręką na klaksonie, który większość kierowców z Miami i tak ignoruje.

Wszystkie szpitale w środku wyglądają tak samo – dotyczy to nawet koloru ścian – i ogólnie nie należą do najbardziej radosnych miejsc. Oczywiście, byłem całkiem zadowolony z tego, że akurat teraz jeden z nich był w pobliżu, ale kiedy wchodziłem na oddział chirurgii urazowej, jakoś nie cieszyłem się na myśl o tym, co tam zastanę. U ludzi czekających na korytarzach wyczuwało się zwierzęcą rezygnację, zabiegani lekarze i pielęgniarki mieli miny ludzi żyjących w stanie permanentnego, otępiającego kryzysu i do panującego tam klimatu nie dostosowała się tylko flegmatyczna służbistka uzbrojona w podkładkę do pisania, która zatrzymała mnie, kiedy chciałem pójść poszukać Debory.

- Sierżant Morgan, rana od noża – stwierdziłem. - Dopiero co ją przywieźli.

- A pan to kto? – zagadnęła.

- Najbliższy krewny - odparłem, naiwnie myśląc, że dzięki temu szybciej się od niej uwolnię. O dziwo, uśmiechnęła się.

- Dobrze się składa. Muszę z panem porozmawiać.

- Mogę się z nią zobaczyć? - spytałem.

- Nie - ucięła. Złapała mnie za łokieć i stanowczo pokierowała w stronę boksu.

- Może mi pani powiedzieć, co się z nią dzieje? - spytałem.

- Proszę tu usiąść - rzekła i popchnęła mnie w stronę plastikowego krzesła przy małym biurku.

- Ale jak ona się czuje? - Nie ustępowałem. Nie zamierzałem dać sobą pomiatać.

- Zaraz się dowiemy - oznajmiła. - Jak tylko wypełnimy parę papierków. Proszę usiąść, panie... Morton, tak?

- Morgan - poprawiłem.

Zmarszczyła czoło.

- Ja tu mam „Morton”.

- Powinno być Morgan - zapewniłem. - M-o-r-g-a-n.

- Jest pan pewien? - spytała i porażony surrealizmem tej sytuacji runąłem na krzesło, jakbym dostał wielką moką poduszką.

- Raczej tak - powiedziałem słabym głosem i osunąłem się na oparcie, przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe na rozchybotanym krześle.

- Teraz będę musiała zmienić to w komputerze. - Zmarszczyła brwi.
- Do diabła.

Kilka razy otworzyłem i zamknąłem usta jak wyrzucona na brzeg ryba, a kobieta zaczęła stukać w klawisze. Tego już było za wiele; nawet jej lakoniczne „do diabła” urągało zdrowemu rozsądkowi. Przecież życie Debory wisiało na włosku - czy zatem każdy, kto jest w stanie o własnych siłach stać i mówić, nie powinien bluzgać ognistymi salwami zajadłych przekleństw? Może wypadaloby poprosić Hernanda Mezę, żeby tu wpadł i dał pogadankę o właściwej reakcji werbalnej na nieuchronnie nadciągającą katastrofę.

Trwało to o wiele dłużej, niż wydawało się możliwe czy choćby ludzkie, ale w końcu udało mi się wypełnić wszystkie stosowne formularze i przekonać babę, że jako najbliższy krewny, a do tego pracownik policji, mam święte prawo zobaczyć siostrę. Tyle

że oczywiście, jak to bywa na tym padole łoż, w końcu nie pozwolono mi jej zobaczyć. Mogłem tylko stać na korytarzu, zaglądać przez okienko podobne do tych w samolocie i patrzeć, jak spora grupa ludzi w żółtozielonych fartuchach zbiera się wokół stołu operacyjnego i robi Deborze straszne, niewyobrażalne rzeczy.

Przez kilka stuleci po prostu stałem, patrzyłem i co pewien czas wzdragałem się, kiedy nad moją siostrą wznosiły się zakrwawiona dłoń albo jakiś instrument. Zapach chemikaliów, krwi, potu i strachu był prawie nie do zniesienia. Wreszcie, kiedy już czułem, że nasz świat ginie z braku powietrza, a słońce starzeje się i stygnie, wszyscy cofnęli się od stołu i kilka osób zaczęło popychać Deborę w stronę drzwi. Odsunąłem się i patrzyłem, jak wiozą ją w głąb korytarza, po czym złapałem za rękę jednego z tych, którzy za nią ruszyli i wyglądali na ważnych. Mógł to być błąd: moja dłoń natrafiła na coś zimnego, mokrego i lepkiego, i kiedy ją cofnąłem, zobaczyłem, że jest pobudzona krwią. Przez chwilę czułem się oszołomiony, nieczysty i nawet lekko spanikowany, ale kiedy chirurg odwrócił się do mnie, doszedłem do siebie.

- Co z nią? - spytałem go.

Spojrzał w głąb korytarza, za wiezioną tam Deborą, a potem znów odwrócił się do mnie.

- A kim pan jest? - chciał wiedzieć.

- Jej bratem - powiedziałem. - Wyjdzie z tego?

Obdarzył mnie niewesołym półuśmiechem.

- Jest dużo za wcześnie, żeby wyrokować - odparł. - Straciła strasznie dużo krwi. Może się z tego wyliże, może wystąpią powikłania. Na razie nie wiemy.

- Jakie powikłania? - spytałem. Miałem wrażenie, że to jak najbardziej zasadne pytanie, on jednak tylko westchnął z irytacją i pokręcił głową.

- Cokolwiek od infekcji po uszkodzenie mózgu - odpowiedział. - Przez najbliższy dzień czy dwa niczego się nie dowiemy, więc będzie pan musiał poczekać, aż się dowiemy, dobrze? - Obdarzył mnie drugą połową uśmiechu i poszedł w kierunku przeciwnym do tego, w którym odjechała Debora.

Odprowadziłem go wzrokiem, myśląc o uszkodzeniach mózgu. Potem odwróciłem się i poszedłem za wózkiem, który wiózł Deborę w głąb korytarza.

Deborę otaczało tyle urządzeń, że minęła chwila, zanim dostrzegłem ją w centrum tej warkoczącej, pikającej góry złomu. Leżała nieruchomo w łóżku, podłączana do różnych rurek, z twarzą na wpół zakrytą maską respiratora i niemal tak białą jak pościel. Przez minutę stałem i patrzyłem, niepewny, co robić. Całą uwagę skupiłem na tym, jak się do niej dostać, a teraz, kiedy już tu byłem, nie mogłem sobie przypomnieć, żebym gdzieś przeczytał, jak należy się zachować, odwiedzając najbliższych na OIOM-ie. Czy powinienem wziąć ją za rękę? Może i tak, ale nie byłem tego pewien, a ona do dłoni miała podłączoną kroplówkę; wolałem nie ryzykować, że ją odcepię.

Odszukałem więc krzesło, wstawione pod jedno z urządzeń podtrzymujących życie. Przysunąłem je do łóżka na tyle, na ile to się wydawało stosowne, i usiadłem, żeby zaczekać.

Po raptem paru minutach coś zaszurało w drzwiach i podniósłszy głowę, zobaczyłem Wilkinsa, chudego, czarnego policjanta, którego znałem z widzenia. Zajrzał do środka.

- Hej, Dexter, zgadza się? - zagał.

Przytaknąłem i pokazałem mu legitymację.

Wskazał Deborę ruchem głowy.

- Co z nią?

- Za wcześnie, żeby wyrokować - odparłem.

- Przykro mi, stary - powiedział i wzruszył ramionami. - Kapitan chce, żeby ktoś jej pilnował. Będę pod drzwiami.

- Dziękuję - rzuciłem, a on odwrócił się, by zająć wyznaczone stanowisko przy wejściu.

Próbowałem sobie wyobrazić życie bez Debory. Sama ta myśl była niepokojąca, choć nie miałem pojęcia, dlaczego. Wielkich, oczywistych różnic jakoś nie dostrzegałem i było mi trochę głupio z tego powodu, więc zagoniłem szare komórki do cięższej roboty. Pewnie następnym razem będę mógł zjeść *coq au vin* na ciepło. Bez jej słynnych

brutalnych kuksańców ubędzie mi sińców na ramionach. No i koniec z obawami, że mnie aresztuje. Same plusy – skąd brał się mój niepokój?

Mimo wszystko ten sposób rozumowania nie był przekonujący. A co jeśli przeżyje, ale z niesprawnym mózgiem? To zdecydowanie mogłoby rzutować na jej karierę w organach ścigania. Może trzeba się nią będzie bez przerwy opiekować, karmić ją łyżeczką, zmieniać jej pampersy, co w pracy raczej nie byłoby mile widziane. No i kto wzięłby na siebie ten przykry, uciążliwy obowiązek? Na ubezpieczeniach zdrowotnych znałem się średnio, ale wiedziałem dość, by się domyślić, że całodobowej opieki nie oferują z dziką radością. A jeśli to ja będę się musiał nią zajmować? Oznaczałoby to spory ubytek wolnego czasu. Ale jak nie ja, to kto? Oprócz mnie nie miała żadnej rodziny. Był tylko Drogi Dzielny Dexter; on jeden mógł popychać jej wózek, gotować kleik i czule ocierać jej kąciki ust, kiedy będzie się ślinić. Będzie zdana na mnie po kres dni swoich, a jesień życia spędzimy we dwoje na oglądaniu teleturniejów, podczas gdy reszta świata będzie radośnie robić swoje, czyli zabijać i katować siebie nawzajem, już bez mojego udziału.

Zanim rozpacz nad moim losem runęła na mnie ogromną falą, przypomniałem sobie o Kyle’u Chutskym. Nieściśle byłoby nazwać go chłopakiem Debory, ponieważ mieszkali ze sobą już ponad rok, w związku z czym stał się chyba kimś więcej. No i chłopakiem nie był już od dawna. Co najmniej dziesięć lat starszy od Deb, był potężnie zbudowany, mocno pokiereszowany i pozbawiony lewej dłoni oraz stopy przez tego samego chirurga amatora, który zmodyfikował sierżanta Doakesa.

Uczciwość w stosunku do samego siebie – jakże dla mnie ważna – nakazuje tu wspomnieć, że pomyślałem o Chutskym nie tylko dlatego, żeby ewentualnie mieć na kogo zrzucić opiekę nad upośledzoną umysłowo Deborą. Przyszło mi raczej do głowy, że pewnie życzyłyby sobie, by go powiadomić o jej pobycie na intensywnej terapii.

Wyjąłem więc komórkę z futerału i do niego zadzwoniłem. Odebrał niemal od razu.

- Halo?

- Kyle, tu Dexter – powiedziałem.

- Cześć, chłopie - powitał mnie swoim sztucznie wesołym głosem. -
Co tam?

- Jestem z Deborą - poinformowałem. - Na OIOM-ie w Szpitalu
imienia Jacksona.

- Co się stało? - spytał po chwili ciszy.

- Dostała nożem - odparłem. - Straciła dużo krwi.

- Jadę - rzucił i rozłączył się.

Miło, że Chutsky był na tyle troskliwy, by od razu przyjechać. Może pomoże mi z kleikiem dla Debory i zgodzi się, żebyśmy pchali wózek na zmianę. Fajnie kogoś mieć.

To mi przypomniało, że też kogoś miałem - a właściwie ktoś miał mnie. Tak czy owak, lepiej uprzedzić Ritę, że się spóźnię, zanim upichci mi suflet z bażanta. Zadzwoiłem do niej do pracy, szybko wyjaśniłem, co i jak, i rozłączyłem się, kiedy zaczęła wzywać imienia Pana Boga swego nadaremno.

Jakiś kwadrans później przyszedł Chutsky, a za nim pielęgniarka, która najwyraźniej chciała dopilnować, by był zadowolony ze wszystkiego, od usytuowania pokoju po rozmieszczenie kroplówek.

- To ona - powiedziała.

- Dzięki, Gloria - rzucił Chutsky, nie odrywając oczu od Debory. Pielęgniarka chwilę jeszcze krzątała się nerwowo, po czym niepewnie się ulotniła.

Tymczasem Chutsky podszedł do łóżka i wziął Deborę za rękę - dobrze wiedzieć, że w tej kwestii się nie myliłem; branie za rękę jest wskazane.

- Co się stało, stary? - zapytał wpatrzony w nią.

Opowiedziałem mu wszystko w skrócie, a on słuchał, nie patrząc na mnie. Puścił dłoń Debory po to tylko, by odgarnąć kosmyk włosów z jej czoła. Kiedy skończyłem mówić, pokiwał głową w zamyśleniu.

- Co mówią lekarze? - spytał.

- Za wcześnie, żeby wyrokować - odparłem.

Zbył to wyjaśnienie machnięciem błyszczącego srebrnego haka, który zastępował mu lewą dłoń.

- Zawsze tak mówią - stwierdził. - Co jeszcze?

- Mogło dojść do trwałych uszkodzeń - powiedziałem. - Nawet do uszkodzenia mózgu.

Skinął głową.

- Straciła dużo krwi. - Nie było to pytanie, ale odpowiedziałem i tak.

- Fakt.

- Wezwałem jednego człowieka z Bethesda - oznajmił Chutsky. - Będzie za parę godzin.

Nie bardzo wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Człowiek? Z Bethesda? Czy to dobra wiadomość, a jeśli tak, dlaczego? Nie przychodziło mi do głowy nic, co odróżniałoby Bethesda od Cleveland, oprócz tego, że jedno jest w Maryland, a drugie w Ohio. Kto miałby stamtąd przyjechać? I w jakim celu? Lecz nie mogłem odpowiednio sformułować pytania na ten temat. Mój mózg z jakiegoś powodu nie pracował ze swoją zwykłą zimną precyzją.

Dlatego tylko patrzyłem, jak Chutsky przysuwa do łóżka drugie krzesło, by usiąść i potrzymać Deborę za rękę. A kiedy już się usadowił, wreszcie spojrzął na mnie.

- Dexter - powiedział.

- Tak.

- Nie skołowałbyś kawy? I pączka czy czegoś takiego?

Tym pytaniem zaskoczył mnie zupełnie - nie dlatego, że był to tak dziwaczny pomysł, lecz dlatego, iż mi wydał się dziwny, choć tak naprawdę powinienem uznać go za najzwyklejszy pod słońcem. W końcu dawno minęła pora lunchu, a ja jeszcze nic nie jadłem ani nawet nie pomyślałem o jedzeniu. Tyle że w ustach Chutsky'ego sugestia ta zabrzmiała niestosownie; to tak, jakby ktoś zaśpiewał w kościele *Góralu, czy ci nie żal*.

Z drugiej strony, byłoby jeszcze dziwniej, gdybym wyraził obiekcje. Dlatego wstałem i powiedziałem:

- Zobaczę, co da się zrobić. - Po czym wyszedłem na korytarz.

Po kilku minutach wróciłem z dwoma kubkami kawy i czterema pączkami. Na progu przystanąłem, nie wiem, czemu, i zajrzałem do środka. Chutsky siedział pochylony, z zamkniętymi oczami, i przyciskał dłoń Debory do swojego czoła. Jego usta poruszały się, ale wszystko zagłuszał klekot aparatury. Modlił się? To byłoby najdziwniejsze ze wszystkiego. Może nie znałem go najlepiej, ale to, co o nim wiedziałem, nie pasowało do wizerunku człowieka, który się modli. Tak czy owak, był to krępujący widok, którego naprawdę

nie chciałem oglądać; czułem się, jakbym patrzył na osobę dłubiącą w nosie. Wchodząc, odchrząknąłem, ale Chutsky nie podniósł głowy.

Jasne, mogłem powiedzieć coś wesołego, żeby wyrwać go ze stanu religijnego uniesienia, ale na tym moje konstruktywne pomysły się wyczerpały. Usiadłem więc i wziąłem się do jedzenia pączków. Już kończyłem pierwszego, kiedy Chutsky wreszcie podniósł wzrok.

- Hej - rzucił. - Co masz?

Podąłem mu kawę i dwa pączki. Kubek wziął w prawą rękę, pączki nadział na hak.

- Dzięki - powiedział. Przytrzymał kawę między kolanami i odrzucił palcem pokrywkę. Ugryzł pączka. - Mmm - mruknął. - Nie jadłem lunchu. Czekałem na telefon od Debory, myślałem, że może zjem z wami. Ale... - urwał i wziął następny kęs pączka.

Jadł w ciszy przerywanej od czasu do czasu odgłosami siorbania kawy, więc skorzystałem z okazji, by dokończyć moje pączki. Potem obaj siedzieliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na Debore, jakby była naszym ulubionym programem telewizyjnym. Co pewien czas takie czy inne urządzenie wydawało dziwny dźwięk i zerkaliśmy na nie. Tak naprawdę jednak nie zmieniało się nic. Debora wciąż leżała z zamkniętymi oczami i oddychała powoli, nieregularnie, przy akompaniamencie respiratora sapiącego jak Darth Vader.

Siedziałem tak prawie godzinę i nie doznałem nagłego przypływu optymistycznych, pogodnych myśli. Z tego, co widziałem, Chutsky też nie. Nie zalał się, co prawda, łzami, ale był wyraźnie zmęczony, poszarzały na twarzy; nie widziałem go w tak kiepskiej formie od czasu, kiedy uratowałem go z rąk człowieka, który obciął mu dłoń i stopę. Ja zapewne wyglądałem niewiele lepiej, choć nie tym martwiłem się najbardziej, ani teraz, ani nigdy. Prawdę mówiąc, w ogóle rzadko się czymkolwiek martwiłem - owszem, planowałem i pilnowałem, by wszystko poszło jak należy w owe szczególne noce, Noce Dextera. Ale martwić się? To była reakcja emocjonalna, nie racjonalna, a taka nigdy dotąd nie zryła bruzdami mojego czoła.

A teraz? Dexter się martwił. Zaskakująco łatwo było podłapać ten nawyk. Od razu nabrałem w tym wprawy i z najwyższym trudem powstrzymywałem się, żeby nie obgryzać paznokci.

Oczywiście, że Debora wróci do zdrowia. Prawda? Słowa „za wcześniej, żeby wyrokować” zaczęły nabierać złowieszczej wymowy. Czy w ogóle mogłem w nie wierzyć? Czy lekarze nie mieli takiej formułki, standardowej procedury informowania ludzi o tym, że ich najbliżsi umierają albo wkrótce zostaną warzywami? Na początek uprzedzić, że być może coś jest nie tak - „za wcześniej, żeby wyrokować” - a potem stopniowo dać do zrozumienia, że jest źle i tak już zostanie.

Ale czy nie istniało prawo nakazujące lekarzom mówić prawdę o takich sprawach? Czy może dotyczyło to tylko mechaników samochodowych? Czy z medycznego punktu widzenia w ogóle istniało coś takiego jak prawda? Nie miałem pojęcia - znalazłem się na obcym gruncie i wcale mi się to nie podobało. Jednego mogłem być pewien: rzeczywiście było za wcześniej, żeby wyrokować, więc pozostawało mi tylko czekanie, a w tym, ku mojemu zaskoczeniu, wcale nie byłem tak dobry, jak mogło mi się wydawać.

Kiedy znów zaburczało mi w brzuchu, stwierdziłem, że musi już być wieczór, ale zegarek wskazywał kilka minut przed czwartą po południu.

Dwadzieścia minut później zjawił się Człowiek Chutsky'ego z Bethesda. Tak naprawdę nie wiedziałem, czego się spodziewać. Na pewno nie tego, co zobaczyłem. Przybysz miał jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, był łysy, brzuchaty, w grubych okularach w złotych oprawkach, i przyprowadził ze sobą dwóch lekarzy, którzy operowali Deborę. Podążali za nim jak pазie za królową balu i jeden przez drugiego wskazywali mu wszystko, co mogłoby sprawić mu przyjemność. Kiedy Człowiek wszedł, Chutsky zerwał się na nogi.

- Doktor Teidel!

Teidel skinął Chutsky'emu głową.

- Wynocha - rzucił i ruchem głowy wskazał również na mnie.

Chutsky przytaknął i złapał mnie za rękę. Kiedy wyciągał mnie z pokoju, Teidel i jego dwaj przyboczni już odkrywali Deborę, by ją zbadać.

- Ten facet jest najlepszy - powiedział Chutsky i choć nie sprecyzował, w czym jest on najlepszy, zakładałem, że ma to związek z medycyną.

- Co zrobi? - spytałem, a Chutsky wzruszył ramionami.

- Wszystko, co konieczne. Chodź, zjedzmy coś. Lepiej tego nie oglądać.

Nie zabrzmiało to budująco, ale Chutsky'emu wyraźnie było lżej ze świadomością, że Teidel wziął sprawy w swoje ręce, poszedłem więc z nim do małej, zatłoczonej kafejki na najniższym poziomie podziemnego parkingu. Ściśnięci przy stoliku w kącie jedliśmy nijakie kanapki i, choć nawet nie przyszło mi do głowy, by o to spytać, Chutsky zaczął opowiadać o lekarzu z Bethesda.

- Gość jest niesamowity - zapewnił. - Dziesięć lat temu poskładał mnie do kupy. Było ze mną dużo gorzej niż z Deborą, wierz mi, a on mnie załatał i przywrócił do stanu pełnej używalności.

- Co również jest istotne - stwierdziłem, a Chutsky skinął głową tak, jakby mnie słuchał.

- Słowo daję - przekonywał - nie ma lepszego od Teidela. Widziałeś, jak inni lekarze go traktowali?

- Jakby chcieli umyć mu nogi i obrać dla niego winogrona - zauważyłem.

Chutsky odpowiedział uprzejmym „he” i równie zdawkowym uśmiechem.

- Teraz już na pewno będzie dobrze - stwierdził. - Zobaczysz.

Ale czy próbował przekonać mnie, czy samego siebie, nie wiedziałem.

Kiedy wróciliśmy po posiłku, doktor Teidel był w pokoju dla personelu. Siedział przy stole i sączył kawę, co wydawało się dziwne i niestosowne, jak pies grający w karty. Jeśli Teidel był wysłannikiem niebios, jak mógł robić to samo, co zwykli ludzie? A kiedy weszliśmy i podniósł głowę, jego oczy były ludzkie, zmęczone i bynajmniej nie płonęły blaskiem bożego natchnienia, zaś pierwsze słowa, które wypowiedział, też nie napełniły mnie czcią.

- Jest za wcześnie, żeby mieć pewność - rzucił do Chutsky'ego i byłem mu wdzięczny za tę drobną wariację na temat standardowej lekarskiej mantry. - Prawdziwy punkt krytyczny jeszcze przed nami, wtedy wszystko może się zmienić. - Siorbnął kawę z kubka. - Jest młoda, silna. Mają tu świetnych lekarzy. Jesteście w dobrych rękach. Ale wszystko się jeszcze może zdarzyć.

- Czy może pan coś zrobić? - spytał Chutsky wielce niepewnym, pokornym tonem, jakby prosił Boga o nowy rower.

- To znaczy jakąś magiczną operację albo nowatorski, fantastyczny zabieg? - odrzekł Teidel. Napił się kawy. - Nie. Nic a nic. Trzeba czekać i tyle. - Zerknął na zegarek i wstał. - Spieszę się na samolot.

Chutsky wyskoczył naprzód i uściskał dłoń Teidela.

- Dziękuję, panie doktorze. Jestem naprawdę wdzięczny. Dzięki.

Teidel wyrwał rękę z uścisku Chutsky'ego.

- Proszę bardzo - powiedział i ruszył do drzwi.

Chutsky i ja odprowadziliśmy go wzrokiem.

- No, to mi ulżyło - westchnął Chutsky. - Sam fakt, że tu był, to wielka rzecz. - Zerknął na mnie, jakbym z niego zadrwił, i dodał: - Poważnie. Wyjdzie z tego.

Szkoda, że nie byłem tego tak pewny jak on. Nie wiedziałem, czy Debora z tego wyjdzie. Szczerze chciałem w to wierzyć, ale nie mam takiej wprawy w oszukiwaniu samego siebie jak większość

ludzi i nieraz już się przekonałem, że jeśli może być gorzej niż jest, to będzie.

Jednakże mówiąc coś podobnego na OIOM-ie, raczej nie zaskarbiłbym sobie sympatii, wymamrotałem więc coś stosownego i wróciliśmy dyżurować przy łóżku Debory. Wilkins wciąż czuwał przy drzwiach, stan mojej siostry najwyraźniej się nie zmienił i bez względu na to, jak długo tam siedzieliśmy i jak uważnie jej się przypatrywaliśmy, nie działo się nic oprócz szumu, trzaskania i pikania aparatury.

Chutsky patrzył na nią tak, jakby siłą woli chciał zmusić ją, by wstała i przemówiła. Nic z tego. Po pewnym czasie zwrócił wzrok na mnie.

- Złapali tego faceta, który to zrobił, prawda? - spytał

- Siedzi w areszcie - zapewniłem.

Chutsky skinął głową i przez chwilę miał minę, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. W końcu spojrzał w okno, westchnął i znów wbił wzrok w Debora.

Dexter znany jest wszem wobec ze swojego błyskotliwego, przenikliwego intelektu, ale dopiero przed północą wpadłem na to, że nie ma sensu siedzieć i gapić się na nieruchomą postać Debory. Jakoś nie zerwała się na równe nogi pod wpływem skupionego, godnego hipnotyzera spojrzenia Chutsky'ego, i jeśli wierzyć lekarzom, nie zanosilo się na to, by w najbliższym czasie miała zrobić to czy cokolwiek innego; a w takim razie rozsądek nakazywał, by zamiast tu tkwić, powoli zapadać się w podłogę i przeobrażać się w garbusa o przekrwionych oczach, lepiej dowlec się do łóżka i przespać choć kilka marnych godzin.

Chutsky nie miał nic przeciwko temu; machnął tylko ręką i mruknął coś o pilnowaniu interesu. Wytoczyłem się więc z OIOM-u w ciepłą, wilgotną noc w Miami. Była to miła odmiana po mechanicznym chłodzie szpitala i zatrzymałem się, by powdychać zapach roślinności i spalin. Na niebie unosił się wielki kawał złowrogiego, żółtego księżyca, i choć chichotał pod nosem, właściwie nie czułem jego przyciągania. W ogóle nie mogłem skupić myśli na radośnie komponującym się z nim blasku mieniącego się ostrza i szalonym tańcu mrocznej rozkoszy, za którym powinienem tęsknić. Nie teraz, kiedy Debora leżała nieruchomo w szpitalu. Nie sądziłem oczywiście, że byłoby

to niestosowne – po prostu tego nie czułem. Nie czułem nic prócz zmęczenia, otępienia i pustki.

Cóż, na otępienie i pustkę nic nie mogłem poradzić, Debory też nie mogłem wyleczyć, ale przynajmniej ze zmęczeniem dało się coś zrobić.

Pojechałem do domu.

Obudziłem się wcześniej, z nieprzyjemnym smakiem w ustach. Rita była już w kuchni i postawiła przede mną kawę, zanim zdążyłem usadowić się na krześle.

- Co z nią? – spytała.

- Za wcześniej, żeby wyrokować – odparłem. Skinęła głową.

- Zawsze tak mówią – stwierdziła.

Wziąłem wielki łyk kawy i znów wstałem.

- Lepiej sprawdzę, co u niej – powiedziałem. Porwałem mój telefon komórkowy ze stolika przy drzwiach wejściowych i zadzwoniłem do Chutsky'ego.

- Bez zmian – poinformował głosem ochrypłym ze zmęczenia. - Zadzwonię, jeśli coś się wydarzy.

Wróciłem do stołu kuchennego i usiadłem. Czułem się, jakbym sam w każdej chwili mógł zapaść w śpiączkę.

- Co powiedzieli? – spytała Rita.

- Bez zmian – odparłem i zwiesiłem głowę nad kubkiem kawy.

Kilka kubków kawy i sześć naleśników z jagodami pokrzepiło mnie na tyle, że byłem gotowy pojechać do pracy. Odsunąłem się więc od stołu, pożegnałem z Ritą i dziećmi i wyszedłem. Odbębnię swoje jak co dzień i pozwolę, by zwyczajny rytm mojego sztucznego życia wprowadził mnie w stan syntetycznego spokoju.

Ale i w pracy nie znalazłem schronienia, na które liczyłem. Ze wszystkich stron witały mnie współczujące, zafrasowane miny i ściszone głosy pytające „Co z nią?” Cały budynek wydawał się przesiąknięty duchem troski, korytarze rozbrzmiewały okrzykiem bojowym „Za wcześniej, żeby wyrokować!”. Nawet Vince Masuoka uległ temu nastrojowi. Przyniósł pączki – drugi raz w tym tygodniu! – i z czystego współczucia oraz życzliwości zachował dla mnie ten z kremem bawarskim.

- Co z nią? – spytał, podając mi pączka.

- Straciła dużo krwi - odparłem dla odmiany, żeby język nie stanął mi kołkiem od zbyt częstego powtarzania tego samego sformułowania.
- Leży na OIOM-ie.

- Ci z Jackson znają się na takich sprawach - stwierdził. - Mają na kim ćwiczyć.

- Wolałbym, żeby ćwiczyli na kimś innym - powiedziałem i zjadłem pączka.

Siedziałem na swoim krześle od niecałych dziesięciu minut, kiedy zadzwoniła do mnie asystentka kapitana Matthews, Gwen.

- Kapitan chce cię natychmiast widzieć - rzuciła.

- Taki piękny głos może należeć tylko do Gwen, tego promiennego anioła - powiedziałem.

- W tej chwili - odparła i odłożyła słuchawkę. Ja również.

Niecałe cztery minuty później byłem w sekretariacie kapitana i patrzyłem na Gwen we własnej osobie. Pracowała jako asystentka Matthews - kiedyś mówiło się „sekretarka” - od zawsze, a to z dwóch powodów: po pierwsze, była nadzwyczaj kompetentna, a po drugie, kompletnie nieatrakcyjna, dzięki czemu żadna z trzech żon kapitana nie mogła się do niej przyczepić.

Połączenie tych dwóch cech sprawiło, że i ja nie mogłem jej się oprzeć, i przy każdym spotkaniu frywolne żarciki same cisnęły mi się na usta.

- Ach, Gwendolyn - powiedziałem. - Słodka syreno z południowego Miami.

- On czeka - odparowała.

- Nieważne - rzekłem. - Odleć ze mną, a reszta życia upłynie nam na cudownej rozpuście.

- No już, wchodź - rzuciła i kiwnęła głową w stronę drzwi. - Jest w sali konferencyjnej.

Zakładałem, że kapitan chce oficjalnie wyrazić współczucie, i trochę mnie zdziwiło, iż postanowił to zrobić w sali konferencyjnej. Ale cóż, on był kapitanem, a Dexter małym zuczkiem, więc wszedłem do środka.

Kapitan Matthews rzeczywiście na mnie czekał. Stał tuż za drzwiami sali konferencyjnej i ledwie wszedłem, natychmiast do mnie przypadł.

- Morgan - zaczął - to tylko, ee... to nic oficjalnego, rozumiesz. - Machnął ręką i położył ją na moim ramieniu. - Pomóż nam, synu -

powiedział. – Chodzi o... no wiesz. – I bez dalszych surrealistycznych didaskaliów zaprowadził mnie do stołu.

Siedziało tam już kilka osób, z których większość rozpoznałem, i ich obecność nie wróżyła nic dobrego. Był Israel Salguero, szef wydziału wewnętrznego; nawet gdyby przyszedł sam, wiedziałbym, że jest źle. Ale nie przyszedł sam. Towarzyszyła mu Irene Cappuccio, którą znałem tylko z widzenia i ze słyszenia. Była kierowniczką działu prawnego, wzywaną tylko wtedy, kiedy ktoś wnosił przeciwko nam uzasadnioną i poważną skargę. Obok niej siedział inny prawnik, Ed Beasley.

Po drugiej stronie stołu był porucznik Stein, rzecznik prasowy, który specjalizował się w przeinaczaniu faktów w taki sposób, by pokazać, że policja to nie horda oszalałych Wizygotów. Nie było to towarzystwo, przy którym Dexter mógłby spokojnie rozsiąść się na krześle i czekać, aż spłynie na niego błogostan.

Miejsce obok Matthews'a zajmował nieznany mi osobnik i krój jego bez wątpienia drogiego garnituru jasno dawał do zrozumienia, że nie jest to glina. Był Murzynem z wyniosłą, ważną miną i ogoloną głową, błyszczącą tak intensywnie, jakby wysmarował ją sobie pastą do polerowania mebli. Gdy mu się przyglądałem, poruszył ręką i spod rękawa wyłoniły się duża brylantowa spinka do mankietu oraz piękny rolex.

– A więc – zaczął Matthews, podczas gdy ja stałem za krzesłem i usiłowałem stłumić narastający paniczny strach – co z nią?

– Za wcześnie, żeby wyrokować – powiedziałem.

Skinął głową.

– Cóż, jestem pewien, że my wszyscy, hm, życzymy jej jak najlepiej – rzekł. – Jest świetną funkcjonariuszką, a jej tata był, hm... to znaczy, twój tata też, oczywiście. – Odchrząknął i mówił dalej. – W Jackson, hm, mają najlepszych lekarzy i wiedz, że możesz liczyć na naszą pomoc, hm... – Jego sąsiad zerknął na niego, potem na mnie i Matthews skinął głową. – Usiądź – poprosił.

Odsunąłem nogą krzesło i usiadłem. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, ale byłem w stu procentach pewien, że to mi się nie spodoba.

A kapitan Matthews natychmiast utwierdził mnie w tym przekonaniu.

- To nieformalna rozmowa - oświadczył. - Chodzi tylko o to, żeby, ee... ehm...

Nieznajomy zgromił kapitana srogim spojrzeniem swoich wielkich oczu, po czym odwrócił się do mnie.

- Reprezentuję Aleksa Doncevicia - zaczął.

To nazwisko zupełnie nic mi nie mówiło, a najwyraźniej powinno, sądząc po tym, jak gładko i pewnie je wypowiedział. Pokiwałem więc głową i odparłem:

- Ach tak.

- Po pierwsze - podjął - domagam się jego natychmiastowego zwolnienia. A po drugie... - Tu zawiesił głos, pewnie po to, żeby było dramatyczniej i żeby dać wyraz wzbierającemu w nim słusznemu gniewowi. - Po drugie - zagrzmiął, jakby przemawiał na wiecu - zastanawiamy się nad wytoczeniem sprawy o odszkodowanie.

Zamrugalem. Wszyscy na mnie patrzyli. Najwyraźniej byłem ważnym uczestnikiem niezbyt miłego zdarzenia, ale naprawdę nie miałem pojęcia, o co chodzi.

- To przykre - powiedziałem.

- Słuchaj - wtrącił Matthews - to tylko nieoficjalna, wstępna rozmowa. Obecny tu pan Simeon, hm... jest bardzo szanowaną osobą w społeczności. Naszej społeczności - sprecyzował.

- A jego klient został aresztowany pod zarzutem kilku poważnych przestępstw - dodała Irene Cappuccio.

- Bezprawnie - rzucił Simeon.

- To się jeszcze okaże - mruknęła Cappuccio. Skinęła na mnie głową.
- Pan Morgan może rzucić na to trochę światła.

- W porządku - rzekł Matthews. - Nie bądźmy, hm... - Położył dłonie płasko na stole konferencyjnym. - Najważniejsze, żebyśmy, hm, Irene?

Cappuccio skinęła głową i spojrzała na mnie.

- Może nam pan powiedzieć, co dokładnie zaszło wczoraj, tuż przed napadem na detektyw Morgan?

- Irene, dobrze wiesz, że w sądzie to by nie przeszło - powiedział Simeon. - Napad? Bądźmy poważni.

Cappuccio patrzyła na niego zimnym, nieruchomym wzrokiem, jak się zdawało, bardzo długo, choć tak naprawdę trwało to może dziesięć sekund.

- No dobrze - odezwała się, odwracając się do mnie. - Tuż zanim jego klient ugodził nożem Deborę Morgan. Chyba nie zaprzeczysz, że to zrobił, prawda? - spytała Simeona.

- Posłuchajmy, co się stało - powiedział Simeon z cierpkim uśmiechem.

Cappuccio skinęła mi głową.

- Proszę bardzo - rzuciła. - Niech pan zacznie od początku.

- Cóż - wymamrotałem i na razie tylko tyle mogłem z siebie wydobyć. Czuję na sobie spojrzenia; wiedziałem, że czas płynie, ale nie przychodziło mi do głowy nic bardziej przekonującego. Miło było wreszcie się dowiedzieć, kim jest Alex Doncević; zawsze dobrze jest znać nazwiska ludzi, którzy dźgają nożem członków twojej rodziny.

Tyle że kimkolwiek był, nie figurował na liście, którą sprawdzaliśmy z Deborą. Zapukała do tych drzwi, bo szukała kogoś nazwiskiem Brandon Weiss...

...i dostała nożem od kogoś zupełnie innego, kto na sam widok jej odznaki wpadł w taką panikę, że chciał uciec i posunął się do próby zabójstwa?

Dexter nie wymaga, by świat rządził się rozumem. W końcu żyję tu dość długo, by wiedzieć, że logika to towar deficytowy. To jednak miało sens, tylko gdyby przyjąć, że jeśli zapukasz do losowo wybranych domów w Miami, jedna osoba na trzy, które otworzą, gotowa będzie cię zabić. I choć hipoteza ta miała ogromny urok, nie wydawała się wielce prawdopodobna.

Co więcej, w tej chwili ważniejszy był fakt, że Doncević pchnął Deborę nożem, niż pytanie, dlaczego to zrobił. Po co jednak zwoływać z tego powodu tak dostojne grono, nie miałem pojęcia. Matthews, Cappuccio, Salguero - ci ludzie nie spotykali się codziennie przy kawie.

Domyśliłem się więc, że dzieje się coś nieprzyjemnego i że od tego, co powiem, zależy, jak bardzo będzie to nieprzyjemne. Ponieważ jednak nie wiedziałem, o co tak naprawdę chodzi, nie miałem pojęcia, co należy powiedzieć. Było zbyt wiele informacji, które nijak nie trzymały się kupy, i nawet mój wszechpotężny mózg sobie nie radził. Odchrząknąłem, by zyskać na czasie, ale dało mi to raptem kilka sekund i gdy minęły, wszyscy wciąż na mnie patrzyli.

- Cóż - powtórzyłem. - Hm, od początku? To znaczy, ee...

- Pojechaliście przesłuchać pana Doncevicia - odpowiedziała mi Cappuccio.

- Nie, hm... nie do końca.

- Nie do końca - powiedział Simeon, jakby któryś z nas nie rozumiał tych słów. - Co to właściwie znaczy „nie do końca”?

- Pojechaliśmy przesłuchać człowieka nazwiskiem Brandon Weiss - wyjaśniłem. - Otworzył Doncevic.

Cappuccio skinęła głową.

- Co powiedział, kiedy sierżant Morgan się wylegitymowała?

- Nie wiem - odparłem.

Simeon zerknął na Cappuccio.

- Obstrukcja - odezwała się bardzo głośnym szeptem. Zbyła go machnięciem ręki.

- Panie Morgan. - Zerknęła w rozłożone przed nią akta. - Dexter. - Spojrzała na mnie z lekkim drgnieniem ust, które zapewne stanowiło jej wersję serdecznego uśmiechu. - Nie zeznajesz pod przysięgą, nic ci nie grozi. Chcemy tylko ustalić, co zaszło przed samym napadem.

- Rozumiem - odrzekłem. - Ale ja byłem w samochodzie.

Simeon wyprężył się jak struna.

- W samochodzie - skomentował. - Nie pod drzwiami z sierżant Morgan.

- Zgadza się.

- Czyli nie słyszał pan, co zostało bądź nie zostało powiedziane. - Uniósł brew tak wysoko, że można by ją wziąć za mały tupecik na tej lśniącej łysej głowie.

- Zgadza się.

Cappuccio wychyliła się w moją stronę.

- Ale zeznałeś, że sierżant Morgan się wylegitymowała.

- Tak - potwierdziłem. - Widziałem ją.

- Siedząc w samochodzie, który jak daleko stał? - odparł Simeon. - Wiecie, co mógłbym zrobić z tym w sądzie?

Matthews odkaszlnął.

- Nie bądźmy, ee... Sąd to nie, hm, nie musimy zakładać, że to się skończy w sądzie - powiedział.

- Byłem dużo bliżej, kiedy zaatakował mnie - dodałem w nadziei, że to choć trochę pomoże.

Ale Simeon zbył mnie machnięciem ręki.

- Obrona własna - orzekł. - Jeśli nie wylegitymowała się jak należy, miał święte prawo się bronić!

- Wylegitymowała się, jestem tego pewien - odparłem.

- Nie można być tego pewnym; nie z odległości piętnastu metrów! - rzucił Simeon.

- Widziałem to - oznajmiłem i miałem nadzieję, że nie zabrzmiało to tak, jakbym marudził. - Poza tym Debora nigdy by o tym nie zapomniała; zna właściwą procedurę, odkąd nauczyła się chodzić.

Simeon pogroził mi bardzo długim palcem wskazującym.

- A to jeszcze jeden szczegół, który mi się nie podoba. Co pana łączy z sierżant Morgan?

- Jest moją siostrą - odparłem.

- Pańską siostrą - powtórzył i w jego ustach zabrzmiało to jak „pańską nikkzemną pomagierką”. Teatralnie pokręcił głową i rozejrzał się po sali. Uwaga wszystkich bezapelacyjnie skupiała się na nim i wyraźnie był z tego zadowolony. - Coraz lepiej - powiedział z uśmiechem o wiele ładniejszym od uśmiechu Cappuccio.

Salguero po raz pierwszy zabrał głos.

- Debora Morgan ma czystą kartotekę. Pochodzi z policyjnej rodziny, jest i zawsze była czysta pod każdym względem.

- To, że rodzina jest policyjna, nie znaczy, że jest czysta - podsumował Simeon. - Policjanci kryją się nawzajem i dobrze o tym wiecie. To oczywiste, że mamy tu do czynienia z działaniem w obronie własnej, nadużyciem władzy i próbą tuszowania faktów. - Wyrzucił ręce do góry. - Rzecz jasna nigdy nie poznamy całej prawdy w obliczu tej iście bizantyjskiej sieci powiązań rodzinnych i zawodowych. Chyba trzeba się będzie zdać na sąd.

Po raz pierwszy odezwał się Ed Beasley - szorstko, bez popadania w histerię tak, że zapragnąłem serdecznie uścisnąć mu dłoń.

- Policjantka jest na intensywnej terapii - powiedział. - Dlatego że twój klient przebił ją nożem. Nie potrzebujemy sądu, żeby to ustalić, Kwami.

Simeon pokazał Beasleyowi wyszczerzone białe zęby.

- Może i nie, Ed - odrzekł. - Ale mój klient ma taką możliwość. Przynajmniej dopóki nie obalicie konstytucji.

Wstał.

- Tak czy owak - dodał - myślę, że to wystarczy, by załatwić mojemu klientowi zwolnienie za kaucją. - Kiwnął głową Cappuccio i wyszedł.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Matthews odchrząknął.

- Wypuszczą go, Irene?

Cappuccio złamała ołówek, który trzymała w dłoniach.

- Jeśli trafi na odpowiedniego sędziego, owszem - oceniła. - Prawdopodobnie.

- Klimat polityczny nie jest korzystny - zauważył Beasley. - Simeon może tę sprawę rozgrzebać i narobić smrodu. A na to nie możemy sobie pozwolić.

- No dobrze, ludzie - rzucił Matthews. - Przygotujmy się na najgorsze. Poruczniku Stein, do roboty. Jeszcze przed południem chcę mieć na biurku coś dla prasy.

Stein skinął głową.

- Rozumiem - odrzekł.

Israel Salguero wstał.

- Ja też mam co robić, kapitanie - powiedział. - Wydział wewnętrzny musi niezwłocznie wszcząć dochodzenie w sprawie postępowania sierżant Morgan.

- W porządku - rzucił Matthews i spojrzał na mnie. - Morgan. - Pokręcił głową. - Szkoda, że nie byłeś trochę bardziej pomocny.

I tak oto Alex Doncević wyszedł na wolność, zanim Debora zdążyła odzyskać przytomność. A dokładnie, opuścił areszt o siedemnastej siedemnastcie tego popołudnia, zaledwie godzinę i dwadzieścia cztery minuty po tym, jak po raz pierwszy otworzyła oczy.

Dowiedziałem się o tym od Chutsky'ego, który natychmiast zadzwonił do mnie, tak podekscytowany, jakby przepłynęła kanał La Manche, holując fortepian.

- Wylize się z tego, Dex - stwierdził. - Otworzyła oczy i spojrzała prosto na mnie.

- Powiedziała coś? - spytałem.

- Nie - odparł. - Ale ścisnęła moją dłoń. Wszystko będzie dobrze.

Wciąż nie byłem przekonany, czy mrugnięcie oczu i uścisk dłoni to pewne oznaki rychłego wyzdrowienia, ale miło było słyszeć, że jej stan się poprawił. Tym bardziej że musi być w pełni przytomna, by stawić czoła Israelowi Salguero i wydziałowi wewnętrznemu.

A dokładny czas wyjścia Doncevicia z aresztu znałem, bo między spotkaniem w sali konferencyjnej a telefonem od Chutsky'ego podjąłem decyzję.

Dexter nie żywi złudzeń; jak mało kto wie, że życie nie jest sprawiedliwe. Ludzie wymyślili pojęcie sprawiedliwości, bo chcieli dać wszystkim równe szanse w grze i zmusić drapieżców do nieco większego wysiłku. I bardzo dobrze. Lubię wyzwania.

Ale choć życie nie jest sprawiedliwe, Prawo i Porządek powinny takie być. A myśl, że Doncević wyjdzie na wolność, podczas gdy Debora gnije w szpitalu podłączona do tyłu rurek, wydawała się jakoś strasznie... no dobrze, nie bójmy się tego słowa: to było po prostu niesprawiedliwe. To znaczy jestem pewien, że można to określić inaczej, ale Dexter nie zamierzał robić uników tylko dlatego, że ta prawda, jak to z prawdami zwykle bywa, była dość nieprzyjemna. A owo bolesne poczucie niesprawiedliwości kazało mi się zastanowić, co mogę zrobić, żeby przywrócić właściwy porządek rzeczy.

Rozmyślałem nad tym przez kilka godzin podczas rutynowej papierkowej roboty, przy trzech kubkach dość okropnej kawy. Rozmyślałem podczas raczej marnego lunchu w knajpcie rzekomo specjalizującej się w kuchni śródziemnomorskiej, co mogło być prawdą, jeśli przyjąć, że czerstwy chleb, zakrzepły majonez i tłuste wędliny to śródziemnomorskie specjały. A potem rozmyślałem jeszcze przez kilka minut spędzonych na przesuwaniu rzeczy na biurku w moim małym boksie.

I wreszcie gdzieś w oparach mgły spowijającej nadwątłony umysł Dextera rozbrzmiał cichy, mały gong. „Bang”, brzęknął cicho i Przyćmioną Mózgownicę Dextera powoli zalało szemrane światło.

Dostałem burę za to, że nie byłem dość pomocny, i chyba w pełni na nią zasłużyłem. Dexter rzeczywiście nie był pomocny - dąsał się w samochodzie, kiedy Deb została raniona, a potem nie obronił jej przed napaścią ze strony adwokata o błyszczącej głowie.

Za to teraz mogłem pomóc, i to bardzo, wykorzystując moje niezwykle umiejętności. Jednym ruchem - albo kilkoma, jeśli będę w nastroju do harców - mogłem rozwiązać całą garść problemów: Debory, policji i, co najważniejsze, moich własnych. Wystarczyło, żebym się odprężył, był sobą, czyli wspaniałym, wyjątkowym Dexterem, i pomógł jakże na to zasługującemu Doncevicowi zrobić rachunek sumienia.

Wiedziałem, że Doncević jest winny - widziałem na własne oczy, jak pchnął Deborę nożem. I było wielce prawdopodobne, że to on zabijał i upozował ciała, które wywołały takie poruszenie i szkodziły tak ważnej dla naszego stanu branży turystycznej. Usunięcie Doncevicia było w zasadzie moim obywatelskim obowiązkiem. A jeśli zwolniony za kaucją zniknie, wszyscy uznają, że uciekł. Łowcy nagród będą próbowali go znaleźć, ale nikt się nie zmartwi, jeśli im się nie uda.

To rozwiązanie wydało mi się wysoce satysfakcjonujące: przyjemnie, kiedy wszystko się tak zgrabnie układa, i ta schludność przypadła do gustu mojemu wewnętrznemu potworowi, temu czyścioszkowi, który lubi, gdy wszelkie problemy starannie zapakowane do worków lądują za burtą. Poza tym tak było sprawiedliwie.

Znakomicie: będzie okazja bliżej poznać się z Alekssem Doncevicem.

Na początek sprawdziłem w sieci jego status, a odkąd stało się jasne, że wkrótce wyjdzie za kaucją, zaglądałem do jego kartoteki co piętnaście minut. O szesnastej trzydzieści dwie związana z nimi papierkowa robota dobiegała końca, więc niespiesznie zszedłem na parking i podjechałem pod wejście do aresztu.

Dotarłem tam w samą porę i, jak się okazało, uprzedziło mnie mnóstwo ludzi. Simeon miał smykałkę do organizowania imprez, zwłaszcza z udziałem prasy, i przed aresztem kłębił się wielki, oszalały tłum; furgonetki, anteny satelitarne i cudne fryzury walczyły o każdy skrawek wolnej przestrzeni. Kiedy Doncević wyszedł pod rękę z Simeonem, rozbrzmiały trzaski aparatów fotograficznych i stłumione łupnięcia łokci torujących drogę ich właścicielom, po czym tłum rzucił się naprzód jak sfora psów na surowe mięso.

Patrzyłem z samochodu, jak Simeon wygłasza długie i wzruszające oświadczenie, odpowiada na kilka pytań, a potem przeciska się przez tłum, ciągnąc za sobą Doncevicia. Wsiadli do czarnego lexusa, miejskiej terenówki, i odjechali, a ja po chwili ruszyłem za nimi.

Śledzić inny samochód jest względnie łatwo, zwłaszcza w Miami, gdzie zawsze jest ruch, a kierowcy nigdy nie zachowują się racjonalnie. Teraz, w godzinach szczytu, było to szczególnie widoczne. Wystarczyło zachować pewien dystans, parę samochodów za lexusem. Simeon nie zdradzał żadnych oznak, że podejrzewa, iż ktoś go śledzi. Oczywiście, nawet gdyby mnie wypatrzył, uznałby, że jestem reporterem liczącym na nieupozowaną fotkę Doncevicia wylewającego łzy wdzięczności, więc najwyżej postarałby się, aby aparat uchwycił jego lepszy profil.

Pojechałem za nimi przez całe miasto na North Miami Avenue, a kiedy skręcili w Czterdziestą, zostałem trochę z tyłu. Byłem prawie pewien, że wiem, dokąd zmierzają, i rzeczywiście, Simeon zatrzymał się przed domem, w którym Debora poznała mojego nowego przyjaciela Doncevicia. Pojechałem dalej, okrążyłem kwartał i wróciłem do punktu wyjścia w porę, by zobaczyć, jak Doncević wysiada z lexusa i idzie do budynku.

Szczęśliwie dla mnie, znalazłem wolne miejsce parkingowe, z którego mogłem obserwować drzwi domu. Zatrzymałem wóz, zgasiłem silnik i czekałem na ciemność, która jak zawsze miała zastać Dextera gotowego na jej nadejście. Szczególnie dziś, po tak długim,

monotonnym pobycie w świecie dnia, gotowego połączyć się z nią, radować się jej słodką, drapieżną muzyką i zagrać parę akordów własnego menueta. Złapałem się na tym, że poganiam ociężałe, powoli opadające słońce, by zaszło szybciej; że już nie mogę doczekać się nocy. Czuję, jak się ku mnie przybliża, pochyla nade mną, napęnia mnie; czuję, jak rozpościera swoje skrzydła, rozmasowuje zastygłe od długiej beczynności mięśnie i czai się do skoku...

Zadzwoiła moja komórka.

- To ja - odezwała się Rita.

- Nie wątpię - odparłem.

- Chyba mam dobre... co powiedziałeś?

- Nic. Co masz dobrego?

- Że co? - zdziwiła się. - Aha... bo myślałam o tym, o czym rozmawialiśmy. No wiesz, o Codym.

Wróciłem myślami z pulsującej ciemności, którą podsycalem, i spróbowałem sobie przypomnieć, czego dotyczyła nasza rozmowa o Codym. Zdaje się, że chodziło o to, by pomóc mu wyjść z jego skorupy, ale przypomniałem sobie, że niczego nie ustaliliśmy i skończyło się na paru mglistych banałach mających uspokoić Ritę i pozwolić mi ostrożnie wprowadzać Cody'ego na Drogę Harry'ego. Powiedziałem więc tylko:

- Aha. No i? - w nadziei, że wyciągnę z niej coś bardziej konkretnego.

- Bo właśnie rozmawiałam z Susan. No wiesz, tą ze Sto Trzydziestej Siódmej. Co ma takiego dużego psa - wyjaśniła.

- Tak - powiedziałem. - Psa kojarzę. - I rzeczywiście tak było. Nienawidził mnie, jak wszystkie zwierzęta domowe. W odróżnieniu od swoich właścicieli zawsze dostrzegają moje prawdziwe oblicze.

- No i jej syn, Albert, jest w zuchach i bardzo mu się podoba. Pomyślałam sobie, że to może dobrze zrobić Cody'emu.

W pierwszej chwili uznałem, że nie miało to najmniejszego sensu. Cody? Zuchem? Wydawało się, że to tak jakby poczęstować Godzillę herbatą i kanapkami z ogórkiem. Ale kiedy zacząłem się jąkać, szukając odpowiedzi, która nie byłaby ani kategorycznym sprzeciwem, ani wybuchem histerycznego śmiechu, niespodziewanie zrozumiałem, że to całkiem niegłupi pomysł. Nawet więcej niż niegłupi - to był

pomysł doskonały, idealnie współgrający z planem, by nauczyć Cody'ego, jak upodobnić się do dzieci rasy ludzkiej. I tak oto, rozdarty między poirytowanym sprzeciwem a entuzjastyczną aprobatą, głośno i wyraźnie powiedziałem:

- Askacitono jasne.

- Dexter, dobrze się czujesz? - spytała Rita.

- No bo... zaskoczyłaś mnie - wyjaśniłem. - Jestem trochę zajęty. Ale myślę, że to świetny pomysł.

- Serio?

- Zdecydowanie - zapewniłem. - To coś w sam raz dla niego.

- Miałam nadzieję, że tak powiesz - odparła. - Ale potem pomyślałam, sama nie wiem. A co jeśli... to znaczy, naprawdę tak uważasz?

Naprawdę tak uważałem i w końcu zdołałem ją o tym przekonać. Zajęło mi to jednak kilka minut, gdyż Rita potrafi mówić bez łapania tchu i, dość często, nie kończąc zdań, a na każde moje słowo odpowiadała kilkunastoma, z reguły zupełnie ze sobą niezwiązanymi.

Kiedy mi wreszcie uwierzyła i rozłączyłem się, na zewnątrz trochę pociemniało, za to mrok we mnie, niestety, zrzędął. Pierwsze nuty *Tanecznej Suity* Dextera zostały przytłumione; ścieżka dźwiękowa Rity skutecznie zagłuszyła narastającą niecierpliwość. Ale ona powróci. Byłem tego pewien.

Tymczasem, żeby się czymś zająć, zadzwoniłem do Chutsky'ego.

- Cześć stary - powiedział. - Kilka minut temu znów otworzyła oczy. Lekarze uważają, że zaczyna odzyskiwać świadomość.

- To wspaniale - odparłem. - Niedługo wpadnę. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

- Było paru ludzi od was - poinformował. - Znasz Israela Salguero?

Ulicą obok mnie przejechał rower. Rowerzysta potracił moje boczne lusterko i pomknął dalej.

- Tak - odparłem. - Był tam?

- Uhm - mruknął Chutsky. - Był. - Zamilkł, jakby czekał, aż coś powiem. Niewiele mi przychodziło do głowy, więc w końcu dodał: - Dziwny jakiś.

- Znał naszego ojca - powiedziałem.

- Nie w tym rzecz - odparł.

- Hm. Jest z wydziału wewnętrznego. Prowadzi dochodzenie w sprawie postępowania Debory.

Chutsky przez chwilę wymownie milczał.

- Jej postępowania - odezwał się w końcu.

- Tak.

- Dostała nożem.

- Adwokat twierdzi, że to było w obronie własnej.

- Skurwiel - podsumował.

- Na pewno nie ma powodu do obaw - stwierdziłem. - Taki jest regulamin. Musi zbadać sprawę.

- Cholerny skurwiel - dorzucił Chutsky. - Po co tu przyłazi, kiedy ona jest w śpiączce?

- Zna Deboreę od lat - wyjaśniłem. - Pewnie chciał tylko zobaczyć, co się z nią dzieje.

Nastąpiła bardzo długa pauza, po czym Chutsky powiedział:

- No dobra, stary. Skoro tak twierdzisz. Ale następnym razem raczej go nie wpuszczę.

Tak naprawdę nie byłem pewien, czy hak Chutsky'ego dałby skuteczny odpór niewzruszonej pewności siebie Salguero, ale coś mi mówiło, że byłby to ciekawy pojedynek. Chutsky, przy całej swojej fanfaronadzie i sztucznej pogodzie ducha, był zimnym mordercą. Ale Salguero służył w wydziale wewnętrznym od lat, co czyniło go praktycznie kuloodpornym. Przyszło mi do głowy, że transmisja takiej walki mogłaby mieć sporą oglądalność. Uznałem jednak, że pewnie lepiej będzie zachować ten pomysł dla siebie, więc powiedziałem tylko:

- Dobrze. Na razie. - I rozłączyłem się.

I tak oto, załatwiwszy wszelkie błahe ludzkie sprawy, znów zacząłem czekać. Przejeżdżały samochody. Chodnikiem przechodzili ludzie. Zachciało mi się pić i na podłodze z tyłu znalazłem pół butelki wody. Aż wreszcie zrobiło się zupełnie ciemno.

Zaczekałem jeszcze chwilę, by mrok szczelnie okrył i miasto, i mnie. Przyjemnie było otulić się zimnym, wygodnym płaszczem nocy, więc czekałem z rosnącym zniecierpliwieniem, podsycanym słowami zachęty szeptanymi przez Mrocznego Pasażera, który nalegał, bym usunął się na bok i oddał mu kierownicę.

I wreszcie to zrobiłem.

Schowałem do kieszeni starannie zawiązaną pętlę z nylonowej żyłki i rolkę taśmy samoprzylepnej – jedyne przybory, które miałem w samochodzie – i wysiadłem.

Ale wtedy zawahałem się: zbyt dużo czasu upłynęło od ostatniego razu, Dexter o wiele za długo nie wypełniał swoich obowiązków. Nie przeprowadziłem rozpoznania, a to niedobrze. Co gorsza, nie miałem planu. Nie wiedziałem, co znajduje się za tymi drzwiami ani co zrobię, gdy dostanę się do środka. Przez chwilę stałem niepewnie obok samochodu i zastanawiałem się, czy dam radę zaimprovizować cały taniec. Wahanie przeżarło moją zbroję i sprawiło, że stałem na jednej nodze w niebezpiecznym mroku, nie wiedząc, jak zrobić ten pierwszy świadomy krok.

Ale to było głupie, żalosne i niewłaściwe – i zupełnie nie w stylu Dextera. Prawdziwy Dexter żył w Mroku, ożywał się pośród wyrazistej nocy, czerpał radość z atakowania w ciemności. Któż stoi tu i się waha? Dexter nie wie, co to rozterki.

Spojrzałem w ciemne niebo i odetchnąłem nocnym powietrzem. Już lepiej: widać było tylko skrawek zgniłozółtego księżycy, ale otworzyłem się na niego, a on zawył do mnie i noc zadudniła w moich żyłach, zapulsowała w czubkach palców i zaśpiewała na mocno napiętej skórze szyi, a ja poczułem, że wszystko się zmienia, wszystko znów przeobraża się w to, czym musimy być, by zrobić to, co zamierzamy, i oto byliśmy gotowi.

To już, to ta noc, to Taniec Demona Dextera i kroki przyjdą same, nasze nogi są do tego stworzone.

I czarne skrzydła wysunęły się z głębokiego ukrycia, rozpostarły na nocnym niebie i poniosły nas naprzód.

Wśliznęliśmy się w noc i uważnie zlustrowaliśmy teren. Na drugim końcu ulicy był zaułek i tamtędy weszliśmy głębiej w ciemność, a potem odbiliśmy w bok, na tyły budynku Doncevicia. Była tam zadaszona, dobrze zamaskowana rampa, przy której stała zdezelowana furgonetka – i Pasażer natychmiast powiedział mi oschłym szeptem: „Zobacz, tędy wynosił ciała, stąd zawoził je w miejsca, gdzie robił z nich dekoracje. I niedługo podzieli ich los”.

Zrobiliśmy kółko po okolicy i nie znaleźliśmy nic niepokojącego. Etiopska restauracja za rogiem. Głośna muzyka trzy domy dalej. Aż wreszcie znów stanęliśmy pod drzwiami i zadzwoniliśmy. Otworzył i przez chwilę był zaskoczony, zanim do niego przypadliśmy, zaciągnęliśmy mu pętlę na szyi, rzuciliśmy go twarzą na podłogę, taśmą zakleiliśmy mu usta i skrępowaliśmy ręce oraz nogi. Kiedy był już unieruchomiony i uciszony, pospiesznie przeszukaliśmy dom. Nie znaleźliśmy nikogo, za to zwróciliśmy uwagę na kilka ciekawych przedmiotów: bardzo porządne narzędzia, które trzymał w łazience, przy ogromnej wannie. Były tam piły, nożyce do blachy i inne cudowne Zabawki Dextera, a tuż obok było białe porcelanowe tło z amatorskiego filmu, który oglądaliśmy w Izbie Turystycznej, i te dowody w pełni nam wystarczyły, zwłaszcza w tę noc zaspokojenia pilnej potrzeby. Doncević był winny. Stał wcześniej tu, na tych płytkach, z tymi narzędziami w rękach, i robił rzeczy niewyobrażalne - takie same, o których myśleliśmy teraz i które my zrobimy jemu.

Zawlekliśmy go do łazienki, włożyliśmy do wanny i znów znieruchomiiliśmy na krótką chwilę. Bardzo cichy, ale natarczywy szept sugerował, że nie wszystko jest w porządku, i przyprawiał o ciarki, które szły w górę pleców i docierały aż do zębów. Przewróciliśmy Doncevicia na brzuch i szybko przeszukaliśmy dom raz jeszcze. Nie znaleźliśmy nikogo ani niczego, wszystko było jak należy i słaby szept ucichł, zagłuszony donośnymi żądaniem Mrocznego Kierowcy, żebyśmy wrócili do przerwanej Tańca z Doncevicem.

Poszliśmy więc do łazienki i wzięliśmy się do pracy. Trochę się spieszyliśmy, bo byliśmy w nieznanym miejscu, w zasadzie bez żadnego przygotowania, a także dlatego, że Doncević powiedział coś dziwnego, zanim na dobre odebraliśmy mu dar mowy. „Uśmiechnij się” - rzucił, co nas rozzłościło i wkrótce nie był już w stanie jasno się wysławiać. Byliśmy jednak skrupulatni, o tak, i kiedy skończyliśmy, czuliśmy sporą satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Poszło jak z płatka i zrobiliśmy wielki krok na drodze do przywrócenia właściwego porządku rzeczy.

Szło nam gładko aż do samego końca, kiedy zostało już tylko kilka worków ze śmieciami i jedna kropelka krwi Doncevicia na szkiełku, które miało trafić do mojej palisandrowej skrzynki.

A ja, jak zawsze, po wszystkim poczułem się dużo lepiej.

Dopiero następnego ranka wszystko zaczęło się sypać.

Do pracy poszedłem niewyspany, ale zadowolony z wypełnienia radosnego obowiązku. Właśnie usiadłem z kubkiem kawy, żeby rzucić się na stertę papierów, kiedy Vince Masuoka wsadził głowę przez drzwi.

- Dexter - powiedział.

- Jedyne i niepowtarzalny - rzuciłem z należytą skromnością.

- Słyszałeś? - spytał z irytującym uśmiechem mówiącym „założę się, że nie”.

- Tyle rzeczy słyszę, Vince - stwierdziłem. - O którą ci chodzi?

- Raport z sekcji - odparł. A ponieważ wyraźnie zależało mu na tym, by denerwować mnie tak bardzo i tak długo, jak się da, nie zdradził nic więcej, tylko patrzył na mnie wyczekująco.

- No dobrze, Vince - powiedziałem w końcu. - Co to za raport z sekcji, o którym nie słyszałem, a który całkowicie zmieni mój sposób patrzenia na świat?

Zmarszczył brwi.

- Że co? - spytał.

- Mówię, że nie, nie słyszałem. Proszę, oświeć mnie.

Pokręcił głową.

- Nie, chyba nie to mówiłeś - stwierdził. - Nieważne. Pamiętasz te dziwne, upozowane trupy, wypchane owocami i takimi tam?

- W South Beach i Fairchild Gardens? - upewniłem się.

- No - potwierdził. - A więc przywożą je do prosektorium na sekcję, a lekarz sądowy mówi: „O, super, znalazły się”.

Nie wiem, czy zauważyliście, ale dwoje ludzi może z powodzeniem prowadzić rozmowę, nawet gdy nie mają bladego pojęcia, o czym właściwie mówią. I najwyraźniej wdałem się w taką właśnie enigmatyczną pogawędkę, bo na razie nie wyniosłem z niej nic oprócz poczucia głębokiego rozdrażnienia.

- Vince - powiedziałem - proszę, wyjaśnij mi w prostych, żołnierskich słowach, o co chodzi, zanim będę musiał połamać ci krzesło na głowie.

- Chodzi o to - zaczął i wreszcie usłyszałem coś, co było zgodne z prawdą i zrozumiałe - że jak lekarz sądowy zobaczył te cztery trupy, to powiedział, ktoś je wcześniej wykradł, a teraz się znalazły.

Świat jakby lekko przechylił się na bok i wszystko przesłoniła gęsta szara mgła, która utrudniała oddychanie.

- Ktoś ukradł trupy z prosektorium? - wykrztusiłem.

- No.

- To znaczy, już nie żyli, gdy ktoś ich zabrał, a potem zrobił z nimi te dziwne rzeczy?

Skinął głową.

- O takim wariactwie jeszcze nie słyszałem - przyznał. - To znaczy, żeby wykradać trupy z prosektorium? I tak się nimi bawić?

- Ale ten, kto to zrobił, nie zabił ich - stwierdziłem.

- Nie, zginęli w wypadkach i leżeli sobie spokojnie na stołach sekcyjnych.

Wypadek to takie okropne słowo. Zawiera w sobie wszystko, z czym walczę całe życie; oznacza coś nieprzewidywalnego, nieestetycznego, nieplanowanego, a tym samym niebezpiecznego. Jest to zarazem coś, co pewnego dnia mnie zgubi, bo choćbym nie wiadomo jak się starał, zawsze może zdarzyć się jakiś wypadek, a w tym świecie rządzonym przez ślepy traf zwykle się zdarza.

No i właśnie się zdarzył. Ostatniej nocy wypchałem kilka worków na śmieci kimś, kto w gruncie rzeczy był niewinny.

- Czyli to nie było morderstwo - powiedziałem.

Wzruszył ramionami.

- Ale mimo wszystko poważne przestępstwo - stwierdził. - Kradzież i bezczeszczenie zwłok, coś w tym stylu. Stwarzanie zagrożenia dla zdrowia publicznego? To na pewno jest nielegalne.

- Jak przechodzenie przez jezdnię w miejscu niedozwolonym - zauważyłem.

- Nie w Nowym Jorku. Tam wszyscy tak robią.

Niby fajnie dowiedzieć się czegoś o przepisach dotyczących nieprawidłowego przechodzenia przez jezdnię w Nowym Jorku,

ale ja nijak się z tego nie ucieszyłem. Im dłużej o tym myślałem – a tego dnia nie myślałem właściwie o niczym innym – tym silniejsze miałem wrażenie, że pęka mur chroniący mnie przed prawdziwymi ludzkimi uczuciami. Czułem dziwny ucisk tuż pod gardłem, a do tego niejasny, nieukierunkowany lęk, którego nie mogłem się pozbyć, i mimo woli zacząłem się zastanawiać, czy tak to jest, gdy człowieka ogarnia poczucie winy. To znaczy, gdybym miał sumienie, czy w tym momencie by mnie gryzło? Bardzo to było niepokojące i wcale a wcale mi się nie podobało.

I było takie bezcelowe – przecież Doncević dźgnął Deborę nożem i jeśli przeżyła, to nie dzięki niemu. Może nie poszedł na całość, ale z pewnością nabroił.

Dlaczego więc miałbym cokolwiek „czuć”? Rozumiem, że istota ludzka może powiedzieć: „Zrobiłem coś i teraz jest mi przykro z tego powodu”. Ale jak coś podobnego mógłby powiedzieć zimny i pusty Dexter? Nawet gdybym coś odczuwał, jest wysoce prawdopodobne, że w zgodnej opinii ogółu byłoby to raczej coś niepożądanego. Nasze społeczeństwo nie pochwała emocji typu „Potrzeba Zabijania” czy „Frajda z Krojenia”, a bądźmy realistami, po mnie właśnie tego należałoby się spodziewać.

Nie, nie miałem czego żałować – to było tylko jedno drobne, przypadkowe, impulsywne, skromniutkie poćwiartowanie. A ilekroć odwoływałem się do kierującego się zimną, żelazną logiką wspaniałego intelektu Dextera, konkluzja była taka sama – po Doncevicu nikt nie będzie płakał, a poza tym facet próbował zabić Deborę. Miałbym trzymać kciuki za to, żeby umarła, bym mógł poczuć się lepiej?

Nie dawało mi to jednak spokoju i chodziłem struty przez cały poranek aż do przerwy na lunch, kiedy zająrzałem do szpitala.

- Cześć, stary – powiedział Chutsky zmęczonym głosem, kiedy wszedłem. – Niewiele się zmieniło. Parę razy otworzyła oczy. Chyba wracają jej siły.

Usiadłem na krześle po drugiej stronie łóżka, naprzeciwko Chutsky'ego. Po Deborze nie było widać, by wracały jej siły. Wyglądała mniej więcej tak, jak poprzednio – blada, ledwo oddychająca, bliższa śmierci niż życia. Widziałem już ten wyraz twarzy, i to nieraz, ale dla Debory nie był odpowiedni. Nadawał się dla kogo innego, dla tych

wszystkich ludzi, których pieczołowicie przygotowałem na jego przybranie, których spychałem w głąb bezdennej, ciemnej otchłani w nagrodę za zło, które uczynili.

Ostatniej nocy widziałem tę samą minę na twarzy Doncevicia – i choć akurat jego nie wybrałem tak starannie jak innych, zdałem sobie sprawę, że pasowała mu idealnie. To przez niego moja siostra również była w tym stanie, a to mi wystarczało. Nie zdarzyło się nic, co mogło zmącić spokój nieistniejącej duszy Dextera. Zrobiłem, co do mnie należało, wyeliminowałem z gorączkowej krzątaniny życia złego człowieka i pospiesznie umieściłem w workach na śmieci, gdzie jego miejsce. Może było to niezaplanowane i niechlujne, ale za to z całą pewnością sprawiedliwe, jak powiedzieliby moi współpracownicy z organów ścigania. Tacy jak Israel Salguero, który teraz już nie będzie musiał nękać Debory i łamać jej kariery tylko dlatego, że facet z błyszczącą głową robił szum w prasie.

Usuając Doncevicia, usunąłem wszystkie te problemy. Trochę mi ulżyło. Zrobiłem to, na czym Dexter zna się najlepiej, i dobrze się sprawiłem, a dzięki temu mój mały świat zmienił się na lepsze. Siedziałem na krześle i przeżuując ohydny kanapkę, gawędziłem z Chutskym i nawet udało mi się zobaczyć, jak Debora otworzyła oczy na całe trzy sekundy. Nie mogłem stwierdzić na pewno, czy wiedziała, że przy niej jestem, ale widok jej gałek ocznych zdecydowanie dodał mi otuchy i nieco lepiej zrozumiałem niepoprawny optymizm Chutsky'ego.

Kiedy pojechałem do pracy, byłem już dużo bardziej pozytywnie nastawiony do siebie i całego świata. Aż miło było wrócić z przerwy na lunch i to przyjemne uczucie satysfakcji towarzyszyło mi przez całą drogę do mojego boksu, w którym zastałem detektywa Coultera.

- Morgan - powiedział. - Siadaj.

Wydało mi się bardzo uprzejme z jego strony, że proponuje mi, bym usiadł na swoim krześle, więc usiadłem. Długo na mnie patrzył, żując wykałaczkę, która wystawała mu z kącika ust. Gruszkokształtny Coulter nigdy nie prezentował się atrakcyjnie, a już na pewno nie w tej chwili. Swoje okazałe pośladki wcisnął w zapasowe krzesło obok mojego biurka i oprócz wykałaczki rozpracowywał ogromną butelkę Mountain Dew, którym zdążył już pochłapać sobie spłowiałą białą koszulę. Jego wygląd, w połączeniu ze sposobem, w jaki na mnie patrzył – jakby liczył

na to, że wybuchnę płaczem i do czegoś się przyznam – był co najmniej potwornie irytujący. Zwalczyłem więc pokusę, by zalać się łzami i paść mu do nóg, sięgnąłem do korespondencji po raport z laboratorium i zacząłem czytać.

Po chwili Coulter odchrząknął.

– No dobrze – zaczął, a ja spojrzałem na niego i grzecznie uniosłem brew. – Musimy pogadać o twoim zeznaniu.

– Którym? – spytałem.

– O napadzie na twoją siostrę – powiedział. – Parę rzeczy się nie zgadza.

– Aha – mruknąłem.

Coulter znów odchrząknął.

– No to, hm... powiedz mi jeszcze raz, co widziałeś.

– Siedziałem w samochodzie – zacząłem.

– Jak daleko?

– Może kilkanaście metrów dalej – odparłem.

– Uhm. Dlaczego z nią nie poszedłeś?

– Cóż – powiedziałem z myślą, że to nie jego interes – uznałem, że nie ma takiej potrzeby.

Chwilę na mnie patrzył, po czym pokręcił głową.

– Mogłeś jej pomóc – stwierdził. – Nie pozwolę, by tamten ją dźgnął.

– Może – skwitowałem.

– Mogłeś zachować się jak partner – dodał. Było oczywiste, że święte więzy partnerstwa wciąż trzymały go mocno, więc zdusiłem pokusę, by coś powiedzieć, a on po chwili skinął głową i kontynuował. – Więc jak, drzwi się otwierają i bach, wbija jej nóż?

– Drzwi się otwierają i Debora pokazuje odznakę – odrzekłem.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Z piętnastu metrów?

– Mam świetny wzrok. – Byłem, ciekaw, czy dziś każdy, kto mnie odwiedzi, będzie grał mi na nerwach.

– No dobra – powiedział. – I co potem?

– Potem – odrzekłem i odtworzyłem tę chwilę w pamięci, w zwolnionym tempie, pozwalającym dostrzec każdy okropny szczegół –

Debora upadła. Próbowwała wstać, nie mogła i pobiegłem jej pomóc.

- I ten Dankawitz, czy jak mu tam, przez cały czas był obok?

- Nie - odparłem. - Nie było go. Wszedł znowu, kiedy podbiegłem do Debory.

- Uhm - mruknął Coulter. - Jak długo go nie było?

- Góra dziesięć sekund - rzuciłem. - To ważne?

Coulter wyjął wykałaczkę z ust i spojrzał na nią. Widocznie nawet jemu wydała się obrzydliwa, bo po chwili namysłu rzucił ją w stronę mojego kosza na śmieci. Oczywiście chybił.

- Oto, w czym problem - oznajmił. - Odciski na nożu nie są jego.

Jakiś rok temu usuwano mi wklinowany ząb i dentysta podał mi podtlenek azotu. Teraz przez chwilę dostałem takiego samego ataku głupawki, jak wtedy.

- Eee... odciski? - wyjąkałem wreszcie.

- No - potwierdził i pospiesznie pociągnął łyk z wielkiej butelki wody sodowej. - Po zatrzymaniu pobraliśmy jego odciski. To oczywiste. - Otarł nadgarstkiem kącik ust. - I porównaliśmy je z tymi na trzonku noża, nie? A tu niespodzianka: nie są takie same. Więc myślę sobie, co jest, kurwa, nie?

- Oczywiście - bąknąłem.

- No i wykombinowałem sobie, że może było ich dwóch, bo jak to inaczej wytłumaczyć, mam rację? - Wzruszył ramionami i, biada wszystkim, wygrzebał z kieszeni koszuli następną wykałaczkę i zaczął ją żuć. - I dlatego musiałem jeszcze raz cię spytać, co widziałeś.

Spojrzał na mnie z wyrazem tępej koncentracji i musiałem zamknąć oczy, żeby w ogóle móc pomyśleć. Ponownie odtworzyłem sobie całe zdarzenie: Debora czeka pod drzwiami, drzwi się otwierają. Debora pokazuje odznakę i nagle upada - ale w pamięci widziałem tylko profil mężczyzny, bez żadnych szczegółów. Drzwi się otwierają, Debora wyjmuje blachę, profil... Nie, to wszystko. Nic więcej. Ciemne włosy, jasna koszula, ale do tego opisu pasowałyby połowa ludzkości, włącznie z Doncevicem, którego chwilę potem kopnąłem w głowę.

Otworzyłem oczy.

- Wydaje mi się, że to był ten sam człowiek - powiedziałem i choć miałem pewne opory przed tym, by podsunąć mu coś jeszcze,

uczyniłem to. W końcu był przedstawicielem Prawdy, Sprawiedliwości i Amerykańskiego Stylu Życia, cóż, że tak nieatrakcyjnym. - Ale szczerze mówiąc, nie mogę być tego pewny. Wszystko zdarzyło się tak szybko.

Coulter przygryzł wykałaczkę. Patrzyłem, jak podrygiwała w kąciku jego ust, podczas gdy on usiłował sobie przypomnieć ludzką mowę.

- Czyli mogło ich być dwóch - stwierdził wreszcie.

- Tak sądzę.

- Jeden zadaje cios, ucieka do środka i nie wie, co zrobić - dedukował. - A drugi wybiega zobaczyć, co i jak, i dostaje od ciebie w mordę.

- Mogło tak być - zgodziłem się.

- Dwóch - powtórzył.

Uznałem, że nie ma sensu dwa razy odpowiadać na to samo pytanie, więc siedziałem tylko i patrzyłem, jak miele w zębach wykałaczkę. Jeśli wcześniej miałem wrażenie, że coś się we mnie nieprzyjemnie burzyło, to było nic w porównaniu z wirem niepokoju, który powstawał we mnie teraz. Skoro na nożu nie było jego odcisków, Doncević nie dźgnął Debory; to proste, Drogi Dexterze. Jeśli zaś nie dźgnął Debory, był niewinny, a ja popełniłem przeogromny błąd.

To naprawdę nie powinno mnie martwić. Dexter robi to, co musi, a jeśli robi to akurat tym, którzy na to zasługują, to wyłącznie dzięki szkoleniu Harry'ego. Jeśli chodzi o Mrocznego Pasażera, równie dobrze mógłby dokonywać wyboru na chybił trafił. Ulga byłaby podobnie słodka dla nas obu. Kryterium, którym się kieruję, to po prostu narzucona przez Harry'ego zimna logika noża.

Możliwe jednak, że głos Harry'ego tkwił we mnie głębiej, niż mi się wydawało, bo myśl, że Doncević mógł być niewinny, mąciła mi w głowie. I zanim zdołałem poskromić to paskudne, nieprzyjemne uczucie, zauważyłem, że Coulter mi się przyglądał.

- Tak - sapnąłem niepewny, co właściwie miałem na myśli.

Coulter rzucił następną zmaltretowaną wykałaczkę do kosza. Znowu chybił.

- No to gdzie jest ten drugi? - spytał.

- Nie wiem - powiedziałem. I naprawdę tego nie wiedziałem.

Ale bardzo byłem tego ciekaw.

Nieraz słyszałem, jak moi współpracownicy użalają się na „chandrę”, i zawsze byłem wielce rad, że nie ulegam tej jakże nieelegancko nazwanej przypadłości. Jednak ostatnich kilku godzin tego dnia pracy nie da się określić w żaden inny sposób. Dexter spod znaku Błyszczącego Noża, Dexter Księżę Ciemności, Dexter Twardy, Ostry i Zupełnie Pusty miał chandrę. Jasne, nie było to przyjemne, ale, co w tym stanie naturalne, nie miałem sił, by temu zaradzić. Siedziałem za biurkiem, przesuwałem spinacze z miejsca na miejsce i bezskutecznie usiłowałem wyprzeć z pamięci powracające obrazy: upadającej Debory, mojej nogi trafiającej Doncevicia w głowę, noża idącego w górę, opuszczanej piły...

Chandra. Było to równie głupie, jak żenujące i męczące. No dobrze, Doncević teoretycznie był, można powiedzieć, niewinny. Popełniłem jeden drobny, marny błąd. Wielkie rzeczy. Nikt nie jest nieomylny, nawet ja, i po co miałbym udawać, że jest inaczej? Czy naprawdę zamierzałem sobie wyobrazić, że czułem się źle, pozbawiwszy życia niewinnego człowieka? To niedorzeczne. A poza tym, czym jest niewinność? Doncević brzydko bawił się trupami, czym naraził budżet miasta i branżę turystyczną na milionowe straty. W Miami było wielu ludzi, którzy z chęcią zabiliby go tylko po to, by zminimalizować szkody.

Problem polegał na tym, że ja nie byłem jednym z nich.

Wiem, że niewiele znaczę. Nigdy nie twierdziłem, że jest we mnie choć odrobina prawdziwego człowieczeństwa, a już na pewno nie tłumaczyłem sobie, że to, co robię, jest słuszne tylko dlatego, że towarzysze moich harców ulepieni są z tej samej gliny co ja. Prawdę mówiąc, byłem prawie pewien, że świat beze mnie byłby lepszy. Co nie znaczy, że rwałem się do tego, by go pod tym względem naprawić. Chciałem zostać na tym padole łez najdłużej jak się da, bo po śmierci albo nie ma nic, albo Dextera czeka bardzo ciepła niespodzianka. Żaden z tych wariantów nie był kuszący.

Nie miałem więc żadnych złudzeń co do swojej wartości dla świata. Robiłem swoje i nie oczekiwałem za to podziękowań. Tyle że od samego początku aż do tej pory trzymałem się zasad ustanowionych przez Świętego Harry'ego, mojego niemal nieomylnego przybranego ojca. Tym razem złamałem te zasady i z niewiadomego powodu czułem, że zasługuję na to, by mnie schwytano i ukarano. Lecz jakoś nie mogłem siebie przekonać, że to zdrowe emocje.

Walczyłem więc z chandrą aż do fajrantu, a potem, bez wyczuwalnego przyływu energii, ponownie pojechałem do szpitala. Nie pocieszyły mnie nawet korki na ulicach. Wszyscy wokół zdawali się tylko zachowywać pozory, nie czuło się autentycznej żądz mordy. Jakaś kobieta zajęchała mi drogę i rzuciła połówką pomarańczy w moją przednią szybę, facet w furgonetce próbował zepchnąć mnie na pobocze, ale miałem wrażenie, że robili to na odczepnego, bez szczerego zapału.

Kiedy wszedłem do pokoju Debory, Chutsky spał na krześle i chrapał tak głośno, że szyby drżały. Posiedziałem więc tam czas jakiś i patrzyłem, jak Debora trzepocze powiekami. Pomyślałem, że to pewnie dobry znak wskazujący, że weszła w fazę snu REM, a zatem ma się lepiej. Ciekaw byłem, co po przebudzeniu powie o mojej drobnej pomyłce. Biorąc pod uwagę jej stan ducha tuż przed napadem, nie zanosilo się na to, by była wyrozumiała nawet dla tak błahego potknięcia. W końcu podobnie jak ja wciąż pozostawała we władzy Cienia Harry'ego i skoro z trudem tolerowała to, co robiłem, kiedy jeszcze miałem Aprobatę Harry'ego, za nic w świecie nie pogodzi się z czymś, co wykraczało poza starannie nakreślone przez niego granice.

Deb nie mogła się nigdy dowiedzieć, co zrobiłem. Nie było to kłopotem, skoro do niedawna ukrywałem przed nią wszystko. Tym razem jednak, nie wiedzieć czemu, myśl o tym nie dodała mi otuchy. W końcu zrobiłem to dla niej, a właściwie głównie dla niej - proszę bardzo, pierwszy raz działałem ze szlachetnych pobudek i jak fatalnie się to skończyło. Kiepski z mojej siostry Mroczny Pasażer.

Deb poruszyła ręką, prawie niezauważalnie, zamrugala i otworzyła oczy. Jej wargi lekko się rozchyliły i byłem pewien, że na chwilę skupiła na mnie wzrok. Nachyliłem się ku niej, a ona patrzyła na mnie, aż wreszcie jej powieki znów opadły.

Powoli dochodziła do siebie. Byłem pewien, że się wyliże. Może była to kwestia tygodni, nie dni, ale wcześniej czy później wstanie z tego okropnego stalowego łóżka i znów będzie taka jak dawniej. A wtedy...

Co zrobi ze mną?

Nie wiedziałem. Miałem jednak złe przeczucie, że żadnemu z nas nie będzie wtedy do śmiechu; bowiem, co uświadomiłem sobie w tej chwili, oboje wciąż żyliśmy w Cieniu Harry'ego, i byłem prawie pewien, co Harry powiedziałby w tej sytuacji.

Powiedziałby, że źle się stało, bo nie tak zaplanował życie Dextera, co och, jak dobrze pamiętałem.

Harry zwykle wydawał się tak szczęśliwy, kiedy po pracy wracał do domu. Oczywiście, nie sądzę, by jego szczęście było autentyczne, ale zawsze je okazywał, i to była jedna z pierwszych niezwykle ważnych nauk, jakich mi udzielił: dobieraj minę stosowną do okazji. Może wydaje się to banalne i oczywiste, ale dla nieopierzonego potwora, który dopiero odkrywał, że różni się od innych, była to prawda objawiona.

Pamiętam, jak pewnego popołudnia siedziałem na wielkim banianie na naszym podwórku, bo szczerze mówiąc, inne dzieciaki z okolicy robiły to samo; nawet długo po tym, jak wyrosłem z, powiedzmy, optymalnego wieku do łażenia po drzewach. Baniany, z szerokimi, rosnącymi poziomo gałęziami, idealnie nadawały się do tego, by na nich przesiadywać, i służyły za klub każdemu przed osiemnastką.

Tego popołudnia siedziałem więc na moim drzewie i miałem nadzieję, że sąsiedzi mylnie biorą mnie za normalnego chłopaka. Byłem w wieku, w którym wszystko zaczyna się zmieniać, tylko że z tego, co zdążyłem zauważyć, u mnie te zmiany przebiegały zupełnie inaczej niż u innych. Po pierwsze, w odróżnieniu od reszty chłopaków nie pragnąłem obsesyjnie zajrzeć Bobbie Gelber pod spódniczkę, kiedy będzie wchodziła na drzewo. A po drugie...

Kiedy Mroczny Pasażer zaczął szeptem podsuwać mi zdrożne myśli, uświadomiłem sobie, że był Istotą, która żyła we mnie od zawsze; po prostu do tej pory milczał. Teraz jednak, podczas gdy moi rówieśnicy wymieniali się numerami „Hustlera”, on podsyłał mi sny z ilustracjami innego rodzaju, może z *Wiwisekcji dla każdego*. I choć obrazy, które mi się ukazywały, początkowo były niepokojące, to z biegiem czasu

stawały się coraz bardziej naturalne, nieuniknione, pożądane i wreszcie niezbędne. Jednak drugi głos, równie mocny, mówił mi, że to coś złego, szalonego i bardzo niebezpiecznego. A ponieważ spory między tymi dwoma wewnętrznymi doradcami zwykle kończyły się remisem, musiałem zadowolić się marzeniami, jak wszyscy chłopcy rasy ludzkiej w moim wieku.

Jednak pewnej cudownej nocy dwie szepczące armie zwały szyki. Stało się to wtedy, gdy zorientowałem się, że pies Gelberów, Buddy, swoim nieustającym szczekaniem nie pozwala mamie spać. A to nie było w porządku. Mama umierała na tajemniczą nieuleczalną chorobę o nazwie chłoniak i potrzebowała snu. Przyszło mi więc do głowy, że jeśli zrobię coś, by mogła się wyspać, będzie to chwalebny uczynek, i oba głosy się ze mną zgodziły – oczywiście, jeden z pewnym ociąganiem, za to drugi, ten mroczniejszy, z zapałem, który przyprawił mnie o zawrót głowy.

I tak oto Buddy, jazgotliwy piesek, pozwolił Dexterowi po raz pierwszy rozwinąć skrzydła. Oczywiście, wypadło to dość nieudolnie i bardziej niechlujnie, niż planowałem, ale jednocześnie było tak dobre, słuszne i konieczne...

W następnych miesiącach przeprowadziłem jeszcze kilka drobnych eksperymentów; w odpowiednio dużych odstępach czasu, z udziałem staranniej dobranych towarzyszy zabaw, bo nawet na tym burzliwym etapie samopoznania zdawałem sobie sprawę, że jeśli znikną wszystkie zwierzęta w okolicy, ktoś w końcu zacznie zadawać pytania. Trafił się jednak bezpieczny zwierzak, potem była wyprawa rowerem do innej dzielnicy, no i młody Kubuś Rozpruwacz jakoś sobie radził, ucząc się radości bycia sobą. A że czułem się przywiązany do moich małych eksperymentów, wszystkie zakopywałem w pobliżu, za szpalerem krzaków w naszym ogródku.

Teraz jestem mądrzejszy. Wtedy jednak wszystko wydawało się tak niewinne i cudowne, a ja chciałem od czasu do czasu patrzeć na te krzaczki i snuć miłe wspomnienia. I tak oto popełniłem swój pierwszy błąd.

Tamtego sennego popołudnia siedziałem więc na moim banianie i przyglądałem się Harry'emu, który zaparkował wóz, wysiadł i zastygł w bezruchu. Miał minę, którą zawsze przybierał w pracy, mówiącą, że widział wszystko i prawie nic z tego mu się nie spodobało. Długo stał

przy samochodzie z zamkniętymi oczami i nie robił nic oprócz tego, że oddychał.

Kiedy otworzył oczy, jego mina mówiła: „Jestem w domu i bardzo się z tego cieszę”. Zrobił krok w stronę drzwi wejściowych, a ja zeskoczyłem na ziemię i podszedłem do niego.

- Dexter - zagadnął - jak było w szkole?

Prawdę mówiąc, było jak co dzień, ale już wtedy wiedziałem, że to niewłaściwa odpowiedź.

- Dobrze - odparłem. - Uczymy się o komunizmie.

Harry skinął głową.

- I bardzo słusznie - powiedział. - Co jest stolicą Rosji?

- Moskwa - odparłem. - A wcześniej Sankt Petersburg.

- Co ty powiesz. Dlaczego ją zmienili?

Wzruszyłem ramionami.

- Bo teraz są ateistami - oznajmiłem. - „Sankt” to znaczy święty, a oni w świętych nie wierzą.

Położył mi dłoń na ramieniu i ruszyliśmy w stronę domu.

- Musi im być nudno - stwierdził.

- A ty, hm, walczyłeś z komunistami, prawda? - W rzeczywistości chciałem spytać, czy ich zabijał, ale jakoś się nie odważyłem. - Jak służyłeś w marines?

Harry skinął głową.

- Zgadza się - powiedział. - Komunizm zagraża naszej kulturze. Dlatego trzeba z nim walczyć.

Byliśmy już przy drzwiach i Harry lekko popchnął mnie do przodu, w opary świeżej kawy, którą Doris, moja przybrana mama, zawsze witała go w domu po pracy. Nie była jeszcze zbyt chora, by nie móc chodzić, i czekała na niego w kuchni.

Odprawili swój codzienny rytuał cichej rozmowy przy kawie i tak bardzo przypominali przy tym postaci z obrazów Normana Rockwella, że cała ta scena na pewno wyleciałaby mi z pamięci niemal od razu, gdyby nie to, co wydarzyło się później.

Doris była już w łóżku. W miarę jak rak się rozwijał, potrzebowała coraz więcej środków przeciwbólowych i chodziła spać coraz wcześniej. Harry, Debora i ja jak zwykle zasiedliśmy przed telewizorem. Oglądaliśmy serial komediowy, nie pamiętam jaki. Było ich wtedy

mnóstwo, wszystkie można by puszczać pod jednym tytułem: *Biały człowiek i śmieszne mniejszości*. Jak się zdaje, chodziło w nich głównie o to, żeby pokazać nam wszystkim, że mimo dzielących nas drobnych różnic tak naprawdę jesteśmy tacy sami. Czekałem na jakiś sygnał, że dotyczy to także mnie, ale ani Freddy Prinze, ani Redd Foxx nigdy nie zatłukli sąsiada. Mimo to serial, który oglądaliśmy tego wieczoru, najwyraźniej podobał się wszystkim oprócz mnie. Debora od czasu do czasu wybuchała głośnym śmiechem, Harry uśmiechał się z zadowoleniem, a ja robiłem, co mogłem, żeby trzymać się w cieniu i dostosować do panującej wesołości.

Jednak w samym środku kluczowej sceny, tuż przed tym, jak mieliśmy się dowiedzieć, że wszyscy jesteśmy tacy sami, i paść sobie w objęcia, zabręczał dzwonek u drzwi. Harry lekko się zasępił, ale wstał i poszedł sprawdzić, kto to, zerkając jednym okiem w telewizor. Ponieważ już się domyślałem, jak skończy się ten odcinek, a udawane serdeczności nieszczególnie mnie wzruszały, obserwowałem Harry'ego. Zapalił światło na zewnątrz, spojrzął przez wizjer i otworzył drzwi.

- Gus - powiedział z zaskoczeniem. - Wejdz.

Gus Rigby był najlepszym kumplem taty w policji. Byli drużbami na swoich ślubach, a Harry trzymał do chrztu córkę Gusa, Betsy. Od swojego rozwodu Gus przychodził do nas w Święta i przy specjalnych okazjach, choć odkąd Doris zachorowała, już nie tak często, i zawsze przynosił placek cytrynowy.

Teraz jednak nie wyglądał, jakby przyszedł z wizytą towarzyską, no i nie miał placka. Był zdenerwowany i wykończony.

- Musimy pogadać - rzucił, przecisnął się obok Harry'ego i wszedł do domu.

- O czym? - spytał Harry, który wciąż trzymał drzwi otwarte.

Gus odwrócił się do niego.

- Otto Valdez wyszedł - warknął.

Harry przeszył go wzrokiem.

- Jak to?

- To przez jego adwokata - wyjaśnił. - Twierdzi, że nadużyłem siły.

Harry skinął głową.

- Ostro się z nim obszedłeś, Gus.

- Gwałcił dzieci - powiedział Gus. - Co, miałem dać mu buzi?

- No dobrze. - Harry zamknął drzwi na zamek. - O czym chcesz porozmawiać?

- Teraz się na mnie uwziął - powiedział Gus. - Dzwoni telefon, nikt się nie odzywa, słyhać tylko oddech. Ale ja wiem, że to on. I znalazłem list pod drzwiami. W moim domu, Harry.

- Co mówił porucznik?

Gus pokręcił głową.

- Chcę to załatwić sam - oznajmił. - Na boku. I chcę, żebyś mi pomógł.

Z idealnym wyczuciem czasu, jakie zdarza się tylko w świecie rzeczywistym, w tej właśnie chwili serial skończył się i słowa wujka Gusa spuentował wybuch nagranych śmiechu. Debora też się roześmiała i podniosła głowę.

- Cześć, wujku - powiedziała.

- Cześć, Debbie - rzucił. - Piękniejesz z dnia na dzień.

Nachmurzyła się. Już wtedy wstydziła się swojej urody i nie lubiła, gdy jej o niej przypominano.

- Dziękuję - bąknęła naburmuszona.

- Chodź do kuchni. - Harry wziął Gusa za łokieć i wyprowadził.

Doskonale wiedziałem, że Harry zabrał Gusa do kuchni, żebyśmy z Deborahą nie słyszeli, o czym będą mówić, i naturalnie tym bardziej byłem tego ciekaw. A skoro Harry nie powiedział wyraźnie: „Zostań tu i nie słuchaj”... trudno było to nazwać podsłuchiowaniem!

Wstałem więc niby od niechcienia sprzed telewizora i poszedłem korytarzem w stronę łazienki. Zatrzymałem się i obejrzałem za siebie: Debora już była zaabsorbowana następnym programem, więc wśliznąłem się w małą plamę cienia i nadstawiłem uszu.

- ...sądy się tym zajmą - mówił Harry.

- Tak jak się zajmowały do tej pory? - wyrzucił Gus gniewnym tonem, jakiego u niego jeszcze nie słyszałem. - Daj spokój, Harry, przecież wiesz, jak jest.

- Nie jesteśmy mścicielami, Gus.

- Może to źle, do cholery.

Nastąpiła przerwa. Usłyszałem odgłos drzwi lodówki, a potem syk otwieranej puszkę piwa. Na chwilę zapadła cisza.

- Słuchaj, Harry - odezwał się wreszcie Gus. - Już kawał czasu jesteśmy glinami.

- Prawie dwadzieścia lat - odparł Harry.

- I czy od pierwszego dnia nie masz wrażenia, że system nie działa? Że największe ścierwa zawsze coś wykombinują, żeby się wyrwać z więzienia? Co?

- To nie znaczy, że mamy prawo...

- W takim razie kto je ma, Harry? Jeśli nie my, to kto?

Nastąpiła kolejna przydługa przerwa. Wreszcie Harry odezwał się, bardzo cicho, i musiałem wyteńczyć słuch, żeby wychwycić poszczególne słowa.

- Nie byłeś w Wietnamie - powiedział. Gus milczał. - Nauczyłem się tam jednego: niektórzy potrafią zabijać z zimną krwią, inni nie. Większość z nas tego nie potrafi - dodał Harry. - To coś, co zmienia człowieka. Na gorsze.

- Mam rozumieć, że się ze mną zgadzasz, ale nie możesz tego zrobić? Harry, kto jak kto, ale Otto Valdez na to zasługuje...

- Co robisz? - usłyszałem głos Debory, jakieś dziesięć centymetrów od mojego ucha. Tak podskoczyłem, że wyrznąłem głową w ścianę.

- Nic - powiedziałem.

- Dziwne miejsce sobie na to wybrałeś - stwierdziła i ponieważ nie zanosilo się na to, by sobie poszła, uznałem, że starczy słuchania, i wróciłem do krainy zombie przed telewizorem. Usłyszałem już dość, by zrozumieć, co jest grane, i byłem zafascynowany. Drogi, przemiły, dobroduszny wujcio Gus chciał kogoś zabić i prosił o pomoc Harry'ego. Z podniecenia mąciło mi się w głowie, gorączkowo myślałem, jak by tu ich przekonać, żeby wzięli mnie ze sobą, pozwolili pomóc - albo chociaż popatrzeć. Bo co byłoby w tym złego? Przecież to niemal obywatelski obowiązek!

Ale Harry nie zgodził się pomóc Gusowi i jakiś czas później Gus wyszedł. Wyglądał, jakby ktoś spuścił z niego całe powietrze. Harry zasiadł przed telewizorem ze mną i Deb i przez następne pół godziny usiłował znów przybrać wesołą minę.

Po dwóch dniach znaleźli ciało wujka Gusa. Było okaleczone, bezgłowe i nosiło ślady tortur.

A trzy dni później, bez mojej wiedzy, Harry znalazł mój mały cmentarz zwierzęcy pod krzakami w ogródku. Przez następny tydzień czy dwa nieraz łapałem go na tym, że wpatrywał się we mnie z miną, którą zwykle miał w pracy. Wtedy nie wiedziałem, dlaczego, i trochę mnie to onieśmiało, ale byłem zbyt gapowaty, żeby sformułować pytanie typu: „Tato, czemu tak na mnie patrzysz?”

Tak czy inaczej, wkrótce się to wyjaśniło. Trzy tygodnie po przedwczesnej śmierci wujka Gusa pojechaliśmy pod namiot na Elliot Key i kilkoma prostymi zdaniami – zaczynających się od: „Ty jesteś inny, synu” – Harry zmienił wszystko na zawsze.

Jego plan. Projekt „Dexter”. Nienagannie nakreślona, racjonalna i sensowna mapa drogowa, której miałem się trzymać, jeśli chciałem być sobą, teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen.

A teraz zboczyłem z Drogi na inną, wąską, niebezpieczną, prowadzącą opłotkami. Wręcz widziałem, jak Harry kręci głową i zwraca na mnie te swoje lodowato zimne niebieskie oczy.

- Trzeba cię naprostować – powiedziałby.

Do terażniejszości przywróciło mnie wyjątkowo donośne chrapnięcie Chutsky'ego. Było tak głośne, że jedna z pielęgniarek wsadziła głowę przez drzwi i obejrzała wszystkie pokrętła, wskaźniki i całą tę pracującą maszynę, a na odchodnym podejrzliwie zerknęła na nas przez ramię, jakbyśmy specjalnie wydawali straszliwe dźwięki na złość jej aparaturze.

Debora lekko poruszyła nogą, ot, na tyle, by pokazać, że jeszcze żyje, a ja przestałem błędzić myślami po meandrach wspomnień. Gdzieś tam był człowiek, który naprawdę ugodził nożem moją siostrę. Tylko to się liczyło. Ktoś to zrobił naprawdę. To był duży, paskudny, nierozwiązany problem, a ja musiałem go pochwycić i przykroić do schludnych kształtów. Bo na myśl o tak poważnej niezalutowanej sprawie aż chciało mi się posprzątać kuchnię i pościelić łóżko. Co tu dużo mówić, zrobił się bałagan, a Dexter nie lubi nieporządku.

Jeszcze jedna myśl wychyliła nos zza drzwi. Próbowałem ją przegonić, ale uparcie wracała, merdała ogonem i domagała się, żebym ją pogłaskał. A kiedy to zrobiłem, uznałem, że jest całkiem istotna. Zamknąłem oczy i jeszcze raz odtworzyłem w pamięci całe zdarzenie. Drzwi się otwierają i pozostają otwarte, kiedy Debora pokazuje odznakę i upada. I nadal są otwarte, kiedy do niej podbiegam...

...co znaczy, że ktoś mógł zza nich zerkać. A z tego wynika, że gdzieś tam może być ktoś, kto wie, jak wyglądam. Druga osoba, jak sugerował detektyw Coulter. Trochę uwłaczało mi to, że nawet taki zaśliniony tuman jak Coulter może mieć czasem rację, ale cóż, Izaak Newton nie negował grawitacji tylko dlatego, że jabłko miało niskie IQ.

I szczęśliwie dla mojego poczucia własnej wartości, byłem o krok przed Coulterem, bo niewykluczone, że znałem nazwisko owego hipotetycznego ktosia. Jechaliśmy wypytać niejakiego Brandona Weissa o jego groźby pod adresem Izby Turystycznej i jakimś cudem zamiast

na niego trafiliśmy na Doncevicia. Więc bardzo możliwe, że było ich dwóch, że mieszkali razem...

Na stację wjechał kolejny mały sapiący pociąg: Arabelle, sprzątaczką w knajpie Joego, widziała turystów gejów z kamerami. Ja natomiast zauważyłem w Fairchild Gardens dwóch mężczyzn pasujących do tego opisu, którzy filmowali tłum gapiów. A przecież wszystko zaczęło się od filmu z miejsca zbrodni przysłanego do Izby Turystycznej. To jeszcze o niczym nie przesądzało, ale z pewnością był to dobry początek i miałem się z czego cieszyć, bo to dowodziło, że mózg Cyber-Deksa powoli wraca do formy.

I jakby na potwierdzenie przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl. Idąc krok dalej w moim rozumowaniu, jeśli ten hipotetyczny Weiss śledził przebieg wydarzeń w mediach, co było wysoce prawdopodobne, to musiał wiedzieć, kim jestem i być może uważał, iż warto by ze mną porozmawiać, w ściśle Dexterskim tego słowa znaczeniu. Dexterukcyjnym? Już bardziej - bo nie była to budująca myśl i nie natchnęła mnie życzliwością do świata i ludzi. Oznaczało to bowiem, że albo będę musiał się skutecznie przed owym Weissem obronić, albo on zrobi mi coś, co mnie niemiłe. Tak czy owak, będą z tego bałagan, trup i duży rozgłos, a wszystko to powiązane z moją sekretną tożsamością, Dextera za Dnia, co już byłoby mi zdecydowanie nie w smak.

Wniosek nasuwał się sam: musiałem odnaleźć go pierwszy.

Nie było to niewykonalne. Całe dorosłe życie nabierałem wprawy w wyszukiwaniu rzeczy i ludzi na komputerze. Co więcej, właśnie ta umiejętność wpakowała mnie i Deb w tarapaty, więc dla równowagi niech pomoże mi teraz z nich wybrnąć.

A zatem do roboty. Zagrały nam surmy bojowe, pora osiedlać mój wierny komputer.

I wówczas, jak to zwykle bywa w chwilach, kiedy jestem już gotów podjąć zdecydowane działania, wydarzyło się kilka rzeczy naraz.

Zaczerpnąłem powietrza, szykując się, by wstać, gdy nagle Chutsky otworzył oczy i powiedział „O, cześć, stary, lekarz mówił, że...”, a wtedy przerwał mu dzwonek mojego telefonu komórkowego. Zanim odebrałem, wszedł lekarz i rzucił: „No dobra” do dwóch podążających za nim stażystów.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie – lekarz, Chutsky i telefon – i w całym zamieszaniu usłyszałem:

- Hej, stary, jest pan doktor... zuchów, a koleżanka Astor ma świnkę... wyższy ośrodek nerwowy zdaje się reagować na...

I znów byłem strasznie zadowolony z tego, że jestem nienormalny, bo normalny człowiek na moim miejscu niechybnie rzuciłby krzesłem w lekarza i uciekł z krzykiem. Ja tylko skinąłem Chutsky'emu ręką, odwróciłem się od lekarzy i skupiłem się na telefonie.

- Przepraszam, ale źle cię słyszałem – powiedziałem. – Mogłabyś powtórzyć?

- Mówiłam, że dobrze by było, żebyś wrócił do domu – odparła. – Jeśli nie jesteś zbyt zajęty. Bo Cody ma dziś pierwszą zbiórkę zuchów, a koleżanka Astor, Lucy, złapała świnkę. I Astor nie może do niej pójść, więc jedno z nas powinno zostać z nią w domu. No i pomyślałam sobie, no wiesz. Chyba że znowu nie możesz wyrwać się z pracy?

- Jestem w szpitalu – wyjaśniłem.

- Aha – odparła Rita. – Cóż, skoro tak... i jak, lepiej z nią?

Spojrzałem na grupkę lekarzy. Przeglądali stosik dokumentów, najwyraźniej dotyczących Debory.

- Chyba zaraz się dowiemy – powiedziałem. – Przyszli lekarze.

- Cóż, jeśli to... w razie czego, mogę... to znaczy, Astor może pójść na zbiórkę zuchów, jeśli...

- Zabiorę Cody'ego na zbiórkę – zapewniłem. – Daj mi tylko porozmawiać z lekarzem.

- Jeśli jesteś pewien – odpowiedziała. – Bo jeśli to, wiesz...

- Wiem – skłamałem. – Zaraz będę.

- Dobrze – szepnęła. – Kocham cię.

Rozłączyłem się i odwróciłem do lekarzy. Jeden ze stażystów uniósł powiekę Debory i oglądał jej gałkę oczną w świetle małej latarki. Prawdziwy lekarz obserwował go z notesem w rękę.

- Przepraszam – powiedziałem i podniósł oczy na mnie.

- Tak – rzucił z uśmiechem, który od razu poznałem jako sztuczny. Mój jest dużo lepszy.

- To moja siostra – oznajmiłem.

Lekarz skinął głową.

- Najbliższa krewna. Rozumiem.

- Jest jakaś poprawa?

- Cóż - sapnął. - Wyższe funkcje nerwowe zdają się wracać do normy, autonomiczne odruchy wyglądają dobrze. I nie ma gorączki ani infekcji, więc są spore szanse na niewielką poprawę w ciągu następných dwudziestu czterech godzin.

- To dobrze - stwierdziłem z nadzieją.

- Muszę jednak pana ostrzec - rzekł z równie sztuczną, zafrasowaną, ważną miną. - Straciła bardzo dużo krwi, co niekiedy może prowadzić do trwałego upośledzenia czynności mózgu.

- Ale jest za wcześnie, żeby wyrokować? - spytałem.

- Tak - potwierdził i energicznie pokiwał głową. - Otóż to.

- Dziękuję, panie doktorze. - Ominąłem go i podszedłem do Chutsky'ego, który usunął się w kąt, żeby lekarze mieli pełny dostęp do Deb.

- Wyjdzie z tego - zwrócił się do mnie. - Nie przejmuj się tym, co mówią, nic jej nie będzie. Pamiętaj, sprowadziłem tu doktora Teidela. - Zniżył głos prawie do szeptu. - Nie chciałbym obrazić tych tutaj, ale do Teidela się nie umywają. Poskładał mnie do kupy, a było ze mną dużo gorzej niż z nią - podkreślił, wskazując ruchem głowy Deboreę. - I wyszedłem z tego bez uszkodzeń mózgu.

Wziąwszy pod uwagę na jego niepoprawny optymizm, nie było to takie pewne, ale uznałem, że nie warto się o to spierać.

- No dobrze - powiedziałem. - Skoro tak, odezwę się do ciebie później. Mam kryzys w domu.

- Oj - zmartwił się. - Nikomu nic się nie stało?

- Wszyscy cali i zdrowi - upokoilem go. - Bardziej obawiam się o zuchów.

I choć miał to być tylko płochny żart na pożegnanie, czy to nie zabawne, jak często te żarty okazują się trafne?

Zastęp zuchów, który Rita znalazła Cody'emu, miał zbiórki w szkole podstawowej Golden Lakes, kilka kilometrów od naszego domu. Przyjechaliśmy trochę za wcześnie i chwilę przesiedzieliśmy w samochodzie. Cody patrzył bez wyrazu na wbiegającą do szkoły garstkę chłopców mniej więcej w jego wieku, ubranych w niebieskie mundurki. Pozwoliłem mu ich obserwować w przekonaniu, że chwila przygotowania dobrze zrobi nam obu.

Podjechało kilka samochodów. Do budynku pobiegli kolejni chłopcy w mundurkach; widać pilno im było dostać się do środka. Ten obrazek z pewnością uradowałby serce każdego, kto jest w nie wyposażony – jakiś rozanielony rodzic wysiadł nawet z furgonetki i filmował kamerą wideo strumień biegnących chłopców. Ale Cody i ja tylko siedzieliśmy i patrzyliśmy.

- Wszyscy są tacy sami – cicho stwierdził Cody.

- Tylko z zewnątrz – odparłem. – Ty też możesz się tego nauczyć.

Spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

- To tak jak z noszeniem mundurka – uświadomiłem mu. – Kiedy wyglądasz jak wszyscy, ludzie myślą, że jesteś taki jak wszyscy. Dasz radę.

- Po co? – mruknął.

- Cody – powiedziałem – rozmawialiśmy już o tym, jak ważne jest, żeby wyglądać normalnie. – Skinął głową. – To pomoże ci nauczyć się zachowywać jak inne dzieci. To element twojego szkolenia.

- A reszta? – spytał z zapalem, jakiego nigdy dotąd nie okazywał, i wiedziałem, że marzy mu się prosta klarowność noża.

- Jeśli przejdiesz ten etap, będą następne – wyjaśniłem.

- Zwierzę?

Spojrzałem na niego, zobaczyłem zimne błyski w jego małych niebieskich oczach i wiedziałem, że nie ma już dla niego powrotu

z drogi, na którą wstąpił; jedyna nadzieja w długim i trudnym procesie kształtowania, jakiemu sam byłem poddany.

- W porządku - odezwałem się wreszcie. - Może spróbujemy ze zwierzakiem.

Patrzył na mnie jeszcze długą chwilę, po czym skinął głową, wysiedliśmy i ruszyliśmy za resztą czeready do stołówki.

Wewnątrz inni chłopcy - i jedna dziewczynka - przez kilka minut biegali i robili dużo hałasu. Cody i ja siedzieliśmy grzecznie na plastikowych krzeselkach, przy stoliku ledwie na tyle wysokim, by próbując go ominąć, poobijać sobie kolana. Obserwowaliśmy bez wyrazu hałaśliwe zabawy innych i nie robiliśmy nic, by się do nich przyłączyć, a to już był jakiś punkt wyjścia, coś, nad czym mogliśmy popracować. Cody był zdecydowanie za mały, by zdobyć sobie opinię ponurego odludka - pora na pierwszą przymiarkę jego przebrania.

- Cody - powiedziałem i spojrzał na mnie, wciąż bez wyrazu. - Popatrz na inne dzieci.

Zamrugnął i odwrócił głowę, by obejrzeć resztę pomieszczenia. Przez chwilę patrzył bez słowa komentarza, po czym odwrócił się do mnie.

- Już - szepnął.

- Sęk w tym, że wszyscy biegają i się bawią, a ty nie - wyjaśniłem.

- Ja nie - przytaknął.

- Tak będziesz się rzucał w oczy. Musisz udawać, że się dobrze bawisz.

- Ale nie wiem jak - wygłosił istną tyradę.

- Musisz się nauczyć - powiedziałem. - Musisz wyglądać jak inni, bo inaczej...

- No, no, co z tobą, mój mały?! - huknęło nad nami. Oblesnie wesoły grubas podszedł do nas i oparłszy dłonie na nagich kolanach, zbliżył twarz do twarzy Cody'ego. Mundur drużynowego pękał na nim w szwach, a widok jego włochatych nóg i wielkiego brzuszyska wydawał się bardzo niestosowny. - Chyba się nie wstydzisz, co? - spytał z okropnym, szerokim uśmiechem.

Cody długo patrzył na niego nieruchomym wzrokiem, aż w końcu uśmiech mężczyzny zaczął trochę przygasać.

- Nie - odezwał się wreszcie Cody.

- To dobrze - stwierdził mężczyzna, wyprostował się i cofnął o krok.

- Tak naprawdę nie jest nieśmiały - powiedziałem. - Trochę zmęczony, to wszystko.

Mężczyzna skierował swój uśmiech na mnie, chwilę mi się przyglądał, aż wreszcie wysunął rękę do przodu.

- Roger Deutsch - przedstawił się. - Jestem drużynowym. Zawsze staram się trochę wszystkich poznać, zanim zaczniemy.

- Dexter Morgan. - Uścisnąłem jego dłoń. - A to Cody.

Deutsch podał rękę Cody'emu.

- Cześć, Cody, miło cię poznać. - Cody spojrział na jego dłoń, a potem na mnie; kiedy skinąłem głową, wsunął swoją małą rękę w zawieszony przed nim mięsiste łapsko.

- Cześć - powiedział.

- Cóż więc sprowadza cię do zuchów, Cody? - Deutsch nie dawał za wygraną.

Cody zerknął na mnie. Kiedy się uśmiechnąłem, ponownie odwrócił się do Deutscha.

- Dobra zabawa - odparł. Jego mała, kamienna twarz przybrała pogrzebowy wyraz.

- To świetnie - ucieszył się Deutsch. - Harcerstwo ma być dobrą zabawą. Ale nie tylko. Można się też nauczyć różnych fajnych rzeczy. Jest coś szczególnego, czego chciałbyś się nauczyć, Cody?

- Rzeźbić zwierzęta - powiedział Cody, a ja tylko najwyższym wysiłkiem woli nie spadłem z krzeselka.

- Cody - wykrztusiłem.

- Nie, panie Morgan, wszystko w porządku - zapewnił Deutsch. - Prowadzimy dużo zajęć z prac ręcznych. Możemy zacząć od rzeźbienia w mydle, a potem zając się drewnem. - Mrugnął do Cody'ego. - Jeśli boi się pan dać mu nóż do ręki, bez obaw, nie pozwolimy, żeby zrobił sobie krzywdę.

Raczej niedyplomatycznie byłoby powiedzieć, że nie o Cody'ego się bałem. Wiedział już doskonale, za który koniec trzymać nóż, co więcej, wykazał się niespotykaną w tak młodym wieku wprawą we wbijaniu ostrza tam, gdzie należy. Byłem jednak prawie pewien, że w zuchach nie nauczy się takiego rzeźbienia, o jakie mu chodziło - przynajmniej dopóki nie zdobędzie stosownych sprawności. Powiedziałem więc tylko:

- Omówimy to z mamusią, zobaczymy, co ona na to. - A Deutsch pokiwał głową.

- Super - odrzekł. - Tymczasem nie krępuj się. Czasem trzeba zamknąć oczy i skoczyć na główkę.

Cody spojrzął na mnie, po czym skinął Deutschowi głową.

- No dobrze - powiedział drużynowy i wreszcie się wyprostował. - Zaczynamy więc. - Pożegnał mnie lekkim ukłonem i odwrócił się, by zarządzić zbiórkę swojego oddziału.

Cody pokręcił głową i coś szepnął. Nachyliłem się ku niemu.

- Co? - spytałem.

- Na główkę - powtórzył.

- To tylko takie wyrażenie - wyjaśniłem.

Spojrzął na mnie.

- Głupie - stwierdził.

Deutsch przeszedł przez salę, prosząc o ciszę i zwołując dzieci. Zaczynała się zbiórka. Czas, by Cody skoczył na główkę albo chociaż umoczył duży palec u nogi. Wstałem więc i wyciągnąłem do niego rękę.

- Chodź - powiedziałem. - Będzie dobrze.

Cody, raczej nieprzekonany, wstał i spojrzął na grupę normalnych chłopców gromadzących się wokół Deutscha. Wyprostował się najbardziej jak mógł, odetchnął głęboko, mruknął „dobra” i dołączył do reszty.

Patrzyłem na niego, kiedy ostrożnie przeciskał się przez tę trzódkę, by znaleźć sobie miejsce, a potem stał nieruchomo, zupełnie sam, dzielny jak nigdy dotąd. Nie będzie łatwo - ani jemu, ani mnie. Oczywiście będzie się czuł niezręcznie, próbując dopasować się do grupy, z którą nie miał nic wspólnego. Był wilczkiem usiłującym obrosnąć w owczą wełnę i nauczyć się mówić: „Beee!” I jeśli choć raz zawyje do księżycy, gra będzie skończona.

A ja? Mogłem tylko patrzeć i co najwyżej udzielić mu paru wskazówek w przerwach między rundami. Sam przechodziłem podobny trudny okres i wciąż pamiętałem, jak bardzo bolało, kiedy zrozumiałem, że ten śmiech, przyjaźń, poczucie przynależności są na zawsze zarezerwowane dla innych, czymś, a ja nigdy tak naprawdę ich nie zaznam. I, co gorsza, jak już sobie uświadomiłem,

że te doświadczenia mnie ominą, musiałem zacząć je udawać, nauczyć się skrywać śmiertelną pustkę we mnie pod maską szczęścia.

I pamiętałem moją straszliwą nieporadność w tych pierwszych latach prób; pierwsze kompletnie nieudane wybuchy śmiechu, zawsze w niewłaściwych momentach i zawsze brzmiące tak nieludzko. Jakże ciężko było choćby naturalnie, swobodnie rozmawiać z innymi na odpowiednie tematy, okazując stosowne sfabrykowane uczucia. Uczyłem się tego powoli, w mękach, nieudolnie; patrzyłem, z jaką łatwością robią to inni, i ich pełna wdzięku swoboda, która była poza moim zasięgiem, przysparzała mi dodatkowej udręki. Taka drobnostka: umieć się śmiać. Coś tak błahego, chyba że się tego nie potrafi i trzeba się uczyć, podpatrując innych, jak ja.

Teraz to samo czekało Cody'ego. Będzie musiał przejść przez cały ten obmierzły proces osvajania się z wiedzą, że jest i zawsze będzie inny, i uczenia się, jak to ukrywać. A to był dopiero początek, pierwszy, łatwy etap Drogi Harry'ego. Potem wszystko jeszcze bardziej się komplikowało, robiło się coraz trudniejsze i bardziej bolesne, i tak aż do ukończenia budowy całkowicie nowego, sztucznego życia, osadzonego na solidnych fundamentach. Nieustanne udawanie, przerywane tylko krótkimi i zbyt rzadkimi momentami upragnionej, ostrej jak brzytwa rzeczywistości - oto mój dar dla Cody'ego, tej małej, skrzywdzonej istotki, która stała teraz tak sztywno i w głębokim skupieniu szukała choćby śladu poczucia przynależności, którego nigdy nie zazna.

Czy rzeczywiście miałem prawo wtlaczać go w te boleśnie ciasne ramy? Czy fakt, że sam to przeżyłem, oznacza, iż on też powinien? Bo jeśli miałem być szczery, ostatnio przynosiło mi to niewiele korzyści. Droga Harry'ego, która wydawała się tak wyraźnie, czysto i sprytnie wytyczona, skręciła w zarośla. Debora, jedyna osoba na całym świecie, która powinna rozumieć, wątpiła w jej słuszność, a nawet w sam fakt jej istnienia, a teraz leżała na OIOM-ie, podczas gdy ja miotalem się po mieście i zarzynałem niewinnych.

Czy naprawdę tego chciałem dla Cody'ego?

Patrzyłem, jak z innymi recytuje przysięgę wierności sztandarowi, i nie nasunęło mi to żadnych odpowiedzi.

I stąd głęboka zaduma Dextera, kiedy wreszcie powlókł się do domu, ciągnąc za sobą urażonego i niepewnego Cody'ego.

W drzwiach czekała Rita. Miała zaniepokojoną minę.

- Jak było? - spytała Cody'ego.

- Dobrze - odparł z miną świadczącą o czymś dokładnie odwrotnym.

- Było w porządku - dodałem, trochę bardziej przekonująco. -
A będzie dużo lepiej.

- Musi - stwierdził Cody cicho.

Rita przeniosła wzrok z Cody'ego na mnie i z powrotem.

- Nie to chciałam... to znaczy, czy ty, czy tobie... Cody, będziesz dalej chodził na zbiórki?

Cody spojrzał na mnie i w jego oczach niemal dostrzegłem błysk małego ostrza.

- Tak - odrzekł swojej matce.

Ricie wyraźnie ulżyło.

- To wspaniale - powiedziała. - Bo to naprawdę... wiem, że będziesz... no wiesz.

- Na pewno - stwierdziłem.

Zaświergotała moja komórka i odebrałem.

- Tak.

- Ocknęła się - powiadomił mnie Chutsky. - I przemówiła.

- Już jadę - rzuciłem.

Sam nie wiem, co spodziewałem się zobaczyć w szpitalu, ale na pewno się rozczarowałem. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Debora nie siedziała w łóżku i nie rozwiązywała krzyżówki, słuchając iPod'a. Wciąż leżała bez ruchu, otoczona przez mnóstwo urządzeń i jednego Chutsky'ego. On zaś siedział w tej samej błagalnej pozie na tym samym krześle, choć przez ten czas zdążył się ogolić i zmienić koszulę.

- Cześć, stary! - zawołał wesoło, kiedy dostałem się do łóżka Debory.
- Jest coraz lepiej. Spojrzała prosto na mnie i powiedziała moje imię. Będzie zdrowa.

- Super - odrzekłem, choć nie bardzo rozumiałem, dlaczego wymówienie jednosylabowego imienia miałoby oznaczać, że moja siostra błyskawicznie wraca do pełnej, nienadwątłonej normalności. - Co mówią lekarze?

Chutsky wzruszył ramionami.

- Stara śpiewka. Nie robić sobie zbyt wielkich nadziei, za wcześnie, żeby wyrokować, autonomiczny nerwowy i tak dalej. - Uniósł dłoń w geście mówiącym „olać to”. - Ale nie widzieli, jak się obudziła, a ja owszem. Spojrzała mi w oczy i od razu wiedziałem. Tam, w środku, to wciąż jest ona. Wyjdzie z tego.

Nie znalazłem żadnej odpowiedzi, więc wymamrotałem kilka życzliwych pustych sylab i usiadłem. I choć bardzo cierpliwie czekałem przez dwie i pół godziny, Deb nie wyskoczyła z łóżka i nie zaczęła ćwiczyć aerobiku; nie powtórzyła nawet swojej sztuczki z otwieraniem oczu i wypowiedaniem imienia Chutsky'ego, więc nie dzielając jego niewzruszonej wiary, w końcu powlokłem się do domu.

Kiedy następnego ranka przyszedłem do pracy, byłem zdeterminowany, żeby od razu wziąć się do roboty i wyszperać jak najwięcej informacji o Doncevicu i jego tajemniczym współniku. Ledwie jednak zdążyłem postawić na biurku kubek kawy, nawiedził mnie Duch Święt Wyjątkowo Nieudanych w osobie Israela Salguero z wydziału wewnętrznego. Wsunął się cicho do środka i bez słowa

usiadł na składanym krześle naprzeciwko mnie. W jego kocich ruchach czuło się groźbę, która pewnie wzbudziłaby moje uznanie, gdybym nie był jej adresatem. Przez chwilę patrzyłem na niego, a on na mnie, aż w końcu skinął głową i zakomunikował:

- Znałem twojego ojca.

Pokiwałem głową i podejmując wielkie ryzyko, napiłem się kawy - na wszelki wypadek nie odrywałem jednak oczu od Salguero.

- Był dobrym gliną i dobrym człowiekiem - ciągnął. Mówił tak cicho, jak cicho się poruszał, z lekkim akcentem charakterystycznym dla wielu Amerykanów kubańskiego pochodzenia z jego pokolenia. Rzeczywiście, znał Harry'ego bardzo dobrze, a Harry wysoko go cenił. Ale to było dawno temu, a dziś Salguero był budzącym powszechny szacunek i lęk porucznikiem wydziału wewnętrznego i gdyby miał zainteresować się mną albo Deborą, nie wróżyłoby to nic dobrego.

Dlatego też w przekonaniu, że najlepiej będzie przeczekać i dać mu przejść do konkretów, jeśli takie istniały, wziąłem następny łyk kawy. Nie była tak smaczna jak przed wizytą Salguero.

- Chciałbym wyjaśnić tę sprawę najszybciej jak się da - powiedział. - Jestem pewien, że ani ty, ani twoja siostra nie macie się czego obawiać.

- Oczywiście, że nie - odparłem, ciekaw, dlaczego nie poczułem się ani trochę pewniej; może dlatego, że naczelną zasadą rządzącą moim życiem było nie rzucać się w oczy, i myśl, że miałyby w nim szperać doświadczony śledczy, nieszczególnie mnie podniosła na duchu.

- Gdybyś kiedyś chciał mi coś powiedzieć, drzwi mojego gabinetu są zawsze otwarte - zapewnił.

- Dziękuję bardzo - odrzekłem i ponieważ nie przychodziło mi do głowy nic innego, nic już nie powiedziałem. Salguero chwilę mi się przyglądał, po czym skinął głową i jednym płynnym ruchem wstał z krzesła, i wysłiznął się za drzwi, a ja, ledwie zostałem sam, zacząłem się zastanawiać, w jak duże tarapaty wpadli Morganowie. Dopiero po kilku minutach i wypiciu całej kawy zdołałem wykasować jego wizytę ze swojej pamięci i skupić się na komputerze.

A kiedy to się udało, czekała mnie przemiła niespodzianka.

Zanim wziąłem się do pracy, odruchowo zajrzałem do skrzynki e-mailowej. Były tam dwie notatki służbowe wymagające natychmiastowego zignorowania, reklama obiecująca wydłużenie

mi czegoś o kilkanaście centymetrów i e-mail bez tytułu, który już miałem skasować, kiedy dostrzegłem adres nadawcy:

bweiss@aol.com

To zły znak, ale nie od razu skojarzyłem nazwisko. Dosłownie trzymałem już palec na myszy z zamiarem pozbycia się wiadomości, kiedy coś zaskoczyło mi w głowie i znieruchomiałem.

Bweiss. To brzmiało jakby znajomo. Pewnie nadawcą był „Weiss, inicjał imienia B”, jak to zwykle bywa w adresach e-mailowych. To miałyby sens. A gdyby „B” oznaczało „Brandon”, miałyby to jeszcze więcej sensu. Bowiem było to imię osoby, którą właśnie zamierzałem sprawdzić.

Jak miło z jego strony, że pierwszy się ze mną skontaktował.

Otworzyłem e-mail od Weissa z większym niż zwykle zainteresowaniem, ogromnie zaintrygowany, co też chciał mi przekazać. Jednak ku mojemu głębokiemu rozczarowaniu, wyglądało na to, że nic. Był tam tylko link do strony internetowej, podkreślony, wypisany niebieskimi literami, tkwiący na środku strony bez żadnego komentarza.

<http://www.youtube.com/watch?v=99lrj?42n>

A to ciekawostka. Brandon chciał pokazać mi filmik. Tylko jaki? Teledysk ulubionego zespołu? Zmontowane fragmenty ulubionego serialu? A może podobne obrazki, jakie podesłał Izbie Turystycznej? No, to byłoby bardzo ładnie z jego strony.

Dlatego też, czując przyjemne ciepło rozlewające się w miejscu, gdzie powinienem mieć serce, kliknąłem link i czekałem niecierpliwie, aż strona się otworzy. Wreszcie pokazało się małe okienko i włączyłem film.

Przez chwilę była tylko ciemność. Potem ukazał się ziarnisty obraz i zobaczyłem białą porcelaną, filmowaną z góry, przez kamerę zamocowaną gdzieś pod sufitem – to samo ujęcie, co na wideo dostarczonym Izbie Turystycznej. Byłem nieco zawiedziony – podesłał mi link do filmu, który już oglądałem, to wszystko. Nagle jednak rozległo się ciche szuranie i zanotowałem poruszenie w rogu okienka. W kadr weszła ciemna postać, która rzuciła coś na białą porcelaną.

Doncevicia.

A ta ciemna postać? Dzielny Dexter z Dołęczkami, oczywiście.

Nie widać było mojej twarzy, ale nie miałem cienia wątpliwości. To były plecy Dextera, jego fryzura za siedemnaście dolarów, kołnierz jego ślicznej ciemnej koszuli okalający tę jakże cudną, cenną szyję...

Rozczarowanie ulotniło się bez śladu. A jednak był to nowy film, którego jeszcze nie oglądałem i który od razu wciągnął mnie bez reszty.

Patrzyłem, jak Tamten Dexter prostuje się i rozgląda – na szczęście, wciąż odwrócony plecami do kamery. Mądry chłopak. Dexter wyszedł poza kadr i zniknął. Kształt w wannie poruszył się nieznacznie. Dexter wrócił i wzniósł piłę. Zawarczał brzeszczot, ręka poszła w górę...

I ciemność. Koniec filmu.

Przez kilka minut siedziałem w ciszy, kompletnie osłupiały. Z korytarza dobiegł rumor. Ktoś wszedł do laboratorium, wysunął szufladę, zamknął ją i wyszedł. Zadzwoił telefon; nie odebrałem.

To byłem ja. Na YouTube. W pełnej, lekko ziarnistej krasie. Dexter o Demonicznych Dołęczkach, gwiazda nieznanego szerzej klasyka kina klasy B. Uśmiech do kamery, Dexter. Pomachaj do publiczności. Nigdy nie byłem fanem amatorskich produkcji, a już ta zupełnie mnie zachwyciła. Ale stało się – oto ja, uwieczniony na filmie i wrzucony na YouTube'a, żeby wszyscy mogli mnie podziwiać. To się w głowie nie mieściło; moje myśli wpadły w błędne koło, jak zapętłony fragment filmu. To byłem ja; to nie mogłem być ja, ale byłem; trzeba coś zrobić, ale co? Nie wiem, ale coś zrobić trzeba... Bo to byłem ja...

Robiło się ciekawie, prawda?

No dobrze; to byłem ja. Gdzieś nad wanną musiała być ukryta kamera. Weiss i Doncević wykorzystywali ją przy swoich pracach dekoracyjnych i wciąż tam wisiała, kiedy przyszedłem. Co znaczyło, że Weiss nadal był gdzieś w okolicy...

Wcale nie. Śmiesznie łatwo jest podłączyć kamerę do Internetu i sprawdzać ją przez komputer. Weiss mógł być wszędzie. Mógł w dowolnym miejscu odebrać nagranie i wysłać je do mnie...

Do mnie, drogiego anonimowego mnie, Dextera Superskromnego, człowieka od czarnej roboty, który nigdy nie nagłaśnia swoich dobrych uczynków. Tyle że, ma się rozumieć, przy całej ogłuszającej wrzawie medialnej wokół wszystkiego, co związane z tą sprawą – z napaścią na Deborahę włącznie – gdzieś kiedyś musiało paść moje nazwisko.

Dexter Morgan, niepozorny spec od medycyny sądowej, brat niedoszłej ofiary. Jedno zdjęcie, jeden kadr w wieczornych wiadomościach i Weiss miał mnie na widelcu.

Poczułem, że w żołądku rośnie mi zimna, nieprzyjemna gula. To było takie łatwe. Tak proste, że byle pomyłony pseudoartysta mógł odkryć, kim i czym jestem. Za długo byłem zbyt cwany i oswoiłem się z myślą, że jestem jedynym tygrysem w dżungli. Zapomniałem tylko, że jeśli tygrys jest tylko jeden, myśliwy może go bardzo łatwo wytropić.

I mu się udało. Poszedł za mną do mojej nory i nagrał igraszki Dextera, no i oto miałem je przed sobą.

Mój palec niemal bezwiednie drgnął na myszy i obejrzałem wideo raz jeszcze.

To nadal byłem ja. Nagrany na wideo. To ja.

Odetchnąłem głęboko i pozwoliłem, by tlen wywarł swój zbawienny wpływ na moje procesy myślowe albo to, co z nich zostało. Miałem kłopot, jasne, ale jak każdy, ten też można było rozwiązać. Pora odwołać się do logiki, użyć całej mocy zimnego biokomputera Dextera do pracy nad tym problemem. Po pierwsze: czego facet chciał? Po co to zrobił? Najwyraźniej chciał mnie sprowokować do jakiejś reakcji - ale jakiej? Najbardziej oczywista odpowiedź była taka, że szukał zemsty. Zabiłem jego przyjaciela - współnika? Kochanka? Nieważne. Chciał pokazać mi, że wie, co zrobiłem, i, i...

I wysłał nagranie mnie, nie komuś, kto przypuszczalnie zrobiłby z niego użytek, na przykład detektywowi Coulterowi. Co znaczyło, że było to wyzwanie osobiste, którego nie zamierzał upublicznić, przynajmniej na razie.

Tyle że już zostało upublicznione - nagranie trafiło na YouTube'a i prędzej czy później ktoś przypadkiem na nie trafi i je obejrzy. Stąd wniosek, że istotnym czynnikiem był czas. Co więc chciał przez to powiedzieć? Znajdź mnie, zanim znajdą ciebie?

No dobra, na razie wszystko gra. Ale co potem? Pojedynek jak na Dzikim Zachodzie - na piły mechaniczne z dziesięciu kroków? Czy może chodziło tylko o to, żeby się nade mną znęcać, zmuszać mnie do kontynuowania pościgu dotąd, aż popełnię błąd, albo dotąd, aż on się znudzi i wyśle nagranie do wiadomości wieczornych?

Istota niższa w tej sytuacji zapewne wpadłaby w panikę, Dexter jednak jest ulepiony z twardszej gliny. Weiss chciał, żebym go szukał - ale nie wiedział, że trafił na wirtuoza poszukiwań. Jeśli byłem choć w połowie na tyle dobry, na ile skromność pozwalała mi przyznać, znajdę go dużo szybciej, niż mu się wydawało. W porządku: jeśli Weiss chce się bawić, to się pobawmy.

Ale będziemy się bawić na zasadach Dextera, nie jego.

Zawsze zaczynać od początku – taka jest moja dewiza, głównie dlatego, że nie ma w niej krzty sensu. W końcu od czegokolwiek się zaczyna, z natury rzeczy musi to być początek, mam rację? Tak czy owak, komunały istnieją po to, żeby podnosić cymbałów na duchu, a nie żeby cokolwiek znaczyć. A że sam w tej chwili czułem się lekko ociążały na umyśle, wyżej wspomniana myśl trochę mnie pocieszyła, kiedy zjrzałem do policyjnej kartoteki Brandona Weissa.

Niewiele tego było: zapłacony mandat za złe parkowanie i skarga wniesiona przez Izbę Turystyczną. Nie był poszukiwany, nie miał żadnych szczególnych zezwoleń poza prawem jazdy, nie wystąpił o zgodę na posiadanie broni – ani piły mechanicznej, skoro już o tym mowa. Adres znałem; ten sam, pod którym Debora dostała nożem. Kiedy poszperałem trochę głębiej, znalazłem jeden wcześniejszy, w Syracuse w stanie Nowy Jork. Weiss przeniósł się tam z Kanady, z Montrealu. Szybko ustaliłem, że nadal jest obywatelem kanadyjskim.

Żadnego dobrego tropu: nic, co można by uznać za najmniejszą wskazówkę. Inna sprawa, że w gruncie rzeczy na nic nie liczyłem, ale moja praca i mój przybrany ojciec skutecznie wpoili mi, że sumienność czasem popłaca. To był dopiero początek.

Pora na następny krok. Adres e-mailowy Weissa. Z tym było trochę trudniej. Po pewnych nie do końca legalnych manewrach dostałem się do listy abonentów AOL i minimalnie stan swojej poprawiłem wiedzy. Obok adresu zamieszkania – tego samego, w Dzielnicy Artystycznej – podany był bowiem także numer telefonu komórkowego. Zapisałem go sobie, a nuż kiedyś się przyda. I tyle. Nic więcej, z czego miałbym pożytek – aż dziw, że taka firma jak AOL nie zadaje prostych, acz kluczowych pytań typu „Gdzie schowałbyś się przed Dexterem?”

Cóż, nic, co warto robić, nie jest łatwe – kolejny fascynująco idiotyczny banał. W końcu oddychanie to czynność względnie prosta, a, jak sądzę, wielu mądrych ludzi zgodzi się, że przynosi całkiem spore korzyści. Tak czy owak, w bazie danych AOL nie znalazłem nic

ciekawego oprócz numeru telefonu, który zostawiłem sobie na później jako ostatnią deskę ratunku. Z billingów też pewnie nie dowiem się niczego nowego, ale może uda mi się namierzyć aparat telefoniczny, jak to już raz zrobiłem, kiedy prawie uratowałem sierżanta Doakesa przed chirurgiczną modyfikacją.

Bez konkretnego powodu wróciłem na YouTube. Może po prostu chciałem jeszcze raz popatrzeć na siebie, zrelaksowanego i naturalnego. W końcu było to coś, czego nigdy nie widziałem, a nawet nie spodziewałem się kiedykolwiek zobaczyć. Dexter w akcji, jak to tylko on potrafi. Obejrzałem wideo ponownie, zachwycony moją naturalnością i gracją. Proszę, z jakim fasonem podniosłem piłę do kamery. Piękne. Prawdziwy artyzm. Powinienem pomyśleć o karierze filmowej.

I w tej chwili do mojej powoli budzącej się świadomości wpadła kolejna myśl. Obok okienka z filmem widniał podkreślony adres e-mailowy. Może i nie byłem specem od YouTube'a, ale wiedziałem, że podkreślony adres musi dokądś prowadzić. Kliknąłem więc i na ekranie niemal natychmiast wyskoczyło pomarańczowe tło osobistej strony użytkownika YouTube. Wielkie, płomienne litery u góry strony tworzyły nagłówek: „Nowe Miami”. Zsunąłem kursor niżej, do okienka z napisem „Wideo (5)” zawierającego miniatury każdego filmu. Ten z moimi plecami miał numer cztery.

Postanowiłem działać metodycznie i nie ograniczać się do ponownego podziwiania mojej wybitnej kreacji, kliknąłem więc pierwszy kadr, pokazujący twarz mężczyzny wykrzywioną w grymasie obrzydzenia. Zaczął się film i na ekranie znów pojawił się tytuł, wypisany ognistymi literami: „Nowe Miami 1”.

Potem nastąpiło bardzo ładne ujęcie bujnej tropikalnej roślinności w świetle zachodzącego słońca: rząd ślicznych orchidei, ptaki lądujące jeden za drugim na powierzchni małego stawu, aż wreszcie kamera cofnęła się, ukazując ciało, które znaleźliśmy w Fairchild Gardens. Gdzieś poza kadrem rozległ się przeraźliwy jęk i ktoś jakby zduszonym głosem powiedział: „O Jezu”, kamera ruszyła za oddalającymi się plecami mężczyzny, a z głośnika dobiegł przenikliwy wrzask. Brzmiał dziwnie znajomo, co przez chwilę mnie zastanawiało, więc cofnąwszy nagranie, odsłuchałem go jeszcze raz. No tak: to był ten sam krzyk, co na pierwszym filmie, który oglądaliśmy

w Izbie Turystycznej. Z jakiegoś osobliwego powodu Weiss wykorzystał go także w tym nagraniu. Może to taki znak rozpoznawczy, coś jak klaun McDonalda.

Puściłem dalszy ciąg nagrania; kamera sunęła przez tłum na parkingu Fairchild i wychwytywała twarze, na których malowały się szok, odraza albo zwykła ciekawość. I znów obraz zawirował i niektóre bardziej wyraziste twarze ułożyły się w rzędzie na tle początkowego ujęcia roślinności zalanej światłem zachodzącego słońca, a na nich ukazał się napis:

„Nowe Miami: czysta natura”

Cóż, przynajmniej wyzbyłem się resztek wątpliwości dotyczących winy Weissa. Byłem prawie pewien, że pozostałe filmy pokazują inne ofiary i reakcję tłumu. Ale żeby być skrupulatnym, postanowiłem obejrzeć je po kolei, wszystkie pięć...

Chwileczkę, przecież powinny być tylko trzy filmy, po jednym z każdego miejsca, w którym znaleźliśmy ciała. No i jeszcze jeden, ten z oscarową kreacją Dextera, czyli w sumie cztery – skąd zatem wziął się piąty? Czy to możliwe, że Weiss dorzucił coś jeszcze, coś bardziej osobistego, co da mi jakąś wskazówkę, gdzie mogę go znaleźć?

Coś gruchnęło w laboratorium i Vince Masuoka zawołał: „Ej, Dexter!”, a ja szybko wyłączyłem przeglądarkę. Nie miałem ochoty chwalić się Vince’owi swoim wybitnym aktorstwem, nie tylko przez fałszywą skromność. O wiele za trudno byłoby się z tej roli wytłumaczyć. I w tej samej chwili, kiedy monitor opustoszał, Vince wpadł do mojego boksu z zestawem do zbierania śladów w rękę.

- Co, nie odbierasz telefonu? - spytał.

- Pewnie akurat byłem w łazience - powiedziałem.

- Licho nie śpi - stwierdził. - Chodź, robota czeka.

- Aha - mruknąłem. - Co się dzieje?

- Nie wiem, ale mundurowi na miejscu prawie że wpadli w histerię - odparł Vince. - To w Kendall.

Oczywiście, paskudne rzeczy zdarzają się w Kendall na co dzień, ale bardzo niewiele z nich jest przedmiotem mojego zawodowego zainteresowania. Gdy teraz o tym myślę, pewnie powinienem się wtedy bardziej zaciekawić, ale wciąż zaprzętało mnie odkrycie, że mimo woli zostałem gwiazdą YouTube, i strasznie chciałem zobaczyć pozostałe

filmiki. Dlatego też jadąc z Vince'em, ograniczałem się do niemal nieświadomej wymiany uprzejmości, a tymczasem myślałem tylko o tym, co też Weiss pokazywał w tym ostatnim, nieobejrzanym nagraniu. I tym większy był mój szok, kiedy Vince skręcił na parking i zgasił silnik, a ja poznałem cel naszej podróży.

- Chodźmy - powiedział.

Staliśmy przed dużym budynkiem publicznym, który już raz widziałem. Dokładniej mówiąc, poprzedniego dnia, kiedy zabrałem Cody'ego na zbiórkę zuchów.

Szkoła podstawowa Golden Lakes.

Oczywiście musiał to być czysty przypadek. Ludzie giną co rusz, nawet w szkołach podstawowych, i zakładać, że to nie jeden z tych przezabawnych zbiegów okoliczności, które tak ubarwiają nasze życie, to tak jakby uważać, że cały świat kręci się wokół Dextera - co, rzecz jasna, w ograniczonym zakresie było prawdą, ale jeszcze nie sfiksowałem na tyle, żeby wierzyć w to dosłownie.

Dlatego zadumany i nieco zaniepokojony Dexter powlókł się za Vince'em, przeszedł pod żółtą taśmą i ruszył do bocznych drzwi szkoły, przy których znaleziono zwłoki. I kiedy zbliżałem się do czujnie strzeżonego miejsca, gdzie leżały w pełnej krasie, usłyszałem dziwny i wręcz idiotyczny gwizd, i to - o dziwo - swój własny. Bowiem mimo przyklejonej do twarzy przezroczystej plastikowej maski, mimo ziejącej jamy brzusznej, wypchanej, zdaje się, elementami mundurka i rynsztunku zucha, i mimo że po prostu nie mogłem mieć racji, rozpoznałem ciało z odległości trzech metrów.

To był Roger Deutsch, drużynowy Cody'ego.

Trup oparty był o ścianę we wnęce bocznych drzwi budynku, które służyły za wyjście bezpieczeństwa ze stołówki pełniące także funkcję szkolnej auli. Jeden z pracowników wyszedł zapalić, zobaczył go i musiał otrzymać środki uspokajające, co już na pierwszy rzut oka łatwo mi było zrozumieć. A po bardziej starannyh oględzinach, omal sam ich nie zażądałem.

Roger Deutsch miał na szyi sznurek z gwizdkiem. I tak jak w przypadku tamtych ciał, opróżniony z wnętrzości brzuch wypełniały interesujące przedmioty - mundurek zucha, kolorowa książeczka pod tytułem *Kodeks zucha* i parę innych przyborów. Dostrzegłem wystający trzonek toporka i scyzoryk z oznaką zuchów. A kiedy schyliłem się, żeby popatrzeć z bliska, zobaczyłem też ziarniste zdjęcie wydrukowane na zwyczajnym białym papierze i wypisane na nim wielkimi czarnymi literami słowo „Czuwaj”. Fotografia, zrobiona z pewnego oddalenia, pokazywała rozmazane sylwetki kilku chłopców i jednego dorosłego, wchodzących tu, do tego budynku. I choć nie mogłem tego udowodnić, doskonale wiedziałem, kim są ten dorosły i jedno z dzieci.

Ja i Cody.

Nie sposób było nie rozpoznać znajomego łuku pleców Cody'ego. I nie zrozumieć przesłania.

To był bardzo dziwny moment, kiedy tak klęczałem na chodniku, patrzyłem na zamazane, niewyraźne zdjęcie przedstawiające mnie z Codym i zastanawiałem się, czy ktoś zauważy, jeśli je zabiorę. Nigdy jeszcze nie zatajałem dowodów, ale z drugiej strony, nigdy dotąd nie byłem z nimi związany. I oczywiste było, że ta wiadomość jest przeznaczona dla mnie. „Czuwaj” i to zdjęcie. To było ostrzeżenie, wyzwanie. Wiem, kim jesteś, mogę zrobić ci coś złego. I oto nadchodzę. „Czuwaj”.

A ja nie byłem przygotowany. Nie wiedziałem jeszcze, gdzie Weiss może być, nie miałem pojęcia, jaki będzie jego następny ruch ani kiedy

nastąpi, ale jednego byłem pewien – wyprzedził mnie o dobrych kilka kroków i jednocześnie znacznie podniósł stawkę. To nie były wykradzione, anonimowe zwłoki. Weiss zabił Rogera Deutscha, a nie tylko poddał jego ciało obróbce. I wybrał swoją ofiarę starannie, z rozmysłem, żeby się do mnie dobrać.

Poza tym jego groźba była wieloznaczna. Zdjęcie nadawało jej bowiem całkiem nowy wymiar – mówiło, że może dopaść i mnie, i Cody'ego, albo po prostu pokazać światu, kim, jak obaj wiemy, naprawdę jestem. A do tego dochodziła pewność, że gdybym został zdemaskowany i wylądował w więzieniu, nic nie uchroniłoby Cody'ego przed knowaniami Weissa.

Patrzyłem w skupieniu na zdjęcie i usiłowałem stwierdzić, czy ktoś inny mnie na nim rozpozna i czy warto zaryzykować i zabrać je, a potem zniszczyć. Zanim jednak podjąłem jakąkolwiek decyzję, poczułem na twarzy delikatne muśnięcie niewidzialnego czarnego skrzydła i włosy zjeżyły mi się na karku.

Odkąd to wszystko się zaczęło, Mroczny Pasażer trzymał język za zębami – zadowalał się obojętnym uśmiechkiem raz na jakiś czas – i nie podsuwał mi w zasadzie żadnych przekonujących spostrzeżeń. Teraz jednak miał dla mnie jasny komunikat, zgodny z tym ze zdjęcia: „Czuwaj”. Nie jesteś sam. I byłem pewien, na tyle, na ile mogłem, że gdzieś w pobliżu ktoś patrzy na mnie i żywi niecne zamiary, że obserwuje mnie jak tygrys ofiarę.

Powoli, ostrożnie, jakbym po prostu zapomniał wziąć czegoś z samochodu, podniosłem się i ruszyłem z powrotem w miejsce, gdzie zaparkowaliśmy. Idąc, rozglądałem się od niechcienia, nie wypatrując niczego szczególnego – ot, Durny Dexter zwyczajnie się wałęsa – podczas gdy pod maską nonszalanckiego, zamyślonego uśmiechu wrzał we mnie czarny dym, a ja szukałem czegoś, co na mnie patrzyło.

I znalazłem.

Tam. W najbliższym szeregu zaparkowanych samochodów, może trzydzieści metrów ode mnie, w miejscu z najlepszym widokiem, stał mały brązowy sedan. I coś mrugnęło na mnie zza szyby; słońce odbite w obiektywie kamery.

Wciąż jakże ostrożnie i niedbale, mimo że ciemność ryczała we mnie i wyostrzała się jak nóż, zrobiłem krok w stronę samochodu. Z oddali zobaczyłem jasny błysk opuszczanej kamery, małą bladą twarz mężczyzny i przez jedną bardzo długą sekundę czarne skrzydła furczały i łopotały między nami...

...aż w końcu samochód zapalił, z cichym piskiem opon wyjechał tyłem z miejsca parkingowego i zniknął w ruchu ulicznym. I choć pobiegłem za nim, zdołałem zobaczyć tylko pierwszą połowę tablicy rejestracyjnej: OGA i trzy bliżej niezidentyfikowane cyfry, choć miałem wrażenie, że ta w środku to trzy albo osiem.

Ale wygląd samochodu wystarczył. Przynajmniej znajdę dokumentację wozu. Nie będzie zarejestrowany na Weissa, to pewnie. Nikt nie jest aż tak głupi; nie w czasach wszechobecnych historii kryminalnych we wszystkich mediach. Pojawiła się jednak iskierka nadziei. Odjechał w pośpiechu, żebym nie zobaczył ani jego, ani jego samochodu, a mnie może wreszcie dopisała odrobina szczęścia.

Stałem tak chyba z minutę i czekałem, aż szalejący we mnie wicher ucichnie i na powrót zwinie się w spokojnie pomrukujący kłębek. Serce łomotało mi jak prawie nigdy za dnia i zrozumiałem, że doskonale się stało, że Weiss okazał się ociupinę nieśmiały i tak ochoczo się oddalił. Bo co mógłbym mu zrobić? Wywlec go z samochodu i pociąć na kilkanaście równych kawałków? Albo kazać go aresztować i wrzucić do radiowozu, żeby mógł w szczegółach opowiedzieć o Dexterze wszystkim, którzy zechcą go wysłuchać?

Nie, to dobrze, że uciekł. Znajdę go i spotkamy się na moich warunkach, w bardziej do tego odpowiednich ciemnościach nocy, której nadejścia już nie mogłem się doczekać.

Odetchnąłem głęboko, przyklepiłem do twarzy mój najlepszy sztuczny uśmiech roboczy i wróciłem do dekoracyjnej sterty mięcha, która jeszcze niedawno była drużynowym Cody'ego.

Kiedy podszedłem, Vince Masuoka kuczał przy zwłokach, ale zamiast zająć się czymś pożytecznym, gapił się tylko ze zmarszczonym czołem na rzeczy upchnięte w jamie brzusznej. Podniósł wzrok na mnie.

- Jak myślisz, co to znaczy? - spytał.

- Nie mam bladego pojęcia - odparłem. - Jestem od śladów krwi. Niech detektywi to wyjaśnią, za to im płacą.

Vince przekrzywił głowę i spojrzał na mnie tak, jakbym powiedział, żebyśmy zjedli zwłoki.

- Wiesz, że śledztwo prowadzi detektyw Coulter? - spytał.

- Może jemu płacą za coś innego - stwierdziłem i poczułem drobny przyptyk nadziei. Dobrze, że Masuoka mi o tym przypomniał; ten szczególnie godny był zapamiętania. Jeśli to Coulter kierował dochodzeniem, mogłem się przyznać do zabójstwa, dać mu film, na którym widać, jak je popełniam, a on i tak znalazłby sposób, żeby niczego mi nie udowodnić.

Dlatego wróciłem do pracy niemal w dobrym humorze - studzonym przez autentyczną niecierpliwość, z jaką wyczekiwałem chwili, kiedy skończę i będę mógł zasiąść do komputera, by odszukać Weissa. Szczęśliwie, na miejscu zbrodni było niewiele krwi - Weiss najwyraźniej był porządnikiem i dobrze, bo takich najbardziej cenię - i dlatego nie miałem zbyt wiele do roboty. Szybko się uwinąłem i wybłągałem, by podwieziono mnie na komendę jednym z radiowozów. Kierowca, tęgi siwowłosy facet nazwiskiem Stewart, przez całą drogę mówił o Dolphinsach i chyba było mu obojętne, czy w ogóle odpowiadam.

Zanim jednak dotarliśmy na miejsce, dowiedziałem się niezmiernie interesujących rzeczy o nadchodzącym sezonie futbolowym i o tym, co powinniśmy byli zrobić w trakcie letniej przerwy, ale co jakimś cudem, w niewytłumaczalny sposób, znów spapraliśmy, dlatego możemy spisać kolejny sezon na straty. Podziękowałem mu za podwiezienie oraz bezcenne informacje i uciekłem do swojego komputera.

Baza rejestracji samochodowych jest jednym z podstawowych narzędzi pracy policji, i w rzeczywistości, i w wyobraźni twórców kryminałów, dlatego też sięgnąłem do niej lekko zawstydzony. Wydawało się to zbyt proste, jak z kiepskiego serialu. Oczywiście, gdybym dzięki temu znalazł Weissa, jakoś przemógłbym to poczucie, że niemal oszukuję, ale na razie naprawdę poniekąd żałowałem, że nie trafiłem na trop, którego zbadanie wymagałoby choć trochę większego sprytu. Ale cóż, musimy pracować takimi narzędziami, jakie dostajemy do ręki, i możemy tylko mieć nadzieję, że później ktoś poprosi nas o konstruktywną krytykę.

Po zaledwie piętnastu minutach przeczesalem całą stanową bazę danych i znalazłem trzy małe brązowe samochody z literami OGA na tablicy rejestracyjnej. Jeden zarejestrowany był w Kissimmee i uznałem, że to trochę za daleko. Drugim był rambler rocznik 1963; coś tak charakterystycznego na pewno zwróciłoby moją uwagę.

Zostawał więc numer trzy, honda rocznik 1995, zarejestrowana na Kennetha A. Wimble'a, zamieszkałego przy Dziewięćdziesiątej Ósmej w Miami Shores. To była dzielnica skromnych domów, położona dość blisko miejsca w Dzielnicy Artystycznej, gdzie Debora została raniona nożem. Nawet piechotą nie szłoby się tam bardzo długo - dlatego gdyby na przykład policja zawitała do twojego gniazdka na Czterdziestej, mógłbyś bez problemu wyskoczyć tylnymi drzwiami i spokojnie przejść kilka przecznic, aż napotkasz niepilnowany samochód.

Ale co potem? Jeśli jesteś Weissem, dokąd pojedziesz tym samochodem? Najpierw pomyślałem: jak najdalej stamtąd, skąd go ukradłeś. Czyli zapewne ostatnim miejscem na ziemi, w którym należałoby go szukać, był dom na Dziewięćdziesiątej Ósmej...

...chyba że coś łączyło Weissa z Wimblem. Nic bardziej naturalnego niż pożyczyć samochód od kolegi; jedno małe szlachtowno, stary, i za parę godzin będę z powrotem.

Oczywiście, nie mamy Ogólnokrajowego Rejestru Znanych Każdego Obywatela. Dziwne. Wydawałoby się, że powinni to byli uczynić najważniejszym postanowieniem ustawy patriotycznej i przeforsować w Kongresie. O ileż ułatwiłoby mi to teraz pracę. Ale nic z tego; żeby ustalić, czy rzeczywiście byli kumplami, będę musiał zadać sobie trud złożenia Wimble'owi osobistej wizyty. Cóż, tego wymagała elementarna sumienność. Najpierw jednak spróbujmy się czegoś o nim dowiedzieć.

Rzut oka na bazę danych powiedział mi, że Kenneth A. Wimble nie był notowany, przynajmniej nie pod tym nazwiskiem. Rachunki miał uregulowane, choć kilka razy spóźnił się z opłatą za propan. Kiedy poszperałem głębiej, w dokumentacji podatkowej odkryłem, że pracuje na własny rachunek, a w rubryce „zawód” wpisane było „montażysta filmów wideo”.

Zbieg okoliczności zawsze może się zdarzyć. Dziwne, nieprawdopodobne rzeczy dzieją się codziennie, a my je akceptujemy i tylko drapiemy się po głowach jak prowincjusze w wielkim mieście, mówiąc: „Olaboga, a to ci dopiero”. Tego już jednak było trochę za wiele jak na zbieg okoliczności. Szedłem śladami autora tekstów, który zostawiał za sobą trop z filmów wideo, i trop ten zawiódł mnie do kogoś, kto pracuje przy filmach wideo. A ponieważ przychodzi taki moment, kiedy wytrawny śledczy musi pogodzić się z faktem, że natknął się na coś, co prawdopodobnie nie jest zbiegiem okoliczności, cicho mruknąłem do siebie „Aha”. Miałem wrażenie, że zabrzmiało to bardzo profesjonalnie.

Wimble był w to w jakiś sposób zamieszany; pomagał Weissowi przy nagrywaniu i rozsyłaniu filmów, a co za tym idzie, prawdopodobnie także w tworzeniu kompozycji ze zwłok i wreszcie w zabójstwie Rogera Deutscha. Dlatego też kiedy do drzwi zapukała Debora, Weiss prysnął do swojego drugiego współnika, Wimble'a. Jest kryjówka, jest mały brązowy samochód, który można pożyczać, przedstawienie może toczyć się dalej.

Dobrze więc, Dexterze. Na koń i w drogę. Wiemy, gdzie on jest, i czas go dopaść, zanim postanowi dać moje nazwisko i zdjęcie na pierwszą stronę „Miami Herald”. Alleluja i do przodu. Ruszajmy.

Dexter? Jesteś tam, staruszk?

Byłem. Nagle jednak ku swojemu zaskoczeniu stwierdziłem, że autentycznie brak mi Debory. Właśnie takie sprawy powinienem załatwiać razem z nią - w końcu był biały dzień, a to raczej nie Dominium Dextera. Dexter potrzebuje ciemności, by rozwinąć skrzydła i pokazać, że potrafi być prawdziwą duszą towarzystwa. Słońce nie sprzyjało łowom. Z odznaką Debory mógłbym pozostawać w ukryciu, nawet będąc na oczach wszystkich, ale bez niej... Oczywiście, nie można powiedzieć, że się denerwowałem, ale czułem się trochę nieswojo.

Jednak nie miałem żadnego wyboru. Debora leżała w szpitalnym łóżku, Weiss i jego serdeczny przyjaciel Wimble chichrali się ze mnie w domu na Dziewięćdziesiątej Ósmej, a Dexter miał rozterki, bo był dzień. Nie, tak być nie mogło.

Wstań więc, odetchnij, przeciągnij się. Choć burza huczy wkoło nas, do góry wnieśmy skroń, drogi Dexterze. Podnieś się i już cię tu nie ma. Wstałem więc i poszedłem do swojego samochodu, ale nie mogłem pozbyć się tego dziwnego niepokoju.

To uczucie nie opuszczało mnie przez całą drogę na Dziewięćdziesiątą Ósmą i nawet morderczy rytm ruchu ulicznego mi nie pomógł. Coś było nie tak, a Dexter się w to pakował. Ale z braku bardziej precyzyjnych wskazówek, jechałem dalej i zastanawiałem się, co tak naprawdę majaczy na obrzeżach mojego umysłu. Czy to rzeczywiście tylko strach przed światłem dnia? A może to moja podświadomość mówiła mi, że przeoczyłem coś ważnego, coś, co szykowało się, by podnieść łeb i mnie ukąsić? Raz po raz odtwarzałem w pamięci wszystko po kolei i zawsze układało się to w tę samą całość, a godna uwagi była tylko jedna myśl: że wszystko jest proste jak drut, doskonale ze sobą powiązane, spójne, logiczne i słuszne, i że nie mam innego wyboru, tylko jak najszybciej działać, i dlaczego właściwie miałyby mi to tak ciążyć? Kiedy Dexter w ogóle miał wybór? Kiedy ktokolwiek ma wybór poza tym, że czasem może – w te nieliczne dobre dni – powiedzieć, że zamiast ciasta wybiera lody?

Niewidzialne palce nie przestawały jednak łaskotać mnie po szyi, nawet kiedy już zaparkowałem wóz kawałek od domu Wimble'a, po drugiej stronie ulicy. I dlatego przez kilka minut siedziałem w samochodzie i patrzyłem na ten dom.

Brązowy samochód stał od frontu, na ulicy. Nigdzie nie było żywego ducha, przy krawężniku nie piętrzyła się sterta ludzkich członków czekających na śmieciarkę. Spokojny dom w zwyczajnej dzielnicy Miami, prażący się w południowym słońcu.

I im dłużej siedziałem w samochodzie ze zgaszonym silnikiem, tym dobitniej sobie uświadamiałem, że również się prażę i że jeśli zostanie w aucie jeszcze kilka minut, zacznę skwierczeć. Bez względu na słabe pomruki budzących się we mnie wątpliwości, musiałem coś zrobić, póki jeszcze powietrze w samochodzie nadawało się do oddychania.

Wysiadłem, przez kilka sekund stałem i mrugałem porażony światłem i upałem, po czym ruszyłem ulicą w kierunku przeciwnym niż dom Wimble'a. Powoli, swobodnym krokiem obszedłem kwartał wkoło i obejrzałem dom od tyłu. Niewiele było do oglądania: widok zasłaniał

żywoplot wyrastający przez drucianą siatkę. Poszedłem dalej, przeciąłem ulicę i wróciłem do samochodu.

I znów stałem, mrugając od słońca i czułem, jak pot ścieka mi po plecach i spływa po czole do oczu. Wiedziałem, że jeśli się nie ruszę, ktoś lada moment zwróci na mnie uwagę. Musiałem coś zrobić – albo pójść do Wimble’a, albo wsiąść do samochodu, pojechać do domu i czekać, aż mnie pokażą w wieczornych wiadomościach. Ale ponieważ ten paskudny, irytujący głosik w mojej głowie ciągle skrzeczał, że coś jest nie w porządku,ostałem tak jeszcze chwilę, aż pękła we mnie jakaś delikatna, napięta struna i powiedziałem: „No dobra”. Niech się dzieje, co chce. Wszystko jest lepsze od stania w miejscu i liczenia kapiących kropel potu.

Dla odmiany przypomniało mi się coś użytecznego i otworzyłem bagażnik. Wcześniej wrzuciłem tam podkładkę do pisania; bardzo się przydała przy kilku poprzednich okazjach, kiedy zapoznawałem się ze stylem życia nikczemnych i niesławnych. Wziąłem też przypinany krawat. Wiedziałem z własnego doświadczenia, że człowiek w przypinanym krawacie z podkładką do pisania w ręku może pójść wszędzie, o każdej porze dnia i nocy, i nikt się do niego nie przyczepi. Na szczęście, dziś miałem na sobie koszulę, którą dało się zapiąć pod szyją, zawiesiłem więc krawat u kołnierza, wziąłem podkładkę i długopis i pomaszerowałem ulicą do domu Wimble’a. Kolejny niby-ważny urzędas, który coś musi sprawdzić.

Zerknąłem w głąb ulicy; była obsadzona drzewami, przed kilkoma domami rosły nawet drzewa owocowe. Świetnie: dziś byłem inspektorem Dexterem ze Stanowej Komisji Kontroli Drzew. To pozwoli mi podejść pod sam dom i mieć prawie logiczne wytłumaczenie.

I co potem? Czy naprawdę mogłem dostać się do środka i zaskoczyć Weissa w biały dzień? W tym oślepiającym słońcu wydawało się to zupełnie niemożliwe. Nie było kojącej ciemności ani cieni, które mogłyby mnie ukryć w swoich objęciach. Byłem widoczny jak na dłoni i rzucałem się w oczy tak, że bardziej już się nie dało; gdyby Weiss wyjrzał przez okno i mnie rozpoznał, gra skończyłaby się, zanim na dobre się zaczęła.

Ale jaki miałem wybór? On albo ja, tak to wyglądało. Jeśli ja nie zrobię nic, on prawdopodobnie zrobi sporo więcej, poczynając od tego, że mnie zdemaskuje, a potem porwie się

na Cody'ego i Astor i kto wie, co jeszcze. Musiałem stanąć mu na drodze i go powstrzymać, tu i teraz.

I kiedy już się wyprostowałem, żeby to zrobić, do głowy wdarła mi się zupełnie nieproszona myśl: czy tak właśnie postrzegała mnie Debora? Jako oszalałe plugastwo, szarżujące z nożem bez opamiętania? Czy to dlatego była ze mnie tak niezadowolona? Bo wyobrażała sobie mnie jako żarłocznego potwora? Tak bolesna była to myśl, że przez chwilę tylko mrugałem, żeby pozbyć się ściekających po czole kropel potu. To było niesprawiedliwe, całkowicie nieuzasadnione; jasne, byłem potworem - ale nie takim. Byłem schludny, skoncentrowany, uprzejmy i bardzo się starałem oszczędzić turystom nieprzyjemnych widoków porzrzucanych części ciała. Jak mogła tego nie zauważyć? Jak mogłem otworzyć jej oczy na ład i piękno drogi, którą wskazał mi Harry?

I pierwsza odpowiedź, jaka mi się nasunęła, była taka, że nie mogłem - przynajmniej jeśli Weiss zachowa życie i wolność. Ponieważ kiedy pokażą moją twarz w wiadomościach, będę skończony, a Debora, podobnie jak ja, nie będzie miała wyboru; a już na pewno nie większy niż ja w tej chwili. Co tam słońce, musiałem to zrobić szybko i sprawnie.

Wzięłem głęboki oddech i podszedłem ulicą do domu sąsiadującego z domem Wimble'a, oglądając w skupieniu drzewa wzdłuż drogi i robiąc notatki. Powoli skręciłem na podjazd i ruszyłem przed siebie. Nikt nie wyskoczył na mnie z maczetą w zębach, więc zawróciłem, przystanąłem na chwilę przed domem i poszedłem do Wimble'a.

Tam też były podejrzanе drzewa do skontrolowania, obejrzałem je więc, zrobiłem stosowne notatki i podszedłem kawałek bliżej. W domu nikt nie dawał znaku życia. Choć nie wiedziałem, co właściwie miałem nadzieję zobaczyć, przysunąłem się jeszcze bliżej, wypatrując tego czegoś, i to nie tylko pośród drzew. Dokładnie przyjrzałem się domowi i zauważyłem, że zasłony we wszystkich oknach są zaciągnięte. Nikt nie mógł zajrzeć do środka ani wyjrzeć na zewnątrz. Byłem już dość blisko, by zobaczyć tylne drzwi, do których prowadziły dwa betonowe schodki. Niby od niechcienia ruszyłem w ich stronę, nasłuchując wszelkich szelestów, szeptów czy okrzyków: „To on! Uwaga!” Nadal nic; udałem więc, że moją uwagę przykuło drzewo

rosnące blisko zbiornika propanu, zaledwie sześć metrów od drzwi, i podszedłem do niego.

I wciąż nic. Nabazgrałem coś na kartce. W górnej części drzwi była odsłonięta szyba. Poszedłem tam, wspiąłem się na dwa stopnie i zajrzałem do środka. Zobaczyłem ciemny korytarz, na którym stały pralka i suszarka, a w uchwytach na ścianie tkwiło kilka szczotek i mopów. Położyłem dłoń na gałce w drzwiach i obróciłem ją, bardzo powoli, bezszelestnie. Były otwarte. Odetchnąłem głęboko...

...i omal nie wyskoczyłem ze skóry, kiedy z głębi domu dobiegł straszliwy, rozdzierający krzyk. To był dźwięk, w którym brzmiała taka udręka i przerażenie, tak wyraźne wołanie o pomoc, że nawet Zimny Dexter odruchowo zrobił krok naprzód. Byłem dosłownie jedną nogą w środku, kiedy przez głowę przemknął mi mały znak zapytania i tknęło mnie, że gdzieś już ten krzyk słyszałem. I ledwie moja druga noga wysunęła się naprzód, pomyślałem: Serio? Gdzie? Na szczęście odpowiedź przyszła względnie szybko – to był ten wrzask z filmów *Nowe Miami*, nakręconych przez Weissa.

Co znaczyło, że to krzyk nagrany.

Co znaczyło, że ma mnie zwabić do środka.

Co znaczyło, że Weiss jest gotowy i na mnie czeka.

Nie świadczy to najlepiej o mojej nadzwyczajnej osobie, ale prawda jest taka, że ni mniej, ni więcej, tylko przystanąłem na ułamek sekundy, żeby podziwiać szybkość i jasność moich procesów myślowych. A potem, szczęśliwie dla mnie, usłuchałem ostrego wewnętrznego głosu, który wrzasnął: „Uciekaj, Dexter, uciekaj!”, i wypadłem z domu na podjazd w porę, by zobaczyć, jak brązowy samochód rusza z piskiem opon.

A potem ogromna dłoń złapała mnie od tyłu i rzuciła na ziemię, zerwał się gorący wiatr i dom Wimble'a zniknął w chmurze płomieni i fruwającego gruzu.

To był propan – powiedział mi detektyw Coulter. Opierałem się o bok karetki i przykładałem sobie do głowy lód. Moje obrażenia okazały się mimo wszystko lekkie, ale ponieważ to ja je odniosłem, wydawały się ważniejsze, niż były w istocie i nie cieszyłem się ani z nich, ani z zainteresowania, które wzbudzałem. Ruina domu Wimble'a tliła się po drugiej stronie ulicy i strażacy wciąż jeszcze rozgrzebywali i dogaszali sterty dymiących szczątków. Dom nie był doszczętnie zniszczony, ale pośrodku miał dużą wyrwę od fundamentów po dach i bez wątplenia sporo stracił na wartości. W ogłoszeniach będą musieli podać, że jest bardzo przewiewny i do remontu.

- Czyli to było tak – zaczął Coulter. – Puszczą gaz z grzejnika w tym dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, wrzucą do środka coś, żeby spowodować wybuch, nie wiemy jeszcze, co, i ucieka przed wielkim bum. – Coulter urwał i pociągnął duży łyk z wielkiej butelki Mountain Dew. Patrzyłem, jak jego grdyka chodzi w górę i w dół pod dwiema grubymi fałdami tłuszczu. Skończył pić, wsadził palec wskazujący do szyjki butelki i wytarł usta przedramieniem, patrząc na mnie tak, jakbym zabraniał mu użyć serwetki.

- Jak myślisz, po co miał dźwiękoszczelny pokój? – spytał.

Pokręciłem głową, ale przestałem, bo to bolało.

- Był montażystą filmów wideo – zauważyłem. – Pewnie potrzebował go do nagrywania.

- Nagrywania – mruknął Coulter. – Nie krojenia ludzi.

- Otóż to – powiedziałem.

Coulter pokręcił głową. Najwyraźniej jemu nie sprawiało to bólu, bo nie przestawał przez dłuższą chwilę, wpatrzony w pogorzeliśko.

- A ty byłeś tu, bo...? – zagadnął. – Nie bardzo to rozumiem, Dex.

I nic dziwnego, że nie rozumiał, skoro robiłem, co w mojej mocy, żeby wymigać się od odpowiedzi na to pytanie: ilekroć padało, łapałem się za głowę, mrugałem i dyszałem jak w potwornym bólu. Oczywiście

wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał udzielić zadowolających wyjaśnień; sęk w tym, co powiedzieć, by były zadowolające. Jasne, mogłem utrzymywać, że przyszedłem do chorej babci, ale problem z daniem takich odpowiedzi glinom polegał na tym, że na ogół je sprawdzają, Dexter zaś, niestety, nie miał chorej babci ani żadnego innego uzasadnionego powodu, żeby być tutaj w momencie, gdy dom wyleciał w powietrze. A coś mi mówiło, że tłumacząc to zbiegiem okoliczności, też niewiele wskóram.

Niestety, przez cały czas od chwili, kiedy podźwignąłem się z chodnika i chwiejnym krokiem podszedłem do drzewa, żeby się o nie oprzeć i pozachwycać się tym, że wciąż mogę ruszać wszystkimi kończynami; przez wszystkie te długie minuty zamieniające się w godziny, kiedy byłem opatrywany i czekałem na przyjazd Coultera, nie zdołałem wymyślić nic, co brzmiałoby choć trochę wiarygodnie. A teraz, kiedy Coulter odwrócił się i spojrzał na mnie niezwykle twardym wzrokiem, zrozumiałem, że mój czas minął.

- No to jak? - drążył. - Po coś tu przyjechał? Odebrać pranie? Dorabiasz sobie, rozwożąc pizzę? Hm?

To był dla mnie chyba największy szok tego jakże niespokojnego dnia: Coulter błysnął dowcipem. Marnym, ale zawsze. Dotąd uważałem go za wyjątkowo nudnego i tępego spaślaka, nadającego się co najwyżej do spisywania protokołów, a tu proszę, rzuca żartobliwe teksty, i to profesjonalnie, z kamienną twarzą. A skoro to potrafił, musiałem uznać za prawdopodobne, iż doda dwa do dwóch i wyjdę mu ja. Sytuacja była naprawdę niezręczna. Dlatego też wzniosłem się na wyżyny przebiegłości i sięgnąłem do uświęconej tradycją taktyki przemycania wielkiego kłamstwa w odrobinie prawdy.

- Proszę posłuchać, detektywie - odezwałem się zboląłym i dość niepewnym głosem, z którego byłem bardzo dumny. Potem zamknąłem oczy i odetchnąłem głęboko. Kreacja godna Oscara, mówię wam. - Przepraszam, trochę mi się jeszcze mąci w głowie. Mówili, że doznałem lekkiego wstrząsu mózgu.

- Jeszcze zanim tu przyjechałeś? - spytał Coulter. - Może pamiętasz przynajmniej, czego tu szukałeś?

- To pamiętam - powiedziałem z ociąganiem. - Tylko że...

- Nie czujesz się za dobrze - stwierdził.

- No właśnie.

- To rozumiem - rzucił i przez jedną szaloną, irracjonalną chwilę myślałem, że da mi spokój. Ale nie: - Nie rozumiem czegoś innego - ciągnął bezlitośnie - a mianowicie, co tu, kurwa, robiłeś, kiedy ten pieprzony dom wyleciał w powietrze.

- Niełatwo to wytłumaczyć - przyznałem.

- Widzę - odparł. - Bo jak dotąd tego nie wytłumaczyłeś. To jak, powiesz, jak było, Dex? - Wyciągnął palec z butelki, napił się, wcisnął palec z powrotem do środka. Butelka, teraz już w większej części opróżniona, zwisała jak jakaś dziwna, wstydliva narośl. Coulter znów otarł usta. - Widzisz, ja tak jakby muszę się tego dowiedzieć - powiedział. - Bo mówią, że w środku jest ciało.

Lekki wstrząs sejsmiczny przeszedł mi po plecach, od czubka głowy aż po pięty.

- Ciało? - spytałem, błyskotliwy jak zawsze.

- Uhm - odparł. - Ciało.

- To znaczy, co... martwe?

Coulter skinął głową i spojrzał na mnie z chłodnym rozbawieniem. Zrozumiałem, że zamieniliśmy się rolami i teraz to ja robię za głupka.

- Zgadza się - potwierdził. - Bo było w domu, kiedy zrobił bum, więc ani chybi musi być martwe. No i - dodał - związane nie mogło uciec. Jak myślisz, kto wiązałby gościa, kiedy dom ma zaraz wylecieć w powietrze?

- To, ee... musiał to zrobić zabójca - wyjąkałem.

- Uhm - mruknął Coulter. - Więc uważasz, że zabił go zabójca, tak?

- No, tak - powiedziałem i nawet mimo nasilającego się łupania w skroniach słyszałem, jak głupio i nieprzekonująco to zabrzmiało.

- Uhm. Ale nie ty, racja? Znaczy, nie związałeś gościa i nie wcisnąłeś go do środka cygara czy czegoś takiego, zgadza się?

- Słuchaj, ja go widziałem. Odjechał przed samym wybuchem - oznajmiłem.

- A któż to był, Dex? Masz jego nazwisko czy coś? Bo to bardzo by pomogło.

Może to dlatego, że wstrząs mózgu się nasilał, ale ogarniało mnie jakieś straszliwe odrętwienie. Coulter coś podejrzewał i choć tym razem byłem względnie niewinny, każde dochodzenie nieuchronnie

dałoby wyniki niewygodne dla Dextera. Jego oczy nie odrywały się od mojej twarzy i ani razu nie mrugnął powiekami, coś więc musiałem mu powiedzieć, ale nawet z lekkim wstrząsem mózgu wiedziałem, że nie mogę podać nazwiska Weissa.

- Ja, to... samochód był zarejestrowany na Kennetha Wimble'a - poinformowałem.

Coulter skinął głową.

- Właściciela domu - stwierdził.

- Zgadza się.

Nadal mechanicznie kiwał głową, jakbym powiedział coś sensownego.

- Jasne - rzucił w końcu. - A więc, myślisz, że Wimble związał tego gościa... we własnym domu... wysadził własny dom i odjechał swoim samochodem, powiedzmy do letniego domku w Karolinie Północnej?

Znów dotarło do mnie, że ten człowiek kryje w sobie więcej, niż mi się zdawało, a to nie była przyjemna konstatacja. Wydawało mi się, że mam do czynienia ze Sponge Bobem, on jednak okazał się porucznikiem Columbo, o dużo bystrzejszym umyśle, niż wskazywałby na to jego niechlujny wygląd. Ja, który przez całe życie nosiłem przebranie, dałem się nabrać komuś w dużo lepszym kostiumie i kiedy dostrzegłem błysk skrywanej dotąd inteligencji w oczach Coultera, zrozumiałem, że Dexter jest w niebezpieczeństwie. Sytuacja wymagała nie lada zręczności i sprytu, a i to mogło nie wystarczyć.

- Nie wiem, dokąd pojechał - stwierdziłem. Nie był to zbyt dobry początek, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Jasne. I nie wiesz, kim jest, mam rację? Bo inaczej byś mi to powiedział.

- Tak, powiedziałbym.

- Ale nic nie wiesz.

- Nic.

- Super. Może więc zamiast tego powiesz mi, co tu robiłeś? - naciskał.

A zatem koło się zamknęło i wróciliśmy do najważniejszego pytania - jeśli teraz podam poprawną odpowiedź, wszystko będzie mi wybaczone, jeśli natomiast to, co powiem, nie zadowoli mojego niespodziewanie oświeconego przyjaciela, istniało spore zagrożenie, że nie odpuści,

dopóki nie wykolei Dexter Expressu. Tkwiałem po pas w latrynie, bez liny ratowniczej, a mój mózg aż drżał z wysiłku, z jakim nadaremnie usiłował przebić się przez mgłę i wrócić do znakomitej formy.

- To, to... - Spuściłem wzrok, a potem odwróciłem się w lewo i spojrzałem w dal, szukając właściwych słów do straszliwego i krępującego wyznania. - Jest moją siostrą - wyznałem wreszcie.

- Kto? - spytał Coulter.

- Debora - odpowiedziałem. - Twoja partnerka. Debora Morgan. Przez tego typa jest na OIOM-ie i... - Bardzo wymownie zawiesiłem głos i czekałem, by sprawdzić, czy dopowie sobie resztę, czy też te jego dowcipne uwagi były przypadkowe.

- Wiedziałem - przyznał. Wziął następny łyk wody sodowej, po czym znów wsadził palec w szyjkę i pozwolił, by butelka na nim zawisała. - To jak znalazłeś tego gościa?

- Dziś rano pod szkołą podstawową - powiedziałem. - Filmował kamerą z samochodu i zapamiętałem rejestrację. Sprawdziłem ją i doprowadziła mnie tutaj.

Coulter skinął głową.

- Uhm - mruknął. - I zamiast donieść o tym mnie, porucznikowi czy choćby facetowi przeprowadzającemu dzieci przez jezdnię, postanowiłeś rozprawić się z nim na własną rękę.

- Tak - potwierdziłem.

- Bo jest twoją siostrą.

- Chciałem, no wiesz... - bąknąłem.

- Zabić go? - spytał i te słowa zmroziły mnie do szpiku kości.

- Nie - odparłem. - Tylko, tylko...

- Odczytać mu jego prawa? - rzucił Coulter. - Skuć go? Zadać mu kilka trudnych pytań? Wysadzić jego chatę w powietrze?

- Właściwie to chyba, hm - zająknąłem się, jakbym niechętnie wyjawiał przykrą prawdę - chciałem, no wiesz. Dać mu lekki wycisk.

- Uhm - chrząknął Coulter. - I co potem?

Wzruszyłem ramionami. Czuję się trochę jak nastolatek przyłapany z kondomem.

- Zabrać go na komendę - odparłem.

- Nie zabić? - spytał Coulter, unosząc niefachowo przystrzyżoną brew.

- Nie - oponowałem. - Jak mógłbym, hm...?

- Nie pchnąć go nożem i powiedzieć „to za moją siostrę”?

- Detektywie, bądźmy poważni. Ja? - I może nie zatrzepotałem rękami, ale dołożyłem wszelkich starań, by wyglądać jak pierwszoligowy kujon, którym byłem w ramach mojej sekretnej tożsamości.

A Coulter tylko patrzył na mnie przez długą i bardzo nieprzyjemną minutę. Wreszcie pokręcił głową.

- Nie wiem, Dex - orzekł. - To się nie trzyma kupy.

Spojrzałem na niego z miną po trosze zbolalą, po trosze zakłopotaną. W zasadzie nie udawałem.

- Jak to? - spytałem.

Napił się wody.

- Zawsze przestrzegasz reguł - zauważył. - Twoja siostra jest gliną. Twój tata był gliną. Nigdy, przenigdy nie pakujesz się w żadne kłopoty. Wzorowy harcerz. I nagle postanawiasz zostać Rambo? - Zrobił minę, jakby ktoś dosypał czosnku do jego Mountain Dew. - Przeoczyłem coś? No wiesz, coś, co miałoby sens?

- Jest moją siostrą - powiedziałem i nawet ja miałem wrażenie, że wypadło to żałośnie.

- No, to już wiem - stwierdził. - Nie powiesz nic więcej?

Czułem się, jakby jakaś siła krępowała moje ruchy, a wokół mnie śmigaly masywne, potężne stwory. Łeb mi pękał, język stawał kołkiem, cały mój legendarny spryt ulotnił się bez śladu. Obserwowany przez Coultera tępo, z wysiłkiem pokręciłem głową i pomyślałem: ten człowiek jest bardzo niebezpieczny. Jednak na głos wydobyłem z siebie tylko:

- Przykro mi.

Popatrzył na mnie jeszcze chwilę, aż w końcu się odwrócił.

- Może Doakes miał rację co do ciebie - podsumował i poszedł na drugą stronę ulicy, by porozmawiać ze strażakami.

Cóż. Wzmianka o Doakesie była idealnym zakończeniem tej przeuroczej rozmowy. Ledwo się powstrzymałem, żeby znów nie pokręcić głową; pokusa była silna, bo miałem wrażenie, że wszechświat, jeszcze przed kilkoma dniami logiczny i uporządkowany, nagle dostał kompletnego świra. Najpierw wpadam

w pułapkę i omal nie zmieniam się w Nieludzką Pochodnię, a potem człowiek, którego uważałem za prostego żołnierza w wojnie przeciwko inteligencji, okazuje się generałem w przebraniu – co gorsza, sprzymierzonym z ostatnimi żyjącymi szczątkami mojego arcywroga, sierżanta Doakesa, i być może gotowym podjąć przerwany przez niego pościg za biednym prześladowanym Dexterem. Kiedy to się skończy?

I jakby tego było mało – a szczerze mówiąc, nie było – to jeszcze groziło mi straszliwe niebezpieczeństwo ze strony Weissa i szykowanego przezeń ataku, jakkolwiek formę miał przybrać.

Ogólnie rzecz biorąc, przyszło mi do głowy, że to doskonały moment, by stać się kimś innym. Niestety, tej sztuczki jeszcze nie opanowałem. A że nie miałem nic do roboty poza kontemplowaniem niemal pewnej zguby nadciągającej ku mnie z tak ogromną prędkością z tak wielu stron, poszedłem do mojego samochodu. I oczywiście, jako że widać jeszcze nie dość wycierpiałem, jakaś smukła zjawa zeszła z krawężnika i zrównała się ze mną.

- Byłeś tu, kiedy to się stało – odezwał się Israel Salguero.

- Tak – odparłem ciekaw, co mnie jeszcze czeka. Może satelita spadnie mi na głowę.

Przez chwilę milczał, po czym stanął w miejscu, a ja odwróciłem się do niego.

- Wiesz, że moje dochodzenie ciebie nie dotyczy – rzekł.

Pomyślałem, że miło to słyszeć, ale biorąc pod uwagę, jak sprawy układały się od kilku godzin, uznałem, że najlepiej będzie po prostu skinąć głową, i tak też zrobiłem.

- Ale podobno to, co tu się stało, ma związek z incydentem, w którym uczestniczyła twoja siostra, a to właśnie nim się zajmuję – dodał i byłem zadowolony, że nic nie powiedziałem. Na tyle zadowolony, żeby uznać, że milczenie to w tym momencie całkiem dobre rozwiązanie.

- Wiesz, że jednym z moich najważniejszych obowiązków jest wykrywanie wszelkich prób samowolnego wymierzania sprawiedliwości przez naszych funkcjonariuszy – powiedział.

- Tak – odparłem. W końcu to tylko jedno słowo.

Skinął głową. Wciąż nie odrywał oczu od mojej twarzy.

- Twoja siostra doskonale się zapowiada - powiedział. - Szkoda, żeby coś takiego jej zaszkodziło.

- Jest nieprzytomna - zauważyłem. - Nic nie zrobiła.

- Nic nie zrobiła, fakt - przyznał. - A ty?

- Ja tylko szukałem człowieka, który pchnął ją nożem - odparłem. - Nie zrobiłem nic złego.

- Oczywiście - rzekł. Czekał, aż coś dodam, ale się nie doczekał i w końcu, jak się zdawało po kilku tygodniach, uśmiechnął się, poklepał mnie po ramieniu i poszedł na drugą stronę ulicy, gdzie Coulter właśnie żłopał Mountain Dew z butelki. Patrzyłem, jak rozmawiają, odwracają się do mnie, a potem spoglądają na dogasający dom. I z myślą, że to popołudnie po prostu nie mogłoby być lepsze, zrobiłem w tył zwrot i powlokłem się do mojego samochodu.

Przednia szyba była popękana. Trafił ją kawałek domu.

Jakimś cudem nie zalałem się łzami. Wsiadłem i pojechałem do domu, patrząc przez popękane szkło i słuchając łupania w głowie.

Kiedy przyjechałem, Rity jeszcze nie było, bo na skutek niefortunnej eksplozji z moim udziałem wróciłem nieco wcześniej niż zwykle. Dom wydawał się okropnie pusty i przez minutę stałem na progu, i tylko wsłuchiwałem się w nienaturalną ciszę. Z głębi dobiegał stukot rury, włączyła się klimatyzacja, ale w tych dźwiękach nie było życia i nadal czułem się jak w filmie, w którym wszystkich oprócz mnie uprowadzili kosmici. Guz na głowie wciąż pulsował bólem; byłem potwornie zmęczony i samotny. Podeszedłem do kanapy i runąłem na nią, jakby nagle wyparowały ze mnie wszystkie kości, które utrzymywały mnie w pozycji stojącej.

Przez pewien czas leżałem. Dziwne, ale chwilowo przestało mi się gdziekolwiek spieszyć. Wiedziałem, że w końcu będę się musiał poderwać do akcji, wytropić Weissa, odciąć mu drogę ucieczki i wykurzyć go z jego nory, ale z niewiadomego powodu zupełnie nie mogłem się ruszyć, a złośliwy głosik, który dotąd mnie dopingował, teraz brzmiał jakoś nieprzekonująco, jakby on też potrzebował przerwy na kawę. Leżałem więc twarzą w dół, usiłowałem przywołać na powrót mobilizujące poczucie zagrożenia, które na razie mnie opuściło, i nie czułem nic oprócz wspomnianego zmęczenia i bólu. I gdyby ktoś krzyknął do mnie: „Uważaj! Za tobą! Ma broń!”, w odpowiedzi co najwyżej wymamrotałbym: „Niech weźmie numerek i zaczeka”.

Kiedy się obudziłem, nie wiem, po jakim czasie, zobaczyłem błękit, którego nie mogłem zidentyfikować, dopóki nie skupiłem wzroku. To był Cody, stojący może dwa metry ode mnie w swoim nowym mundurku. Usiadłem prosto i z dudniącym w głowie gongiem spojrzałem na niego.

- Cóż - odezwałem się. - Wyglądasz uroczyście, to na pewno.

- Wyglądam głupio - stwierdził. - Szorty.

Popatrzyłem na Cody'ego w ciemnoniebieskiej koszuli i szortach, czapeczce na czubku głowy i opasującej szyję chuście spiętej klamrą, i uznałem, że nie fair było czepiać się akurat szortów.

- Co ci się w nich nie podoba? - spytałem. - Przecież chodzisz w szortach na okrągło.

- Szorty od mundurka - wyjaśnił, jakby chodziło o jakąś niewyobrażalną napaść na ostatnie szanse ludzkiej godności.

- Dużo ludzi nosi szorty od munduru - powiedziałem, rozpaczliwie poganiając mój zmaltretowany mózg, żeby znalazł jakiś przykład.

Cody patrzył na mnie z powątpiewaniem.

- Kto? - chciał wiedzieć.

- No... w szortach chodzi listonosz... - tu pospiesznie urwałem; jego spojrzenie było tak wyraziste i wymowne, że wystarczyło za wszelki komentarz. - I, hm, żołnierze brytyjscy nosili szorty w Indiach - dodałem.

Jeszcze chwilę patrzył na mnie bez słowa, jakbym sprawił mu gorzki zawód w chwili, kiedy gra szła o najwyższą stawkę. I zanim zdążyłem wymyślić kolejny genialny przykład, do pokoju wpadła Rita.

- Och, Cody, nie obudziłeś go chyba, co? Cześć, Dexter, byliśmy na zakupach, mamy wszystko, czego Cody potrzebuje do zuchów, szorty mu się nie podobają, chyba dlatego, że Astor coś powiedziała, mój Boże, co ci się stało w głowę? - wyrzuciła z siebie, zaliczając dwie oktawy i osiem stanów emocjonalnych bez przerwy dla nabrania tchu.

- To nic - odparłem - tylko powierzchowna rana. - Zawsze chciałem użyć tego sformułowania, choć nie widziałem w nim krzty sensu. Bo co to znaczy „powierzchnowa rana”? Rana na powierzchni? Więc jeśli zedrze się z kogoś skórę, też będzie to rana powierzchowna?

Tak czy owak, odpowiedzią był miły dla oka spektakl z Ritą w roli troskliwej opiekunki; przegoniła Cody'ego i Astor, przyniosła mi zimny okład, koldrę i filiżankę herbaty, po czym rzuciła się na kanapę obok mnie i zaczęła wypytywać, co też sobie zrobiłem w moją biedną główkę. Przedstawiłem jej wszystkie makabryczne szczegóły - z wyjątkiem jednego czy dwóch mniej istotnych, na przykład, co robiłem w domu, który ktoś wysadził w powietrze, żeby mnie zabić - i patrzyłem z konsternacją, jak jej oczy robiły się coraz większe i bardziej wilgotne, aż w końcu wezbrały łzami, które zaczęły płynąć po policzkach. Bardzo pochlebiało mi to, że drobne uszkodzenie mojej czaszki mogło stać się inspiracją dla takiego pokazu hydrotechniki, ale z drugiej strony nie bardzo wiedziałem, jak wypadało na to zareagować.

Szczerliwie dla mojej reputacji wybitnego aktora charakterystycznego Rita nie pozostawiła mi cienia wątpliwości co do tego, jak mam się zachować.

- Leż tu i odpoczywaj - powiedziała. - Jak człowiek nabije sobie takiego guza, cisza i spokój są najważniejsze. Zrobę ci zupę.

Nie wiedziałem, że zupa pomaga na wstrząs mózgu, ale Rita była bardzo pewna swego. Jeszcze tylko pogłaskała mnie parę razy po twarzy, pocałowała w okolice guza i zniknęła w kuchni, skąd natychmiast dobiegły stłumione brzęki, a po chwili zapachy czosnku, cebuli i wreszcie kurczaka, ja zaś zapadłem w półsen, w którym nawet ćmienie głowy wydawało się odległe, błogie i niemal przyjemne. Byłem ciekaw, czy gdyby mnie aresztowali, Rita przynosiłaby mi zupę. Byłem ciekaw, czy Weiss ma kogoś, kto przynosiłby mu zupę. Oby nie - coraz mniej go lubiłem i z całą pewnością nie zasługiwał na zupę.

Z zadumy wyrwała mnie Astor, która nagle wyrosła obok kanapy.

- Mama mówi, że dostałeś po głowie - powiedziała.

- Zgadza się - odparłem.

- Mogę zobaczyć? - spytała i głęboko wzruszony jej troską schyliłem głowę, żeby pokazać jej guza i pozlepiane krwią włosy wokół niego. - Nie wygląda tak źle - oceniła, jakby lekko zawiedziona.

- Bo to nic groźnego - wyjaśniłem.

- Czyli nie umrzesz, prawda? - spytała uprzejmie.

- Jeszcze nie - obiecałem. - Dopiero jak odrobisz lekcje.

Skinęła głową i zerknęła w stronę kuchni.

- Nienawidzę matmy - rzuciła i poszła w głąb korytarza, przypuszczalnie po to, żeby nienawidzić matmy z bliższej odległości.

Jeszcze jakiś czas dryfowałem w półśnie. Wreszcie pojawiła się zupa i choć nie zamierzam upierać się przy tym, że pomogła mi na uraz głowy, to z pewnością nie zaszkodziła. Jak już zapewne wspominałem, Rita potrafi robić w kuchni rzeczy niepojęte dla zwykłych śmiertelników i po dużej porcji jej zupy z kurczaka zacząłem myśleć, że może świat zasługuje na jeszcze jedną, ostatnią szansę. Przez cały czas krzątała się przy mnie, za czym nieszczęśliwie przepadam, ale w tej chwili wydawało mu się to kojące, więc pozwoliłem jej poprawić poduszki, otrzeć moje czoło wilgotną szmatką i, kiedy już zjadłem zupę, pomasować mi kark.

Wkrótce wieczór minął i przyszli Cody i Astor, żeby stłumionymi głosikami powiedzieć mi dobranoc. Rita wygoniła ich do łóżek i położyła do snu, a ja, zataczając się, poszedłem korytarzem do łazienki umyć zęby. Ledwie złapałem właściwy rytm szczotkowania, w lustrze nad umywalką przypadkiem zobaczyłem swoje odbicie. Włosy sterczały mi na wszystkie strony, na policzku miałem sińca, a zwykła radosna pustka w moich oczach teraz była pozbawiona wyrazu. Wyglądałem jak na nieudanym zdjęciu do kartoteki policyjnej, na którym świeżo upieczony aresztant jeszcze nie wytrzeźwiał i zastanawia się, co zrobił i jak dał się złapać. Miałem nadzieję, że to nie był zły znak.

Choć przez cały wieczór nie robiłem nic bardziej forsownego od wylegiwania się na kanapie i drzemania, morzył mnie sen, a szczotkowanie zębów odebrało mi resztki energii. Mimo to dowlokłem się do łóżka o własnych siłach i padłem na poduszki z myślą, że pójde w objęcia Morfeusza, a zmartwienia poczekają do rana. Niestety, Rita miała inne plany.

Kiedy w głębi korytarza ucichły szeptane modlitwy dobiegające z pokoju dzieci, usłyszałem, jak weszła do łazienki i puściła wodę. Już prawie zasypiałem, kiedy zaszeleściła pościel i do łóżka obok mnie wsunęło się coś ostro pachnącego orchideami.

- Jak się czujesz? - powiedziała Rita.

- Dużo lepiej - odparłem i żeby oddać jej należną sprawiedliwość, dorzuciłem: - Zupa jakby pomogła.

- To dobrze - szepnęła i położyła głowę na mojej piersi. Leżała tak przez jakiś czas, a ja czułem na skórze powiew jej oddechu i ciekaw byłem, czy dam radę zasnąć, jeśli będzie mi tak uciskać żebra. Nagle jednak zaczęła oddychać w innym, lekko perkusyjnym rytmie i zorientowałem się, że płacze.

Prawie nic na tym świecie nie zbija mnie z pantałyku tak skutecznie, jak łzy kobiety. Wiem, że powinienem wykonać jakiś pocieszający gest, a potem zgładzić smoka winnego temu atakowi płaczu, ale moje nieliczne kontakty z płcią przeciwną nauczyły mnie, że łzy nigdy nie płyną wtedy, kiedy powinny, i nigdy nie są wywołane tym, czym się wydaje. W konsekwencji pozostają ci tylko głupie środki zaradcze, jak głaskanie po głowie i powtarzanie „no już, już” w nadziei,

że w którymś momencie dowiesz się, o co w całym przedstawieniu chodzi.

Ale że Dexterowi nie można zarzucić braku woli współpracy, objąłem ją ramieniem, położyłem dłoń na jej głowie i zacząłem głaskać.

- Już dobrze - uspokoilem ją i choć brzmiało to strasznie głupio, uznałem, że to bez porównania lepsze od „no już, już”.

I jak to zwykle bywa, odpowiedź Rity zupełnie rozminęła się z moimi oczekiwaniami.

- Nie mogę cię stracić - powiedziała.

Nie planowałem zostać straconym, to na pewno, i chętnie bym jej to wyjaśnił, ale tymczasem rozkręciła się na dobre i jej ciałem wstrząsał cichy szloch, a po mojej piersi ściekała strużka słonej wody.

- Och, Dexter - załkała - co ja bym poczęła, gdybym ciebie też straciła?

I oto, w chwili, kiedy padło to niepozorne słówko „też”, zupełnie nieoczekiwanie stałem się częścią nieznanego mi bliżej towarzystwa, prawdopodobnie ludzi, których Rita gdzieś przez nieuwagę zgubiła. W żaden sposób nie dała mi do zrozumienia, czym sobie zasłużyłem na włączenie do tego grona ani kim byli inni jego członkowie. Czy chodziło o jej pierwszego męża, narkomana, który bił i znęcał się nad nią, Codym i Astor do tego stopnia, że zgodzili się zostać moją idealną rodziną? Teraz siedział w więzieniu i rzeczywiście, zgubić się w taki sposób to kiepski pomysł. A może była jeszcze cała grupka innych zaginionych osób, które gdzieś po drodze odpadły z orszaku Rity i złośliwy los porwał je w nieznaną?

A potem, jakbym i bez tego nie miał dość dowodów, by sądzić, że myśli transmitowane do jej mózgu pochodzą ze statku bazy krążącego po orbicie Plutonu, Rita zaczęła zsuwać twarz po mojej piersi na brzuch i niżej - wciąż szlochając, rozumiecie, i pozostawiając za sobą szybko stygnącą smużkę łez.

- Leż spokojnie. - Pociągnęła nosem. - Ze wstrząsem mózgu nie możesz się przemęczać.

Jak mówiłem, nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać, kiedy kobiecie zbierze się na płacz.

W środku nocy obudziłem się z myślą: ale czego on chce? Nie wiem, czemu nie postawiłem tego pytania wcześniej ani dlaczego przyszło mi do głowy teraz, kiedy leżałem w moim wygodnym łóżeczku u boku łagodnie pochrapującej Rity. Ale cóż, skoro już wynurzyło się na powierzchnię jeziora Dexter, musiałem coś z tym zrobić. Głowę wciąż miałem jakąś sztywną, jakby ktoś napchał mi do niej mokrego piachu, i przez kilka minut leżałem nieruchomo, zdolny tylko powtarzać raz po raz: „Czego on chce?”

Czego Weiss chciał? Nie chodziło mu tylko o to, żeby podkarmić swojego Pasażera, byłem tego prawie pewien. Nie czułem, by mój własny w pobliżu Weissa i jego dzieł szturczał mnie porozumiewawczo, jak to zwykle robił w obecności innej Istoty.

Zresztą, sposób działania Weissa – to, że zajmował się martwymi już ciałami, przynajmniej dopóki nie zabił Deutscha – wskazywał, że ma zupełnie inny cel.

Tylko jaki? Filmował zwłoki. Filmował oglądających je ludzi. I sfilmował mnie przy pracy – unikalny materiał, owszem, ale nie widziałem sensu w jego nagrywaniu. Bo jaka z tego frajda? Ja jej nie dostrzegałem – a przez to nie mogłem wnikać w myśli Weissa i go rozgryźć. Nigdy nie miałem tego problemu z normalnymi, dobrze ułożonymi psychopatami, którzy zabijają, bo muszą, i czerpią ze swojego zajęcia prostą, szczerą przyjemność. Ich rozumiałem aż za dobrze, bo byłem jednym z nich. Ale w przypadku Weissa nie miałem żadnego punktu zaczepienia, niczego, co pozwoliłoby mi się wczuć w jego sposób myślenia, i dlatego nie miałem pojęcia, dokąd pójdzie i co teraz zrobi. Było tylko paskudne przeczucie, że to mi się nie spodoba – i żadnych odpowiedzi, co to będzie. Kiepska sprawa.

Przez pewien czas leżałem w łóżku i myślałem – czy raczej próbowałem myśleć, bo statek „Dexter” wyraźnie nie był jeszcze gotów ruszyć pełną parą. Nic nie przyszło mi do głowy. Nie wiedziałem, czego Weiss chce. Nie wiedziałem, co teraz zrobi.

Coulter zawziął się na mnie. Salguero też, no a Doakes, oczywiście, nigdy nie dał za wygraną. Deb wciąż była w śpiączce.

Po stronie plusów zapisać można było to, że zjadłem wyśmienitą zupę. Rita była dla mnie naprawdę dobra - zasługiwała na coś lepszego, choć, jak widać, nie zdawała sobie z tego sprawy. Najwyraźniej myślała, że skoro ma mnie, dzieci i była w Paryżu, to nic więcej jej do szczęścia nie potrzeba. I choć rzeczywiście to wszystko miała, każdej z tych rzeczy było daleko do jej wyobrażeń. Rita przypominała matkę owcę w wilczym stadzie, która wszędzie wokół widzi tylko białą, puszystą wełnę, gdy w rzeczywistości wataha oblizuje pyski i czeka tylko na jej moment nieuwagi. Dexter, Cody i Astor byli potworami. A Paryż - cóż, faktycznie mówili tam po francusku, tak jak Rita się spodziewała. Okazało się jednak, że i Miasto Światła ma swoje francuskie potwory, czego dowiodła nasza cudowna wizyta w galerii sztuki. Jak to się nazywało? *Noga Jennifer*. Bardzo ciekawe; nie przypuszczałem, że po tylu latach mozolnej pracy z ludźmi coś jeszcze może mnie zaskoczyć. Z tego powodu ostatnio myślałem o Paryżu dość ciepło.

Najpierw Jennifer i jej noga, teraz ten ekscentryczny występ Rity i sztuczki Weissa, jakkolwiek je nazwać; ostatnio życie było pełne niespodzianek i płynął z nich jeden wniosek - ludzie rzeczywiście zasługują na to, co ich spotyka, prawda?

Może nie świadczy to o mnie najlepiej, ale ta myśl ogromnie podniosła mnie na duchu i wkrótce zapadłem w sen.

Rano myślałem już zdecydowanie jaśniej; czy to dzięki zabiegom Rity, czy to za sprawą mojego naturalnie zwawego metabolizmu, nie potrafię powiedzieć. Tak czy owak, kiedy wyskakiwałem z łóżka, znów dysponowałem w pełni sprawnym, potężnie efektywnym mózgiem - wyraźnie szło ku lepszemu.

Minus był jednak taki, że każdy sprawny mózg, uświadomiwszy sobie, że jest w sytuacji, w której znalazłem się ja, musi zwalczyć pokusę popadnięcia w panikę, spakować walizkę i uciec za granicę. Ale nawet intelekt pracujący na wysokich obrotach nie potrafił określić, która granica uchroniłaby mnie przed tarapatami, w jakie się wpakowałem.

Cóż, życie pozostawia nam bardzo niewiele prawdziwych wyborów, a i te okazują się fatalne, więc pojechałem do pracy zdeterminowany, by odszukać Weissa i nie spocząć, dopóki go nie dopadnę. Wciąż nie rozumiałem ani jego, ani tego, co robił, ale nie znaczyło to, że nie mogłem go znaleźć. Bynajmniej; Dexter to na poły pies gończy, na poły buldog, i kiedy zwietrzy twój trop, równie dobrze możesz się poddać i oszczędzić sobie niepotrzebnego zachodu. Byłem ciekaw, czy jest jakiś sposób, by dać to do zrozumienia Weissowi.

Przyjechałem do pracy trochę za wcześnie i dzięki temu udało mi się zdobyć kubek kawy, która smakowała prawie jak kawa. Zniosłem go na swoje biurko, usiadłem przy komputerze i wziąłem się do pracy. Czy raczej, gwoli ścisłości, do patrzenia na ekran komputera i zastanawiania się od czego by tu zacząć. Większość śladów już sprawdziłem i miałem wrażenie, że zabrnąłem w ślepy zaułek. Weiss wciąż wyprzedzał mnie o krok i musiałem przyznać, że teraz rzeczywiście mógł być wszędzie; w kryjówce gdzieś w pobliżu czy choćby w Kanadzie, nie mogłem tego stwierdzić. A mój mózg, choć niby wrócił do stanu pełnej używalności, nie podsuwał mi żadnego pomysłu, jak to sprawdzić.

I nagle, hen, daleko, na szczycie oblodzonego wierzchołka na odległym horyzoncie umysłu Dextera załopotana wciągnięta na maszt flaga sygnalizacja. Wytężyłem wzrok, usiłując odczytać sygnał, i wreszcie mi się udało: „Pięć!” – takiej był treści. Zamrugalem od słońca i przeczytałem go raz jeszcze. „Pięć”.

Śliczna cyfra, pięć. Próbowałem sobie przypomnieć, czy to liczba pierwsza, ale nie bardzo pamiętałem, co to znaczy. W każdym razie była to liczba bardzo mile widziana, bo czy była liczbą pierwszą, czy nie, zrozumiałem, dlaczego jest ważna.

Na stronie Weissa w YouTubie było pięć filmów. Po jednym z każdego miejsca, w którym Weiss zostawiał zmodyfikowane ciała, jeden z igraszkami Dextera... i jeszcze jeden, którego nie zdążyłem zobaczyć, bo wtargnął Vince i wyciągnął mnie w teren. Nie mogła to być następna reklama z cyklu *Nowe Miami*, tym razem z ciałem Deutscha, bo Weiss dopiero ją kręcił, kiedy przyjechałem na miejsce zdarzenia. Czyli film przedstawiał coś innego. I choć tak naprawdę nie liczyłem, że podpowie mi, jak dorwać Weissa, to byłem pewien, że dowiem się czegoś nowego.

Złapałem za myszkę i ochoczo wszedłem na YouTube'a, niezrażony tym, że oglądałem samego siebie już więcej razy, niż nakazuje skromność. Znalazłem stronę *Nowe Miami*. Nic się nie zmieniło, to samo pomarańczowe tło rozświetlające ekran, te same płonące litery. I, po prawej stronie, pięć filmików w równym rzędku, tak, jak zapamiętałem.

Kadr numer pięć, ostatni w okienku, nie pokazywał żadnego obrazu, tylko zamgloną ciemność. Skierowałem na niego kursor i kliknąłem. Przez chwilę nie działo się nic; wreszcie ekran przecięła gruba, pulsująca biała linia i zagrały dziwnie znajome trąbki. Potem pojawiła się twarz – Doncević, uśmiechnięty, z nastroszonymi włosami – i zaczęła się piosenka *Oto opowieść...*, a ja zrozumiałem, dlaczego brzmiało to znajomo.

To była muzyka z czołówki serialu *The Brady Bunch*.

Bezlitośnie atakowany przez obrzydliwie wesołą melodię patrzyłem w ekran, podczas gdy głos zawodził: „Oto opowieść, o pewnym Aleksie, samotnym, znudzonym, który... zmienić coś chciał”. Na lewo od rozradowanej twarzy Doncevicia pojawiły się pierwsze trzy upozowane trupy. Spojrzał na nie i się uśmiechnął. Im też udało się odwzajemnić uśmiech, dzięki przyklejonym do twarzy plastikowym maskom.

Ekran znów przecięła biała linia i piosenka szła dalej. „Oto opowieść o pewnym Brandonie, który czasu dużo miał”. Na środku ukazało się zdjęcie mężczyzny – Weissa? Miał ze trzydzieści lat, mniej więcej tyle, co Doncević, ale w odróżnieniu od niego nie uśmiechał się. „Mieszkali sobie razem, aż tu Brandon został sam” – zaśpiewał głos. Po prawej stronie ekranu pojawiły się trzy ciemne, rozmazane ujęcia, znane mi tak dobrze, jak piosenka, choć z nieco innego powodu: były to fragmenty filmu z igraszkami Dextera.

Na pierwszym było ciało Doncevicia w wannie. Na drugim ręka Dextera podnosząca piłę, a na trzecim piła opadająca ku Doncevicowi. Dwusekundowe urywki odtwarzane raz po raz przy wtórze piosenki.

Weiss patrzył na nie ze środkowego okienka, podczas gdy głos śpiewał: „Aż pewnego dnia Brandon dorwie go, na pewno nie wyjdzie z tego cało. Nie uciekniesz, nie masz szans. Bo przez ciebie mi odjebało”.

Wesoła melodyjka grała dalej, a Weiss śpiewał: „Odjechało. Odjechało. Gdy zabiłeś Aleksa - to mi - odjechało”.

Potem jednak, zamiast uśmiechnąć się radośnie i płynnie przejść do pierwszej reklamy, twarz Weissa rozrosła się na cały ekran. „Kochałem Aleksa, a ty mi go odebrałeś, kiedy dopiero zaczynaliśmy” - powiedział. - „To poniekąd bardzo zabawne, bo to właśnie on nie chciał, żebyśmy kogokolwiek zabili. Ja uważałem, że tak byłoby... Prawdziwiej...” - Skrzywił się i spytał: - „Mówi się tak?” Parsknął gorzkim śmiechem i kontynuował: „Alex wpadł na pomysł, że jeśli weźmiemy ciała z kostnicy, to nie będziemy musieli nikogo zabić. I odbierając mi go, wyeliminowałeś jedyny powód, dla którego nie zabijałem”.

Przez chwilę tylko patrzył w obiektyw kamery. „Dziękuję” - powiedział wreszcie, bardzo cicho. „Masz rację. To dobra zabawa. Szkoda byłoby ją przerwać”. Uśmiechnął się krzywo, jakby przyszło mu do głowy coś śmiesznego, ale nie miał ochoty się śmiać. „Wiesz, w pewnym sensie cię podziwiam”.

I obraz zniknął.

Kiedy byłem dużo młodszy, brak ludzkich uczuć sprawiał, że czułem się oszukany. Widziałem ogromną barierę dzielącą mnie od ludzkości, mur zbudowany z niedostępnych dla mnie przeżyć, i bardzo mi się to nie podobało. Tyle że jednym z owych doznań - i to jednym z najczęściej spotykanych i najsilniejszych - było poczucie winy i kiedy zrozumiałem, że Weiss twierdzi, iż to ja zrobiłem z niego zabójcę, dotarło też do mnie, że naprawdę powinienem mieć z tego powodu drobne wyrzuty sumienia, i ogromnie się ucieszyłem, że ich nie mam.

Zamiast poczucia winy była tylko ulga. Zimne fale ulgi, przechodzące jedna za drugą i zrywające coraz silniej napinające się we mnie struny. Naprawdę mi ulżyło - bo wreszcie wiedziałem, czego chciał. Chciał mnie. Nie powiedział tego wprost, ale takie było przesłanie: „Następni będziecie ty i twoi najbliżsi”. A za ulgą przyszło poczucie zimnej niecierpliwości i rozpostarły się we mnie i wyprężyły mroczne szpony; to Mroczny Pasażer wychwycił wyzwanie w głosie Weissa i odpowiedział mu tym samym.

To też przyniosło mi wielką ulgę. Aż do tej pory Pasażer milczał, nie miał zupełnie nic do powiedzenia na temat wypożyczonych zwłok,

nawet kiedy były przerobione na meble ogrodowe czy kosze z upominkami. Teraz jednak pojawiła się groźba, inny drapieżca wietrzący nasz trop i zagrażający terytorium, które już oznaczyliśmy. A na tego rodzaju wyzwanie nie mogliśmy pozwolić, co to, to nie. Weiss przysłał zawiadomienie, że nadchodzi – i Pasażer, wreszcie obudzony z drzemki, już szlifował kły. Będziemy gotowi.

Tylko na co? Ani przez chwilę nie wierzyłem, że Weiss ucieknie, nie było takiej możliwości. Co zatem zrobi?

Pasażer wysyczał odpowiedź, która, choć oczywista, wydała mi się z miejsca właściwa dlatego, że my na miejscu Weissa postąpilibyśmy tak samo. Zresztą, sam mi to powiedział: „Kochałem Aleksa, a ty mi go odebrałaś...” A zatem porwie się na kogoś, kto jest mi bliski. I zostawiając zdjęcie przy zwłokach Deutscha, wskazał, kto to będzie. Cody i Astor, bo to byłoby dla mnie takim samym ciosem, jaki ja zadałem jemu – a jednocześnie doprowadziłoby mnie do niego na jego warunkach.

Ale jak to zrobi? To było najważniejsze pytanie – i miałem wrażenie, że odpowiedź jest względnie oczywista. Jak dotąd Weiss się nie patyczkował – wysadzić dom w powietrze to nic subtelnego. Musiałem przyjąć, że będzie działać szybko, dopóki, jak uważał, sytuacja była dla niego korzystna. A wiedziałem, że mnie obserwował, najprawdopodobniej znał mój harmonogram dnia i harmonogram dzieci. Najbardziej zagrożone będą wtedy, gdy Rita odbierze je ze szkoły i przeniosą się z bezpiecznego otoczenia do siedliska bezprawia, jakim jest Miami – ja wtedy będę daleko, w pracy, a jedna raczej słaba i niczego niepodejrzewająca kobieta nie przeszkodzi Weissowi porwać przynajmniej jednego z nich.

Więc musiałem zająć pozycję pierwszy, przed Weissem, i go wypatrywać. To był prosty plan, a przy tym niepozbawiony ryzyka – przecież mogłem nie mieć racji. Pasażer jednak syczał, że się ze mną zgadza, a on rzadko się myli, więc postanowiłem wyjść z pracy wcześniej, zaraz po lunchu, i ulokować się przy szkole podstawowej w oczekiwaniu na Weissa.

I znów, kiedy już się czałem, by skoczyć nadciągającemu wrogowi do gardła, zadzwonił mój telefon.

- Witaj, stary - powiedział Kyle Chutsky. - Ocknęła się i pyta o ciebie.

Deborę przenieśli na inny oddział. Kiedy zajrzałem do pustego OIOM-u, przez chwilę miałem zupełny mętlik w głowie. Widziałem coś podobnego w kilku filmach: bohater widzi puste łóżko szpitalne i wie, że to znaczy, iż ten, kto w nim leżał, nie żyje, ale byłem prawie pewien, że gdyby Debora umarła, Chutsky wspomniałby mi o tym, więc po prostu wróciłem korytarzem do rejestracji.

Dyżurna kazała mi zaczekać, po czym zaczęła robić jakieś tajemnicze – i okropnie długotrwałe – rzeczy na komputerze, odebrała telefon, a potem wdała się w pogawędkę z dwiema pielęgniarkami, które stały oparte o kontener obok niej. Wszechobecna na OIOM-ie atmosfera ledwo wstrzymywanej paniki prysła zastąpiona przez, jak się wydawało, obsesyjne zainteresowanie rozmowami telefonicznymi i paznokciami. W końcu jednak usłyszałem, że istnieje cień szansy, by znaleźć Deborę w pokoju numer 235 na piętrze. Zabrzmiało to tak logicznie, że nawet jej podziękowałem i poszedłem szukać pokoju.

Rzeczywiście znajdował się na piętrze, zaraz obok pokoju numer 233, więc z poczuciem, że wszystko było na swoim miejscu, wszedłem do środka i zobaczyłem Deborę siedzącą w łóżku, a przy niej Chutsky'ego, praktycznie w tej samej pozycji, co na OIOM-ie. Debora wciąż była otoczona imponującą kolekcją przyrządów i podłączona do różnych rurek, ale kiedy przestąpiłem próg, otworzyła jedno oko, spojrzała na mnie i specjalnie dla mnie zdobyła się na skromny półuśmiech.

- Żyje, żyje, ona żyje – zanuciłem w przekonaniu, że odrobina serdecznego humoru nie zawadzi. Przysunąłem krzesło do łóżka i usiadłem.

- Dex – odezwała się cichym, chrapliwym głosem. Próbowwała znów się uśmiechnąć, ale wyszło jej jeszcze gorzej niż za pierwszym razem, dała więc za wygraną, zamknęła oczy i zagłębiła się w śnieżną biel poduszek.

- Jeszcze nie ma za wiele siły – powiedział Chutsky.

- Domyślam się - odparłem.

- Dlatego, ee... uważaj, żeby się nie zmęczyła ani nic takiego - pouczył mnie. - Tak mówił lekarz.

Nie wiem, czy Chutsky myślał, że zamierzam zaproponować mecz siatkówki, ale skinąłem głową i tylko poklepałem Deborahę po dłoni.

- Dobrze, że znowu z nami jesteś, siostrzyczko - powiedziałem. - Martwiliśmy się o ciebie.

- Czuję... - zaczęła słabym, ochryplym głosem. Nie sprecyzowała jednak, co czuje; zamiast tego znów zamknęła oczy, rozchyliła wargi i ciężko oddychała, a Chutsky nachylił się nad nią i włożył jej w usta mały kawałek lodu.

- Masz - powiedział. - Na razie nie próbuj mówić.

Deb przełknęła lód, ale i tak łypnęła na Chutsky'ego spode łba.

- Nic mi nie jest - oznajmiła i zdecydowanie była to lekka przesada. Lód jakby trochę pomógł i kiedy odezwała się ponownie, jej głos nie przypominał już tak bardzo zgrzytu pilnika na starej kłamce. - Dexter - powiedziała i zabrzmiało to nienaturalnie głośno, tak jakby krzyknęła w kościele. Lekko pokręciła głową i, ku mojemu wielkiemu zdumieniu, zobaczyłem, że z kącika jej oka potoczyła się łza - czegoś takiego nie widziałem u niej, odkąd miała dwanaście lat. Ściekła po jej policzku na poduszkę i zniknęła. - Cholera - sapnęła Deb. - Czuję się tak totalnie... - Jej dłoń, ta, której nie trzymał Chutsky, zatrzepotała słabo.

- Nic dziwnego - odparłem. - Byłaś prawie martwa.

Długo leżała bez słowa z zamkniętymi oczami, aż w końcu powiedziała, bardzo cicho:

- Ja tak dłużej nie mogę.

Spojrzałem nad nią na Chutsky'ego; wzruszył ramionami.

- Czego nie możesz, Deb? - spytałem.

- Być gliną - dokończyła i kiedy dotarło do mnie, co przez to rozumie: że chce odejść z policji, byłem tak zszokowany, jakby to księżyc nagle postanowił złożyć wypowiedzenie.

- Debora - zacząłem.

- To bez sensu - powiedziała. - Trafić tutaj... i w imię czego? - Otworzyła oczy, spojrzała na mnie i delikatnie pokręciła głową. - W imię czego? - powtórzyła.

- Taką masz pracę - stwierdziłem i przyznaję, nie było to szczególnie poruszające, ale nic innego w tych okolicznościach nie przyszło mi do głowy, a nie wydawało mi się, żeby chciała słuchać kazania o Prawdzie, Sprawiedliwości i Amerykańskim Stylu Życia.

Najwyraźniej nie chciała też słyszeć, że taką ma pracę, bo tylko spojrzała na mnie, odwróciła głowę i znów zamknęła oczy.

- Cholera - stęknęła.

- No dobrze. - Głośny i wesoły głos z silnym bahamskim akcentem dobiegł od strony drzwi. - Panowie muszą już iść. - Obejrzałem się; do pokoju weszła tęga i rozpromieniona pielęgniarka, która parla ku nam jak czołg. - Pani musi odpoczywać, a nie może, jak panowie ją niepokoją - rzuciła pielęgniarka. Ostatnie słowa wymówiła „jom niepokojom” i tak mnie to zauroczyło, że dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, iż wyrzuca mnie za drzwi.

- Dopiero przyszedłem - powiedziałem.

Stała przede mną i założyła ręce na piersi.

- To mniej pan zapłaci za parkowanie, bo musicie już iść - oświadczyła. - No, panowie - rzuciła, odwracając się do Chutsky'ego. - Do was obu mówię.

- Ja też? - spytał z ogromnie zdziwioną miną.

- Pan też - potaknęła i wycelowowała w niego potężny palec. - I tak za długo pan tu siedzi.

- Ale ja muszę zostać - upierał się.

- Nie, musi pan iść - odparowała pielęgniarka. - Lekarz chce, żeby pani sobie trochę odpoczęła. Sama.

- Idź - poprosiła Deb cicho i Chutsky spojrzał na nią z wyrzutem. - Nic mi nie będzie - dodała. - No już, idźcie.

Chutsky przeniósł wzrok z niej na pielęgniarkę i z powrotem.

- W porządku - ustąpił wreszcie. Pochylił się i pocałował Debore w policzek, a ona nie zaprotestowała. Wyprostował się i spojrzał na mnie z uniesioną brwią. - No dobra, stary - powiedział. - Chyba nas wyrzucają.

Kiedy wychodziliśmy, pielęgniarka tłukła poduszki, jakby za karę.

Chutsky zaprowadził mnie korytarzem do windy.

- Trochę się niepokoję - wyznał mi, kiedy czekaliśmy. Zmarszczył brwi i jeszcze kilka razy wcisnął guzik ze strzałką w dół.

- Czym? - powiedziałem. - Że, hm, doznała urazu mózgu, o to ci chodzi? - Wyznanie Debory, że chce odejść z policji, wciąż dźwięczało mi w uszach. To było tak do niej niepodobne, że sam się lekko zaniepokoiłem. Wciąż prześladowała mnie koszmarne wizje Debbie-warzywa śliniącej się na wózku inwalidzkim i Dextera karmiącego ją owsianką.

Chutsky pokręcił głową.

- Nie całkiem - powiedział. - Mam na myśli raczej uraz psychiczny.

- To znaczy?

Skrzywił się.

- Nie wiem - przyznał. - Może to tylko skutek traumy. Ale jest jakaś... płacziwa. Nerwowa. No wiesz, zupełnie jak nie ona.

Nigdy jeszcze nie dostałem nożem i nie straciłem prawie całej krwi, nie przypominałem też sobie, żebym gdzieś wyczytał, jak należy się czuć w takiej sytuacji. Wydawało mi się jednak, że kiedy człowieka spotka coś takiego, można poniekąd zrozumieć, dlaczego staje się płacziwy i nerwowy. I zanim znalazłem sposób, jak to taktownie wyrazić, drzwi windy rozsunęły się i Chutsky wpadł do środka. Ruszyłem za nim.

Kiedy drzwi się zamknęły, mówił dalej:

- Z początku nawet mnie nie poznała. Kiedy otworzyła oczy.

- Jestem pewien, że to normalne - odparłem, choć pewny wcale nie byłem. - W końcu była w śpiączce.

- Spojrzała prosto na mnie - kontynuował, jakby mnie nie usłyszał - i była taka, sam nie wiem. Jakby się mnie bała. Jakby chciała spytać, kim jestem i co tam robię.

Szczerze mówiąc, też się nad tym zastanawiałem mniej więcej od roku, ale chyba niestosownie byłoby to powiedzieć. Poprzestałem więc na:

- Jestem pewien, że trzeba czasu, żeby...

- Kim jestem - rzucił, jakby znów nie usłyszał, że coś powiedziałem.

- Cały czas tam siedziałem, ani razu nie zostawiłem jej samej na dłużej niż pięć minut. - Wbił wzrok w panel z przyciskami, kiedy winda dzwonkiem dała nam znak, że dotarliśmy na miejsce. - A ona nie wie, kim ja jestem.

Drzwi się rozsunęły, ale Chutsky w pierwszej chwili tego nie zauważył.

- Cóż - powiedziałem w nadziei, że wyrwę go z odrętwienia.

Spojrzał na mnie.

- Chodź na kawę - rzucił i wyszedł. Przecisnął się obok trzech osób w jasnozielonych kitlach, a ja ruszyłem za nim.

Chutsky zaprowadził mnie do barku na parterze podziemnego parkingu, gdzie jakimś cudem w miarę szybko dostał dwa kubki kawy; nie do wiary, że nikt się przed niego nie wepchnął ani nawet nie dał mu kuksańca pod żebro. Poczujęm się przez to trochę lepszy od niego: od razu było widać, że nie jest z Miami. Z drugiej strony, nie można narzekać, kiedy są wyniki, więc przyjąłem kawę i usiadłem przy stoliku w kącie.

Chutsky nie patrzył na mnie ani, nawiasem mówiąc, na nic innego. Nie mrugał, cały czas miał taką samą minę. Nie przychodziło mi do głowy nic, co warto było powiedzieć, więc, jak dwaj starzy kumple, siedzieliśmy przez kilka minut w niezręcznej ciszy, aż w końcu wykrztusił:

- A jeśli już mnie nie kocha?

Zawsze staram się być skromny, zwłaszcza w kwestii moich uzdolnień, i świetnie zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę znam się na jednej albo dwóch rzeczach, a doradzanie w sprawach sercowych na pewno do nich nie należy. A ponieważ nie rozumiem miłości, trochę niesprawiedliwie było oczekiwać ode mnie wypowiedzi na temat jej możliwej utraty.

Mimo to było oczywiste, że bez jakiegoś komentarza się nie obejdzie, więc opierając się pokusie, by powiedzieć: „Nie wiem, czemu w ogóle cię pokochała”, sięgnąłem do mojego skarbca banałów i wygrzebałem, co następuje:

- Oczywiście, że cię kocha. Przeżyła wielki stres... trzeba czasu, żeby doszła do siebie.

Chutsky przyglądał mi się przez kilka sekund w oczekiwaniu na ciąg dalszy, który jednak nie nastąpił. Odwrócił się i wziął łyk kawy.

- Może masz rację - powiedział.

- Pewnie, że mam - stwierdziłem. - Daj jej trochę czasu, żeby wyzdrowiała. Będzie dobrze. - Kiedy to mówiłem, nie raził mnie

grom, więc całkiem możliwe, że nie kłamałem.

Dopijaliśmy kawę we względnej ciszy, Chutsky zgnębiony myślą, że może już być niekochany, i Dexter coraz bardziej nerwowo zerkający na zegar w miarę, jak zbliżało się południe, pora, by wyjść i przygotować zasadzkę na Weissa. Aż w końcu, już nie jak stary kumpel, opróżniłem kubek i wstałem.

- Przyjdę później - powiedziałem, ale Chutsky tylko skinął głową i żałośnie pociągnął następny łyk kawy.

- Dobra. Na razie.

Dzielnica Golden Lakes zuchwale łamała prawo kanoniczne rynku nieruchomości w Miami; mimo że jej nazwa oznaczała „złote jeziora”, było w niej nawet kilka jezior i jedno z nich przylegało do szkolnego dziedzińca. Co prawda nie było złote – raczej mlecznozielone – ale nie dało się zaprzeczyć, że jest to jezioro, a przynajmniej spory staw. Potrafiłem jednak zrozumieć, że ciężko byłoby ściągnąć ludzi do dzielnicy o nazwie „Mlecznozielony Staw”, więc może deweloperzy mimo wszystko wiedzieli, co robią, choć stanowiłoby to kolejne pogwałcenie tradycji.

Przyjechałem na długo przed zakończeniem lekcji i parę razy okrążyłem szkołę, wypatrując miejsca, w którym Weiss mógł się zacząć. Nie było takiego. Droga od wschodu kończyła się w miejscu, gdzie jezioro prawie sięgało ogrodzenia. Ogrodzenie natomiast było wysokie, wykonane z drucianej siatki i szczelnie otaczało całą szkołę, nawet od strony jeziora – ani chybi na wypadek, gdyby na jej teren próbowała wtargnąć nieprzyjazna żaba. Prawie dokładnie tam, gdzie boczna droga urywała się na brzegu jeziora, za boiskiem, była brama, bezpiecznie jednak zamknięta na dużą kłódkę z łańcuchem.

Zostawało tylko wejście od frontu szkoły, ale dostępu do niego broniły stróżówka i zaparkowany obok niej radiowóz. Spróbuj przedostać się do środka w godzinach lekcji, a zatrzyma cię strażnik albo policjant. Spróbuj to zrobić tuż przed lekcjami albo tuż po nich, a zatrzymają cię setki nauczycieli, mamus i osób wyznaczonych do przeprowadzania dzieci przez jezdnię. A jeśli nawet cię nie zatrzymają, to nadmiernie utrudnią ci zadanie i narażą na zbyt wielkie ryzyko.

Czyli, z punktu widzenia Weissa, oczywistym rozwiązaniem było zająć pozycję odpowiednio wcześniej. Ja zaś musiałem wykombinować, gdzie mógł się ukryć. Zagoniłem do roboty moje Mroczne Szare Komórki i jeszcze raz powoli okrążyłem teren szkoły. Gdybym chciał kogoś porwać, jak bym to rozegrał? Po pierwsze, musiałbym to zrobić

w chwili, kiedy ten ktoś będzie wchodził albo wychodził, bo za trudno byłoby pokonać przeszkody podczas lekcji. A więc zacząłbym się przy głównej bramie – i właśnie dlatego tam skupiała się cała ochrona, począwszy od gliniarza na służbie, a na wrednym panu od zajęć technicznych skończywszy.

Oczywiście, byłoby dużo łatwiej, gdyby udało się wcześniej przedostać na teren szkoły i zaatakować, kiedy ochrona skupi się przy głównej bramie. Jednak żeby tego dokonać, trzeba by zrobić dziurę w ogrodzeniu albo je przesadzić w miejscu, gdzie była szansa pozostać niezauważonym – albo skąd można by dotrzeć do szkoły na tyle szybko, że nawet gdyby ktoś coś zauważył, nie miałyby to znaczenia.

Ale z tego, co widziałem, takie miejsce nie istniało. Okrzyłem szkołę ponownie; nic. Ogrodzenie ze wszystkich stron, z wyjątkiem frontu, biegło w sporej odległości od budynków. Jedyne widoczne słabe punkty znalazłem nad stawem. Między linią wody a siatką rosła kępa sosen i karłowatych krzaków, ale za daleko było stamtąd do zabudowań. Nie dałoby się niepostrzeżenie pokonać ogrodzenia, a co dopiero przejść przez całe boisko.

A ja nie mogłem zrobić następnego okrążenia i nie wzbudzić podejrzeń. Ostrożnie wjechałem na ulicę od południowej strony szkoły, zaparkowałem wóz i zacząłem się zastanawiać. Z całego mojego przenikliwego rozumowania płynął jeden wniosek: że Weiss spróbuje wprowadzić dzieci tutaj, tego popołudnia, a tę chłodną, nienagannie logiczną konkluzję potwierdził gorący, niezaprzeczalny wybuch pewności Pasażera. Ale jak to rozegra? Spojrzałem na szkołę i ogarnęło mnie niezwykle silne przecucie, że gdzieś w pobliżu to samo robi Weiss. Nie, nie przedrze się na oślep przez ogrodzenie w nadziei, że dopisze mu szczęście. Prowadził obserwację, odnotował szczegóły i teraz miał gotowy plan. A mnie zostało jakieś pół godziny, żeby ten plan rozgryźć i wymyślić, jak go pokrzyżować.

Spojrzałem na ukos, w stronę kępy drzew nad jeziorem. Tylko tam była jakaś osłona. Ale co z tego, skoro kończyła się przy ogrodzeniu? Nagle coś mignęło mi z lewej strony i odwróciłem się, żeby zobaczyć, co to było.

Przy zamkniętej na kłódkę bramie zatrzymała się biała furgonetka, z której wysiadł mężczyzna w żółtozielonej koszuli i czapce tego samego koloru, ze skrzynką z narzędziami w ręku, wyraźnie widoczny

z daleka. Podszedł do bramy, postawił skrzynkę na ziemi i ukląkł przy łańcuchu.

Oczywiście. Żeby stać się niewidzialnym, najlepiej być widocznym jak na dłoni. Jestem częścią pejzażu; jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Przyszedłem tylko naprawić ogrodzenie i w ogóle nie ma co na mnie patrzeć, cha, cha.

Uruchomiłem samochód. Powoli jechałem wzdłuż ogrodzenia, nie odrywałem oczu od jasnozielonej plamy i czułem, jak rozpościerają się we mnie zimne skrzydła. Miałem go – był dokładnie tam, gdzie powinien. Tyle że oczywiście nie mogłem ot tak zaparkować i wyskoczyć z wozu; musiałem podejść go ostrożnie, najprawdopodobniej wiedział bowiem, jak wygląda mój samochód, a już na pewno miał oczy szeroko otwarte i wypatrywał Dextera.

Dlatego nie spiesz się, wszystko przemyśl; nie licz na to, że mroczne skrzydła przeniosą cię nad wszelkimi przeszkodami. Patrz uważnie, zwracaj uwagę na szczegóły: na przykład ten, że Weiss stoi plecami do furgonetki – a furgonetka zaparkowana jest przodem do ogrodzenia i zasłania mu staw. Bo oczywiście nic nie mogło zajść go z tamtej strony.

Co naturalnie oznaczało, że zrobi to Dexter.

Powoli, tak, żeby broń Boże nie rzucić się w oczy, zawróciłem i minąłem szkołę od południa. Wzdłuż ogrodzenia dotarłem w miejsce, gdzie kończyła się droga, a zaczynał staw. Zaparkowałem przed metalową barierką, niewidoczny dla stojącego przy zamkniętej bramie Weissa, i wysiadłem. Szybko skierowałem się na wąską ścieżkę między jeziorem a siatką i pospieszyłem naprzód.

W odległym budynku szkoły zabrzączał dzwonek. Lekcje się skończyły, pora, by Weiss zaczął działać. Widziałem go, wciąż klęczał przy kłodce. Nie dostrzegłem sterczących dużych uchwytów nożyc do cięcia prętów, a wyłamanie lub przepiłowanie kłodki zajmie mu kilka minut. Za to jak już dostanie się na teren szkoły, będzie mógł spokojnie iść wzdłuż ogrodzenia i udawać, że je sprawdza. Dotarłem na skraj kępy drzew i szybko ruszyłem przed siebie. Ostrożnie ominąłem małe sterty śmieci – puszek po piwie, plastikowych butelek po wodzie sodowej, kurzych kości i innych, jeszcze mniej estetycznych obiektów – i już byłem po drugiej stronie. Przystanąłem na chwilę za ostatnim

drzewem, żeby upewnić się, że Weiss nadal majstruje przy zamku. Zastłaniała mi go furgonetka, ale widziałem, że brama wciąż była zamknięta. Odetchnąłem głęboko, wciągając w siebie mrok, a kiedy już mnie nappełnił, wyszedłem na słońce.

Ruszyłem w prawo, niemal biegiem, żeby zająć go od tyłu. Poczułem, że wokół mnie rozpościerają się czarne skrzydła, i cicho, ostrożnie dopadłem do furgonetki. Obszedłem ją od tyłu, wysunąłem się zza niej i zastygłem na widok postaci klęczącej przy bramie.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył mnie.

- Dobry - powiedział. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, był czarny i na pewno nie był Weissem.

- Och - rzuciłem, jak zwykle błyskotliwie. - Dzień dobry.

- Gówniarze wysmarowali zamek superklejem - wyjaśnił i ponownie się odwrócił.

- Co też im do głów strzeliło? - spytałem uprzejmie, odpowiedzi jednak nie poznałem, bo w tej chwili za boiskiem, na ulicy przed główną bramą szkoły rozbrzmiało wycie klaksonów, a zaraz po nim zgrzyt miażdżonego metalu. A dużo bliżej, ściślej mówiąc, w mojej głowie, usłyszałem syk „Durniu!” I nie zastanawiając się nad tym, skąd wiedziałem, że kraksę spowodował Weiss, który wjechał w samochód Rity, wskoczyłem na ogrodzenie, przerzuciłem nogi na drugą stronę i popędziłem przez boisko.

- Hej! - zawołał mężczyzna przy zamku, ale tym razem nie byłem na tyle uprzejmy, by zaczekać i posłuchać, co ma do powiedzenia.

Oczywiście, że Weiss nie przecinałby kłódki - nie było takiej potrzeby. Oczywiście, że nie musiał dostać się na teren szkoły i przechytryć albo obezwładnić setki czujnych nauczycieli i zdziczałych dzieci. Wystarczyło, żeby zaczekał na ulicy wśród innych samochodów, jak rekin, który krąży na skraju rafy i czeka, aż Nemo sam do niego podpłygnie. Oczywiście.

Biegłem, co sił. Boisko, choć trochę nierówne, miało krótko przyciętą i zadbaną murawę, dzięki czemu mogłem rozwinąć bardzo przyzwoite tempo. Właśnie gratulowałem sobie dobrej kondycji, która pozwalała mi wytrzymać tak długi sprint, kiedy na chwilę podniosłem wzrok, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nie był to rewelacyjny pomysł - niemal natychmiast zawadziłem o coś nogą i z zaiste imponującą

prędkością poleciałem do przodu. Zwinąłem się w kłębek, fiknąłem koziołka i wylądowałem na plecach na jakiejś wypukłości. Poderwałem się i pobiegłem dalej, lekko utykając z powodu skręconej kostki, z mglistym wrażeniem, że kiedy zachciało mi się udawać kulę armatnią, zgmiotłem mrowisko czerwonych mrówek.

Już bliżej; z ulicy doleciał gwar zaniepokojonych i przerażonych głosów – a potem wrzask bólu. Nie widziałem nic oprócz bezładnego skupiska samochodów i grupy ludzi wyciągających szyje, by zobaczyć coś na środku drogi. Wszedłem przez małą furtkę na chodnik i skręciłem w stronę frontonu szkoły. Musiałem zwolnić, żeby przebić się przez zgromadzony przed bramą tłumek dzieci, nauczycieli i rodziców, ale przepychałem się najszybciej jak mogłem i w końcu dotarłem na ulicę. Przebiegłem ostatnich kilkadziesiąt metrów dzielących mnie od miejsca, w którym ruch blokowały dwa niechlujnie szczepione ze sobą samochody. Jednym z nich była brązowa honda Weissa. Drugi należał do Rity.

Weiss zniknął bez śladu. Za to Rita stała oparta o przedni zderzak swojego samochodu, z wyrazem niemego przerażenia na twarzy. Jedną ręką trzymała Cody'ego, drugą Astor. Kiedy zobaczyłem ich w komplecie, całych i zdrowych, zwolniłem kroku. Rita spojrzała na mnie, wciąż z tą samą miną.

- Dexter – powiedziała – co tu robisz?

- Akurat byłem w okolicy – rzuciłem. - Au. - I tego „au” nie powiedziałem tylko dla fantazji; dziesiątki czerwonych mrówek, które widać zabrały się ze mną, kiedy wywinąłem orła, jak na telepatyczny sygnał jednocześnie ukąsiły mnie w plecy. - Nikomu nic się nie stało? - spytałem, gorączkowo zrywając z siebie koszulę.

Kiedy ściągnąłem ją przez głowę, zobaczyłem, że cała trójka patrzy na mnie z pewną irytacją i niepokojem.

- A tobie? - spytała Astor. - Bo właśnie rozebrałeś się na środku ulicy.

- Czerwone mrówki - wyjaśniłem. - Oblazły mi plecy. - Zacząłem okładać się koszulą po plecach, co wcale nie pomogło.

- Jakiś człowiek nas stuknął - oznajmiła Rita. - I próbował porwać dzieci.

- Tak, wiem - odparłem, wyginając się w kształty, jakich pozazdrościłby mi precel.

- Jak to, wiesz? - zdziwiła się Rita.

- Uciekł - odezwał się głos za nami. - Szybko zasuwał. Że też dał radę... - Odwróciłem się w połowie kolejnego zamachu na mrówki i zobaczyłem umundurowanego policjanta, zdyszanego zapewne po pościgu za Weissem. Był dość młody, na oko dość wysportowany i na identyfikatorze miał napisane LEAR. Zatrzymał się i wlepił wzrok we mnie. - To nie plaża, kolego.

- Czerwone mrówki - stęknąłem. - Rita, mogłabyś mi pomóc?

- Zna pani tego człowieka? - spytał ją policjant.

- Mój mąż - odparła, dość niechętnie puściła rękę dzieci i zaczęła klepać mnie po plecach.

- Cóż - powiedział Lear - w każdym razie, facet uciekł. Pobiegł na autostradę numer 1, w stronę pasaży handlowych. Zgłosiłem to, roześlą list gończy, ale... - Wzruszył ramionami. - Muszę przyznać, że szybko biegł jak na kogoś z ołówkiem wbitym w nogę.

- Moim ołówkiem - uściślił Cody ze swoim dziwnym i bardzo rzadko pojawiającym się uśmiechem.

- A ja przywaliłam mu w krocze - dodała Astor.

Spojrzałem na tę dwójkę przez czerwoną mgiełkę palącego mrówczym jadem bólu. Tacy byli dumni, tak zadowoleni z siebie; a i ja, szczerze mówiąc, byłem z nich wielce zadowolony. Weiss pokazał, co potrafi - i im nie sprostował. Moi mali drapieżcy. Aż prawie zapomniałem o bólu. Ale tylko prawie - zwłaszcza że uderzenia Rity trafiały nie tylko w mrówki, ale i w ślady ukąszeń, które przez to jeszcze bardziej piekły.

- Macie państwo dwójkę prawdziwych zuchów - powiedział Lear i spojrzał na Cody'ego i Astor z podszytą lekkim niepokojem aprobatą.

- To Cody jest zuchem - sprostowała Astor. - I był dopiero na jednej zbiórce.

Posterunkowy Lear otworzył usta, zorientował się, że nie ma nic do powiedzenia, i ponownie je zamknął. Odwrócił się do mnie.

- Pomoc drogowa będzie za parę minut - poinformował. - I pogotowie, żeby sprawdzić, czy nikomu na pewno nic się nie stało.

- Nic nam nie jest - oznajmiła Astor z naciskiem.

- To co - ciągnął Lear - może zostawię pana z rodziną i spróbuję jakoś rozładować ten korek?

- Myślę, że sobie poradzimy - powiedziałem.

Lear spojrział na Ritę i uniósł brew. Skinęła głową.

- Tak - rzuciła. - Oczywiście.

- Dobrze - rzekł. - Pewnie będą chcieli z wami porozmawiać federalni. To znaczy, o próbie porwania.

- O mój Boże - jęknęła Rita, jakby dopiero na dźwięk tego słowa dotarło do niej, że to wydarzyło się naprawdę.

- Myślę, że to był tylko jakiś wariat - powiedziałem z nadzieją. W końcu miałem już dość kłopotów; jeszcze tylko tego brakowało, żeby FBI zainteresowało się moim życiem rodzinnym.

Learowi nie zaimponowałem. Zgromił mnie spojrzeniem.

- Chodzi o porwanie - podkreślił. - Pańskich dzieci. - Chwilę patrzył na mnie, żeby się upewnić, czy znam to słowo, po czym odwrócił wzrok i pogroził palcem Ricie. - I niech pogotowie przebada was wszystkich. - Spojrział na mnie bez wyrazu. - A pan niech lepiej się ubierze, dobrze? - To powiedziawszy, odwrócił się, wyszedł na jezdnię i zaczął machać na samochody, próbując przywrócić prawidłowy ruch.

- To chyba już wszystkie - powiedziała Rita i ostatni raz klepnęła mnie w plecy. - Daj koszulę. - Wzięła ją, wytrzepała energicznie i oddała mi. - Masz, lepiej ją włóż - powiedziała i choć nie potrafiłem zrozumieć, skąd w Miami ta nagła obsesja na punkcie walki z częściową nagością, wciągnąłem koszulę, uprzednio sprawdzwszy, czy nie zachowały się jakieś mrówki.

Kiedy wystawiłem głowę z koszuli na światło dzienne, Rita już trzymała Cody'ego i Astor za rękę.

- Dexter - zaczęła. - Mówiłeś, że... to znaczy, skąd mogłeś... Co tu robisz?

Nie byłem pewien, co powiedzieć, żeby nie zdradzić za dużo, a jednocześnie ją usatysfakcjonować, a niestety nie przypuszczałem, bym mógł znowu złapać się z jękiem za głowę - dzień wcześniej wyczerpałem limit. A wyjaśnienie, że doszliśmy z Pasażerem do wniosku, że Weiss przyjedzie tutaj i będzie chciał porwać dzieci, bo my właśnie tak byśmy postąpili na jego miejscu, też mogło

nie wzbudzić entuzjazmu. Postanowiłem więc przedstawić mocno rozcieńczoną wersję prawdy.

- To, ee... to ten typ, który wczoraj wysadził dom - wyjaśniłem. - Czułem, że spróbuje znowu. - Rita tylko na mnie patrzyła. - To znaczy, porwać dzieci, żeby mnie zastraszyć.

- Przecież nawet nie jesteś prawdziwym policjantem - stwierdziła z niejakim oburzeniem, jakby doszło do złamania fundamentalnej zasady. - Po co miałyby cię zastraszać?

Dobre pytanie, zwłaszcza że w jej świecie - w moim na ogół też - eksperci od śladów krwi nie wplątują się w krwawe porachunki.

- Myślę, że chodzi o Deborę. - W końcu ona była prawdziwą policjantką i, jako że nie było jej z nami, nie mogła mi zaprzeczyć. - Szukała tego człowieka, kiedy dostała nożem, a ja przy tym byłem.

- I dlatego teraz czyha na moje dzieci? - spytała. - Bo Debora próbowała go aresztować?

- To przestępca - wyjaśniłem. - Jego umysł nie pracuje jak twój. - Za to pracował dokładnie tak jak mój; a mój właśnie zaprzętała myśl, co też może być w samochodzie Weissa. Nie przewidział, że będzie musiał uciekać pieszo; a zatem bardzo możliwe, że zostawił tam jakąś wskazówkę dotyczącą tego, dokąd się wybierze i jaki będzie jego następny ruch. Mało tego - może było tam coś, co wskazywało zakrwawionym palcem moją skromną osobę. Wtedy uświadomiłem sobie, że muszę przeszukać jego samochód już, teraz, dopóki Lear był zajęty i zanim pojawią się następni gliniarze.

A że Rita wciąż patrzyła na mnie wyczekująco, powiedziałem:

- To wariat. Możliwe, że nigdy nie zrozumiemy jego toku myślenia. - Wyglądała, jakby już prawie dała się przekonać, więc z myślą, że szybkie oddalenie się często bywa rozstrzygającym argumentem, wskazałem ruchem głowy samochód Weissa. - Lepiej sprawdzę, czy nie zostawił czegoś ważnego. Zanim go odholują. - I okrążając maskę samochodu Rity, podszedłem do szeroko otwartych przednich drzwi wozu Weissa.

Na przednim siedzeniu były śmieci, takie jak w większości samochodów. Papierki po gumach do żucia na podłodze, butelka wody na fotelu, w popielniczce garść dwudziestopięciocentówek na opłaty za przejazd. Żadnych noży rzeźnickich, pił do kości ani bomb; w ogóle

nic ciekawego. Już miałem wsunąć się głębiej i zajrzeć do schowka, kiedy zobaczyłem duży zeszyt na tylnym siedzeniu. Był to przewiązany gumką szkicownik, z którego wystawały krawędzie kilku luźnych kartek, i na jego widok głos w głębi Ciemni Dextera zawołał „Oho!”

Wysiadłem i spróbowałem otworzyć tylne drzwi. Zakleszczyły się, wgniecione po zderzeniu z samochodem Rity. Ukląłem więc na przednim siedzeniu, przechyliłem się przez oparcie i wyciągnąłem szkicownik. A że gdzieś niedaleko zawyła syrena, raz dwa wysiadłem i podszedłem do Rity z zeszytem przyciśniętym do piersi.

- Co to? - spytała.

- Nie wiem - odparłem. - Zobaczmy.

I nie podejrzewając nic złego, zdjąłem gumkę. Jedna z luźnych kartek sfrunęła na ziemię i Astor rzuciła się po nią.

- Dexter, wygląda zupełnie jak ty.

- Niemożliwe. - Wyjąłem kartkę z jej dłoni.

A jednak. Miałem przed sobą ładny, niezwykle staranny rysunek przedstawiający od pasa w górę mężczyznę w pseudoheroicznej pozie à la Rambo, dzierżącego wielki, ociekający krwią nóż. Nie było co do tego wątpliwości.

To byłem ja.

Miałem tylko kilka sekund na podziwianie swojej wspaniałej podobizny. Potem Cody powiedział „Super”, Rita powiedziała: „Pokaż” i – co uradowało mnie najbardziej – przyjechała karetka. W ogólnym zamieszaniu udało mi się ukradkiem schować portret z powrotem do szkicownika i zaprowadzić moją rodzinę do ratowników na krótkie, acz szczegółowe badanie. Ci zaś niechętnie przyznali, że nie wykryli żadnych obciętych kończyn, brakujących głów ani zdemolowanych narządów wewnętrznych, więc ostatecznie puścili Ritę i dzieci, udzieliwszy im na wszelki wypadek złowieszczych ostrzeżeń, na co mają uważać.

Uszkodzenia samochodu Rity były głównie kosmetyczne – jeden rozbity reflektor i wgnieciony zderzak – więc zapakowałem do niego całą trójkę. Normalnie Rita zawiozłaby Cody’ego i Astora na zajęcia pozaszkolne i wróciła do pracy, ale ponieważ niepisana zasada mówi, że gdy maniak napadnie na ciebie i twoje dzieci, możesz wziąć sobie wolne na resztę dnia, postanowiła zabrać ich do domu, żeby tam dochodzili do siebie po przeżytej traumie. A ponieważ gdzieś wciąż czyhał Weiss, ustaliliśmy, że najlepiej będzie, jeśli do nich dołączę, żeby ich chronić. Dlatego machnąłem im ręką na znak, że mogą jechać, a sam wyruszyłem w długą, mozolną wędrówkę do miejsca, gdzie zostawiłem swój wóz.

Rwało mnie w kostce, ściekający po plecach pot drażnił ślady po ukąszeniach mrówek, więc żeby zapomnieć o bólu, zacząłem przeglądać szkicownika Weissa. Mój portret już przestał mnie szokować, teraz musiałem ustalić, co on oznacza – i co mówi o zamiarach Weissa. Byłem prawie pewien, że nie narysował go w roztargnieniu podczas rozmowy telefonicznej. Bo i z kim miałby rozmawiać? Jego kochanek Doncević nie żył, a swojego serdecznego kumpla Wimble’a zabił osobiście. Poza tym, jak dotąd wszystko, co robił, zmierzało do jasno określonego celu, bez którego zdecydowanie mogłem się obyć.

Więc ponownie obejrzałem swój portret. Był wyidealizowany, jak sądzę - o ile pamiętałem, kiedy ostatnio sprawdzałem, nie miałem takiego kaloryferka na brzuchu. A ogólne wrażenie ogromnego i radosnego zagrożenia, choć może i wiernie oddane, było czymś, co usilnie starałem się maskować. Musiałem jednak przyznać, że ta praca coś w sobie miała, dość, by może nawet warto było ją oprawić.

Przerzuciłem pozostałe kartki. Rysunki były bardzo ciekawe i dobre, zwłaszcza te przedstawiające mnie. Jasne, w rzeczywistości na pewno nie prezentowałem się tak szlachetnie, radośnie i drapieżnie, ale może na tym właśnie polega swoboda twórcza. I kiedy oglądałem te obrazki i zacząłem się domyślać, do czego to wszystko zmierza, uznałem, że wcale mi się to nie podoba. Bez względu na to, jak bardzo mi to pochlebiało.

Wiele rysunków było projektami przyozdobienia niezidentyfikowanych ciał w duchu dotychczasowej twórczości Weissa. Jeden przedstawiał kobietę o sześciu piersiach; nie precyzował, skąd wziąć te dodatkowe. Ubrana była w ekstrawagancki kapelusz z piórami i stringi, podobne kostiumy oglądaliśmy w Moulin Rouge w Paryżu. Nie zakrywał prawie nic, ale sprawiał, że wszystko wyglądało efektowniej; szczególnie intrygowały wysadzone cekinami staniki, które ledwie zasłaniały wszystkich sześć piersi.

Na następnej stronie znalazłem kartkę formatu papieru listowego. Wyjąłem ją i rozłożyłem. Był to wydruk rozkładu lotów linii Cubana Aviacion z Hawany do Meksyku. Rysunek wsunięty razem z nim przedstawiał człowieka w kapeluszu słomkowym, z wiosłem w ręku. Był przekreślony pojedynczą kreską, a z boku widniało starannie wypisane tłustymi, drukowanymi literami słowo „Uchodźca!” Schowałem wydruk z Aviacion na miejsce i przewróciłem kartkę. Następny rysunek ukazywał mężczyznę z otwartą jamą brzuszną wypchaną, zdaje się, cygarami i butelkami rumu. Siedział w starym modelu kabrioletu z opuszczonym dachem.

Jednak jak dotąd najciekawsza - przynajmniej dla mnie - była seria obrazków koncentrujących się na wyrazistej postaci Dzielnego Dextera z Dołęczkami. Może źle o mnie świadczy, że zafrapowały mnie dużo bardziej niż te ze zmasakrowanymi nieznanymi, ale jest coś niezmiernie fascynującego w oglądaniu własnych portretów

odnalezionych w szkicowniku psychopaty. Tak czy owak, seria ta zaparła mi dech w piersi. A gdyby Weiss rzeczywiście zrobił to, co przedstawiała, straciłbym dech raz na zawsze.

Rysunki te, dużo bardziej szczegółowe, powstały bowiem na podstawie filmu prezentującego mnie przy pracy nad Doncevicem. Wiernie skopiowane, pokazywały prawie dokładnie to samo, co zapamiętałem z oglądanego tak wiele razy filmiku; prawie. Weiss naszkicował kilka ujęć pod lekko zmienionym kątem, tak że widać było twarz.

Moją twarz.

Połączoną z ciałem, które wywijają piłą.

I ot tak, dla wzmocnienia swojej groźby, Weiss napisał pod obrazkami „Photoshop” i słowo to podkreślił. Nie jestem na bieżąco z technologią wideo, ale jak każdy potrafię dodać dwa do dwóch. Photoshop to program do obróbki obrazu i za jego pomocą można zmieniać zdjęcia, dodawać szczegóły, których nie powinno na nich być. Musiałem przyjąć, że to samo można zrobić z filmem wideo. A wiedziałem, że Weiss ma tyle nagranych materiałów, że starczy mu do usranej śmierci, a nawet dłużej – filmy ukazujące mnie, Cody’ego, gapiów na miejscach zbrodni i Mroczny Pasażer wie, co jeszcze.

A zatem zamierzał podretuszować nagranie mojej pracy nad Doncevicem tak, by widać na nim było moją twarz. Znałem Weissa – czy raczej jego twórczość – już dość dobrze, by wiedzieć, że nie robi tego tylko dla zabicia czasu. Nie, wykorzysta to jako element jakiejś ślicznej kompozycji, która mnie zniszczy. I wszystko to z powodu raptem godziny igraszek z jego ukochanym Doncevicem.

Jasne, zrobiłem to, i to ze sporą przyjemnością. Ale to, co szykował Weiss, trąciło oszustwem – to chyba nie fair wstawić moją twarz do filmu po fakcie? Tym bardziej że, doklejona czy nie, sam jej widok z powodzeniem wystarczy, by pod moim adresem posypały się bardzo niewygodne pytania.

Ostatni rysunek przerażał najbardziej. Pokazywał fasadę dużego gmachu, na której wyświetlony był gigantyczny i złośliwie uśmiechnięty Dexter z filmu, wznoszący piłę mechaniczną; u jego stóp było kilka trupów, przystrojonych akcesoriami podobnymi do tych, którymi Weiss

ozdobił poprzednie ciała. Wszystko to okalały dwa szpalery palm i była to tak cudna wizja, tak pełna aryzmu i tropikalnego piękna, że gdyby pozwoliła mi na to skromność, może nawet łezka zakręciłaby mi się w oku.

Z punktu widzenia Weissa wszystko to było doskonale logiczne. Wykorzystać film, który już miał, subtelnie przerobiony tak, by główna rola dostała się *moi*, i wyświetlić go na publicznym budynku, żeby nie było żadnych wątpliwości, że oto widzimy Dextera Dekapitatora przy pracy. Rzucić mnie na pożarcie rekinom i jednocześnie stworzyć wielkie dzieło sztuki, dar dla całej społeczności, który wszyscy będą mogli podziwiać. Rozwiązanie idealne.

Doszedłem wreszcie do swojego samochodu, usiadłem za kierownicą i jeszcze raz przejrzałem szkicownik. Oczywiście, istniała możliwość, że były to tylko szkice, fantazje w ołówku, które nigdy nie zobaczą światła dziennego. Jednak wszystko zaczęło się od tego, że Weiss i Doncević stworzyli serię kompozycji z ludzkich ciał, a tu w zasadzie idea była ta sama, jedyną różnicą był większy rozmach oraz fakt, że w którymś momencie w ciągu ostatnich kilku dni to Dexter stał się nowym artystycznym projektem Weissa. Jego *Moną Dexter*.

A teraz umyślił sobie zrobić ze mnie przy okazji gigantyczne przedsięwzięcie publiczne. Dexter Wspaniały, który góruje nad światem jak Kolos, z wieloma cudownymi trupami u stóp, zaprezentowany w pełnej krasie na ekranach państwa telewizorów akurat w porze wieczornych wiadomości. Och, mamusiu, a kto to jest ten wielgachny, przystojny pan z zakrwawioną piłą? Ależ to Dexter Morgan, skarbie, ten straszny człowiek, którego niedawno aresztowali. Ale, mamusiu, dlaczego on się uśmiecha? Bo lubi swoją pracę, skarbie. Niech to będzie dla ciebie lekcją: zawsze szukaj zajęcia, które pozwoli ci łączyć przyjemne z pożytecznym.

Dość się nauczyłem na studiach, by wiedzieć, że o wartości cywilizacji decyduje jej sztuka. Myśląc, że jeśli Weissowi się powiedzie, przyszłe pokolenia oceniać będą dokonania XXI wieku na podstawie mojego wizerunku, czułem, że byłby to niezасłużony honor. Jasne, tego rodzaju nieśmiertelność bardzo kusiła – ale to szczególne zaproszenie do panteonu wszech czasów miało kilka wad. Po pierwsze, jestem dużo za skromny, a po drugie – cóż, był ten kłopot, że ludzie dowiedzieliby się wtedy, kim naprawdę jestem. Tacy ludzie jak Coulter i Salguero,

na przykład. A dowiedzieliby się na pewno, gdyby wideo z moim udziałem zostało wyświetlone na dużym publicznym budynku, ze stosem trupów u stóp. Pomysł ten, choć sam w sobie uroczy, niestety skłoniłby tych ludzi do zadania pewnych pytań, powiązania pewnych faktów i wkrótce za specjalność dnia mielibyśmy Zupełnie z Dexterem, troskliwie ugotowaną na Krześle Elektrycznym i podaną na pierwszej stronie „Heralda”.

Nie, ogromnie mi to schlebiało, ale nie byłem gotów zostać żywym symbolem sztuki XXI stulecia. Niezmiernie mi przykro, ale będę musiał z najgłębszym żalem odmówić przyjęcia tego zaszczytu.

Tylko jak?

Dobre pytanie. Rysunki powiedziały mi, co Weiss zamierzał zrobić – ale nie jak daleko zaszedł w swoich przygotowaniach ani kiedy chce to zrobić, ani gdzie...

Zaraz, zaraz, właśnie że powiedziały, gdzie. Ponownie spojrzałem na ostatni obrazek, który pokazywał cały szalony projekt w jaskrawo pokolorowanych szczegółach. Rysunek budynku, który służył za ekran, był bardzo charakterystyczny i wyglądał znajomo – i te dwa szeregi palm, tak, kiedyś to już widziałem, byłem tego prawie pewien. Musiałem tam być; ale gdzie i kiedy? Wbiłem wzrok w rysunek i wprawiłem w ruch swoje niezawodne szare komórki. To nie mogło być dawno temu. Może z rok przed moim ślubem?

I na to jedno słowo – „ślub” – wszystko mi się przypomniało. To było ledwie półtora roku temu. Koleżanka Rity z pracy, Anna, wychodziła za mąż. Majętna rodzina panny młodej urządziła wystawne, niezwykle kosztowne wesele w absurdalnie ekskluzywnym starym hotelu w Palm Beach o nazwie The Breakers, na które z Ritą zostaliśmy zaproszeni. Budynek na rysunku to z całą pewnością ten właśnie hotel, ukazany od frontu.

Znakomicie; teraz już wiedziałem, gdzie Weiss zamierzał zorganizować tę wspaniałą Dexteramę. Co więc miałem zrobić z tą wiedzą? Przecież nie mogłem przez trzy miesiące dzień i noc czuwać przed hotelem i czekać, aż Weiss zjawi się z pierwszą partią trupów. Ale nie mogłem też pozwolić sobie na beczynność. On prędzej czy później weźmie się do rzeczy albo... czy mogła to być jeszcze jedna

pułapka mająca zwabić mnie do Palm Beach w czasie, kiedy Weiss zrobi coś innego tutaj, w hrabstwie Dade?

Nie, nie wygłupiajmy się; chyba nie zaplanował, że pokażę w siną dal z ołówkiem w nodze i odciskiem małej piąstki w kroczu i porzuci swoje szkice. Nie, rysunek przedstawiał dokładnie to, co sobie umyślił, na dobre i na złe – a właściwie, z punktu widzenia mojej reputacji, tylko na złe. Pozostawało więc jedno pytanie: kiedy zamierzał to zrobić. Jediną odpowiedzią, jaka przychodziła mi do głowy, było: „Wkrótce”, a to wydawało się nieszczerze precyzyjne.

Nie było innego wyjścia – będę musiał wziąć sobie wolne i czekać przed hotelem. To oznaczało, że zostawię Ritę samą z dziećmi, co mi się nie podobało, ale nie widziałem innego rozwiązania. Weiss do tej pory błyskawicznie przechodził od jednego pomysłu do następnego; teraz prawdopodobnie skupi się na tym konkretnym przedsięwzięciu i będzie działał szybko. Ryzyko było wielkie, ale się opłaca, jeśli zdołam zapobiec wyświetleniu mojego wielkiego zdjęcia na fasadzie The Breakers.

No dobrze; tak zrobię. Kiedy Weiss zabierze się do pracy w Palm Beach, będę tam na niego czekał. I podjąwszy decyzję, otworzyłem szkicownik, żeby jeszcze raz rzucić okiem na przystojnego Komiksowego Dextera. Zanim jednak popadłem w samozachwyty, jakiś samochód zatrzymał się obok mojego i wysiadł z niego mężczyzna.

Coulter.

Detektyw Coulter obszedł swój samochód od tyłu, przystanął, spojrzął na mnie, wrócił do drzwi i na chwilę zniknął. Skorzystałem z okazji, żeby wsunąć szkicownik pod siedzenie, a Coulter znowu się pojawił i ponownie okrążył wóz tą samą drogą, tym razem z dwulitrową butelką Mountain Dew zwisającą z czubka palca wskazującego. Oparł się tyłkiem o swój samochód, spojrzął na mnie i wziął duży łyk wody sodowej. Otarł usta grzbietem dłoni.

- Nie było cię w gabinecie - stwierdził.

- Fakt - przyznałem. W końcu byłem tutaj.

- Kiedy przyszło zgłoszenie i okazało się, że chodzi o twoją żonę, zajrzałem do ciebie, żeby dać ci znać - powiedział i wzruszył ramionami. - Patrzą, a ciebie nie ma. Bo już byłeś tutaj, zgadza się? - Nie czekał na odpowiedź i dobrze, bo jej nie miałem. Zamiast tego pociągnął następny łyk z butelki, ponownie otarł usta i zagadnął: - To ta sama szkoła, gdzieśmy znaleźli tego drużynowego, hę?

- Zgadza się.

- Ale już tu byłeś, kiedy to się stało? - spytał, udając niewinne zaskoczenie. - Jakim cudem?

Byłem prawie pewien, że tłumacząc się przecuciem, nie zasłużę sobie na jego uścisk dłoni oraz gratulacje. Dlatego ponownie zdałem się na moją legendarną przytomność umysłu i usłyszałem, jak mówię:

- Pomyślałem sobie, że przyjadę i zrobię niespodziankę Ricie i dzieciakom.

Coulter skinął głową, jakby uznał to za bardzo wiarygodne.

- Niespodziankę - powiedział. - Tylko że ktoś cię uprzedził.

- Tak - odparłem ostrożnie. - Na to wygląda.

Pociągnął następny duży łyk z butelki, ale tym razem nie otarł ust, tylko odwrócił się i spojrzął na drogę, na której wóz pomocy drogowej odholowywał samochód Weissa.

- Masz jakieś podejrzenia, kto mógł to zrobić twojej żonie i dzieciom? - drążył, nie patrząc na mnie.

- Nie - odparłem. - Uznałem, że to, no wiesz. Wypadek?

- Uhm - mruknął i teraz już patrzył prosto na mnie. - Wypadek. Kurczę, nawet o tym nie pomyślałem. No bo wiesz. To ta sama szkoła, gdzie zginął ten gość od zuchów. No i znowu jesteś tu ty. Czyli, hm, wypadek. Serio? Tak myślisz?

- Ja, ja tylko... a dlaczego nie? - Ćwiczyłem to całe życie, więc moja zaskoczona mina na pewno wypadła doskonale, ale Coulter był wyraźnie nieprzekonany.

- Ten, jak mu tam, Dupczewicz - rzucił.

- Doncević - poprawiłem.

- Jeden czort. - Wzruszył ramionami. - Podobno zniknął. Wiesz coś o tym?

- Niby skąd? - zachnąłem się i zrobiłem najbardziej zdumioną minę, na jaką było mnie stać.

- Nie stawiał się w sądzie, zostawił swojego chłopaka i wyparował - powiedział. - Po co miałby to robić?

- Naprawdę nie wiem - odparłem.

- Czytasz czasem, Dexter? - zagadnął i zaniepokoiło mnie to, że zwrócił się do mnie po imieniu. Jakby rozmawiał z podejrzanym. Co prawda tak było, ale ja wciąż miałem nadzieję, że tak o mnie nie myśli.

- Czy czytam? - powiedziałem. - Hm, nie, nie za często. A co?

- Ja lubię czytać - odparł. A potem ni z tego, ni z owego dodał: - Raz to przypadek, dwa razy to zbieg okoliczności, trzy razy to akt wroga.

- Słucham? - wymamrotałem. Pogubiłem się gdzieś przy: „Ja lubię czytać”.

- To z Goldfingera - wyjaśnił. - Kiedy mówi do Bonda: jak spotykam cię trzy razy tam, gdzie nie twoje miejsce, to nie zbieg okoliczności. - Napił się, otarł usta i patrzył, jak się pocę. - Świetna książka. Czytałem ją ze trzy albo cztery razy.

- Ja nie - odparłem uprzejmie.

- Jesteś tutaj - ciągnął. - Byłeś w tym wysadzonym domu. Czyli dwa razy byłeś tam, gdzie nie powinno cię być. Mam sądzić, że to zbieg okoliczności?

- A co innego? - spytałem.

Tylko patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem. Wziął następny łyk Mountain Dew.

- Nie wiem - stwierdził wreszcie. - Ale wiem, co powiedziała Goldfinger, gdyby to się zdarzyło trzeci raz.

- Cóż, miejmy nadzieję, że się nie powtórzy. - I tym razem mówiłem najzupełniej szczerze.

- Uhm - mruknął. Skinął głową, wetknął palec wskazujący z powrotem w szyjkę butelki i wstał. - Miejmy od cholery nadziei - powiedział. Odwrócił się, okrążył swój samochód, wsiadł i odjechał.

Gdybym był troszeczkę bardziej zapalonym obserwatorem ludzkich dziwactw, nie wątpię, że uszczęśliwiłoby mnie odkrycie u detektywa Coultera nieznanych dotąd głębi. Jest miłośnikiem literatury! Wspaniale! Jednak radość z tego odkrycia mącił fakt, że tak naprawdę nie obchodziło mnie, co on robi w wolnym czasie, byle robił to z dala ode mnie. Ledwie udało mi się wymknąć spod nieustającej kurateli Doakesa, a już zastąpił go Coulter. Zupełnie jakbym był ofiarą jakiejś dziwnej i złowrogiej tybetańskiej sekty Dręczycieli Dextera - kiedy stary nienawidzący Dextera lama umiera, na jego miejsce rodzi się następny.

Na razie jednak bardzo niewiele mogłem na to poradzić. Wkrótce miałem stać się wielkim dziełem sztuki i w tej chwili to był mój problem numer jeden. Wsiadłem do samochodu, uruchomiłem silnik i pojechałem do domu.

Kiedy tam dotarłem, musiałem przez kilka minut pukać do drzwi, bo Rita postanowiła zamknąć je na łańcuch. Pewnie powinienem się cieszyć, że nie zabarykadowała ich jeszcze kanapą i lodówką. Może dlatego, że kanapa była jej potrzebna; kulila się bowiem na niej, mocno tuląc do siebie dzieci, po jednym z każdej strony. Ledwie mnie wpuściła - cokolwiek niechętnie - a od razu wróciła na swoje miejsce i opiekuńczo objęła Cody'ego i Astor. Ich miny, niemal identyczne, wyrażały irytację i znudzenie. Najwyraźniej truchlenie ze strachu w salonie nie było formą spędzania czasu z bliskimi, za jaką najbardziej przepadali.

- Długo cię nie było - wypomniała mi Rita, zdejmując łańcuch z drzwi.

- Musiałem porozmawiać z detektywem - wyjaśniłem.

- No dobrze, ale... - powiedziała i osunęła się na kanapę pomiędzy dziećmi. - To znaczy, martwiliśmy się.

- My nie - wtrąciła się Astor, spojrzała na matkę i przewróciła oczami.

- No bo, to znaczy, ten człowiek może być wszędzie - powiedziała Rita. - Nawet tu, za drzwiami. - I choć żadne z nas, z Ritą włącznie, w to tak naprawdę nie wierzyło, wszyscy czworo odwróciliśmy głowy w stronę drzwi. Szczęśliwie dla nas, nie było go tam, przynajmniej z tego, co mogliśmy zobaczyć przez zaryglowane drzwi. - Dexter, proszę - odezwała się Rita z tak ostrą nutą strachu w głosie, że czułem jego zapach. - Proszę cię, to jest... co... czemu to się dzieje? Nie mogę... - Wykonała kilka zamasztych, ale nie dokończonych gestów dłońmi, po czym opuściła je na podolek. - To musi się skończyć - powiedziała. - Zrób coś, żeby się skończyło.

Szczerze mówiąc, chyba na niczym bardziej mi nie zależało - a nawet gdyby znalazły się jakieś silniejsze pragnienia, to większość z nich zamierzałem zaspokoić zaraz po schwytaniu Weissa. Zanim jednak udało mi się skupić na snuciu radosnych planów, zabręczał dzwonek u drzwi.

Rita podskoczyła jak oparzona i usiadła z powrotem, przyciskając dzieci do siebie.

- O Boże - jęknęła. - Kto to może być?

Byłem prawie pewien, że nie Młodzi Mormoni, ale rzuciłem tylko:

- Ja otworzę - i podszedłem do drzwi. Na wszelki wypadek wyjrzałem przez judasz - mormoni potrafią być tacy natrętni - i zobaczyłem coś jeszcze straszniejszego.

Na moim progu stał sierżant Doakes.

Ścisnął mały srebrny komputer, który teraz przemawiał w jego imieniu, a u jego boku stała schludna kobieta pod czterdziestkę w szarym kostiumie i choć nie miała na głowie fedory, byłem prawie pewien, że to owa federalna, którą mi grożono, prowadząca śledztwo w sprawie próby porwania.

Kiedy patrzyłem na tę parę i myślałem, ile kłopotów mogą mi narobić, autentycznie korciło mnie, żeby nie otwierać i udawać, że nikogo nie ma w domu. Były to jednak tylko czcze rozważania;

z doświadczenia wiem, że im szybciej człowiek ucieka od kłopotów, tym prędzej go doganiają, i byłem przekonany, że jeśli nie wpuszczę Doakesa i jego nowej znajomej, zaraz wrócą z nakazem i pewnie jeszcze przywloką ze sobą Coultera i Salguero. Dlatego pełen czarnych myśli, usiłując przystroić twarz w stosowny wyraz zaskoczenia, znużenia i szoku, otworzyłem drzwi.

- Ruchy. Skurwysynu! - zawołał radosny sztuczny baryton, kiedy Doakes dwa razy dźgnął szponem klawiaturę swojej srebrnej skrzyneczki.

Federalna położyła mu rękę na ramieniu w uspokajającym geście i zerknęła na mnie.

- Pan Morgan? - powiedziała. - Możemy wejść? - Cierpliwie trzymała legitymację w górze, żebym mógł ją obejrzeć; okazało się, że mam przed sobą agentkę specjalną FBI Brendę Recht. - Sierżant Doakes zaofiarował się, że mnie do pana przywiezie - wyjaśniła, a ja pomyślałem, jak to miło ze strony Doakesa.

- Oczywiście - odparłem i wtedy, jak to czasem się zdarza, w samą porę doznałem olśnienia. - Ale dzieci dopiero co przeżyły ogromny szok - dodałem - a trochę się boją sierżanta Doakesa. Mógłby poczekać tutaj?

- Skurwysynu! - zaklął Doakes i zabrzmiało to jak wesoło: „Witam sąsiada!”

- No i jego słownictwo jest trochę zbyt wulgarnie dla dzieci - dorzuciłem.

Agentka specjalna Recht zerknęła na Doakesa. Jako agent FBI nie mogła przyznać, że przeraża ją cokolwiek, nawet cyborg Doakes, ale minę miała taką, jakby mój pomysł wydał jej się doskonały.

- Jasne - powiedziała. - Może poczeka pan tutaj, sierżancie?

Doakes bardzo długo miażdżył mnie wzrokiem i w mrocznej oddali niemal słyszałem gniewny krzyk jego Pasażera. On sam jednak tylko uniósł jeden srebrny szpon, zerknął na klawiaturę i wcisnął klawisz włączający jedno z nagranych zdań.

- Nadal mam cię na oku, skurwysynu - zapewnił mnie wesolutki głos.

- I bardzo dobrze. Ale miej mnie na oku zza drzwi, dobra? - Zaprosiłem Recht gestem do środka, a ona przecisnęła się obok

Doakesa i weszła. Zamknąłem za nią drzwi, żeby Doakes mógł sobie na nie popatrzeć.

- Jakoś za panem nie przepada - zauważyła agentka specjalna Recht i byłem pod wrażeniem jej spostrzegawczości.

- Rzeczywiście - przyznałem. - Chyba wini mnie za to, co go spotkało. - I przynajmniej częściowo było to prawdą, choć nie lubił mnie już długo przed tym, jak stracił dłonie, stopy i język.

- Uhm - mruknęła i choć widziałem po niej, że o tym myśli, nic więcej na ten temat nie powiedziała. Podeszła za to do kanapy, na której Rita wciąż kurczowo ścisnęła Cody'ego i Astora. - Pani Morgan? - powiedziała i znów uniosła legitymację. - Agentka specjalna Recht, FBI. Czy mogę zadać kilka pytań o to, co wydarzyło się dziś po południu?

- FBI? - odezwała się Rita, tak spłoszona, jakby siedziała na kradzionych obligacjach. - Ale to... po co właściwie... tak, oczywiście.

- Masz pistolet? - spytała Astor.

Recht spojrzała na nią z ostrożną sympatią.

- Tak.

- I strzelasz do ludzi?

- Tylko jeśli muszę - odparła Recht. Rozejrzała się i wypatrzyła fotel.

- Mogę usiąść i zadać pani kilka pytań?

- Och - westchnęła Rita. - Bardzo przepraszam. Ja tylko... tak, proszę, niech pani siada.

Recht przycupnęła na skraju fotela i spojrzała na mnie, zanim zwróciła się do Rity.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało. - Widząc wahanie Rity, powiedziała jej: - Dzieci były w samochodzie, zjechaliście na jedynekę...

- A on, on wyskoczył nie wiadomo skąd - dokończyła Rita.

- Bum - dodał cicho Cody, a ja spojrzałem na niego ze zdumieniem. Lekko się uśmiechał, co było równie niepokojące. Rita popatrzyła na niego z konsternacją, po czym wróciła do przerwanej relacji.

- Wpadł na nas - zrelacjonowała. - A kiedy ja jeszcze... zanim zdążyłam... on, on już otworzył drzwi i wyciągał dzieci.

- Uderzyłam go w krocze - weszła jej w słowo Astor. - A Cody dźgnął go ołówkiem.

Cody spojrzął na nią spode łba.

- Ja dźgnąłem najpierw - powiedział.

- Niech ci będzie - odparła Astor.

Recht przyglądała im się z pewnym zdumieniem.

- Dobrze się spisaliście - pochwaliła.

- A potem przyszedł policjant i tamten uciekł - dokończyła Astor, a Rita skinęła głową.

- A pan skąd się tam wziął, panie Morgan? - spytała Recht i bez uprzedzenia odwróciła się do mnie.

Oczywiście wiedziałem, że o to spyta, ale do tej pory nie wymyśliłem żadnej bombowej odpowiedzi. Wyjaśnienie o niespodziance dla Rity nie rzuciło Coultera na kolana, a agentka specjalna Recht wydawała się zdecydowanie bystrzejsza od niego - i sekundy mijały, a ona wciąż patrzyła na mnie w oczekiwaniu na rozsądną, logiczną odpowiedź, której nie miałem. Musiałem coś powiedzieć, i to szybko; ale co?

- Hm - wymamrotałem. - Nie wiem, czy pani słyszała, ale doznałem wstrząsu mózgu...

Jeśli powstanie kiedyś film o najwspanialszych momentach mojego życia, na pewno nie znajdzie się w nim rozmowa z agentką specjalną FBI Brendą Recht. Jakoś nie zdołałem jej przekonać, że wyszedłem wcześniej z pracy, bo źle się czułem, a do szkoły zajrzałem, bo pora była po temu odpowiednia - i nie mogę powiedzieć, że miałem jej to za złe. Moje tłumaczenia wypadły wyjątkowo żałośnie, ale że nic lepszego nie wymyśliłem, tego musiałem się trzymać.

Nie bardzo też potrafiła przyjąć do wiadomości mojego zapewnienia, że na Ritę i dzieci napadł jakiś przypadkowy maniak, produkt furii drogowej, ruchu w Miami i nadmiaru kubańskiej kawy. Za to koniec końców pogodziła się z tym, że nic innego ze mnie nie wyciągnie. Wstała i spojrzała na mnie z miną, do której najlepiej pasuje określenie „zadumana”.

- W porządku, panie Morgan - skwitowała. - Coś tu nie gra, ale z tego, co widzę, nie powie mi pan co.

- Bo właściwie nie ma o czym mówić - odparłem, może z przesadną skromnością. - W Miami takie rzeczy są na porządku dziennym.

- Uhm - mruknęła. - Sęk w tym, że dziwnie często spotykają pana.

Jakimś cudem powstrzymałem się, żeby nie powiedzieć: „Żebyś wiedziała...”, i odprowadziłem ją do drzwi.

- Na wszelki wypadek postawimy przed domem policjanta - zapewniła, co było wiadomością nie dość, że niemile widzianą, to jeszcze podaną nie w porę, bo w tym samym momencie otworzyłem drzwi, ukazując wpatzonego w nie ponuro sierżanta Doakesa, stojącego w niemal tej samej pozycji, w jakiej go zostawiliśmy. Pożegnałem się czule z obojgiem i ostatnią rzeczą, którą zobaczyłem przed zamknięciem drzwi, było nieruchome spojrzenie Doakesa, do złudzenia przypominającego złego brata bliźniaka Kota z Cheshire.

Zainteresowanie FBI jednak nieszczególnie poprawiło Ricie nastrój. Wciąż trzymała dzieci blisko siebie i mówiła bełkotliwymi, urywanymi zdaniem. Próbowałem więc ją pocieszyć na tyle, na ile byłem w stanie, i przez jakiś czas siedzieliśmy wszyscy razem na kanapie, aż w końcu stało się to niemożliwe, bo Cody i Astor za bardzo się wiercili. Rita dała za wygraną, puściła im DVD, a sama poszła do kuchni, gdzie poddała się alternatywnej terapii uspokajającej, objawiającej się pogrążeniem w gąsienicę. Ja zaś powędrowałem do pokoiku zwanego przez nią „Gabinetem Dextera”, żeby tam jeszcze raz rzucić okiem na szkicownik Weissa i snuć posępne rozważania.

Lista osób mi nieprzychylnych zdecydowanie się rozrastała: Doakes, Coulter, Salguero, a teraz jeszcze FBI.

No i, rzecz jasna, sam Weiss. Wciąż gdzieś tam był i chciał się na mnie zemścić. Czy znowu zaatakuje dzieci, kuśtykając, wyłoni się z cienia, żeby je porwać, może tym razem w spodniach z kevlaru i ochraniaczu na krocze? Jeśli tak, będę musiał zostać z Codym i Astor do czasu, aż to się skończy, co raczej nie pomoże mi go złapać - zwłaszcza jeśli wpadnie na jakiś nowy pomysł. Ale jeżeli zechce mnie zabić, będąc z dziećmi, narażę je na niebezpieczeństwo; sądząc po jego sztuczce z wylatującym w powietrze domem, najwyraźniej nie zważał na skutki uboczne.

Ale ja, owszem, musiałem. Martwiłem się o dzieciaki i chronienie ich było dla mnie najważniejsze. Dziwne to było odkrycie uświadomić sobie, że ich bezpieczeństwo leży mi na sercu tak samo jak zatajenie mojej sekretnej tożsamości. To nie pasowało do tego, jak sam siebie postrzegałem, do mojego starannie ukształtowanego wizerunku. Jasne, polowanie na drapieżców, którzy żerowali na dzieciach, zawsze

sprawiło mi szczególną rozkosz, choć tak naprawdę nigdy się nie zastanawiałem, dlaczego. No i z całą pewnością planowałem wypełnienie moich obowiązków wobec Cody'ego i Astor, zarówno jako ich ojczym, jak i, co ważniejsze, ich przewodnik na Drodze Harry'ego. Ale zobaczyć samego siebie miotającego się jak nadopiekuńcza kwoka na myśl o tym, że ktoś miałby je skrzywdzić... to było coś nowego. I niepokojącego.

Dlatego powstrzymanie Weissa było istotne w zupełnie nowy sposób. Teraz, kiedy byłem Tatusiem Dexterem, musiałem to zrobić nie tylko dla siebie, ale i dla dzieci, i na myśl, że mogłaby stać im się krzywda, czułem przyływ czegoś niebezpiecznie zbliżonego do prawdziwych emocji.

Dobrze więc; najwyraźniej musiałem odgadnąć następne posunięcie Weissa i spróbować go uprzedzić. Wziąłem do ręki jego szkicownik i jeszcze raz przejrzałem rysunki, może z nieświadomą nadzieją, że coś mi umknęło - adres, pod którym mogłem znaleźć Weissa, czy może nawet list samobójczy. Ale wszystkie kartki wyglądały tak, jak poprzednio, a że prawdę mówiąc, urok nowości szybko przemija, widok moich portretów nie sprawił mi już takiej przyjemności. Zresztą nigdy nie pałałem chęcią oglądania samego siebie, a już patrzenie na rysunki mające ukazać światu mnie-takiego-jakim-naprawdę-jestem odbierało mi resztki dobrego humoru.

I po co to wszystko? Żeby mnie zdemaskować? Stworzyć wielkie dzieło sztuki? Pomyślałem chwilę i dokładnie obejrzałem kilka bardziej szczegółowych rysunków, przedstawiających inne elementy kompozycji. Może wyjdę na narcyza - w końcu rywalizowały o miejsce z moimi portretami - ale nie były zbyt interesujące. Co najwyżej pomysłowe, ale nic ponadto. Brakowało im prawdziwej oryginalności i wydawały się jakieś bez życia - nawet jak na trupy.

I jeśli mam być brutalnie szczery, nawet te moje portrety narysować mógł byle utalentowany licealista. Można je wyświetlić w ogromnym powiększeniu na fasadzie hotelu The Breakers, a i tak nie dorównają niczemu, co niedawno oglądałem w Paryżu - nawet w małych galeriach. Owszem, była ta ostatnia prezentacja *Noga Jennifer*. W niej też wykorzystano amatorskie filmy wideo - ale tam chodziło głównie o reakcję publiczności, nie o...

W mózgu Dextera na chwilę zapadła zupełna cisza tak gęsta, że spowiła wszystko mgłą. A z tej mgły wyłoniła się myśl, trajkocząca jak mała małpa.

Reakcja publiczności.

Jeśli interesuje cię reakcja, praca nie musi być dobra; najważniejsze, by szokowała. Tobie pozostaje tylko tę reakcję uchwycić, na przykład na taśmie wideo. Do tego być może zatrudniasz profesjonalistę – powiedzmy, kogoś takiego jak Kenneth Wimble, którego dom Weiss wysadził w powietrze. Dużo logiczniej było traktować Wimble'a jako jednego z nich niż jako przypadkową ofiarę.

Kiedy zaś Weiss przerzucił się na prawdziwe morderstwa zamiast wykradać ciała dla zabawy, Wimble pewnie wymiękł, a Weiss wysadził go w powietrze, jednocześnie próbując usunąć moją niezastąpioną osobę.

Mimo to nadal kręcił filmy, nawet bez swojego specja. Bo to w tym wszystkim było dla niego najważniejsze. Chciał mieć zdjęcia ludzi oglądających to, co robił. A robił to z coraz większym zapalem – najpierw drużynowy zuchów, potem Wimble i zamach na mnie. Ale przede wszystkim liczyły się filmy. I z przyjemnością zabiłby, byle tylko je zdobyć.

Nic dziwnego, że Mroczny Pasażer miał zagwozdkę. My tworzymy własnoręcznie, nasze dzieła są wybitnie osobiste. Weiss był inny. Może i chciał się na mnie zemścić, ale nie miał nic przeciwko temu, by zemsta dokonana się pośrednio – coś takiego mnie i Pasażerowi nigdy nie przeszłoby przez myśl. Dla Weissa nade wszystko liczyła się sztuka. Musiał mieć swoje obrazy.

Spojrzałem na ostatnie duże, kolorowe przedstawienie mojej osoby wyświetlonej na hotelu The Breakers. Rysunek był na tyle wyraźny, że z łatwością dało się rozpoznać najważniejsze elementy architektury budynku. Fronton miał kształt litery U, z drzwiami wejściowymi pośrodku i wysuniętymi do przodu skrzydłami po bokach. Do wejścia prowadziła długa promenada wysadzana palmami, idealne miejsce dla tłumu przerażonych gapiów. Weiss na pewno byłby gdzieś wśród nich i robił zdjęcia ich twarzy. Kiedy jednak patrzyłem na ten obraz, uświadomiłem sobie, że wcześniej pewnie wynajęłby pokój w jednym ze skrzydeł z widokiem na fasadę, na której miałyby się odbyć

projekcja, i ustawił tam kamerę, zdalnie sterowaną, taką, jakimi posługiwał się do tej pory, ale tym razem z naprawdę dobrym obiektywem, by uchwycić miny gapiów.

Cała sztuczka polegała na tym, żeby powstrzymać go, zanim wszystko przygotuje - czyli w momencie, kiedy przyjedzie do hotelu. A żeby to zrobić, wystarczy się dowiedzieć, kiedy się zamelduje. Byłoby to bardzo proste, gdybym miał dostęp do hotelowego rejestru - a nie miałem - albo gdybym potrafił się do niego włamać - a nie potrafiłem. Po chwili namysłu coś sobie jednak uświadomiłem.

Znałem kogoś, kto to potrafił.

Kyle Chutsky siedział naprzeciwko mnie przy tym samym stoliku w kącie barku na parterze szpitala, co poprzednio. Choć od kilku dni chyba nie wychodził z budynku, był gładko ogolony i miał na sobie czystą koszulę. Patrzył na mnie z rozbawieniem, od którego podniosły mu się kąciki ust i zmarszczyła skóra wokół oczu, same oczy jednak pozostały zimne i czujne.

- Śmieszne - powiedział. - Chcesz, żebym pomógł ci włamać się do systemu rezerwacji tego hotelu, jak mu tam, The Breakers? Ha. - Parsknął śmiechem, który nie zabrzmiał przekonująco. - Czemu uważasz, że mogę ci w tym pomóc?

Niestety, było to dobre pytanie. Tak naprawdę nie mogłem być pewien, czy będzie w stanie mi pomóc, przynajmniej nie na podstawie czegoś, co powiedział lub zrobił. Choć jednak znałem go słabo, wiedziałem, że jest cenionym współpracownikiem tajnego rządu, świadomie nienadzorowanej, luźnej kliki pracującej dla rozmaitych agencji oznaczanych różnymi literami alfabetu, mniej lub bardziej powiązanych z rządem federalnym, a czasem nawet ze sobą nawzajem. I dlatego byłem pewien, że może ustalić na wiele różnych sposobów, kiedy Weiss zamelduje się w hotelu.

Była jednak drobna przeszkoda natury formalnej: ja nie powinienem o tym wiedzieć, a on nie powinien się do tego przyznać. I żeby ją jakoś ominąć, musiałem podać mu argument na tyle mocny, by przełamał jego instynktowny opór. Oczywiście, dla mnie takim argumentem była nadciągająca zguba Dzielnego Dextera, ale nie wydawało mi się, by Chutsky podzielał moją wysoką samoocenę. Dla niego pewnie istotniejsze były duperele typu bezpieczeństwo państwa, pokój na świecie i jego własne względnie bezwartościowe życie i zdrowie.

Przyszło mi jednak do głowy, że istotna dla niego była też moja siostra, a to dawało mi przynajmniej potencjalny punkt zaczepienia. Dlatego z moją najlepszą sztuczną męską bezpośredniością powiedziałem:

- Kyle... ten gość omal nie zabił Debory. - I w dowolnej scenie byle serialu dla prawdziwych mężczyzn to by z powodzeniem wystarczyło; Chutsky jednak najwyraźniej rzadko oglądał telewizję. Uniósł bowiem tylko brew i spytał:

- No to co?

- To - byłem nieco zbity z pantałyku, usiłując przypomnieć sobie inne sceny z tych seriali - że gdzieś tam jest i, no, uchodzi mu to bezkarnie. Aha, i może to zrobić znowu.

Tym razem uniósł obie brwi.

- Myślisz, że znowu pchnie Deborę nożem?

Szło mi jak po grudzie, zupełnie nie tak, jak oczekiwałem. Zakładałem, że obowiązuje coś w rodzaju Kodeksu Ludzi Czynu i że jak tylko wspomnę o potrzebie bezpośredniego działania i okażą zapał bojowy, Chutsky zerwie się na równe nogi i razem zdobędziemy działa Nawarony. On jednak patrzył na mnie tak, jakbym zaproponował mu lewatywę.

- Jak możesz nie chcieć dorwać tego gościa? - spytałem tonem, który miał wyrażać po części zakłopotanie, po części desperację.

- Nie jestem od tego - odparł. - Ty też nie, Dexter. Jeśli uważasz, że facet zatrzyma się w tym hotelu, donieś o tym glinom. Oni mają kupę ludzi, których mogą tam postawić, żeby na niego czekali i go zwinęli. Ty, stary, masz tylko siebie... i nie zrozum mnie źle, ale jak dla ciebie to chyba trochę za ostra jazda.

- Gliny pytają, skąd to wiem - stwierdziłem i od razu tego pożałowałem.

A Chutsky natychmiast to wychwycił.

- No dobra. To skąd o tym wiesz?

Są chwile, kiedy nawet Kłamczuszek Dexter musi wyłożyć przynajmniej jedną albo dwie karty na stół, i taka chwila właśnie nadeszła. Dlatego wyrzuciłem moje wrodzone zahamowania za okno i oznajmiłem:

- On mnie nęka.

Chutsky zamrugął.

- Co to znaczy?

- Że chce mnie zabić. Już dwa razy próbował.

- I myślisz, że spróbuje znowu? W tym hotelu, The Breakers?

- Tak.

- To nie wychodź z domu i tyle - poradził.

Nie chciałem wyjść na zarozumialca, ale prawda jest taka, że nie przywykłem do rozmów, w których druga strona jest tą mądrzejszą. W tym tańcu jednak to Chutsky prowadził, a Dexter był kilka piruetów za nim i kuśtykał na dwóch lewych nogach z pęcherzami wykwitającymi na piętach i palcach. Kiedy zaczynałem tę rozmowę, wyobrażałem sobie Chutsky'ego jako prawdziwego faceta robiącego użytek z pięści, nawet jeśli jedną z nich zastępował stalowy hak - nieulekłego do przesady zabijakę, który z byle powodu rwie się do walki, a co dopiero, gdy ma okazję dostać w swoje ręce, czy raczej w rękę i hak człowieka, który ugodził nożem jego ukochaną, moją siostrę Deborę. Najwyraźniej mylnie oceniłem sytuację.

Pozostawał jednak wielki znak zapytania: kim w takim razie był Chutsky i jak miałem zapewnić sobie jego pomoc? Czy potrzebowałem przemyślnego fortelu, by narzucić mu swoją wolę, czy też będę musiał uciec się do jakiejś formy bezprecedensowego, niezręcznego wyznania niewymownej prawdy? Na samą myśl o dopuszczeniu się szczerości drżałem jak osika - to byłoby wbrew wszelkim moim zasadom. Ale nie widziałem innego wyjścia; musiałem być przynajmniej odrobinę szczery.

- Jeśli zostaną w domu, on zrobi coś straszego. Mnie, może nawet dzieciom.

Chutsky popatrzył na mnie i pokręcił głową.

- Mówiłeś z większym sensem, kiedy wydawało mi się, że chcesz zemsty. Jak może ci coś zrobić, skoro ty będziesz w domu, a on w hotelu?

W pewnym momencie trzeba pogodzić się z faktem, że są takie dni, kiedy nie działa się na pełnych obrotach, i to był jeden z nich. Powiedziałem sobie, że pewnie nadal odczuwam skutki wstrząsu mózgu, ale moje ja odpowiedziało, że to w najlepszym razie żałosna i mocno nadużywana wymówka, i pierwszy raz od dawna tak bardzo zły na siebie, wyjąłem szkicownik zabrany z samochodu Weissa i otworzyłem go na kolorowym rysunku Dextera Dominatora na fasadzie hotelu The Breakers.

- Jeśli nie będzie mógł mnie zabić, dopilnuje, żeby wsadzili mnie za zabójstwo.

Chutsky długo oglądał obrazek, aż w końcu gwizdnął cicho.

- O ja cię kręcę - rzucił. - A to tutaj na dole to...?

- Trupy. Spreparowane jak te, w sprawie których Debora prowadziła śledztwo, kiedy ją dźgnął.

- Po co miałyby to zrobić?

- To rodzaj sztuki. To znaczy on tak uważa.

- No dobra, ale po co miałyby to zrobić właśnie tobie, stary?

- Pamiętasz gościa aresztowanego po napadzie na Deborę? Kopnąłem go w głowę, i to mocno. To był jego chłopak.

- Był? - zdziwił się Chutsky. - Gdzie jest teraz?

Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, po co ludzie sami się okaleczają - w końcu wyręcza ich w tym życie, i to ze sporym powodzeniem. Gdybym jednak, odgryzając sobie język, mógł cofnąć słowo „był”, zrobiłbym to z dziką radością. Ale cóż, już to powiedziałem i nic nie mogłem poradzić, więc zacząłem rozpaczliwie szukać choćby okruchów mojej dawnej przytomności umysłu. I w końcu je wyszperałem.

- Nie stawiał się na rozprawie. Zniknął - powiedziałem.

- A tamten uważa, że przez ciebie stracił chłopaka?

- Na to wygląda - odparłem.

Chutsky spojrzał na mnie, a potem znów na rysunek.

- Słuchaj, stary - zaczął. - Znasz tego gościa i wiem, że musisz się kierować instynktem. Ja zawsze dobrze na tym wychodziłem, no, dziewięć razy na dziesięć. Ale to, sam nie wiem. - Wzruszył ramionami.

- Jakies takie, mocno naciągane, nie sądzisz? - Wskazał palcem obrazek. - Ale co do jednego masz rację. Jeśli zamierza to zrobić, rzeczywiście potrzebujesz mojej pomocy. Dużo bardziej niż ci się wydaje.

- Jak to? - spytałem uprzejmie.

Chutsky trzepnął obrazek grzbietem dłoni.

- Ten hotel - powiedział - to nie The Breakers. To hotel Nacional. W Hawanie. - I na widok nieelegancko rozdziawionych ust Dextera dodał: - No wiesz, w Hawanie. Tej na Kubie.

- Ale to niemożliwe - stwierdziłem. - To znaczy, ja tam byłem. To The Breakers.

Uśmiechnął się do mnie tym irytującym, pełnym wyższości uśmiechem, który chętnie wypróbuję pewnego dnia, kiedy akurat nie będę w przebraniu.

- Nie uważało się na historii, co? - spytał.

- Tego chyba nie przerabialiśmy. O czym ty mówisz?

- Hotel Nacional i The Breakers powstały na podstawie jednego projektu, dla oszczędności - poinformował. - Są praktycznie identyczne.

- To czemu jesteś taki pewny, że to nie The Breakers?

- Popatrz - rzekł Chutsky. - Spójrz na te stare samochody. Esencja Kuby. I widzisz ten niby-wózek golfowy, z zaokrąglonym dachem? To coco loco, zobaczyć je można tylko tam, nie w Fort Lauderdale. No i rośliny. Widzisz te po lewej stronie? Nie rosną przy The Breakers. Tylko i wyłącznie w Hawanie. - Upuścił szkicownik i odchylił się. - Czyli moim skromnym zdaniem, problem rozwiązany.

- Czemu tak uważasz? - spytałem, poirytowany jego nastawieniem i brakiem sensu w tym, co powiedział.

Chutsky się uśmiechnął.

- Amerykaninowi zbyt trudno się tam dostać - zauważył. - Nie sądzę, żeby mu się udało.

Mała moneta wpadła w otwór i w mózgu Dextera zapaliło się światełko.

- Jest Kanadyjczykiem.

- No dobrze. Czyli może tam pojechać. - Wzruszył ramionami. - Tylko że nie wiem, czy pamiętasz, ale tam nie jest łatwo. To znaczy... nie puściliby mu tego płazem... - Trzepnął szkicownik grzbietem dłoni. - Nie na Kubie. Gliny zaraz zrobiłyby z nim... - Chutsky zmarszczył brwi i w zamyśleniu podniósł błyszczący srebrny hak do twarzy. Zreflektował się w ostatniej chwili, zanim wyłupił sobie oko. - Chyba że... - urwał.

- Co?

Lekko pokręcił głową.

- Gość jest raczej bystry, co?

- Cóż, wiem, że za takiego się uważa.

- Czyli na pewno wie. Co może oznaczać... - podjął Chutsky, taktownie unikając rzeczowników. Nieporadnie wyjął telefon, duży, ze sporym ekranem. Położył go na stole, przytrzymał hakiem i zaczął dźgać palcem klawisze, pomrukując: - Cholera... no dobra... uhm... - i czyniąc inne, równie przenikliwe spostrzeżenia. Widziałem, że na ekranie ma wyszukiwarkę Google'a, ale ze swojego miejsca nie mogłem odczytać nic ponadto. - Mam cię - rzucił wreszcie.

- Co?

Uśmiechnął się wyraźnie zadowolony ze swojej przebiegłości.

- Organizują tam takie różne festiwale - wyjaśnił. - Żeby pokazać, jacy są światowi i wolni. - Pchnął telefon po blacie w moją stronę. - Na przykład ten.

Przysunąłem telefon do siebie.

- Festival Internacional de Artes Multimedia - przeczytałem, przewijając tekst w dół.

- Zaczyna się za trzy dni - rzekł Chutsky. - I cokolwiek facet zamierza... wyświetlić slajdy, filmy czy co tam jeszcze... gliny dostaną polecenie, żeby mu na to pozwolić. W ramach festiwalu.

- I będzie tam prasa - dodałem - z całego świata.

Chutsky wykonał hakiem gest, który byłby uniesieniem dłoni, rzecz jasna, gdyby miał dłoń. Tak czy owak, jego znaczenie było jasne.

- A w obecnej sytuacji - stwierdził - w Miami będzie o nim tak głośno, jakby odbywał się w Miami.

I miał słuszość. Do Miami docierały oficjalne i nieoficjalne relacje o wszystkim, co działo się w Hawanie - bardziej szczegółowe niż te o wydarzeniach w Fort Lauderdale, które było tuż obok. Dlatego jeśli zostanę posądzony w Hawanie, to w Miami mnie skażą, a w dodatku nie będę mógł nic na to poradzić.

- Rozwiązanie idealne - orzekłem. I takie było; Weiss miał wolną rękę, by przygotować swoje okropne przedsięwzięcie, a potem zdobyć rozgłos, którego tak gorąco pragnął, a wszystko to w jednym pakiecie. Co nie wróżyło mi nic dobrego. Zwłaszcza że wiedział, że nie mogę dostać się na Kubę, by go powstrzymać.

- No dobrze - powiedział Chutsky. - Może i ma to sens. Ale dlaczego właściwie uważasz, że tam pojedzie?

Niestety, było to zasadne pytanie. Przemyślałem to. Po pierwsze, czy naprawdę byłem tego pewien? Jakby nigdy nic, tak, żeby nie spłoszyć Chutsky'ego, posłałem ostrożne, milczące zapytanie do Mrocznego Pasażera. Jesteśmy tego pewni? – spytałem.

O tak, powiedział i wyszczerzył ostre kły w uśmiechu. Zdecydowanie.

Dobrze więc. Czyli to już ustaliliśmy. Weiss pojedzie na Kubę zdemaskować Dextera. Mnie jednak potrzeba było czegoś więcej niż tylko milczącej pewności; tak naprawdę jaki miałem dowód, oprócz rysunków, których prawdopodobnie nie uznałby żaden sąd? Owszem, niektóre z nich były bardzo ciekawe – na przykład obraz kobiety z sześcioma piersiami zapadał głęboko w pamięć.

Przypomniałem sobie ten rysunek i wszystko stało się jasne jak słońce.

Był tam wsunięty kawałek papieru.

Lista lotów z Hawany do Meksyku.

Plan w sam raz dla kogoś, kto, powiedzmy, przewidywałby, że będzie musiał w pośpiechu opuścić Hawanę. W przypadku gdyby, przypuśćmy, poukładał przed najbardziej reprezentacyjnym w mieście, pięciogwiazdkowym hotelem niezwykle wyglądające trupy.

Sięgnąłem po szkicownik, wyjąłem rozkład lotów i rzuciłem go na stolik.

– Będzie tam – powiedziałem.

Chutsky wziął kartkę i ją rozłożył.

– Cubana Aviacion – przeczytał.

– Z Hawany do Meksyku – dorzuciłem. – Żeby mógł wykonać zadanie i szybko się ulotnić.

– Może. Uhm, to jest możliwe. – Spojrzał na mnie i przechylił głowę na bok. – Co czujesz w bebechach?

Prawdę mówiąc, w bebechach nigdy jeszcze nie czułem nic prócz głodu. Jednak dla Chutsky'ego najwyraźniej było to bardzo ważne, a jeśli rozszerzyć definicję „bebechów” na tyle, by objęła Pasażera, w bebechach czułem, że nie ma co do tego cienia wątpliwości.

– Będzie tam – powtórzyłem.

Chutsky zmarszczył brwi i ponownie obejrzał rysunek. Po chwili zaczął kiwać głową, najpierw powoli, potem z coraz większą werwą.

- Uhm - mruknął, podniósł wzrok, odrzucił mi rozkład lotów i wstał.
- Chodźmy pogadać z Deborą - powiedział.

Debora leżała w łóżku, co właściwie nie powinno być zaskoczeniem. Patrzyła w okno, choć było za daleko, by mogła przez nie wyrzucić, i mimo że miała włączony telewizor, który pokazywał sceny pełne nieziemskiej radości i szczęścia. Deb jednak wyraźnie nie była zainteresowana wesołą muzyką i okrzykami zachwyty, które dochodziły z głośnika. Więcej, gdyby sądzić tylko po jej minie, wydawałoby się, że nigdy w życiu nie zaznała szczęścia i zaznać go z własnej nieprzymuszonej woli nie zamierzała. Kiedy weszliśmy, zerknęła na nas obojętnie i ledwie nas rozpoznawszy, znów odwróciła się do okna.

- Jest trochę zdołowana - szepnął do mnie Chutsky. - Tak to czasem jest, jak człowieka poszatkują. - Biorąc pod uwagę wszystkie blizny na jego twarzy i ciele, musiałem przyjąć, że wie, o czym mówi, więc tylko skinąłem głową i podszedłem do Debory.

- Cześć, siostrzyczko - przywitałem ją sztucznie wesołym głosem, którego według mojej wiedzy należy używać wobec przykutego do łóżka inwalidy.

Odwróciła się do mnie i w jej zmartwiałej twarzy i pustych ciemnoniebieskich oczach dostrzegłem odbicie jej ojca, Harry'ego; patrzyła na mnie tak, jak niegdyś on, i z tych błękitnych toni wynurzyło się wspomnienie, które wyparło wszelkie inne myśli.

Harry umierał. Wszyscy czuliśmy się z tego powodu niezręcznie; to było trochę tak, jakby patrzeć na Supermana cierpiącego pod wpływem kryptonitu. Takie przyziemne słabości nie powinny go dotyczyć i już. On jednak od półtora roku umierał, powoli, stopniowo, a teraz był już bardzo blisko linii mety. I kiedy tak sobie leżał w hospicjum, jedna pielęgniarka postanowiła mu pomóc. Z premedytacją zwiększała podawaną mu dawkę środków przeciwbólowych i żerowała na jego śmierci, upajała się jego gaśnięciem, a on o tym wiedział i dał mi znać, co się dzieje. I, o radości, o rozkoszy, zgodził się, by ta pielęgniarka została pierwszą prawdziwą towarzyszką moich figli, pierwszą, którą zabrałem na Mroczny Plac Zabaw.

I tak uczyniłem. Pierwsza Pielęgniarka stała się pierwszą kropelką krwi na pierwszym szkiełku w mojej nowej kolekcji. Po kilku godzinach

zachwytu, nauki i ekstazy przeniosła się na tamten świat, i następnego ranka, kiedy poszedłem zameldować się u Harry'ego, przeżycie to wciąż napełniało mnie mrocznym blaskiem.

Wszedłem do pokoju Harry'ego, niemal unosząc się nad ziemią, a kiedy Harry otworzył oczy i spojrzał w moje, zobaczył to; zobaczył, że się zmieniłem, że stałem się tym, czym mnie uczynił, i jego wzrok z każdą chwilą robił się coraz bardziej martwy.

Usiadłem przy nim zaniepokojony, że przechodzi jakiś nowy kryzys.

- Dobrze się czujesz? - spytałem. - Zawołać lekarza?

Zamknął oczy i powoli, słabo, pokręcił głową.

- Co się stało? - nie ustępowałem, przekonany, że skoro ja czułem się świetnie jak nigdy dotąd, wszyscy wokół też powinni się trochę rozweselić.

- Nic - powiedział swoim cichym, ostrożnym, gasnącym głosem. Ponownie uniósł powieki i spojrzał na mnie z tą samą pustką w szklistych niebieskich oczach. - A więc zrobiłeś to?

Skinąłem głową, prawie się rumieniąc. Mówienie o tym jakoś mnie krępowało.

- A potem? - spytał.

- Wszystko posprzątane - zapewniłem. - Bardzo uważałem.

- Żadnych kłopotów? - chciał wiedzieć.

- Żadnych - odparłem i wypaliłem: - Było cudownie. - I widząc ból na jego twarzy, dodałem, żeby go pocieszyć: - Dziękuję, tato.

Harry znów zamknął oczy i odwrócił głowę. Zastygł na sześć czy siedem oddechów, po czym, tak cicho, że ledwo go dosłyszałem, powiedział:

- Co ja narobiłem... O Jezu, co ja narobiłem...

- Tato...? - wybąkałem. Nigdy jeszcze nie mówił przy mnie w ten sposób, tak udręczonym, niepewnym tonem, a to ogromnie mnie zaniepokoiło i całkowicie zgasiło moją euforię. On tylko pokręcił głową z zamkniętymi oczami i nie powiedział nic więcej.

- Tato...? - powtórzyłem.

On jednak milczał i tylko kilka razy pokręcił głową z wyraźnym bólem, a potem leżał bez słowa, bardzo długo, jak mi się zdawało, aż w końcu otworzył oczy i popatrzył na mnie, a ja zobaczyłem

to martwe spojrzenie, w którym nie było już ani nadziei, ani światła, spojrzenie sięgające w najmroczniejsze zakamarki.

- Jesteś - powiedział - tym, co z ciebie zrobiłem.

- Tak - odparłem i podziękowałbym mu jeszcze raz, gdyby nie to, że mówił dalej.

- To nie twoja wina - dodał - tylko moja. - A ja nie wiedziałem wtedy, co miał na myśli, choć teraz, wiele lat później, chyba zaczynam to rozumieć. I do dziś żałuję, że w tamtym momencie nie powiedziałem albo nie zrobiłem czegoś, jakiegoś drobnego gestu, który ułatwiłby Harry'emu odejście w ostateczny mrok; że nie zdołałem sklecić jednego zdania, które odpędziłoby zwątpienie i na nowo roznieciło blask w tych pustych niebieskich oczach.

Wiem też jednak, po tych wszystkich latach, że takie zdanie nie istnieje, przynajmniej w żadnym ze znanych mi języków. Dexter jest tym, czym musi być, teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen, i jeśli Harry pod koniec zrozumiał to i doznał przyływu trwogi oraz wyrzutów sumienia - cóż, naprawdę przykro mi z tego powodu, ale co mogłem na to poradzić? Na łożu śmierci każdy słabnie, staje się podatny na bolesne przemyślenia, niekoniecznie odkrywczcze - to tylko nadchodzący kres sprawia, że człowiek chce wierzyć, że dostępuje czegoś w rodzaju objawienia. Wiercie mi, jestem ekspertem od zachowań umierających ludzi. Gdybym spisał wszystkie dziwne rzeczy, które moi Szczególni Przyjaciele mówili mi, chwilę zanim pomogłem im zsunąć się w otchłań, powstałaby bardzo ciekawa książka.

Dlatego żał mi było Harry'ego. Ale jako młody, gamoniowaty potworek nie miałem do powiedzenia w zasadzie nic, co by mu ulżyło.

I teraz, po latach, kiedy zobaczyłem to samo spojrzenie w oczach Debory, poczułem, że ogarnia mnie ta sama przygnębiająca bezradność. Mogłem się tylko na nią gapić, gdy znów odwróciła się do okna.

- Na litość boską - odezwała się ze wzrokiem wlepionym w szybę. - Nie patrz tak na mnie.

Chutsky wsunął się na krzesło po drugiej stronie.

- Ostatnio trochę marudzi - skwitował.

- Wal się - rzuciła bez większego przekonania i przekrzywiła głowę, by dalej patrzeć w okno za plecami Chutsky'ego.

- Słuchaj, Debora - powiedział. - Dexter wie, gdzie jest ten typ, który cię skrzywdził. - Nie spojrzała na niego, tylko zamruwała, dwa razy. - No i, hm, pomyślał sobie, że we dwóch moglibyśmy go dorwać. I chcieliśmy o tym z tobą pogadać - ciągnął. - Zapytać, co ty na to.

- Co ja na to - powiedziała matowym, pełnym goryczy głosem, a kiedy odwróciła się do nas, w oczach miała ból tak straszliwy, że nawet ja go czułem. - Chcesz wiedzieć, co ja na to? - rzuciła.

- Hej, już dobrze - uspokajał ją Chutsky.

- Powiedzieli mi, że umarłam na stole operacyjnym - zaczęła. - I nadal czuję się martwa. Nie wiem, kim jestem, dlaczego i w ogóle, i po prostu... - Łza spłynęła po jej policzku i to też było bardzo niepokojące. - To tak jakby wyciął ze mnie wszystko, co ważne - wyznała - i nie wiem, czy kiedykolwiek to odzyskam. - Znów spojrzała w okno. - Cały czas chce mi się płakać, a to nie w moim stylu. Ja nie płaczę, wiesz o tym, Dex. Nie płaczę - powtórzyła cicho i następna łza spłynęła w ślad za poprzednią.

- Już dobrze - powtórzył Chutsky, choć była to oczywista nieprawda.

- Wszystko, w co wierzyłam, teraz wydaje się błędem - ciągnęła. - I jeśli tak już zostanie, nie wiem, czy będę mogła nadal być gliną.

- Poczujesz się lepiej - pocieszał Chutsky. - Trzeba tylko czasu.

- Dorwijcie go - rzuciła i spojrzała na mnie z odrobiną swojego starego dobrego gniewu. - Dorwij go, Dexter - powiedziała. - I zrób, co konieczne. - Chwilę patrzyła mi w oczy, po czym znów odwróciła się do okna. - Tata miał rację - stwierdziła.

I w taki sposób następnego ranka znalazłem się w małym budynku przy pasie startowym lotniska w Miami, ubrany w coś, co nazwać mogę tylko garniturem sportowym; zielonym, z jasnożółtym paskiem do spodni i butami, i ścisnąłem w rękę paszport na nazwisko David Marcey. Razem ze mną był drugi wicedyrektor Międzynarodowego Zboru Braci Baptystów, wielbny Campbell Freeney, w równie okropnym stroju i z szerokim uśmiechem, który zmieniał kształt jego twarzy i nawet jakby maskował część blizn.

Nie przywiązuję wielkiej wagi do ubrań, ale uważam, że są pewne granice przyzwoitości, a nasze stroje brutalnie je przekraczały i wręcz na nie pluły. Oczywiście, protestowałem, ale wielbny Kyle wyjaśnił mi, że nie mamy wyboru.

- Trzeba wyglądać odpowiednio do roli - powiedział i przesunął ręką po swojej czerwonej sportowej marynarce. - To stroje misjonarzy baptystów.

- Nie moglibyśmy być prezbiterianami? - spytałem z nadzieją, ale pokręcił głową.

- Takie mam wytyczne - rzekł - i tak to rozegramy. Chyba że mówisz po węgiersku?

- Eva Gabor? - spróbowałem, ale pokręcił głową.

- Tylko nie gadaj na okrągło o Jezusie, oni tak nie robią - poinstruował - dużo się uśmiechaj, bądź dla wszystkich miły, a będzie dobrze. - Podał mi następną kartkę. - Masz. To list z Departamentu Skarbu zezwalający ci na wyjazd na Kubę w celu prowadzenia działalności misjonarskiej. Nie zgub go.

Przez kilka krótkich godzin, które dzieliły jego decyzję, że zabierze mnie do Hawany, od naszego przyjazdu na lotnisko o świcie, zasypał mnie także masą innych informacji. Pamiętał nawet, żeby mnie uprzedzić, bym nie pił wody, co wydało mi się zgoła urzekające.

Czasu było tak mało, że ledwo zdążyłem powiedzieć Ricie coś, co zabrzmiało niemal wiarygodnie - że wypadła mi nagle pilna sprawa

i żeby się nie martwiła, mundurowy będzie czuwał pod drzwiami dotąd, aż wrócę. I choć była na tyle bystra, by zdziwić się, cóż pilnego mogło wypaść specowi od medycyny sądowej, dała się przekonać, podniesiona na duchu widokiem radiowozu zaparkowanego przed domem. Chutsky też zrobił swoje – poklepał Ritę po ramieniu i powiedział:

- Zostaw to nam, możesz na nas polegać.

Oczywiście, to wprawiło ją w jeszcze większe zdumienie, jako że nie prosiła o żadne badania śladów krwi, a nawet gdyby, nie prowadziłby ich Chutsky. Jednak ogólnie rzecz biorąc, dało jej to poczucie, że robimy niezmiernie ważne rzeczy mające zapewnić jej bezpieczeństwo i wkrótce wszystko będzie w porządku, więc uściskała mnie przy minimalnej ilości łez i Chutsky zaprowadził mnie do samochodu.

A teraz staliśmy razem w małym budynku na lotnisku i czekaliśmy na samolot do Hawany. Wkrótce wyszliśmy na pas startowy z fałszywymi papierami oraz prawdziwymi biletami w rękach i inkasując kuksańce łokciami od reszty pasażerów, raz dwa wsiedliśmy do samolotu.

Był to stary pasażerski odrzutowiec. Fotele były wytarte i nie tak czyste, jak powinny być. Chutsky – to znaczy, wielebny Freeney – usiadł od strony przejścia, ale swoim potężnym cielskiem i tak przygniół mnie do okna. Wyglądało na to, że będzie ciasno do samej Hawany, tak ciasno, że dopóki on nie pójdzie do ubikacji, ja sobie nie pooddycham. Ale czego się nie robi, żeby zanieść Słowo Boże bezbożnym komunistom. I po zaledwie kilku minutach wstrzymywania tchu poczułem, że samolot zadrżał, pomknął naprzód po pasie startowym i wzbił się w powietrze. Ruszyliśmy.

Lot nie był tak długi, by brak tlenu za bardzo dał mi się we znaki, zwłaszcza że Chutsky prawie cały czas siedział przechylony w stronę przejścia i rozmawiał ze stewardesą; raptem jakieś pół godziny później nadlecieliśmy nad zieloną Kubę i łupnęliśmy w pas startowy, najwyraźniej wylany asfaltem przez tego samego wykonawcę, z którego usług korzystało lotnisko w Miami. Tak czy owak, z tego, co mogłem stwierdzić, koła nie odpadły i podjechaliśmy do pięknego, nowoczesnego terminalu – i minęliśmy go, by zatrzymać się dużo dalej, przy posępnej starej budowli, która wyglądała jak dworzec autobusowy, z którego dowozi się więźniów do obozu pracy.

Karnie wymaszerowaliśmy z samolotu i przeszliśmy po asfalcie do przysadzistego szarego budynku. Wnętrze było niewiele bardziej gościnne. Stali tam nasrożeni wąsacze w mundurach, którzy kurczowo ściskali pistolety automatyczne i łypali na wszystkich spode łba. Osobliwie z nimi kontrastując, pod sufitem wisiało kilka telewizorów, w których nadawano, zdaje się, kubański sitcom z nagrany histerycznym śmiechem, przy którym jego amerykański odpowiednik to doprawdy zaledwie ziewanie. Co kilka minut taki czy inny aktor wykrzykiwał coś, czego nie mogłem rozszyfrować, i na śmiech nakładała się rycząca muzyka.

Stanęliśmy w kolejce, która powoli przesuwiała się w stronę budki. Nie widziałem, co jest dalej, i nie miałem pojęcia, czy aby nie sortują nas przed wywózką wagonami bydlęcymi do gułagu, ale Chutsky nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego, więc i mnie nie wypadało narzekać.

Kolejka centymetr po centymetrze posuwała się naprzód i wkrótce, nie uprzedziwszy mnie ani słowem, Chutsky podszedł do okienka i wsunął paszport w szparę u dołu. Nie widziałem ani nie słyszałem, co się dzieje, ale obyło się bez wściekłych wrzasków i strzałów, i po chwili zabrał swoje papiery, zniknął za budką i przyszła kolej na mnie.

Za grubą szybą siedział facet, który mógłby być bliźniakiem najbliższego stojącego żołnierza z automatem. Bez słowa wziął ode mnie paszport, otworzył go, zerknął do środka, spojrzął na mnie, po czym mi go oddał. Nie powiedział nic. Spodziewałem się czegoś w rodzaju przesłuchania – pewnie myślałem, że zerwie się na nogi i rzuci na mnie gromy za to, że jestem tchórzliwym kapitalistycznym psem albo papierowym tygrysem – i tak byłem zaskoczony jego zupełnym brakiem reakcji, że stałem jak słup dotąd, aż dał mi głową znak, że mogę odejść, co skwapliwie uczyniłem. Skręciłem za róg, za którym zniknął Chutsky, i znalazłem się w punkcie odbioru bagażu.

- Hej, stary - zagadnął Chutsky, kiedy poszedłem w miejsce, gdzie czaił się przy nieruchomym taśmociągu, na którym, miałem taką nadzieję, niedługo wyjadą nasze torby. - Chyba się nie bałeś, co?

- Myślałem, że będzie trochę trudniej - stwierdziłem. - To znaczy, nie gniewają się na nas czy coś?

Chutsky się roześmiał.

- Niedługo się przekonasz, że ciebie lubią - powiedział. - Nie znoszą tylko twojego rządu.

Pokręciłem głową.

- Naprawdę potrafią ot tak oddzielić jedno od drugiego?

- Jasne - odparł. - To prosta kubańska logika.

I choć wydawało się to zupełnie bez sensu, jako rodowity mieszkaniec Miami, doskonale wiedziałem, co to znaczy; Kubańska Logika była przedmiotem nieustających żartów w kubańskiej społeczności. Najlepsze wyjaśnienie tego terminu, jakie słyszałem, przedstawił pewien profesor na uczelni. To było na zajęciach z poezji, na które zapisałem się w próżnej nadziei, że nauczę się zagłębiać w głąb ludzkiej duszy, skoro sam jej nie mam. Profesor, o którym mowa, czytał na głos Walta Whitmana - ten urywek pamiętam do dziś, bo tak doskonale podsumowuje ludzką naturę. „Sam sobie zaprzeczam? No cóż, więc sam sobie zaprzeczam - jestem wielki, składałem się z mnogości” ¹. I po tych słowach podniósł wzrok i powiedział: „Czysta kubańska logika”, zaczekał, aż śmiech ucichnie, i kontynuował czytanie wiersza.

Dlatego jeśli Kubańczycy nie przepadali za Ameryką, a za Amerykanami owszem, wymagało to od nich nie większej ekwilibrystyki umysłowej niż ta, z jaką spotykałem się niemal co dzień. W każdym razie coś zagrzechotało, zabrzączał głośny dzwonek i na taśmociągu wyjechał nasz bagaż. Nie mieliśmy go dużo, po jednej małej torbie na głowę, skarpetki na zmianę i tuzin Biblii - i niosąc torby, minęliśmy celniczkę, która wydawała się bardziej zainteresowana rozmową ze stojącym obok strażnikiem niż przyłapaniem nas na szmuglowaniu broni czy portfeli akcji. Zerknęła tylko na torby i machnęła ręką na znak, że możemy przejść, ani na chwilę nie przerywając monologu wyrzucanego z prędkością karabinu maszynowego. No i ani się obejrzeliśmy, a już byliśmy wolni i wychodziliśmy przez drzwi na słońce. Chutsky zagwizdał na taksówkę, szarego mercedesa, i wysiadł z niego mężczyzna w szarej liberii, który wziął od nas bagaż. Chutsky powiedział do niego: „Hotel Nacional”, kierowca wrzucił nasze torby do bagażnika i wszyscy wsiedliśmy do wozu.

Autostrada do Hawany była strasznie wyboista, za to prawie zupełnie pusta. Zauważyliśmy tylko kilka innych taksówek, parę motocykli, wlokące się ciężarówki wojskowe i nic więcej – przez całą drogę do miasta. A potem ulice nagle eksplodowały życiem, zaroilo się na nich od starych samochodów, rowerów, tłumów wylewających się z chodników na jezdnię i bardzo dziwnie wyglądających autobusów ciągniętych przez ciężarówki z silnikiem Diesla. Dwa razy dłuższe od typowego amerykańskiego autobusu, kształtem przypominały literę „M” – z końcami wzniesionymi jak skrzydła i płaskim, niskim środkiem. Tak były zatłoczone, że wydawało się, że do środka nie da się szpilki wetknąć, ale na moich oczach jeden z nich przystanął i, jakżeby inaczej, wcisnęła się do niego następna grupa ludzi.

- Wielbłądy – rzucił Chutsky i spojrzałem na niego z zaciekawieniem.
- Słucham?

Skinął głową na jeden z dziwnych autobusów.

- Tak na nie mówią – wyjaśnił. – Tłumaczą, że to przez ich kształt, ale moim zdaniem chodzi raczej o zapach w środku w godzinach szczytu. – Pokręcił głową. – Zabierają po czterysta ludzi wracających z pracy, a nie mają klimy ani otwieranych okien. Niewiarygodne.

Była to fascynująca ciekawostka, a przynajmniej Chutsky musiał tak uważać, skoro nie miał do zaoferowania żadnych głębszych spostrzeżeń, mimo że jechaliśmy przez miasto, które widziałem pierwszy raz w życiu. Jednak na tym jego chęci, by robić za przewodnika turystycznego, najwyraźniej się wyczerpały, i prześliznęliśmy się między samochodami na szeroki bulwar biegnący wzdłuż linii brzegu. Na wysokim urwisku po drugiej stronie przystani widziałem starą latarnię morską i mury obronne, a za nimi w niebo pięła się czarna smużka dymu. Między nami a wodą były szeroki chodnik i falochron. Rozbijające się o niego fale wzbijały w powietrze mgiełkę małych kropel, ale nikt nie miał nic przeciwko temu, żeby dać się trochę ochlapać. Przy falochronie zebrały się tłumy ludzi w różnym wieku, którzy siedzieli, stali, spacerowali, łowili ryby, leżeli i się całowali. Minęliśmy dziwną powykrzywianą rzeźbę, chwilę podskakiwaliśmy na wybojach i skręciliśmy w lewo, gdzie droga wiodła na szczyt małego wzgórza. A tam naszym oczom ukazał się hotel Nacional z fasadą, której głównym elementem wystroju wkrótce miała

być złośliwie uśmiechnięta twarz Dextera. No chyba że najpierw znajdziemy Weissa.

Kierowca zatrzymał wóz przed okazałymi marmurowymi schodami i wyszedł odzwierny w stroju włoskiego admirała. Zaklaskał w dłonie i boy w uniformie przybiegł po nasze bagaże.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Chutsky, w sumie niepotrzebnie. Admirał otworzył drzwi i Chutsky wysiadł. Mnie, jako że siedziałem po drugiej stronie, pozwolono otworzyć drzwi samodzielnie. Tak uczyniłem i wysiadłem prosto w gąszcz usłużnych uśmiechów. Chutsky zapłacił kierowcy i poszliśmy za boyem schodami do hotelu.

Hol wyglądał jak wyciosany z tego samego bloku marmuru co schody. Był dość wąski, ale za to tak długi, że jego drugi koniec ginał gdzieś w mglistej oddali za recepcją. Poszliśmy za boyem do recepcji, obok pluszowych foteli i aksamitnego sznura, i recepcjonista wyraźnie ucieszył się na nasz widok.

- Señor Freeney - uśmiechnął się i skłonił głowę. - Jak miło znów pana widzieć. - Uniósł brew. - Chyba nie przyjechał pan na Festiwal Sztuki? - Mówił z akcentem nie gorszym niż ten, który słyszałem w Miami.

Chutsky, też wyraźnie zadowolony ze spotkania, wyciągnął rękę nad kontuarem i uściśnął dłoń recepcjonisty.

- Jak się masz, Rogelio? Też się cieszę, że cię widzę. Przyjechałem pokazać nowemu, co i jak. - Położył dłoń na moim ramieniu i popchnął mnie do przodu, jak nadąsanego chłopca, któremu każą pocałować babunię w policzek. - To David Marcey, jedna z naszych wschodzących gwiazd - rzekł. - Wygłasza piekielnie dobre kazania.

Rogelio podał mi rękę.

- Bardzo mi miło pana poznać, señor Marcey.

- Dziękuję. Macie tu piękny hotel.

Znów lekko się skłonił i zaczął stukać w klawiaturę komputera.

- Mam nadzieję, że będą panowie zadowoleni z pobytu - powiedział. - Jeśli señor Freeney nie ma nic przeciwko, ulokuję panów na piętrze reprezentacyjnym. Stamtąd jest bliżej na śniadanie.

- Jak miło - rzuciłem.

- Jeden pokój czy dwa? - spytał.

- Tym razem jeden, Rogelio - odrzekł Chutsky. - Limit wydatków, rozumiesz.

- Oczywiście - stwierdził Rogelio. Szybko stuknął jeszcze w kilka klawiszy, po czym zamaszystym gestem przesunął po blacie dwa klucze. - Proszę.

Chutsky położył dłoń na kluczach i nachylił się ku niemu.

- Jeszcze jedno, Rogelio - odezwał się zniżonym głosem. - Z Kanady przyjeżdża nasz znajomy. Nazywa się Brandon Weiss. - Przysunął klucze do siebie i w miejscu, gdzie leżały, pojawił się banknot dwudziestodolarowy. - Chcielibyśmy zrobić mu niespodziankę - dodał. - Dziś jego urodziny.

Rogelio poruszył ręką i banknot zniknął jak mucha w paszczy jaszczurki.

- Oczywiście - zapewnił. - Dam panom znać, jak tylko się zjawi.

- Dzięki, Rogelio. - Chutsky odwrócił się i przywołał mnie gestem. Poszedłem za nim i boyem taszczącym nasze bagaże na drugi koniec holu, do szeregu wind gotowych zawieźć nas na piętro reprezentacyjne. Czekala tam grupa ludzi w bardzo ładnych urlopowych ubraniach i może był to tylko wytwór mojej rozgorączkowanej wyobraźni, ale wydawało mi się, że patrzą z przerażeniem na nasze misjonarskie stroje. Cóż, nie pozostawało nic innego, jak tylko trzymać się scenariusza, więc uśmiechnąłem się do nich i ugryzłem się w język, żeby nie wyskoczyć z jakimś religijnym cytatem, najchętniej z Apokalipsy.

Drzwi rozsunęły się i tłum zapakował się do windy. Boy zachęcił z uśmiechem:

- Proszę jechać, panowie, będę za dwie minuty. - I przewielebny Freeney i ja wsiedliśmy.

Drzwi się zamknęły. Wychwyciłem jeszcze kilka zaniepokojonych spojrzeń na moje buty, ale nikt nie miał nic do powiedzenia i ja też nie. Zastanawiałem się za to, dlaczego ja i Chutsky musimy mieszkać w jednym pokoju. Nie miałem współlokatora od czasów studenckich, a i wtedy nie najlepiej się to ułożyło. No i doskonale wiedziałem, że Chutsky chrapie.

Drzwi rozsunęły się i wyszliśmy. Ruszyłem za Chutskym w lewo, do następnej recepcji, w której przy szklanym wózku stał kelner.

Uklonił się i podał każdemu z nas wysoką szklanę.

- Co to? - spytałem.

- Kubańska gatorade - wyjaśnił Chutsky. - Zdrówko. - Wypił do dna i odstawił pustą szklanę na wózek, więc nie chcąc być gorszy, zrobiłem to samo. Napój miał łagodny, słodki, lekko miętowy smak i stwierdziłem, że rzeczywiście był dość orzeźwiający, jak gatorade w upalny dzień. Postawiłem szklanę obok szklanki Chutsky'ego. On wziął następną, więc poszedłem za jego przykładem. - *Salud* - wzniósł toast. Stuknęliśmy się i wziąłem łyk. To było naprawdę smaczne i delectowałem się bez skrępowania, zwłaszcza że w całym zamieszaniu związanym z wyjazdem nie zdążyłem praktycznie nic zjeść ani wypić.

Drzwi windy rozsunęły się za naszymi plecami i wypadł boy, z naszymi torbami w rękach.

- O, jesteś - powiedział Chutsky. - Obejrzyjmy pokój. - Wypił do dna, ja też, i ruszyliśmy za boyem w głąb korytarza.

Gdzieś w połowie drogi poczułem się trochę dziwnie, jakby moje nogi nagle zmieniły się w dwa kloce z drewna balsy.

- Co było w tej gatorade? - spytałem Chutsky'ego.

- Głównie rum - odparł. - Co, nigdy nie piłeś mojito?

- Nie sędzę.

Stęknął cicho; możliwe, że miał to być śmiech.

- Przyzwyczajaj się - stwierdził. - Jesteś w Hawanie.

Poszedłem za nim w głąb korytarza, który nagle jakby się wydłużył i nieco rozjaśnił. Teraz już byłem orzeźwiony że hej. Jakoś jednak dotarłem do pokoju i wszedłem do środka. Boy dźwignął nasze walizki na stojak i rozsunął zasłony, ukazując ładny, gustownie umeblowany pokój w klasycznym stylu. Były w nim dwa łóżka, rozdzielone nocnym stolikiem, i łazienka na lewo od drzwi wejściowych.

- Wygląda świetnie - powiedział Chutsky, a boy uśmiechnął się i lekko skłonił głowę. - Dzięki - dorzucił Chutsky i wyciągnął do niego rękę, w której trzymał banknot dziesięciodolarowy. - Wielkie dzięki.

Boy wziął pieniądze z uśmiechem i ukłonem, zapewnił, że jak tylko go wezwiemy, poruszy niebo i ziemię, żeby spełnić każdą naszą zachciankę, i zniknął za drzwiami, a ja rzuciłem się twarzą na łóżko przy oknie. Wybrałem je, bo stało bliżej, ale strasznie raziło mnie słońce wdzierające się brutalnie przez szyby, więc zamknąłem

oczy. Pokój nie zaczął wirować ani nie urwał mi się film, ale uznałem, że dobrze będzie jakiś czas poleżeć sobie z zamkniętymi oczami.

- Dziesięć dolców - mruknął Chutsky. - Większość Kubańczyków zarabia tyle w miesiąc. A temu proszę, pięć minut wystarczyło. Pewnie ma doktorat z astrofizyki. - Nastąpiła krótka i mile widziana pauza, po czym Chutsky spytał głosem, teraz jakby dużo bardziej odległym niż poprzednio: - Hej, stary, dobrze się czujesz?

- Jak nigdy - powiedziałem i mój głos też zdawał się dochodzić z daleka. - Ale chyba chwilę się zdrzemnę.

1 Walt Whitman *Pieśń o sobie*.

Obudziłem się w ciemnym, cichym pokoju i strasznie mnie suszyło. Wymacałem lampkę na stoliku nocnym i zapaliłem ją. W jej świetle zobaczyłem, że Chutsky zaciągnął zasłony i gdzieś poszedł. Zauważyłem też, że obok lampki stoi butelka wody, więc pochwyciłem ją, zerwałem korek i z ulgą wypilem za jednym zamachem pół butelki.

Wstałem. Byłem trochę zeszytywniały od spania z twarzą w poduszce, ale poza tym czułem się zaskakująco dobrze, no i zgłodniałem, co już zaskakujące nie było. Podszedłem do okna i rozsunąłem zasłony. Słońce wciąż jasno świeciło, ale przesunęło się w bok i trochę uspokoiło, więc wyrzałem na przystań, falochron i biegnący wzdłuż niego długi, rojny chodnik. Nikomu się nie spieszyło; ludzie raczej przechadzali się, niż dokądś szli, tu i ówdzie zbierali się w grupach, żeby pogadać, pośpiewać i, z tego, co mogłem stwierdzić na podstawie zauważalnych gestów, udzielać sobie porad sercowych.

W głębi, na falującej powierzchni wody w przystani kołysała się dętka, przez którą przewieszony był facet trzymający w ręku coś, co wyglądało jak kubańskie jo-jo, czyli zwój żyłki bez kołowrotka ani kija. A jeszcze dalej, na linii horyzontu, płynęły trzy duże okręty, frachtowce albo liniowce. Nad falami kołowały ptaki, słońce skrzyło się w wodzie; przepiękny widok, który uświadomił mi, że przy oknie nie znajdę nic do jedzenia, więc odszukałem na stoliku nocnym swój klucz i zszedłem na dół, do holu głównego.

Za windami, w przeciwnym kierunku niż recepcja, znalazłem ogromną i elegancką salę jadalną, w której kącie przycupnął kontuar, wyłożony ciemnym drewnem. Jedno i drugie wyglądało bardzo ładnie, ale raczej nie tego szukałem. Barman wytłumaczył mi nienaganną angielszczyzną, że w piwnicy, u podnóża schodów na drugim końcu holu, jest bar szybkiej obsługi, a ja podziękowałem mu, też nienaganną angielszczyzną, i ruszyłem w stronę schodów.

Wystrój baru był hołdem dla kina i miałem chwilę zwątpienia do czasu, kiedy zobaczyłem kartę dań i zorientowałem się,

że nie serwują tylko popcornu. Zamówiłem kubańską kanapkę – jakżeby inaczej – i piwo Iron, i usiadłem przy stoliku, by snuć gorzkie rozważania o występach przed kamerą. Weiss był gdzieś niedaleko albo niebawem będzie i obiecał uczynić Dextera wielką gwiazdą. Nie chciałem być gwiazdą. Zdecydowanie wolałem robić swoje w cieniu, bez rozgłosu i dyskretnie odnosić kolejne sukcesy na moim poletku. To jednak wkrótce stanie się zupełnie niemożliwe, chyba że zdołam powstrzymać Weissa, a ponieważ nie miałem pomysłu, jak to zrobić, przyszłość nie wyglądała różowo. Ale kanapka była dobra.

Skończywszy jeść, wróciłem na górę, do holu, a stamtąd, pod wpływem impulsu, zszedłem wielkimi marmurowymi schodami przed hotel, gdzie czuwały taksówki. Bez celu ruszyłem długim chodnikiem obok nich, mijając stare chevy i buicki, a nawet jednego hudsona – nazwę musiałem odczytać z maski. O samochody opierało się kilku bardzo zadowolonych osobników, którzy koniecznie chcieli mnie zabrać na przejażdżkę, ale podziękowałem im uśmiechem i skierowałem się do odległej bramy wjazdowej. Za taksówkami, poustawiane byle jak, stały niby-wózki golfowe z plastikowymi, zaokrąglonymi karoseriami w jaskrawych kolorach. Ich kierowcy byli młodszy i nie tak eleganccy jak ci obok hudsona, ale równie skorzy do tego, żeby oszczędzić mi konieczności chodzenia pieszo. Jednak zdołałem się przedrzeć i przez tę grupkę.

Przy bramie zatrzymałem się i spojrzałem wkoło. Przedemną była kręta ulica biegnąca obok baru albo klubu nocnego. Droga po prawej schodziła w dół, do bulwaru wzdłuż falochronu, a po mojej lewej, też w dół, widziałem coś, co wyglądało jak kino na rogu i rząd sklepów. Kiedy patrzyłem na to wszystko i zastanawiałem się, dokąd się wybrać, podjechała do mnie taksówka. Szyba opuściła się i usłyszałem nagłą głoś Chutsky'ego:

- Wsiadaj. Szybko, stary. Do taksówki. No już. - Nie miałem pojęcia, skąd ten pośpiech, ale wsiadłem, a taksówka podwiozła nas do hotelu i przed wejściem skręciła w prawo, na parking przy bocznym skrzydle budynku. - Nie możesz się szwendać przed hotelem - powiedział Chutsky. - Jeśli tamten cię zobaczy, to po herbacie.

- Aha - odparłem i zrobiło mi się trochę głupio. Oczywiście, miał rację; ale Dexter był tak nienawykły do polowań za dnia, że nawet nie przyszło mi to do głowy.

- Chodź - rzucił i wysiadł z taksówki. W ręku miał nową skórzaną teczkę. Zapłacił za kurs i ruszyłem za nim do bocznych drzwi hotelu, za którymi było kilka sklepów i, kawałek dalej, windy. Od razu wjechaliliśmy na górę i nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia aż do chwili, kiedy weszliśmy do pokoju. Wtedy Chutsky rzucił teczkę na łóżko i zwałił się na krzesło. - No dobra, mamy do zabicia trochę czasu i najlepiej będzie to zrobić tu, w pokoju - powiedział. Spojrzał na mnie jak na mało pojętne dziecko i dodał: - Żeby tamten nie wiedział, że tu jesteśmy. - Przyglądał mi się przez chwilę, żeby sprawdzić, czy go rozumiem, a kiedy widać uznał, że tak, wyjął wymiętą książeczkę oraz ołówek i zaczął rozwiązywać sudoku.

- Co jest w tej teczce? - zagadnąłem, głównie dlatego, że byłem lekko poirytowany.

Chutsky uśmiechnął się, przysunął ją stalowym hakiem do siebie i otworzył. Była pełna tanich pamiątkowych instrumentów perkusyjnych, większość ze stemplem „Cuba”.

- Po co to? - dociekałem.

Nie przestawał się uśmiechać.

- Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy - powiedział i wrócił do swojej bez wątpienia fascynującej łamigłówki sudoku. Pozostawiony sam sobie, przysunąłem drugie krzesło do telewizora, włączyłem go i zająłem się oglądaniem kubańskich sitcomów.

Siedzieliśmy tak aż do zmierzchu. Wtedy Chutsky zerknął na zegar i rzekł:

- Dobra, stary, idziemy.

- Dokąd? - spytałem.

Mrugnął do mnie.

- Spotkać się ze znajomym - uciął i nie chciał zdradzić nic więcej. Wziął swoją nową teczkę i wyszedł. I choć byłem nieco oburzony tym, że się na mnie mruga, tak naprawdę nie miałem wyboru i potulnie ruszyłem za nim do bocznych drzwi hotelu, za którymi czekała taksówka.

O zmroku ulice Hawany stały się jeszcze ruchliwsze. Opuściłem szybę, żeby widzieć, słyszeć i czuć miasto, i w nagrodę runęła na mnie kaskada dźwięków stale zmieniającej się, niemilknącej muzyki, która płynęła chyba ze wszystkich mijanych drzwi i okien, a także

z instrumentów licznych grajków koncertujących na ulicach. Pieśń to się wzmagala, to cichla, ulegała ciągłym mutacjom, ale koniec końców zawsze powracała do refrenu *Guantanamery*.

Taksówka wlokła się z wysiłkiem po nierównych, brukowanych ulicach, wśród tłumów ludzi, którzy śpiewali, handlowali, a nawet, o dziwo, grali w bejsbol. Bardzo szybko straciłem orientację w terenie i kiedy wóz zatrzymał się przed grodzącą drogę barierą z dużych żelaznych kul, nie miałem pojęcia, z której strony tam nadjechaliśmy. Ruszyłem więc za Chutskym boczną ulicą, potem przez plac, aż trafiliśmy na skrzyżowanie przed budynkiem, który wyglądał jak hotel, jaskrawopomarańczoworóżowy w zachodzącym słońcu. Weszliśmy do środka. Minęliśmy bar z pianinem i stoliki zasłane portretami Ernesta Hemingwaya, które wyglądały jak namalowane przez dzieci ze szkoły podstawowej.

Za nimi, na końcu holu, była stara winda. Chutsky wcisnął dzwonek. Kiedy czekaliśmy, rozejrzałem się wokół. Z jednej strony stał rząd regałów z jakimś towarem i poszedłem obejrzeć je. Były to popielniczki, kubki i inne przedmioty, wszystko z wizerunkiem Ernesta Hemingwaya, tym razem autorstwa kogoś, kto władał pędzlem nieco wprawniej od artystów z podstawówki.

Przyjechała winda, więc poszedłem wsiąść. Potężna szara żelazna krata odsunęła się, ukazując wnętrze, a w nim zasiadającego u sterów ponurego starca. Wcisnęliśmy się do środka razem z kilkoma innymi osobami, po czym operator zasunął kratę i przerzucił dźwignię do góry. Windą szarpnęło i powoli ruszyliśmy. Na czwartym piętrze windziarz pociągnął za dźwignię i zatrzymaliśmy się gwałtownie.

- Pokój Hemingwaya - oznajmił. Otworzył kratę i wszyscy oprócz nas wyprysnęli z windy. Zerknąłem na Chutsky'ego, ale pokręcił głową i wskazał palcem w górę, więc stałem i czekałem, aż w końcu krata znów się zasunęła i telepało nami jeszcze dwa piętra, zanim stara winda niepewnie znieruchomiała. Wypuszczeni przez windziarza weszliśmy z ulgą do małego pomieszczenia - były tam właściwie tylko dach nad windą i szczyt schodów. Usłyszałem grającą gdzieś w pobliżu muzykę i Chutsky machnięciem ręki wskazał mi drogę na dach, w jej kierunku.

Przy dźwiękach piosenki o *Ojos Verdes* ominęliśmy treliąz i poszliśmy w miejsce, gdzie ulokowali się muzykanci, trzech faceci

w białych spodniach i guayaberach. Pod ścianą za ich plecami był bar, a po obu stronach rozciągała się Hawana, zalana pomarańczową luną zachodzącego słońca.

Chutsky zaprowadził mnie do niskiego stolika otoczonego wygodnymi fotelami i kiedy siadaliśmy, wsunął teczkę pod blat.

- Ładne widoki, co? - zagaił.

- Bardzo - przyznałem. - To dla nich tu przyszliśmy?

- Nie - odpowiedział. - Przecież mówiłem, mamy spotkanie ze znajomym.

I czy żartowałem, czy nie, najwyraźniej nie zamierzał powiedzieć na ten temat nic więcej. Tak czy owak, w tej chwili przyszedł kelner.

- Dwa mojito - zamówił Chutsky.

- Wiesz co, chyba zostanę przy piwie - wtrąciłem na wspomnienie mojej wcześniejszej drzemki po mojito.

Chutsky wzruszył ramionami.

- Jak sobie chcesz - powiedział. - Spróbuj crystala, jest niezły.

Skinąłem kelnerowi głowę; akurat w kwestii piwa na Chutskym mogłem polegać. Kelner skłonił się lekko i poszedł po nasze drinki, podczas gdy trio zaczęło grać *Guantanamerę*.

Ledwie napiliśmy się po łyku, do naszego stolika podszedł jakiś mężczyzna. Był bardzo niski, ubrany w luźne brązowe spodnie i żółtozieloną guayaberę i miał w dłoni teczkę bardzo podobną do tej Chutsky'ego.

Chutsky poderwał się i wyciągnął rękę.

- Ii-bang! - ryknął i dopiero po chwili zrozumiałem, że nie dostał ataku zespołu Tourette'a, tylko wymówił z kubańskim akcentem imię nowo przybyłego „Iwan”. Ii-bang podał Chutsky'emu rękę i się wyściskali.

- Kam-bejl! - wykrzyknął Ii-bang i znów przeżyłem moment wątpliwości, tym razem dlatego, że wyleciało mi z głowy, że Chutsky to wielbny Campbell Freney. Zanim wszystkie trybiki zaskoczyły, Iwan spojrzał na mnie z uniesioną brwią.

- Aha - powiedział Chutsky - to David Marcey. David, to Iwan Echeverria.

- *Mucho gusto* - rzucił Iwan i uściskał moją dłoń.

- Miło mi cię poznać - zwróciłem się do niego po angielsku, bo nie byłem pewien, czy „David” zna hiszpański.

- No, siadaj - powiedział Chutsky i machnął ręką na kelnera. Ten przypadł do naszego stolika i przyjął od Iwana zamówienie na mojito, a kiedy je przyniósł, Chutsky i Iwan zaczęli saczyć drinki i rozmawiać wesoło po hiszpańsku z kubańskim akcentem, szybko przerzucając się słowami. Pewnie nadażyłbym za nimi, gdybym się sprężył, ale uznałem, że wspominki dwóch starych kumpli nie są warte zachodu - i, prawdę mówiąc, wyłączyłbym się, nawet gdyby rozprawiali o czymś dużo ciekawszym niż Co Się Wtedy Wydarzyło; bo tej nocy była pełnia i znad krawędzi dachu wyłaniał się ogromny, czerwonożółty księżyc, opasy, kokieteryjnie uśmiechnięty, spragniony krwi księżyc, i na jego widok od stóp do głów pokryła mnie gęsia skórka, wszystkie włoski na plecach i rękach stanęły dęba i zawyły, a na korytarze Zamku Dexter wybiegł mały, mroczny kamerdyner niosący wszystkim Rycerzom Nocy rozkaz, by Ruszyli w Bój.

Ale oczywiście nic z tego. To nie była Noc Folgowania Sobie; to była, niestety, Noc Ściągania Cugli. To była noc sączenia szybko nagrzewającego się piwa i udawania, że słucham z przyjemnością występu trio; noc uprzejmych uśmiechów do Ii-banga i myślenia tylko o tym, żeby to się już skończyło i żebym mógł znów w ciszy i spokoju być sobą, radośnie krwiozerczym Dexterem. To była noc, którą trzeba było jakoś przetrzymać i liczyć na to, że już wkrótce nadejdzie dzień, kiedy w jednej ręce będę miał nóż, a w drugiej Weissa.

Tymczasem nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć głęboki oddech oraz łyk piwa i udawać, że zachwycam się cudnym widokiem i doskonałą muzyką. Trenuj ten ujmujący uśmiech, Dexterze. Ile zębów możemy pokazać? Bardzo dobrze; a teraz bez zębów, same wargi. Jak wysoko dasz radę podnieść kąciki ust, zanim zaczniesz wyglądać, jakby trawił cię potworny ból?

- Hej, stary, dobrze się czujesz? - zawołał Chutsky jakieś dwadzieścia minut później. Najwyraźniej moja mina mimowolnie przeszła z Radosnego Uśmiechu w Grymas Cierpienia.

- Tak - powiedziałem. - Tylko, hm... wszystko gra.

- Uhm - stwierdził, wciąż jakby nieprzekonany. - Może lepiej wróćmy do hotelu. - Dopił drinka i wstał, Iwan zrobił to samo. Podali

sobie ręce, po czym Iwan usiadł, Chutsky wziął teczkę i poszliśmy do windy. Obejrzałem się i zobaczyłem, że Iwan zamawia następnego drinka. Spojrzałem na Chutsky'ego z uniesioną brwią.

- Och - mruknął. - Wolimy nie wychodzić razem. Rozumiesz, jednocześnie.

Cóż, zapewne miało to nie mniej sensu niż wyjątkowo inne, co działo się ostatnio - przecież żyliśmy w filmie szpiegowskim - więc jadąc windą, czujnie obserwowałem współpasażerów, żeby sprawdzić, czy nie są agentami jakiegoś złego kartelu. Najwyraźniej nimi nie byli, bo bezpiecznie dotarliśmy na sam dół, a stamtąd na zewnątrz. Za to kiedy szliśmy przez ulicę, żeby poszukać taksówki, natknęliśmy się na czekającą dorożkę zaprzęzoną w konia, coś, co naprawdę powinienem był zauważyć i ominąć szerokim łukiem, bo zwierzęta mnie nie lubią, no i koń stanął dęba, choć był stary, zmęczony i właśnie leniwie przeżuwał paszę, którą miał w worku. Nie wypadło to imponująco - zupełnie nie tak, jak w filmach z Johnem Wayne'em - ale poderwał oba kopyta z ziemi i zarżał na mnie z ogromnym niezadowoleniem, co wystraszyło dorożkarza prawie tak bardzo jak mnie. Czym prędzej ruszyłem dalej i udało nam się wsiąść do taksówki, zanim zdążyło mnie opaść stado nietoperzy czy coś w tym stylu.

W milczeniu pojechaliśmy do hotelu. Chutsky siedział z teczką na kolanach i wyglądał przez szybę, a ja starałem się nie słuchać tego tłustego, ogromnego księżyca. Nie wychodziło mi to jednak najlepiej; był w każdym oglądanym za oknem pocztówkowym widoku, jasny, złośliwie uśmiechnięty, wykrzykujący wspaniałe pomysły i czemu nie mogłem wyjść się z nim pobawić? Nie mogłem i tyle. Mogłem tylko uśmiechnąć się do niego i powiedzieć: „Już niedługo”. Bardzo niedługo.

Jak tylko znajdę Weissa.

Wróciliśmy do pokoju bez incydentów; po drodze zamieniliśmy nie więcej niż kilka słów. Małomówność Chutsky'ego podobała mi się coraz bardziej, bo im mniej gadał, tym mniej musiałem udawać zainteresowanego, a dzięki temu nie przemęczałem mięśni twarzy. A te nieliczne słowa, które padły z jego ust, były tak przyjemne i ujmujące, że prawie gotów byłem go polubić.

- Zostawię to w pokoju - powiedział i pokazał mi teczkę. - Potem pomyślimy, co z kolacją. - Mądre to i mile widziane; skoro nie będę mógł dziś wyjść na cudowne, mroczne światło księżyca, niech w zamian choć zjem kolację.

Wjechaliśmy windą na górę i poszliśmy korytarzem do pokoju. Kiedy byliśmy już w środku, Chutsky ostrożnie położył teczkę na łóżku i usiadł przy niej. Wtedy tknęło mnie, że nie bardzo rozumiem, po co w ogóle zabrał ją do baru na dachu i czemu teraz tak delikatnie się z nią obchodzi. A że ciekawość to jedna z niewielu moich wad, postanowiłem jej ulec i dowiedzieć się, co jest grane.

- Czemu *maracas* są takie ważne? - spytałem go.

Uśmiechnął się.

- Nie są. Ni cholery.

- To po co wozisz je po całej Hawanie?

Przytrzymał teczkę hakiem i otworzył ją dłonią.

- Bo to już nie są *maracas*. - Wsunął rękę do teczki i wyjął bardzo groźnie wyglądający pistolet automatyczny. - Hokus-pokus.

Przypomniało mi się, jak Chutsky taszczył teczkę przez całe miasto na spotkanie z li-bangiem, który przyniósł drugą, identyczną - i że obie wsunęli pod stół, podczas gdy wszyscy razem siedzieliśmy i słuchaliśmy *Guantanamery*.

- Zamieniłeś się z kumplem teczkami - domyśliłem się.

- Otóż to.

Nie jest to najmądrzejsze pytanie, jakie kiedykolwiek zadałem, ale byłem zaskoczony i z moich ust wyszło, co następuje:

- Ale po co ci to?

Chutsky obdarzył mnie tak ciepłym, wyrozumiałym, pobłażliwym uśmiechem, że miałem ochotę wycelować ten pistolet w niego i pociągnąć za spust.

- To jest pistolet, stary - powiedział. - Jak sądzisz, do czego służy?

- Ee, do samoobrony? - strzeliłem.

- Chyba pamiętasz, po co tu przyjechaliśmy?

- Znaleźć Brandona Weissa.

- Znaleźć?! - zirytował się Chutsky. - To sobie wmawiasz? Że jesteśmy tu, żeby go znaleźć? - Pokręcił głową. - Stary, jesteśmy tu, żeby go zabić. Wbij to sobie do głowy. Nie wystarczy, że go znajdziemy, musimy go załatwić. Zabić go. Myślałeś, że co zrobimy? Zawieziemy go do kraju i oddamy do zoo?

- Wydawało mi się, że tu krzywo patrzą na takie rzeczy. To znaczy wiesz, to nie Miami.

- Ani nie Disneyland - odparował, według mnie niepotrzebnie. - Nie jesteśmy na pikniku, stary. Zabijemy drania i im szybciej oswoisz się z tą myślą, tym lepiej.

- Tak, wiem, ale...

- Żadnych ale - postanowił. - Zabijemy go. Widzę, że masz obiekcje.

- Wcale nie.

Najwyraźniej mnie nie usłyszał - albo po prostu już rozpoczął przygotowany uprzednio wykład i nie mógł się powstrzymać.

- Nie możesz wymiękać z powodu odrobiny krwi - ciągnął. - To coś najzupełniej naturalnego. W dzieciństwie wszyscy słyszymy, że zabijanie to zło.

Nie wszyscy, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno.

- Ale zasady ustanawiają ludzie, którzy bez nich nie mieliby szans wygrać. A poza tym, stary, zabijanie nie zawsze jest złem - powiedział i ku mojemu zaskoczeniu mrugnął do mnie. - Czasem jest to coś, co trzeba zrobić. I czasem spotyka to kogoś, kto na to zasługuje. Bo jeśli tego nie zrobisz, to albo zginie dużo innych ludzi, albo ten ktoś dorwie ciebie. A w tym przypadku... jest i tak, i tak, mam rację?

I choć dziwnie było słyszeć tę uproszczoną wersję mojego życiowego credo z ust chłopaka mojej siostry siedzącego na łóżku w pokoju hotelowym w Hawanie, pozwoliło mi to znów docenić Harry'ego za to, że wyprzedził swój czas, no i że potrafił wytłumaczyć to wszystko, nie budząc we mnie uczucia, jakbym oszukiwał w pasjansa. Nadal jednak byłem nieprzekonany do pomysłu, by użyć pistoletu. To wydawało się jakieś niestosowne, jak pranie skarpetek w chrzcielnicy.

Za to Chutsky był wielce zadowolony z siebie.

- Walther, kaliber 9 milimetrów. Bardzo porządna broń. - Skinął głową i wyciągnął z teczki drugi pistolet. - Po jednym dla każdego z nas. Rzucił mi jeden z pistoletów i złapałem go odruchowo. - Dasz radę pociągnąć za spust?

Bez względu na to, co sądzi o mnie Chutsky, wiem, za który koniec trzymać pistolet. W końcu wychowywałem się w domu gliniarza i dzień w dzień pracuję z glinami. Po prostu nie lubię tych cholerstw - są takie bezduszne, brak im prawdziwej elegancji. Ale to, że mi go rzucił, było formą wyzwania, którego, po wszystkim, co stało się do tej pory, nie miałem zamiaru zignorować. Dlatego wyjąłem magazynek, zarepetowałem walthera i przybrałem pozycję strzelecką, tak jak nauczył mnie Harry.

- Niezły - przyznałem. - Chcesz, żebym strzelił w telewizor?

- Zachowaj to dla tego bydlaka - odparł Chutsky. - Jeśli myślisz, że dasz radę.

Rzuciłem pistolet na łóżko obok niego.

- To twój plan? Serio? - spytałem. - Czekamy, aż Weiss zamelduje się w hotelu, a potem bawimy się z nim w Dziki Zachód? W holu głównym czy przy śniadaniu?

Chutsky pokręcił głową ze smutkiem, jakby wszystkie jego wysiłki, by nauczyć mnie wiązać sznurówki, spełżyły na niczym.

- Stary, nie wiemy, kiedy on się zjawi, to raz, i nie wiemy, co zrobi, to dwa. Może nawet wypatrzy nas pierwszy. - Spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami, jakby chciał powiedzieć: „Ha, nie pomyślałeś o tym, co?”

- Czyli co, zastrzelimy go tam, gdzie go znajdziemy?

- Najważniejsze, żeby być przygotowanym na wszystko - powiedział.
- Najlepiej byłoby zabrać go w ustronne miejsce i tam załatwić. Ale jesteśmy przyszykowani na każdą ewentualność. - Poklepał teczkę hakiem. - Iwan przyniósł nam jeszcze parę innych rzeczy, na wszelki wypadek.

- Co, miny przeciwpiechotne? - spytałem. - Może miotacz płomieni?

- Urządzenia elektroniczne - odparł. - Najnowocześniejsze. Do inwigilacji. Możemy go namierzyć, znaleźć, podsłuchiwać... dzięki tym cackom z kilometra usłyszymy, jak pierdnie.

Autentycznie chciałem się wczuć w atmosferę chwili, ale strasznie ciężko było okazać zainteresowanie procesem trawiennym Weissa i miałem nadzieję, że nie ma on kluczowego znaczenia dla planu Chutsky'ego. Tak czy owak, wobec całej tej zabawy w Jamesa Bonda czułem się nieswojo. Może źle to o mnie świadczy, ale zacząłem doceniać, jak szczęśliwy dotąd wiodłem żywot. Doskonale sobie radziłem, mając do dyspozycji tylko kilka lśniących ostrzy i swój głód - obywałem się bez nowoczesnych gadżetów i zagmatwanych planów, no i nie musiałem czaić się w zagranicznych pokojach hotelowych, obarczony niepewnością i bronią palną. Po prostu zarzynałem, radośnie, beztrudnie, dla relaksu. Jasne, mogło się to wydawać prymitywne, a nawet niechlujne - zwłaszcza w porównaniu z całym tymi przygotowaniami, wymagającymi nowoczesnego sprzętu i stalowych nerwów - ale przynajmniej była to uczciwa, zdrowa praca. Nie musiałem, jak teraz, czekać, ziać testosteronem i polerować pocisków. Przez Chutsky'ego moje życiowe powołanie traciło cały swój urok.

Mimo to poprosiłem go o pomoc i teraz byłem na nią skazany. Nie miałem więc innego wyjścia, jak tylko zrobić dobrą minę do złej gry i przejść do rzeczy.

- No to świetnie - rzuciłem z zachęcającym uśmiechem, na który sam nie dałem się nabrać. - Kiedy zaczynamy?

Chutsky prychnął i schował pistolety z powrotem do teczki. Podał mi ją, dyndającą na haku.

- Jak przyjedzie - powiedział. - Na razie schowaj to do szafy.

Wziąłem od niego teczkę i zaniósłem ją do szafy. Już miałem otworzyć drzwi, kiedy nagle usłyszałem w oddali słaby szelest skrzydeł

i zamarłem. Co się dzieje? – spytałem w duchu. Nastąpiło lekkie, niesłyszalne drgnienie, wzmożenie świadomości, ale nic ponadto.

Wyjąłem więc z teczki mój pozał się Boże pistolet i z palcem na cynglu sięgnąłem do gałki w drzwiach szafy. Otworzyłem je – i przez chwilę mogłem tylko wpatrywać się w nieoświetlone wnętrze i czekać, aż w odpowiedzi ciemność osłoni mnie swoimi skrzydłami. To był niewiarygodny, surrealistyczny obraz jak ze snu – ale tak długo mu się przyglądałem, że w końcu musiałem uwierzyć, że jest prawdziwy.

To był Rogelio, znajomek Chutsky'ego z recepcji, który miał nam powiedzieć, kiedy zjawi się Weiss. Wyglądało jednak na to, że powie nam raczej niewiele, chyba że na seansie spirytystycznym. Ponieważ – jeśli wierzyć pozorom – sądząc po mocno zaciśniętym na szyi pasku, wybałuszonych oczach i wywalonym języku, był definitywnie martwy.

– Co jest, stary? – rzucił Chutsky.

– Weiss chyba już się zameldował – stwierdziłem.

Chutsky podźwignął się z łóżka i podszedł do szafy. Chwilę popatrzył i zaklął:

– Cholera. – Włożył rękę do środka i poszukał u Rogelia pulsu, co wydało mi się raczej zbyteczne, ale zapewne określonych procedur trzeba przestrzegać. Oczywiście, pulsu nie wyczuł i wymamrotał: – Cholera jasna. – Nie bardzo rozumiałem, co da powtórzenie tego samego słowa, ale rzecz jasna to on był ekspertem, więc tylko patrzyłem, jak grzebał w kieszeniach Rogelia. – Jego klucz uniwersalny – powiedział. Schował go do swojej kieszeni. Oprócz tego znalazł zwykłe drobiazgi: klucze, chusteczkę, grzebień, trochę pieniędzy. Przez chwilę uważnie oglądał banknoty. – Kanadyjska dwudziestka – zauważył. – Chyba dostał od kogoś napiwek, nie?

– Myślisz, że od Weissa? – upewniłem się.

Wzruszył ramionami.

– Ilu znasz Kanadyjczyków psychopatów?

Dobre pytanie. Jako że sezon Narodowej Ligi Hokeja skończył się kilka miesięcy wcześniej, do głowy przyszedł mi tylko jeden – Weiss.

Chutsky wyciągnął kopertę z kieszeni marynarki Rogelia.

– O, proszę – powiedział. – Pan B. Weiss, pokój 865. – Podał ją mnie.

– Domyślałem się, że to kupony na darmowe drinki. Zajrzyj do środka.

Odchyliłem skrzydełko i wyciągnąłem dwa tekturowe prostokąty. I rzeczywiście: dwa drinki gratis w Cabaret Parisien, słynnym hotelowym kabarecie.

- Skąd wiedziałeś? - spytałem.

Chutsky skończył swoje makabryczne przeszukanie i wyprostował się.

- Dałem ciała - stwierdził. - Powiedziałem Rogeliowi, że Weiss ma urodziny, a on postanowił zatroszczyć się o dobrą markę hotelu i może przy okazji wydebić napiwek. - Uniósł kanadyjski banknot dwudziestodolarowy. - To równowartość miesięcznej pensji - wyjaśnił. - Trudno mu się dziwić. - Wzruszył ramionami. - Czyli ja nawaliłem, a on nie żyje. A my siedzimy po tyłki w gównie.

Choć najwyraźniej nie do końca przemyślał tę metaforę, zrozumiałem jej ogólną wymowę. Weiss wiedział, że tu jesteśmy, my nie mieliśmy pojęcia, gdzie on jest i co knuje, no a do tego w naszej szafie tkwił jakże dla nas kłopotliwy trup.

- No dobrze - powiedziałem i tym razem dla odmiany byłem zadowolony, że mogę zdać się na takiego rutyniarza jak Chutsky; zakładając, rzecz jasna, że miał doświadczenie w dawaniu ciała i znajdowaniu uduszonych trupów we własnej szafie. W każdym razie na pewno znał się na tym lepiej niż ja. - To co robimy?

Chutsky wzruszył ramionami.

- Najpierw trzeba obejrzyć jego pokój. Pewnie już zwiął, ale wyszlibyśmy na durniów, gdybyśmy tego nie sprawdzili. - Wskazał ruchem głowy kopertę w mojej dłoni. - Wiemy, w którym pokoju się zatrzymał, a on niekoniecznie wie, że my to wiemy. A jeśli tam będzie... będziemy musieli, jak to ująłeś, pobawić się z nim w Dziki Zachód.

- A jeśli go nie będzie? - spytałem, bo ja też miałem wrażenie, że Rogelio to pożegnalny prezent i Weiss już galopuje w siną dal.

- Czy go nie będzie - zaczął - czy będzie i go sprzątniemy... tak czy owak, przykro mi, stary, ale to koniec naszych wakacji. - Skinął głową w stronę Rogelia. - Wcześniej czy później go znajdą, a wtedy będzie chryja. Musimy wiać.

- Ale co z Weissem? - nie dawałem za wygraną. - A jeśli już wyjechał?

Chutsky pokręcił głową.

- On też musi uciekać, jeśli mu życie miłe - powiedział. - Wie, że go ścigamy, a kiedy znajdą Rogelia, ktoś sobie przypomni, że widział ich razem... myślę, że już wziął nogi za pas. Ale na wszelki wypadek musimy zajrzeć do jego pokoju. A potem dać dyla z Kuby, *muy rapido*.

Strasznie się bałem, że wyskoczy z jakimś okropnie zawiłym planem pozbycia się zwłok Rogelia, na przykład przez zanurzenie ich w roztworze lasera, więc kamień spadł mi z serca, że wreszcie choć raz powiedział coś do rzeczy. W Hawanie właściwie nie zobaczyłem nic oprócz wnętrza pokoju hotelowego i dna szklanki po mojito, ale było oczywiste, że nadszedł czas, by wrócić do domu i popracować nad Planem B.

- Dobrze - zgodziłem się. - Chodźmy.

Chutsky skinął głową.

- To rozumiem - rzucił. - Weź pistolet.

Zatknałem to zimne, nieporęczne cholerstwo za pas i zasłoniłem okropną zieloną marynarką. Kiedy Chutsky zamknął szafę, poszedłem na korytarz.

- Wywieś kartkę „Nie przeszkadzać” - polecił mi. Doskonały pomysł, który dowodził, że nie myliłem się co do jego doświadczenia. Byłoby niezręcznie, gdyby w tej chwili przyszła pokojówka, żeby umyć wieszaki. Zostawiłem wywieszkę na gałce w drzwiach i poszedłem korytarzem do schodów, a Chutsky za mną.

Czułem się bardzo, bardzo dziwnie, kiedy tropiłem zwierzynę na jasno oświetlonym korytarzu, bez księżyca na wzburzonym niebie ponad moim ramieniem, bez lśniącego oczekiwanej rozkoszą ostrza i bez radosnego syku z mrocznego tylnego siedzenia, na którym Pasażer szykował się do przejęcia kierownicy; nie było nic prócz tupotu nóg Chutsky'ego, tej prawdziwej na przemian z tą metalową, i naszych oddechów. Odszukaliśmy wyjście pożarowe i wdrapaliśmy się po schodach na siódme piętro. Pokój 865, zgodnie z moimi przypuszczeniami, wychodził na fronton hotelu; idealne miejsce dla Weissa na to, by ustawić kamerę. Stanęliśmy w milczeniu przed drzwiami i Chutsky, trzymając pistolet hakiem, niezdarnie wyciągnął klucz uniwersalny Rogelia. Podał mi go, wskazał drzwi ruchem głowy i szepnął:

- Raz. Dwa... Trzy. - Wcisnąłem klucz do zamka, przekręciłem gałkę i cofnąłem się o krok, a Chutsky wpadł do środka z uniesionym pistoletem. Ruszyłem za nim i z zażenowaniem trzymałem broń w pogotowiu.

Oślaniałem Chutsky'ego, a on otworzył kopniakiem drzwi łazienki, potem szafę, aż w końcu odprężył się i zatknął pistolet z powrotem za pas.

- A nie mówiłem? - spytał, wpatrzony w stolik przy oknie. Stał na nim duży kosz owoców, w czym doszukałem się pewnej ironii, zważywszy na to, co Weiss zwykł z nimi robić. Poszedłem obejrzeć go z bliska; na szczęście, w środku nie było ani wnętrzości, ani palców. Tylko owoce mango, papai i tak dalej, a do tego kartka z napisem: „*Feliz Navidad*. Hotel Nacional”. Raczej standardowa wiadomość; nic nadzwyczajnego. Ale przez nią zginął Rogelio.

Zajrzeliśmy do szuflad i pod łóżko, ale nie było tam nic a nic. Nie licząc kosza owoców, pokój był tak pusty, jak przegródka w Dexterze oznakowana słowem „Dusza”.

Weiss zniknął.

O ile sobie przypominam, nigdy jeszcze nie chodziłem ot tak sobie. Jeśli mam być zupełnie szczerzy, nie sędzę, żebym kiedykolwiek się przechadzał, a już chodzenie ot, tak sobie to dla mnie wyższa szkoła jazdy. Idąc gdzieś, zawsze mam jasno wyznaczony cel i choć nie chciałbym się przechwalać, mój krok z reguły jest pewny.

Jednak kiedy wyszliśmy z pustego pokoju Weissa i wsiedliśmy do windy, Chutsky schował pistolety z powrotem do teczki i wytłumaczył mi, jak ważne jest, żebyśmy byli wyluzowani i wyglądali, jakby nigdzie się nam nie spieszyło i w ogóle jakbyśmy nie mieli żadnego zmartwienia. Mówił o tym tak przekonująco, że kiedy znaleźliśmy się w holu głównym hotelu Nacional, zdaje się, że, o dziwo, zacząłem iść ot, tak sobie. Jestem prawie pewien, że to samo próbował robić Chutsky, i miałem nadzieję, że w moim wykonaniu wypadało to bardziej naturalnie - oczywiście, jemu zadanie utrudniała proteza stopy, więc może rzeczywiście robiłem lepsze wrażenie niż on.

Tak czy owak, przeszliśmy ot, tak sobie przez hol główny, uśmiechając się do każdego, komu chciało się na nas zerknąć. Wyszliśmy ot, tak sobie na zewnątrz, zeszliśmy ot tak sobie schodami na dół i ruszyliśmy ot, tak sobie za facetem w mundurze admirała, który stanął przy krawężniku i zawołał pierwszą z czekających taksówek. To jednak jeszcze nie był koniec naszej radosnej, powolnej włości, bo Chutsky kazał kierowcy zawieźć nas do zamku El Morro. Spojrzałem na niego z uniesioną brwią, ale tylko pokręcił głową i musiałem sam spróbować dojść, co jest grane. Z tego co wiedziałem, w El Morro nie było żadnego ukrytego tunelu prowadzącego poza Kubę. Zamek był jedną z najbardziej zatłoczonych atrakcji turystycznych Hawany, zdominowaną przez aparaty fotograficzne i zapach kremu z filtrem przeciwsłonecznym. Spróbowałem jednak wczuć się w sposób myślenia Chutsky'ego - innymi słowy, udawać, że wszędzie wietrzę spiski - i zaraz doznałem olśnienia.

Chutsky kazał nas tam zabrać właśnie dlatego, że była to atrakcja turystyczna. Gdyby stało się najgorsze, a musiałem przyznać, że na razie na to się zanosilo, nasz trop urwałby się w najbardziej zatłoczonym punkcie Hawany, przez co trochę trudniej byłoby nas odnaleźć.

Dlatego rozsiadłem się wygodnie i czerpałem przyjemność z jazdy, wspaniałych widoków w blasku księżyca i myśli, że nie mam bladego pojęcia, gdzie jest Weiss i co zamierza. Na pocieszenie powiedziałem sobie, że pewnie on sam tego nie wie, ale to nie wystarczyło, żeby mnie naprawdę uszczęśliwić.

Gdzieś ten sam błąd księżyc rzucał na Weissa ten sam kojący blask radosnego, roześmianego światła. I może szeptał do jego wewnętrznego ucha te same przerażające, słodkie słówka - sprytne i wesołe pomysły na to, co zrobić tego wieczoru, już, zaraz. Nigdy jeszcze tak marny księżyc nie wywoływał tak silnych pływów u brzegów Plaży Dextera. Ale teraz tak było - jego cichy chichot elektryzował mnie tak mocno, że czułem potrzebę, by wypaść w ciemność i pociąć pierwszą stałocięplną, dwunogą istotę, jaka się nawinie. Pewnie to tylko dawała o sobie znać frustracja wywołana tym, że Weiss znów mi uciekł, ale wrażenie to było tak silne, że przygryzałem wargę przez całą drogę do El Morro.

Kierowca wysadził nas przy wejściu do fortecy, gdzie kłębił się wielki tłum czekający na wieczorny pokaz i gdzie swoje wózki ustawili handlarze uliczni. Kiedy wysiedliśmy, taksówkę zajęli starsi państwo w szortach i hawajskich koszulach, a Chutsky kupił u jednego z handlarzy dwie zielone puszkę zimnego piwa.

- Masz, stary - powiedział i podał mi jedną. - Przejdźmy się.

Najpierw chodzenie ot, tak sobie, teraz przechadzka - i wszystko to w jeden dzień. Zwariować można. Mimo to przechadzałem się, sączyłem piwo i tak przez jakieś sto metrów, aż w końcu wynurzyliśmy się z tłumy. Po drodze przystanęliśmy przy wózku z pamiątkami i Chutsky kupił dwie koszulki ze zdjęciem latarni morskiej i dwie czapki z daszkiem z napisem „Cuba”. A potem, bez pośpiechu, poszliśmy na sam koniec chodnika. Tam Chutsky rozejrzał się od niechcienia, wyrzucił puszkę do kosza i powiedział:

- No dobra. Na razie nieźle. Tędy. - I swobodnym krokiem ruszył w stronę zaułka między dwoma starymi budynkami fortu, a ja za nim.

- Co teraz?

Wzruszył ramionami.

- Przebierzemy się - postanowił. - Potem pojedziemy na lotnisko, odlecimy byle gdzie pierwszym samolotem, i wrócimy do domu. Aha... masz. - Wyjął z teczki dwa paszporty. Otworzył je i jeden podał mi. - Derek Miller. Może być?

- Jasne, czemu nie. Piękne imię.

- No - potaknął. - Lepsze niż Dexter.

- Albo Kyle - zauważyłem.

- Jaki Kyle? - Pokazał mi swój nowy paszport. - Calvin - powiedział. - Calvin Brinker. Ale mów mi Cal. - Zaczął wyjmować rzeczy z kieszeni marynarki i przekładać je do spodni. - Marynarki też musimy zostawić. Niestety, nie ma czasu na kompletowanie nowego stroju, ale trochę zmienić wizerunek możemy. Włóż to. - Podał mi T-shirt i czapkę. Z ulgą zdjąłem paskudną zieloną marynarkę, potem koszulę i szybko wciągnąłem na siebie moją nową garderobę. Chutsky zrobił to samo, po czym wyszliśmy z zaułka i wcisnęliśmy ubrania misjonarzy baptystów do pojemnika na śmieci.

- No dobra - powiedział i przeszliśmy z powrotem na drugi koniec chodnika, gdzie czekało parę taksówek. Wskoczyliśmy do pierwszej, Chutsky rzucił: *Aeropuerto Jose Marti* i ruszyliśmy.

Podróż na lotnisko wyglądała prawie tak samo jak podróż z lotniska. Samochodów było niewiele, w zasadzie same taksówki i parę wozów wojskowych, a taksówkarz urządził sobie slalom między dziurami. W nocy miał z tym pewien kłopot, bo droga nie była oświetlona i nie wszystkie przeszkody udawało mu się ominąć, więc parę razy gwałtownie podskoczyliśmy, ale ostatecznie dotarliśmy na lotnisko bez żadnych obrażeń zagrażających życiu. Tym razem taksówka podwoziła nas pod piękny nowy terminal, a nie ten przypominający gułag budynek, przez który wpuszczono nas do kraju. Chutsky poszedł prosto do monitora z rozkładem odlotów.

- Cancun. Odlot za trzydzieści pięć minut - odczytał. - Idealnie.

- A co z tą twoją bondowską teczką? - spytałem z myślą, że mogą być z nią pewne kłopoty przy odprawie bagażowej, bo w końcu była

wypchana pistoletami, granatnikami i kto wie, czym jeszcze.

- O to się nie martw - uspokoił mnie. - Chodź. - Zaprowadził mnie do rzędu szafek, wcisnął kilka monet do otworu i schował teczkę do środka. - W porządku - uznał. Zatrzasnął szafkę, wziął kluczyk i ruszył do stanowiska AeroMexico. Po drodze przystanął, by wyrzucić kluczyk do śmieci.

Kolejka była bardzo krótka i ani się obejrzeliśmy, a już kupowaliśmy dwa bilety do Cancun. Niestety, wolne miejsca zostały tylko w pierwszej klasie, ale skoro uchodziliśmy przed prześladowaniami ze strony państwa komunistycznego, uznałem, że dodatkowy wydatek jest uzasadniony, a nawet słuszny. Sympatyczna dziewczyna z obsługi powiedziała nam, że odprawa już się zaczęła, więc musimy się pospieszyć, i tak uczyniliśmy; po drodze zatrzymaliśmy się tylko po to, by okazać paszporty i uiścić podatek wyjazdowy, co nie było takie złe, jak można by przypuszczać, bo szczerze mówiąc, spodziewałem się większych kłopotów w związku z paszportami, a kiedy te nie pojawiły się, nie miałem nic przeciwko temu, żeby zapłacić taki czy inny podatek, jakkolwiek absurdalny się wydawał.

Wsiedliśmy ostatni i jestem pewien, że stewardesa nie uśmiechałaby się tak miło, gdybyśmy lecieli klasą turystyczną. A tak dostaliśmy nawet lampkę szampana w podziękowaniu za to, że raczyliśmy się spóźnić do pierwszej klasy i kiedy zamknęli drzwi kabiny, i zacząłem myśleć, że może jednak zdołamy uciec, stwierdziłem, że szampan naprawdę mi smakuje, nawet na pusty żołądek.

Smakował mi jeszcze bardziej, kiedy wzbiliśmy się w powietrze i obraliśmy kurs na Meksyk, i pewnie wypiłbym go więcej po zakończonym krótkim locie do Cancun, tyle że stewardesa drugi raz mnie nie poczęstowała. Zapewne mój status Pasażera Pierwszej Klasy wygasł gdzieś po drodze i jedyną po nim pamiątką był uprzejmy uśmiech na pożegnanie.

W terminalu Chutsky poszedł organizować dalszą część naszej podróży do domu, a ja w tym czasie siedziałem w lśniącej nowością restauracji i jadłem *enchiladas*. Smakowały jak żarcie lotniskowe wszędzie tam, gdzie miałem okazję go skosztować - innymi słowy, były dziwną, mdłą namiastką tego, czym rzekomo miały być, i choć niedobre, nie odrzucały na tyle, by można zażądać zwrotu

pieniędzy. Mocno się napociłem, ale zjadłem je, zanim wrócił Chutsky z biletami.

- Z Cancun do Houston, z Houston do Miami - powiedział, podając mi bilet. - Na miejscu będziemy koło siódmej rano.

Po tym, jak większą część nocy przesiedziałem na plastikowych krzesłach, moje rodzinne miasto wyglądało gościnnie jak nigdy, kiedy promienie wschodzącego słońca rozświetliły pas startowy, a samolot wreszcie wylądował i podjechał do terminalu lotniska w Miami. Aż ciepło się koło serca robiło na myśl, że oto znów jestem w domu, i przepełniony tym uczuciem przebiłem się z Chutskym przez rozhisteryzowany, a nawet chwilami agresywny tłum do lotniskowego autobusu, który zabrał nas na parking długoterminowy.

Na prośbę Chutsky'ego podrzuciłem go do szpitala, bo chciał zobaczyć się z Deborą. Wysiadł, zawahał się, po czym znów wsadził głowę do środka.

- Przykro mi, że nic z tego nie wyszło, stary - powiedział.

- Mnie też - odparłem.

- Daj znać, gdybym mógł jakoś pomóc rozwiązać problem - zaproponował. - Wiesz... jeśli znajdziesz gościa i zadrzy ci ręka, możesz na mnie liczyć.

Oczywiście, akurat w takiej sytuacji ręka nie zadrżałaby mi na pewno, ale tak mnie ujął swoją gotowością, by nacisnąć cyngiel za mnie, że tylko mu podziękowałem. Skinął głową, dodał: „Mówię serio”, po czym zamknął drzwi samochodu i pokużył do szpitala.

A ja ruszyłem do domu i to, mimo porannego szczytu, w całkiem niezłym tempie, ale i tak nie zdążyłem na czas, by zobaczyć się z Ritą i dziećmi. Na pocieszenie wziąłem więc prysznic, przebrałem się w czyste ciuchy, wypłem kawę i zjadłem grzanekę, zanim ruszyłem na drugi koniec miasta do pracy.

Szczyt już minął, ale ruch jak zawsze był spory i w korkach na Turnpike miałem dość czasu na niezbyt budujące przemyślenia. Weiss pozostawał na wolności i na razie był praktycznie nieuchwytny. Raczej nie sądziłem, by wydarzyło się coś, co skłoniłoby go do zmiany zdania na mój temat i zajęcia się kimś innym. Wkrótce znajdzie inny sposób, żeby albo mnie zabić, albo doprowadzić do sytuacji, od której

wolałbym śmierć. I z tego, co się orientowałem, jedyne, co mogłem zrobić, to czekać – albo na jego ruch, albo na to, że jakiś doskonały pomysł spadnie mi z nieba na głowę.

Ruch zamarł. Czekałem. Poboczem przemknął trąbiący klaksonem samochód, kilka aut mu się odszczeknęło, a z nieba wciąż nie spadały żadne pomysły. Tkwiłem w korku, usiłowałem dostać się do pracy i czekałem, aż stanie się coś złego. Wydaje się, że jest to doskonały opis ludzkiej kondycji, ale jakoś zawsze myślałem, że jestem na nią odporny.

Samochody powlekły się naprzód. Powoli ominąłem ciężarówkę z platformą, stojącą z podniesioną maską na trawie. Na platformie siedziało siedmiu albo ośmiu mężczyzn w wyświechtanych ubraniach. Też czekali, ale byli z tego bardziej zadowoleni niż ja. Może nie ścigał ich artysta psychopata.

W końcu dobrnąłem do pracy i gdybym liczył na serdeczne powitanie i ogólną radość na mój widok, srodze bym się rozczarował. W laboratorium był Vince Masuoka. Kiedy wszedłem, zerknął na mnie.

– Gdzieś był? – spytał takim tonem, jakby zarzucał mi jakiś straszliwy czyn.

– Dziękuję, dobrze – powiedziałem. – Też się cieszę, że cię widzę.

– Mamy tu urwanie głowy – rzucił. Chyba w ogóle mnie nie usłyszał.

– Sprawa tego robotnika sezonowego, a w dodatku wczoraj jakiś palant zabił swoją żonę i jej gacha.

– To przykre – powiedziałem.

– Użył młotka i nie myśl, że było fajnie.

– Pewnie nie. – W duchu dodałem: No chyba że jemu.

– Przydałaby się twoja pomoc.

– Miło czuć się potrzebnym – zauważyłem, a on chwilę patrzył na mnie z niesmakiem, po czym się odwrócił.

Potem było niewiele lepiej. Ostatecznie trafiłem w miejsce, gdzie facet z młotkiem urządził swoją imprezkę. Vince miał rację – wyglądało to paskudnie, plamy zakrzepłej krwi pokrywały dwie i pół ściany, kanapę i dużą część do niedawna beżowego dywanu. Od jednego z gliniarzy pod drzwiami dowiedziałem się, że sprawca jest w areszcie; przyznał się do winy i powiedział, że nie wie, co go opętało. Nie poprawiło mi to nastroju, ale miło, gdy czasem sprawiedliwości

staje się zadość, i praca na jakiś czas pozwoliła mi zapomnieć o Weissie. Zawsze dobrze jest mieć czym się zająć.

 Nie odpędziło to jednak złego przeczucia, że Weiss zapewne też tak uważa.

Nie próżnowałem i Weiss też nie. Z pomocą Chutsky'ego ustaliłem, że poleciał do Toronto samolotem, który opuścił Hawanę mniej więcej w tym czasie, kiedy my przyjechaliśmy na lotnisko. Jednak co robił potem – tego już komputer nie potrafił mi powiedzieć, choć długo próbowałem to z niego wyciągnąć. Cichy głos we mnie bąkał z nadzieją, że może Weiss da sobie spokój i zostanie w domu, ale większość pozostałych głosów odpowiadała na to potężnym rykiem śmiechu.

Zrobiłem tych kilka drobiazgów, które przysły mi do głowy; sprawdziłem w Internecie parę rzeczy, do których teoretycznie nie powinienem mieć dostępu, i znalazłem krótką listę transakcji przy użyciu karty kredytowej, wszystkie w Toronto. Idąc tym tropem, trafiłem do banku Weissa, co już trochę mnie zbulwersowało: czy instytucje, które strzegą naszych świętych pieniędzy, nie powinny zachować nieco większej ostrożności? Weiss wypłacił kilka tysięcy dolarów i to wszystko. Żadnych transakcji przez następnych kilka dni.

Wiedziałem, że ta wypłata nie wróży mi nic dobrego, ale pewność to za mało, gdy nie można poznać konkretów. W desperacji wróciłem na jego stronę na YouTube. I tu doznałem szoku; cały motyw „Nowego Miami” zniknął bez śladu, wraz ze zminiaturyzowanymi kadrami z filmów. Tym razem tło było matowe, szare, a na pierwszym planie widniało dość okropne zdjęcie: brzydkie, nagie męskie ciało z częściowo obciętych genitaliami. Podpis głosił: „Schwarzkogler to był dopiero początek. Pora pójść krok dalej”.

Nie bardzo da się prowadzić sensowną rozmowę z kimś, kto zaczyna ją od: „Schwarzkogler to był dopiero początek”. Ale nazwisko to wydało mi się jakby znajome, a że, ma się rozumieć, nie mogłem pozostawić potencjalnego śladu niezbadanego, gwoli dochowania należytej staranności sprawdziłem je w Google'u.

Schwarzkogler, o którym mowa, okazał się Austriakiem imieniem Rudolf, który uważał się za artystę i aby to udowodnić, podobno obcinał sobie penisa kawałek po kawałku i robił zdjęcia dokumentujące cały

proces. Odniósł tak wielki artystyczny triumf, że pracował nad swoim dziełem dotąd, aż w końcu przypłacił je życiem. I kiedy o tym czytałem, przypomniało mi się, że Schwarzkogler był ikoną paryskiej grupy, której zawdzięczamy genialną *Nogę Jennifer*.

Na sztuce znam się słabo, ale lubię mieć swoje części ciała w komplecie. Jak dotąd, nawet Weiss, mimo moich usilnych starań, zazdrośnie strzegł swoich członków. Mogłem jednak zrozumieć, że ten kierunek w sztuce, zwłaszcza gdyby pójść w nim o krok dalej – a Weiss twierdził, że to właśnie robi – na pewno przypadłby mu do gustu. Miało to sens; po co tworzyć dzieła sztuki z własnego ciała, gdy można w tym celu wykorzystać cudze i oszczędzić sobie bólu? No i kariera wtedy potrwa dłużej. Pogratulowałem mu w duchu zdrowego rozsądku i ogarnęło mnie silne przecucie, że wkrótce obejrzę następny krok w jego karierze artystycznej i że nastąpi on zdecydowanie za blisko Profana Dextera.

Przez następny tydzień jeszcze kilka razy zaglądałem na jego stronę na YouTube, ale nie zmieniło się nic, a że wkrótce wpadłem w kierat pracy, wszystko to zaczęło się wydawać tylko nieprzyjemnym wspomnieniem.

W domu nie było ani trochę lżej; kiedy dzieci wracały ze szkoły, pod drzwiami czekał taki czy inny glina, i choć w większości byli to sympatyczni goście, ich obecność wzmagala napięcie. Rita zrobiła się trochę nieobecna duchem i rozkojarzona, jakby bezustannie czekała na ważny telefon zamiejscowy, i ucierpiała na tym jej zazwyczaj wybitne umiejętności kulinarne. Dwa razy w ciągu jednego tygodnia jedliśmy resztki z poprzedniej kolacji – co do tej pory w naszym domu było nie do pomyślenia. A ta dziwna atmosfera udzieliła się Astor, która pierwszy raz odkąd ją znałem, zrobiła się stosunkowo małomówna i tylko siedziała z Codym przed telewizorem, w kółko oglądała swoje ulubione DVD, nam zaś miała do powiedzenia nie więcej niż dwa albo trzy słowa za jednym zamachem.

O dziwo, tylko Cody wykazywał jakie takie ożywienie. Już nie mógł się doczekać następnej zbiórki zuchów, mimo że oznaczało to konieczność włożenia znienawidzonych szortów od mundurka. Kiedy jednak spytałem go, skąd ta zmiana nastawienia, przyznał, że po prostu liczy, iż może nowego drużynowego też znajdą martwego, a jemu tym razem uda się coś zobaczyć.

Tydzień włókł się więc niemiłosiernie, weekend nie przyniósł najmniejszej ulgi, no i znów, jak to zwykle bywa, nieubłaganie nastał poniedziałkowy poranek. I choć przyniosłem do pracy duże pudełko pączków, poniedziałek odwdzieczył mi się tylko nawałem roboty. Z powodu zabójstwa na ulicy w Liberty City niepotrzebnie spędziłem kilka godzin w prażącym słońcu. Zginął szesnastoletni chłopak i jeden rzut oka na ślady krwi wystarczył, by stwierdzić, że został postrzelony z przejeżdżającego samochodu. Ale że w policyjnym dochodzeniu nic nigdy nie może być oczywiste, spocony od upału robiłem rzeczy niebezpiecznie bliskie pracy fizycznej po to tylko, żeby móc wypełnić odpowiednie formularze.

Prawie cała sztuczna ludzka powłoka spłynęła ze mnie wraz z potem i kiedy wróciłem do mojego małego boksu na komendzie, marzyłem tylko o tym, żeby wziąć prysznic, włożyć suche ubranie, a potem może posiekać kogoś, kto na to ze wszech miar zasługiwał. A to oczywiście skierowało moje powoli rozkręcające się myśli na tory, u których kresu czekał Weiss, i ponieważ nie miałem nic innego do roboty, jak tylko upajać się dotykiem i zapachem własnego potu, ponownie zajrzałem na YouTube.

I tym razem u dołu strony Weissa czekała na mnie zupełnie nowa miniatura.

Podpisana „Dexterama!”

Nie było żadnego innego realistycznego wyboru. Kliknąłem ją.

Ekran zajęła niewyraźna, rozmazana plama, a potem zagrała orkiestra i dźwięki instrumentów stopniowo przeszły w podniosłą muzykę, w sam raz na uroczyste zakończenie roku szkolnego. I przy jej akompaniamencie ukazał się szereg obrazów: ciała z serii „Nowe Miami” przeplatane ujęciami przedstawiającymi reakcje ludzi na ich widok, z komentarzem Weissa w roli spikera makabrycznej kroniki filmowej.

- Od tysięcy lat - recytował - spotykają nas straszne rzeczy... - i tu pojawiły się zbliżenia ciał i ich twarze, zakrytych plastikowymi maskami. - I człowiek raz po raz zadaje sobie pytanie: co ja tu robię? A odpowiedź jest zawsze ta sama... - Zbliżenie twarzy z tłumu w Fairchild Gardens, zdumionej, skonsternowanej, niepewnej, i głos Weissa, naśladującego głupkowaty ton: - „Nie wiem”.

Film zrobiony był bardzo niewprawnie, w niczym nie przypominał poprzednich, ale starałem się nie oceniać go zbyt surowo – w końcu Weiss przejawiał talent w innej dziedzinie, a poza tym stracił pierwszego asystenta i zabił drugiego, który znał się na montażu.

- Dlatego człowiek szuka ratunku w sztuce – powiedział Weiss nienaturalnie uroczystym, przejętym tonem. – A sztuka daje nam dużo lepszą odpowiedź... – Zbliżenie miłośnika joggingu znajdującego ciało na South Beach, a po nim słynny krzyk Weissa.

- Jednak sztuka konwencjonalna ma swoje granice – ciągnął. – Posługiwanie się tradycyjnymi środkami jak farba czy kamień tworzy bowiem barierę między wydarzeniem artystycznym a odbiorcą sztuki. A nam, jako artystom, powinno zależeć przede wszystkim na przełamywaniu barier... – Zdjęcie muru berlińskiego, burzonego przez wiwatujący tłum.

- Dlatego tacy twórcy jak Chris Burden i David Neruda zaczęli eksperymentować i robić dzieła sztuki ze swoich ciał... i oto runęła jedna bariera! To jednak nie wystarcza, bo dla przeciętnego widza... – następna głupkowata twarz z tłumu – ...nie ma różnicy między bryłą gliny a jakimś szurniętym artystą; bariera wciąż istnieje! Fatalnie!

I wtedy na ekranie pojawiła się twarz Weissa; kamera zachybotła się lekko, jakby ją poprawiał.

- Musimy być bardziej bezpośredni. Niech publiczność stanie się częścią wydarzenia, a wtedy bariera zniknie. Musimy też uzyskać lepsze odpowiedzi na nurtujące nas pytania. Pytania takie, jak: „Czym jest prawda?“, „Gdzie jest próg ludzkiego cierpienia?“ I najważniejsze z nich wszystkich... – tu ukazał się ten okropny fragment z Dexterem ciskającym Doncevicia do białej porcelanowej wanny – ...co zrobiłby Dexter, gdyby stał się elementem dzieła, a nie twórcą?

I w tej chwili rozbrzmiał nowy krzyk – tym razem nie Weissa; stłumiony, a przy tym znajomy, który gdzieś już słyszałem, choć jak na złość nie mogłem skojarzyć, gdzie. Na ekranie ukazał się lekko uśmiechnięty Weiss. Zerknął przez ramię.

- Przynajmniej na to ostatnie pytanie możemy odpowiedzieć, prawda? – spytał, podniósł kamerę, odwrócił obiektyw od swojej twarzy i skierował na niewyraźną, rozedrganą plamę w tle. Plama powoli

nabrała ostrych kształtów i wtedy zrozumiałem, dlaczego ten krzyk brzmiał znajomo.

To była Rita.

Leżała na boku, z rękami związanymi za plecami i nogami skrepowanymi w kostkach. Szamotała się gwałtownie i wydała następny głośny, stłumiony dźwięk, tym razem pełen oburzenia.

Weiss się roześmiał.

- Publiczność jest sztuką - powiedział. - A ty, Dexter, będziesz dziełem mojego życia. - Uśmiechnął się i choć uśmiech nie był sztuczny, nie wyglądał zbyt ładnie. - To będzie absolutna... rewolucja artystyczna - zakończył i obraz zniknął.

Miał Ritę - i doskonale wiem, że powinienem był zerwać się na równe nogi, złapać za strzelbę na wiewiórki i z okrzykiem bojowym wdrapać się na sosnę - ale poczułem, że ogarnia mnie zadziwiający spokój, i długo tylko siedziałem, i zastanawiałem się, co też Weiss może jej zrobić. W końcu jednak dotarło do mnie, że trzeba działać, w taki czy inny sposób. I dlatego zaczerpnąłem powietrza z zamiarem, by dźwignąć się z krzesła i wyjść.

Zdążyłem jednak tylko wziąć krótki wdech i zanim zdążyłem choćby postawić jedną nogę na podłodze, zza moich pleców dobiegł głos.

- To twoja żona, zgadza się? - powiedział detektyw Coulter.

Kiedy już odlepiłem się od sufitu, odwróciłem się i spojrzałem na Coultera. Stał tuż za progiem, może półtora metra ode mnie, ale dość blisko, by wszystko zobaczyć i usłyszeć. Nie było jak wymigać się od odpowiedzi.

- Tak - odparłem. - To Rita.

Skinął głową.

- Tamten z tym gościem w wannie wyglądał jak ty.

- To... ja... - wyjąkałem. - Nie sędzę.

Coulter ponownie skinął głową.

- To byłeś ty - stwierdził. A ponieważ nie miałem nic do powiedzenia i nie chciałem znów słuchać, jak się jąkam, tylko pokręciłem głową.

- I co, będziesz tak siedział? Facet ma twoją żonę - powiedział.

- Właśnie miałem wstać - zauważyłem.

Coulter przechylił głowę na bok.

- Koleś chyba cię nie lubi czy coś - stwierdził.

- Na to wygląda - przyznałem.

- Jak sądzisz, dlaczego? - spytał.

- Przecież mówiłem. Uderzyłem jego chłopaka - powiedziałem i nawet jak dla mnie zabrzmiało to nad wyraz żałośnie.

- Ano tak - mruknął Coulter. - Tego, co zniknął. Nadal nie wiesz, gdzie go poniosło, co?

- Nie - odparłem.

- Nie wiesz. - Przekrzywił głowę. - Bo to nie on leżał w tej wannie. I nie ty stałeś nad nim z piłą.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Ale gość może myśleć, że to byłeś ty, bo taki jesteś do tamtego podobny - ciągnął. - I dlatego porwał ci żonę. Żeby wyrównać rachunki, nie?

- Detektywie, naprawdę nie wiem, gdzie jest jego chłopak - zapewniłem. I było to zgodne z prawdą, gdy wziąć pod uwagę pływy, nurt i nawyki morskich padlinożerców.

- Hm - chrząknął i przybrał minę, która, jak przypuszczałem, miała wyglądać na zamyśloną. - Czyli ot tak sobie postanowił, hm. Zrobić z twojej żony dzieło sztuki czy coś, mam rację? Bo...?

- Bo to wariat? - podsunąłem z nadzieją. I choć znowu mówiłem prawdę, nie znaczyło to, że zrobię tym na Coulterze wrażenie.

I nie zrobiłem.

- Uhm - mruknął z lekko powątpiewającą miną. - To wariat. No tak, to miałoby sens, jasne. - Skinął głową, jakby próbował przekonać samego siebie. - No dobra, czyli mamy wariata, który porwał ci żonę. I co teraz? - Spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami, jakby czekał, aż wymyślę coś pomocnego.

- Nie wiem - powtórzyłem. - Pewnie powinienem to zgłosić.

- Zgłosić to. - Pokiwał głową. - Na przykład policji. Bo kiedy ostatnio tego nie zrobiłeś, ostro cię ochrzaniłem.

Inteligencja zwykle uchodzi za cechę pożądaną, ale przyznam szczerze, że lubiłem Coultera dużo bardziej, kiedy uważałem go za nieszkodliwego kretyna. Teraz, gdy wiedziałem, że nim nie był, byłem rozdarty między pragnieniem, by uważać, co przy nim mówię, a równie silną pokusą, żeby rozwalić mu krzesło na głowie. Ale dobre krzesła są drogie i ostrożność zwyciężyła.

- Detektywie - powiedziałem - ten człowiek ma moją żonę. Może nie byłeś nigdy żonaty...

- Dwa razy - wtrącił. - Nie wyszło.

- Mnie wychodzi. I chciałbym, żeby wróciła do mnie w jednym kawałku.

Długo na mnie patrzył.

- Co to w ogóle za jeden? - spytał wreszcie. - To znaczy, no wiesz.

- Brandon Weiss - wyjaśniłem niepewny, do czego to zmierza.

- To tylko nazwisko - burknął. - Ja pytam, kim on, kurwa, jest?

Pokręciłem głową, bo nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi, a tym bardziej, czy chcę mu to powiedzieć.

- Czy to jest ten koleś, który, no wiesz. Porobił te wszystkie dekoracje z trupów, co tak wkurzyły gubernatora?

- Jestem tego prawie pewien.

Skinął głową i spojrzał na swoją dłoń. Dopiero teraz zauważyłem, że nie zwisa z niej butelka Mountain Dew. Biedakowi musiały skończyć się zapasy.

- Dobrze byłoby go zwinąć - rzekł.

- To prawda - przyznałem.

- Dużo ludzi by się ucieszyło. A to korzystne dla kariery.

- Pewnie tak - stwierdziłem, ciekaw, czy nie byłoby lepiej, gdybym jednak przywalił mu krzesłem.

Coulter klasnął w dłonie.

- No dobra - powiedział. - Idziemy po niego.

To był znakomity pomysł, przedstawiony bardzo stanowczo, ale dostrzegłem w nim jedną drobną wadę.

- Idziemy gdzie? - chciałem wiedzieć. - Dokąd zabrał Ritę?

Zamrugnął.

- Że co? Przecież sam ci powiedział.

- Nie wydaje mi się - odparłem.

- No co ty, nie oglądasz telewizji publicznej? - spytał takim tonem, jakbym popełnił jakąś zbrodnię przeciwko małym zwierzątkom.

- Rzadko - przyznałem. - Dzieci wyrosły z dinozaura Barneya.

- Od trzech tygodni to zapowiadają - powiedział. - Rewolucję Artystyczną.

- Co?

- Wystawę Rewolucja Artystyczna w Centrum Kongresowym - powiedział, jakby sam wygłaszał telewizyjną zapowiedź. - Przeszło dwustu awangardowych twórców z całej Ameryki Północnej i Karaibów, wszyscy pod jednym dachem.

Poczułem, jak moje usta poruszają się i dzielnie usiłują coś powiedzieć, ale jakoś nic z nich nie wychodziło. Zamrugalem i spróbowałem jeszcze raz, ale zanim zdołałem wydobyć z siebie jakiś dźwięk, Coulter skinął głową w stronę drzwi.

- No dawaj. Idziemy po niego. - Zrobił krok w tył. - Potem pogadamy, dlaczego ten z tym gościem w wannie wygląda jak ty.

Tym razem postawiłem obie nogi na podłodze, razem, gotowe ponieść mnie do wyjścia - ale zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, zadzwoniła moja komórka. Odebrałem, bardziej z przyzwyczajenia niż z jakiegokolwiek innego powodu.

- Halo - rzuciłem.

- Pan Morgan? - spytał zmęczony głos młodej kobiety.

- Tak - powiedziałem.

- Tu Megan. Od zajęć pozaszkolnych. No wie pan, ee, z Codym? I Astor?

- Ach, tak - wymamrotałem i w moim mózgu zaterkotał nowy alarm.

- Jest już pięć po szóstej - powiedziała Megan. - A ja muszę iść do domu. Bo mam dziś zajęcia z rachunkowości. O siódmej.

- Rozumiem, Megan - odparłem. - Czym mogę służyć?

- No bo, jak mówiłam, muszę iść do domu.

- W porządku - odparłem i bardzo było mi przykro, że nie mogę przez telefon wziąć jej w rękę i rzucić do domu.

- Ale pańskie dzieci? - jęknęła. - To znaczy, bo pana żona ich nie odebrała. I tu są. A mnie nie wolno zostawiać dzieci samych.

I bardzo słusznie, stwierdziłem - bo to oznaczało, że Cody'emu i Astor nic nie jest i że nie wpadli w szpony Weissa.

- Przyjadę po nich - obiecałem. - Będę za dwadzieścia minut.

Złożyłem komórkę i zobaczyłem, że Coulter patrzy na mnie wyczekująco.

- Dzieci - wyjaśniłem. - Matka ich nie odebrała i ja to muszę zrobić.

- Właśnie teraz.

- Tak.
 - Czyli co, jedziesz po nich?
 - Zgadza się.
 - Uhm - mruknął. - Nadal chcesz uratować żonę?
 - Myślę, że tak byłoby najlepiej.
 - Czyli odbierzesz dzieci i pojedziesz po żonę - rzekł. - I nie będziesz próbował opuścić kraju ani nic takiego.
 - Detektywie - odparłem. - Chcę odzyskać żonę.
- Coulter długo mi się przyglądał. Wreszcie skinął głową.
- Będę w Centrum Kongresowym - powiedział, odwrócił się i wyszedł.

Park, do którego Cody i Astor chodzili codziennie po lekcjach, był zaledwie kilka minut drogi od naszego domu, za to na drugim końcu miasta od mojego biura, i dlatego minęło nieco ponad dwadzieścia minut, zanim tam dotarłem. Szczęście, że w godzinach szczytu w ogóle mi się to udało. Po drodze miałem pod dostatkiem czasu na rozważania o tym, co mogło dzieć się z Ritą, i ku swojemu zdumieniu stwierdziłem, że naprawdę nie chciałbym, by coś jej się stało. Właśnie zaczynałem się do niej przyzwyczajać. Po pierwsze, gotowała pyszne kolacje, a po drugie, sam nie dałbym rady zajmować się dwójką dzieci w pełnym wymiarze czasowym i zachować dość swobody, by rozwinąć skrzydła – przynajmniej przez kilka najbliższych lat, dopóki obojga nie wyszkolę.

Dlatego miałem nadzieję, że Coulter wzięła ze sobą solidne wsparcie i że wkrótce zapuszczą Weissa i uwolnią Ritę, a potem może okryją ją kocem i poczęstują kawą, jak to zwykle jest w telewizji.

Tu jednak nasuwała się pewna interesująca kwestia, która niepokoiła mnie do końca skądinąd przyjemnej przejażdżki w krwiożerczym tłumie wracających z pracy kierowców. A jeśli rzeczywiście skują Weissa i odczytają mu jego prawa? Co będzie, kiedy zaczną zadawać mu pytania? Na przykład takie jak: dlaczego to zrobiłeś? I, co ważniejsze, dlaczego akurat Dexterowi? A co jeśli okaże się na tyle nietaktowny, by odpowiedzieć szczerze? Jak dotąd, wykazywał oburzającą gotowość do tego, by wyjawić wszem wobec całą prawdę o mnie, i choć nie jestem szczególnie nieśmiały, wolałbym, by opinia publiczna nie poznała moich prawdziwych dokonań.

A gdyby Coulter dodał to, co ewentualnie wypaple Weiss, do tego, co już podejrzał na podstawie obejrzanego filmu, w Dexterville mogłoby zrobić się bardzo nieprzyjemnie.

Byłoby dużo lepiej, gdybym mógł rozmówić się z Weissem na osobności – załatwić sprawę polubownie, *mano a mano* czy raczej *cuchillo a cuchillo* – i za jednym zamachem rozwiązać

problem jego nadmiernej gadatliwości i nakarmić mojego Pasażera. Tyle że wybór nie należał już do mnie - Coulter wszystko słyszał, więc musiałem pójść mu na rękę. W końcu byłem praworządnym obywatelem, przynajmniej teoretycznie; bo przecież dopóki nie udowodnią mi winy w sądzie, jestem niewinny, mam rację?

No i coraz bardziej zanosilo się na to, że wszystko skończy się właśnie w sądzie, gdzie w roli głównej wystąpi Dexter w pomarańczowym kombinezonie i łańcuchach na nogach, co ani trochę mnie nie cieszyło - w pomarańczowym zupełnie mi nie do twarzy. Poza tym, co tu dużo mówić, oskarżenie o zabójstwo stanęłoby na przeszkodzie mojemu szczęściu. Nie mam złudzeń co do naszego wymiaru sprawiedliwości; obserwuję jego działanie na co dzień i jestem przekonany, że mogę go pokonać, no chyba że przyłapaliby mnie na gorącym uczynku, mieli wszystko nagrane na taśmie filmowej, a na świadków powołali cały autobus senatorów i zakonnic. Jednak już samo postawienie mi zarzutu sprawi, że znajdę się pod dozorem, który oznaczać będzie koniec moich harców, nawet w razie uniewinnienia. Spójrzcie tylko na biednego O.J. Simpsona: w ostatnich latach wolności nawet w golfa sobie nie mógł pograć, bo zaraz ktoś go o coś oskarżał.

Ale co mogłem na to poradzić? Moje możliwości były bardzo ograniczone. Mogłem albo pozwolić Weissowi gadać i znaleźć się w tarapatach, albo zamknąć mu usta - z dokładnie tym samym skutkiem. Nie da się ukryć: Dexter siedział po uszy w gównie i zapadał się coraz głębiej.

Nic więc dziwnego, że pod klub osiedlowy przy parku podjechał Dexter głęboko zamyślony. Stara Dobra Megan wciąż czekała, trzymając Cody'ego i Astor za ręce, i aż przeskakiwała z nogi na nogę, tak pilno jej było się od nich uwolnić i wybrać na wędrowkę po fascynującym świecie rachunkowości. Wszyscy wyraźnie się ucieszyli na mój widok, każdy na swój sposób, co tak mnie zadowoliło, że na całe trzy sekundy zupełnie zapomniałem o Weissie.

- Pan Morgan? - zaczęła Megan. - Naprawdę muszę już lecieć. - I kiedy wypowiedziała to stanowcze zdanie, tak mnie zaskoczyła, że tylko skinąłem głową i wyrwałem Cody'ego i Astor z jej rąk. Megan smyrgnęła do małego zdezelowanego chevy i włączyła się w wieczorny ruch.

- Gdzie mama? - spytała Astor.

Na pewno jest jakiś sposób na to, by czule, delikatnie i humanitarnie powiedzieć dzieciom, że ich matka tkwi w szponach krwiożerczego potwora, ale ja tego sposobu nie znałem, więc poprzestałem na:

- Zabrał ją zły człowiek. Ten, który stuknął wasz samochód.

- Ten, co mu wbiłem ołówek? - spytał mnie Cody.

- Otóż to - potwierdziłem.

- Ja uderzyłam go w krocze - przypomniała Astor.

- Trzeba było uderzyć mocniej - stwierdziłem. - Porwał waszą mamę.

Spojrzała na mnie z miną wyrażającą głębokie rozczarowanie moją tępotą.

- Jedziemy po nią? - spytała.

- Tylko żeby pomóc - powiedziałem. - Jest tam policja.

Oboje spojrzeli na mnie jak na wariata.

- Policja?! - obruszyła się Astor. - Wysłałeś policję?!

- Musiałem przyjechać po was - wyjaśniłem zaskoczony, że znienacka dałem się zepchnąć do defensywy.

- Więc jak, puścisz tego faceta wolno, a on pójdzie do więzienia i to wszystko?! - wybuchnęła.

- Nie miałem wyjścia - usprawiedliwiałem się i nagle poczułem się, jakbym naprawdę był w sądzie i już przegrał. - Jeden policjant dowiedział się o wszystkim, a ja musiałem przyjechać po was.

Znów wymienili te swoje głębokie znaczące spojrzenia, po czym Cody odwrócił wzrok.

- A teraz zabierzesz nas ze sobą? - spytała Astor.

- Hm - chrząknąłem i to naprawdę było nie fair, że najpierw Coulter, a teraz Astor zrobili z miodoustego Dzielnego Dextera posługującego się monosylabami gamonia, ale cóż, tak właśnie się stało. Ponieważ sytuacja była wyjątkowo nieprzyjemna i niepewna, tak naprawdę dokładnie wszystkiego nie przemyślałem. Jedno wiedziałem: nie mogłem zabrać dzieci na łowy na Weissa. Cały jego występ przeznaczony był dla mnie i jeśli nic mu nie przeszkodzi, zacznie się na dobre dopiero po moim przybyciu. Nie mogłem być pewien, czy Coulterowi uda się go osaczyć; jeśli nie, niebezpieczeństwo będzie zdecydowanie zbyt wielkie.

I, jakby czytała mi w myślach, Astor rzekła:

- Już raz daliśmy mu radę.

- Wtedy was zlekceważył - wyjaśniłem. - Teraz będzie przygotowany.

- Teraz będziemy mieli coś więcej niż tylko ołówki - powiedziała Astor i aż ciepło mi się na sercu zrobiło, kiedy usłyszałem chłodną drapieżność w jej głosie. Ale i tak musiałem jej to wybić z głowy.

- Nie - stwierdziłem. - To zbyt niebezpieczne.

- Obiecałeś - mruknął Cody, a Astor teatralnie przewróciła oczami i wypuściła powietrze z ust.

- Ciągle mówisz, że nie możemy nic robić - poskarżyła się. - Dopóki nas nie nauczysz. A my mówimy, no dobrze, ucz nas, i nic nie robimy. A teraz, kiedy mamy szansę naprawdę czegoś się nauczyć, mówisz, że to zbyt niebezpieczne.

- Bo to jest zbyt niebezpieczne - powtórzyłem z naciskiem.

- To czym się mamy zająć, jak ty będziesz gdzieś tam robić coś niebezpiecznego? - rzuciła. - A jak nie uratujesz mamy i już stamtąd nie wrócicie?

Spojrzałem na nią, a potem na Cody'ego. Ona patrzyła na mnie spoje łba, z drżącą dolną wargą, on ubrał twarz w kamienny wyraz pogardy, i znów nie mogłem się zdobyć na nic ponadto, że parę razy bezdźwięcznie otworzyłem i zamknąłem usta.

I tak oto doszło do tego, że nieco przekraczając prędkość, pogałem do Centrum Kongresowego z dwójką wielce rozemocjonowanych dzieci na tylnym siedzeniu. Z autostrady numer 95 zjechaliśmy na Ósmą i skierowaliśmy się w stronę Brickell, gdzie stał budynek Centrum. Ruch był duży i nie mieliśmy gdzie zaparkować - widać sporo ludzi oglądało telewizję publiczną i wiedziało o Rewolucji Artystycznej. Uznałem, że w tych okolicznościach szkoda czasu na szukanie miejsca parkingowego, i kiedy postanowiłem zostawić wóz na chodniku, jak to robi policja, zobaczyłem policyjny samochód służbowy, zapewne Coultera, stanąłem obok niego na chodniku, położyłem na desce rozdzielczej służbową plakietkę i odwróciłem się do Cody'ego i Astor.

- Trzymajcie się mnie - poleciłem - i nie róbcie nic bez mojego pozwolenia.

- Chyba że stanie się coś nieprzewidzianego - dokończyła Astor.

Pomyślałem o tym, jak dotąd radzili sobie w nieprzewidzianych sytuacjach; szczerze mówiąc, całkiem nieźle. Poza tym teraz już pewnie było po wszystkim.

- No dobrze - powiedziałem. - Chyba że stanie się coś nieprzewidzianego. - Otworzyłem drzwi samochodu. - Chodźcie.

Ani drgnęli.

- Co znowu? - spytałem.

- Nóż - szepnął Cody.

- Chce nóż - zażądała Astor.

- Nie dam ci noża - stwierdziłem.

- A jeśli naprawdę coś się stanie? - rzuciła Astor. - Mówisz, że możemy coś zrobić, jeśli stanie się coś nieprzewidzianego, a jak możemy coś zrobić, skoro nie mamy czym?!

- Nie można chodzić z nożem w miejscu publicznym - stwierdziłem.

- Nie możemy być zupełnie bezbronni - upierała się Astor.

Wpuściłem powietrze z ust. Byłem prawie pewien, że Ricie nic nie grozi, dopóki nie dotrę na miejsce, ale jak tak dalej pójdzie, to Weiss umrze ze starości, zanim go znajdę. Otworzyłem więc schowek, wyjąłem śrubokręt marki Phillips i dałem go Cody'emu. W końcu życie wymaga kompromisów.

- Masz - westchnąłem. - Nic lepszego nie znajdę.

Cody spojrzał na śrubokręt, a potem na mnie.

- Lepsze to od ołówka - zauważyłem. Popatrzył na siostrę i skinął głową. - Idziemy. - Wyciągnąłem rękę, żeby otworzyć drzwi.

Ruszyli za mną chodnikiem w stronę wejścia do wielkiej hali wystawowej. Zanim tam jednak doszliśmy, Astor nagle zatrzymała się w pół kroku.

- Co znowu? - spytałem.

- Siku - stęknęła.

- Astor - popędziłem ją. - Musimy się pośpieszyć.

- Ale mnie się bardzo chce - upierała się.

- Nie wytrzymasz pięciu minut?

- Nie. - Gwałtownie pokręciła głową. - Muszę już teraz.

Odetchnąłem głęboko i zacząłem się zastanawiać, czy Batman kiedykolwiek miał ten problem z Robinem.

- No dobrze - rzuciłem. - Tylko szybko.

Znaleźliśmy łazienkę z boku holu głównego i Astor do niej pobiegła. My tylko staliśmy i czekaliśmy; Cody wypróbował kilka sposobów trzymania śrubokręta i w końcu zdecydował się na ten najbardziej naturalny, ostrzem do przodu. Spojrzał na mnie, szukając aprobaty. Skinąłem głową i w tym samym momencie wyszła Astor.

- Chodźcie - powiedziała. - Idziemy. - Śmignęła obok nas do drzwi sali głównej, a my pognaliśmy za nią. Kluchowaty facet w wielkich okularach zażądał piętnastu dolarów za wstęp od osoby, ale machnąłem mu legitymacją.

- A dzieci? - spytał.

Cody już podnosił śrubokręt, ale powstrzymałem go gestem.

- Są świadkami - powiedziałem.

Mężczyzna wyglądał, jakby zamierzał się kłócić, ale kiedy zobaczył, jak Cody trzyma śrubokręt, tylko pokręcił głową.

- No dobrze - powiedział z bardzo ciężkim westchnieniem.

- Nie wie pan, dokąd poszła reszta policjantów? - spytałem go.

Nadal kręcił głową.

- O ile wiem, jest tylko jeden - odparł - a na pewno wiedziałbym, gdyby było ich więcej, bo wszystkim wam się wydaje, że możecie mi tu wchodzić bez płacenia. - Uśmiechnął się, żeby pokazać, że była to zamierzona zniewaga, i zaprosił nas gestem do sali. - Miłego zwiedzania.

Weszliśmy. Znalazło się nawet kilka eksponatów, w których dało się rozpoznać dzieła sztuki - rzeźby, obrazy i tym podobne. Jednak dużo więcej było takich, które chyba trochę za bardzo usiłowały poszerzyć granice ludzkiego doświadczenia na nowe obszary percepcji. Jeden z pierwszych, który zobaczyliśmy, składał się ze sterty liści i gałązek i leżącej obok wyblakłej puszkę po piwie. W dwu innych główną rolę odgrywały monitory pokazujące, w pierwszym przypadku, grubasa na sedesie, w drugim, samolot wlatujący w budynek. Nigdzie jednak nie było śladu Weissa, Rity ani Coultera.

Dotarliśmy na drugi koniec sali i skręciliśmy, zaglądając we wszystkie mijane przejścia. Było jeszcze wiele interesujących eksponatów, z tych, co to poszerzają horyzonty, ale żadnego z udziałem Rity. Zacząłem się zastanawiać, czy aby nie nazbyt pochopnie uznałem,

że Coulter jest skrycie inteligentny. Ślepo uwierzyłem jego zapewnieniu, że Weiss tu będzie - ale jeśli się mylił? A jeżeli Weiss był w tej chwili gdzie indziej i radośnie kroił Ritę, podczas gdy ja oglądałem twórczość służącą uwzniośleniu i uświadomieniu duszy, której tak naprawdę nie miałem?

I wtedy Cody nagle zatrzymał się w pół kroku i powoli wspiął się na palce. Odwróciłem się, by zobaczyć, co zwróciło jego uwagę, i też znieruchomiałem.

- Mama - powiedział.

I miał rację.

Kilkanaście osób zgromadziło się w przeciwległym kącie sali, przed zamontowanym na ścianie płaskim ekranem. Pokazywał zbliżenie twarzy Rity. Miała wciśnięty głęboko do ust knebel, oczy otwarte tak szeroko, że bardziej już nie można, i w przerażeniu rzucała głową na boki. I ledwie zdążyłem podnieść nogę, Cody i Astor już biegli matce na ratunek.

- Czekaście! - zawołałem, ale nie zczekali, więc pognałem za nimi, gorączkowo wypatrując Weissa. Mroczny Pasażer milczał jak grób, uciszony moją bliską paniki obawą o Cody'ego i Astor, a galopująca wyobraźnia podsuwała mi obrazy Weissa czyhającego na nich za każdą sztalugą, gotowego wypełznąć spod każdego stołu. Nie podobało mi się, że spieszę mu na spotkanie w ciemno, zalany potem, ale po tym, jak dzieci rzuciły się Ricie na pomoc, nie miałem innego wyboru. Przyspieszyłem kroku, ale oni już przeciskali się przez tłumek do matki.

Była zakneblowana, skrupowana i przypięta pasami do piły stołowej. Między kostkami miała obracającą się tarczę, co jasno dawało do zrozumienia, że jakiś bardzo zły człowiek gotów jest w każdej chwili przysunąć ją do lśniących zębów piły. U szczytu stołu wisiała przyklepiona taśmą kartka z pytaniem: „Kto ocali naszą Nell?”, a pod spodem, skreślony drukowanymi literami widniał dopisek: „Proszę nie przeszkadzać artystom”. Wzdłuż krawędzi instalacji jeździła zabawkowa kolejka, złożona z wagonów-platform wiozących ustawioną pionowo planszę z napisem „Przyszłość melodramatu”.

I wreszcie zobaczyłem Coultera - ale ani mnie to nie ucieszyło, ani nie dodało mi otuchy. Siedział oparty o ścianę w kącie, z głową zwieszoną na bok. Weiss założył mu staromodną czapkę konduktora, a do rąk podłączył dużymi uchwyty gruby przewód elektryczny. Na kolanach ustawił mu tabliczkę z napisem: „Półprzewodnik”. Coulter się nie ruszał, ale nie mogłem stwierdzić, czy nie żyje, czy tylko stracił przytomność, a zważywszy na okoliczności, chwilowo miałem większe zmartwienia.

Zacząłem się przepychać przez tłumek i kiedy kolejka ponownie przejechała obok mnie, usłyszałem odtworzony z taśmy charakterystyczny krzyk Weissa, nagranie powtarzające się co kilka sekund.

Samego Weissa nie widziałem – ale kiedy wszedłem między ludzi, obraz na monitorze nagle się zmienił. Teraz wypełniało go zbliżenie mojej twarzy. Rozejrzałem się gorączkowo za kamerą i znalazłem ją, zamontowaną na maszcie na drugim końcu instalacji. Zanim jednak zdążyłem odwrócić się ponownie, usłyszałem świst i na mojej szyi zacisnęła się pętla z bardzo mocnej żyłki. Kiedy zaczęło robić się ciemno i świat zawirował mi przed oczami, zdążyłem tylko docenić gorzką ironię sytuacji: proszę, facet posłużył się pętlą z żyłki tak samo jak ja. Przez głowę przeleciała mi oderwana myśl: kto mieczem wojuje... padłem na kolana i żałośnie powlokłem się w stronę dzieła Weissa.

Z pętlą tak mocno zaciśniętą na szyi, aż dziw, jak szybko człowiek traci zainteresowanie wszystkim wokół i zapada się w mrok, pełen odległych dźwięków i ciemnych światełek. I choć ucisk lekko osłabł, wciąż byłem zbyt zubożniały, żeby to wykorzystać i się oswobodzić. Zwalilem się na podłogę, usiłując sobie przypomnieć, jak się oddycha, i z oddali dobiegło mnie wołanie kobiety:

- Tak nie można, niech ich ktoś powstrzyma! - I kiedy już trochę mi ulżyło na myśl, że ktoś zamierza ich powstrzymać, ten sam głos dodał: - Hej, dzieciaki! To jest sztuka! Idźcie stąd! - I dotarło do mnie, że ktoś nie chce pozwolić, by Cody i Astor ocalili matkę, bo to popsułoby efekt artystyczny.

Powietrze wdarło się do mojego gardła, które nagle zaczęło boleć i wydawało się o wiele za duże; Weiss puścił pętlę i podniósł kamerę. Odetchnąłem chrapliwie i udało mi się skupić jedno oko na jego plecach, gdy zaczął filmować tłum. Wzięłem następny oddech; ból przeszył mi gardło, ale było to przyjemne uczucie, i razem z oddechem wróciło dość światła i przytomności, bym dał radę dźwignąć się na jedno kolano i rozejrzeć wokół.

Weiss skierował obiektyw kamery na kobietę na skraju tłumy – tę samą, która zganiła Cody'ego i Astor za to, że psują dzieło sztuki. Po pięćdziesiątce, elegancko ubrana, wciąż krzyczała na nich, żeby sobie poszli, zostawili to w spokoju, żeby ktoś wezwał ochronę,

ale, szczęśliwie dla nas wszystkich, dzieci jej nie słuchały. Oswobodziły Ritę i ściągnęły ją ze stołu; wciąż jednak miała skrępowane ręce i nogi oraz knebel wciśnięty głęboko w usta. Wstałem – ale zanim zdążyłem zrobić choć pół kroku w ich stronę, Weiss znów złapał za moją smycz i mocno pociągnął, a ja wróciłem pod czarne słońce.

Gdzieś w oddali usłyszałem odgłosy szamotaniny, po czym żyłka na mojej szyi znów się poluźniła, a Weiss krzyknął:

– Nie tym razem, gnojku! – Rozległo się plaśnięcie i cichy, głuchy odgłos upadającego ciała, a kiedy do mojej świadomości napłynęło trochę światła, zobaczyłem, że Astor leży na podłodze, a Weiss wyrywa śrubokręt Cody'emu. Podniosłem rękę do szyi i nieporadnie poluzowałem żyłkę na tyle, by wziąć głęboki oddech, co prawdopodobnie było mądre, choć przyprawiło mnie o atak najbardziej bolesnego kaszlu w moim życiu, kaszlu tak zdławionego i suchego, że światła znów zgasty.

Kiedy wrócił mi oddech, otworzyłem oczy i zobaczyłem, że Cody leży na podłodze obok Astor, po drugiej stronie instalacji, za piłą stołową, a Weiss stoi nad nimi ze śrubokrętem w jednej dłoni i kamerą wideo w drugiej. Noga Astor drgnęła, ale poza tym nie dawali żadnego znaku życia. Weiss przysunął się do nich i wznosił śrubokręt, a ja chwiejnie podźwignąłem się na nogi, żeby go powstrzymać. Świadom, że nie mam szans zdążyć, na myśl o swojej bezradności poczułem, jak cały mrok wycieka ze mnie i rozlewa się kałużą u moich stóp.

I dosłownie w ostatniej chwili, kiedy Weiss stał triumfalnie nad małymi nieruchomymi ciałami, a Dexter straszliwie powoli wychylał się do przodu, w kadr weszła Rita – wciąż ze związanymi rękami i zakneblowanymi ustami, ale rozpędzona na tyle, by staranować Weissa – i uderzyła go biodrem, a on zatoczył się w bok i poleciał w kierunku piły. Kiedy odzyskał równowagę, Rita natarła na niego ponownie; tym razem nogi mu się zaplątały i zaczął młócić powietrze ręką trzymającą kamerę, by uratować się przed upadkiem na obracającą się tarczę. I prawie mu się udało – prawie.

Choć oparł dłoń na stole po drugiej stronie tarczy, runął z takim impetem, że nie zdołał utrzymać swojego ciężaru. Rozbrzmiał przenikliwy wizg, bryznęła czerwona mgiełka i ręka Weissa, równo ucięta po łokieć, wciąż ściskająca kamerę w dłoni, spadła na tory kolejki u stóp widzów. Wszyscy wstrzymali oddech, a Weiss powoli

wstał i spojrział na kikut, z którego tryskała krew. Przeniósł wzrok na mnie i próbował coś powiedzieć, pokręcił głową, zrobił krok w moją stronę, znów popatrzył na krew bryzgającą z kikuta i postąpił jeszcze jeden krok ku mnie. A potem, niemal jakby schodził po niewidzialnych schodach, powoli osunął się na klęczki i tak już został, chwiejąc się na kolanach półtora metra ode mnie.

A ja, sparaliżowany niedawną walką z duszącą mnie żyłką, strachem o dzieci i nade wszystko widokiem tej paskudnej, mokrej, okropnej, lepkiej, strasznej krwi lejącej się na podłogę – tylko stałem nieruchomo, gdy Weiss ostatni już raz podniósł na mnie wzrok. Bezdźwięcznie poruszył ustami i pokręcił głową, powoli, ostrożnie, jakby bał się, że ona też mu odpadnie. Z przesadną starannością spojrział mi prosto w oczy.

- Zrób dużo zdjęć – powiedział głośno i wyraźnie. Wygiął usta w słaby i bardzo blady uśmiech i upadł twarzą w kałużę własnej krwi.

Cofnąłem się o krok i spojrzałem w górę; na monitorze kolejka wjechała prosto w obiektyw kamery wciąż tkwiącej w zaciśniętej dłoni na końcu obciętej ręki Weissa. Koła przez chwilę obracały się w miejscu, po czym mały pociąg przewrócił się na bok.

- Genialne – powiedziała elegancka starsza pani na czele tłumu. - Po prostu genialne.

Epilog

Ratownicy medyczni z Miami naprawdę świetnie znają swój fach, po części dlatego, że mają tyle okazji do ćwiczeń. Niestety, Weiss nie zdołali odratować. Zanim przyjechali, prawie całkowicie się wykrwawił, a w dodatku pod naciskiem rozgorączkowanej Rity strawili dwie kluczowe minuty na badaniu Astor i Cody'ego, a Weiss w tym czasie przeniósł się ze świata doczesnego na karty historii sztuki.

W asyście niespokojnie krążącej wokół nich Rity ratownicy podnieśli Cody'ego i Astor do pozycji siedzącej i kazali im popatrzeć wokół. Cody zamrugał i próbował sięgnąć po śrubokręt, a Astor natychmiast zaczęła marudzić, że sole trzeźwiące śmierdzą, więc byłem prawie pewien, że nic im nie będzie. Mimo to niemal na pewno doznali lekkiego wstrząsu mózgu, przez co stali mi się jeszcze bliżsi; proszę, tacy mali, a już idą w moje ślady. Dlatego też karetka zabrała ich do szpitala na dwudziestoczerogodzinną obserwację, „bo lepiej dmuchać na zimne”. Rita oczywiście pojechała z nimi, by chronić ich przed lekarzami.

Kiedy zostałem sam, wstałem i zająłem się obserwacją dwóch ratowników klęczących przy Coulterze. Wyciągnęli elektrody defibrylatora, ale obmacawszy ciało, pokręcili głowami, podnieśli się i poszli. Robili wrażenie lekko zawiedzionych tym, że nie dane im było choć raz włączyć prąd, ale może poniosła mnie wyobraźnia. Wciąż jeszcze lekko kręciło mi się w głowie od pętli Weissa i trochę dziwnie się czułem, tak szybko odstawiony na bok. Zazwyczaj jestem Dexterem u Steru, przebywającym w centrum wszelkich ważnych wydarzeń, i wydawało się nie w porządku, że otaczało mnie tyle śmierci i zniszczenia, a ja nie miałem w tym praktycznie żadnego udziału. Dwa trupy i ja w roli marnego obserwatora z waporami, mdlejącego na drugim planie jak płochę dziewczę z epoki wiktoriańskiej.

I ten Weiss: właściwie wyglądał, jakby był spokojny i zadowolony. Oczywiście, był też straszliwie blady i martwy, ale mimo to – co mogło mu chodzić po głowie? Nigdy jeszcze nie widziałem takiej miny

u nieboszczyka i nieco mnie to niepokoiło. Bo i z czego niby miał się cieszyć? Był nieodwołalnie, definitywnie martwy, a nie wydawało mi się to czymś, co powinno nastrajać człowieka optymistycznie. Może to tylko skutek pośmiertnego stężenia. Jakikolwiek był tego powód, z dalszych rozważań wyrwało mnie pospieszne szuranie za moimi plecami. Odwróciłem się.

Agentka specjalna Recht zatrzymała się w odległości półtora metra i obejrzała scenę krwawej jatki z twarzą zastygłą w maskę profesjonalizmu, która jednak nie skrywała ani szoku, ani bladości. Mimo to nie zemdląła ani nie zwymiotowała, więc uznałem, że najgorsze ma za sobą.

- To on? - spytała głosem tak sztucznym jak jej mina. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, odchrząknęła i dodała: - Czy to człowiek, który próbował porwać pańskie dzieci?

- Tak - odparłem i na dowód, że mój wszechpotężny mózg wreszcie podplywa z powrotem do steru, uprzedziłem niewygodne pytanie i powiedziałem: - Moja żona jest pewna, że to on, dzieci też.

Recht skinęła głową, wyraźnie niezdolna oderwać oczu od Weissa.

- W porządku - wymamrotała. Nie wiedziałem, jak to rozumieć, ale zabrzmiało to obiecująco. Miałem nadzieję, że to znaczy, że FBI przestanie się mną interesować. - Co z nim? - spytała Recht i ruchem głowy wskazała w głąb instalacji, gdzie ratownicy kończyli badać Coultera.

- Detektyw Coulter przyjechał przede mną - powiedziałem.

Skinęła głową.

- To samo mówił bileter - stwierdziła i fakt, że go o to spytała, niezbyt mnie ucieszył, więc uznałem, że nie obejdzie się bez kilku ostrożnych tanecznych kroków.

- Detektyw Coulter - powtórzyłem powoli, jakbym usiłował wziąć się w garść, i muszę przyznać, że mój głos, ochryply od ucisku pętli, brzmiał bardzo przekonująco - przyjechał pierwszy. Zanim zdążyłem... myślę, że... że oddał życie, by ocalić Ritę.

Pomyślałem, że siąkanie nosem to byłaby już przesada, więc się powstrzymałem, ale sam byłem pod wrażeniem nuty męskiego wzruszenia w moim głosie. Agentka specjalna Recht, niestety, nie.

Jeszcze raz spojrzała na ciało Coultera, potem na Weissa i w końcu na mnie.

- Panie Morgan - odezwała się głosem pełnym urzędowego powątpiewania. Przez chwilę myślałem, że mimo wszystko mnie aresztuje i może ona też tak myślała. Wreszcie jednak pokręciła głową i się odwróciła.

I w rozumnym, uporządkowanym wszechświecie najwyższe bóstwo powiedziałoby, że wystarczy jak na jeden dzień. Ale że świat taki nie jest, stało się inaczej. Bo ledwie się odwróciłem, żeby sobie pójść, wpadłem na Israela Salguero.

- Detektyw Coulter nie żyje? - spytał i odsunął się o krok, nie mrugnawszy okiem.

- Tak - odparłem. - To, hm, stało się, zanim przyjechałem. Salguero skinął głową.

- Wiem - rzekł. - Tak zeznali świadkowie.

Z jednej strony, to doskonale, że świadkowie tak zeznali, ale z drugiej, bardzo niedobrze, że już ich o to wypytał. Oznaczało to bowiem, że najbardziej nurtowało go to, gdzie był Dexter, kiedy padły pierwsze trupy. I dlatego w przekonaniu, że sytuację mogą uratować jakieś podniosłe, rzewne banialuki, odwróciłem wzrok i powiedziałem:

- Powinienem był tu być.

Salguero tak długo milczał, że w końcu musiałem ponownie odwrócić się do niego, choćby po to, żeby sprawdzić, czy nie mierzy z pistoletu w moją głowę. Szczęśliwie dla Czerepu Dextera, tak nie było. Za to patrzył na mnie swoim zimnym, beznamiętnym wzrokiem.

- Myślę, że bardzo dobrze się stało, że cię tu nie było - oświadczył wreszcie. - Dla ciebie, twojej siostry i pamięci twojego ojca.

- Hę...? - wybąkałem, a że Salguero był nie w ciemną bity, świetnie wiedział, co mam na myśli.

- Teraz nie ma już żadnych świadków... - Urwał i spojrział na mnie z miną, jaką miałyby kobra, gdyby nauczyła się uśmiechać. - Żadnych żyjących świadków - uściślił - tego wszystkiego, co się wydarzyło w związku z tą całą... sytuacją. - Zrobił nieznaczny gest, który chyba miał być wzruszeniem ramion. - I dlatego... - Nie dokończył i zawiesił

głos, tak, że mogło to znaczyć „i dlatego sprawa jest zamknięta”, „i dlatego po prostu cię aresztuję” czy nawet „i dlatego sam cię zabiję”. Przez chwilę patrzył na mnie, po czym powtórzył: – I dlatego... – tym razem zabrzmiało to jak pytanie. Wreszcie skinął głową i poszedł, a ja zostałem sam, z obrazem jego jasnego, nieruchomego spojrzenia wypalonym na siatkówkach moich oczu.

I dlatego.

Na szczęście, na tym właściwie się skończyło. Było jeszcze lekkie zamieszanie wywołane przez elegancką damę z pierwszego szeregu tłumu widzów. Kobieta ta, którą okazała się doktor Elaine Donazetti, niezwykle ważna postać świata sztuki współczesnej, przebiła się przez kordon policji i zaczęła robić zdjęcia polaroidem, i trzeba ją było obezwładnić i siłą odciągnąć od zwłok. Później jednak wykorzystwała swoje fotografie i fragmenty filmu Weissa do napisania serii ilustrowanych artykułów, które przysporzyły mu pewnego rozgłosu wśród ludzi gustujących w tego typu rzeczach. Czyli przynajmniej spełniło się jego ostatnie życzenie: ktoś zrobił mu zdjęcia. Miło, kiedy wszystko się tak dobrze układa, co?

Detektywowi Coulterowi też się poszczęściło. W pracy doszły mnie słuchy, że pominięto go przy awansie, i to dwa razy, zapewne uznał więc, że nada impetu swojej karierze, jeśli samodzielnie aresztuje podejrzanego w tak głośnej sprawie. I udało się! Szefostwo uznało, że trzeba coś zrobić, by wyjść z tej paskudnej historii z twarzą, i Coulter był ich jedyną deską ratunku. Dlatego dostał pośmiertny awans za to, że bohatercko prawie uratował Ritę.

Oczywiście, że byłem na jego pogrzebie. Uwielbiam ten ceremoniał, ten rytuał, tę sztywną atmosferę, a poza tym miałem okazję, by przećwiczyć kilka moich ulubionych min – wyrażających powagę, szlachetny smutek i współczucie, rzadko używanych i przez to wymagających odświeżenia.

Przyszedł cały wydział, wszyscy w galowych strojach, nawet Debora. W niebieskim mundurze wydawała się bardzo blada, ale w końcu Coulter był jej partnerem, przynajmniej na papierze, i honor nakazywał, by przyszła. W szpitalu kręcili nosami, ale w sumie i tak mieli ją wkrótce wypisać, więc nie próbowali oponować. Oczywiście nie płakała – nigdy nie była tak dobrą hipokrytką jak ja. Ale miała

stosownie uroczystą minę, kiedy opuszczali trumnę do grobu, a ja robiłem, co mogłem, by wyglądać tak samo.

I miałem wrażenie, że wychodzi mi to całkiem przyzwoicie – ale sierżant Doakes był innego zdania. Widziałem, jak stoi w szeregu i łypie na mnie spode łba, jakby uważał, że to ja własnoręcznie udusiłem Coultera, co było absurdem; nigdy nikogo nie udusiłem. Jasne, czasem lubię się pobawić żyłką, ale tylko dla rozrywki – nie przepadam za tego rodzaju osobistym kontaktem, a nóż jest zdecydowanie schludniejszy. Oczywiście, byłem ogromnie zadowolony, że Coulter zginął, a Dexterowi tym samym się upiekło, ale nie przyłożyłem do tego ręki. Jak wspomniałem, to miło, kiedy wszystko się zgrabnie układa, prawda?

I życie chwiejnie dźwignęło się na nogi, i powoli, jak żółw ociężale, wróciło na utarte tory. Ja chodziłem do pracy, Cody i Astor do szkoły i dwa dni po pogrzebie Coultera Rita poszła do lekarza. Wieczorem, po tym, jak położyła dzieci spać, usiadła obok mnie na kanapie, oparła głowę na moim ramieniu i wyjęła mi pilota z rąk. Wyłączyła telewizor i kilka razy westchnęła.

- Coś nie tak? – spytałem wreszcie, kiedy ciekawość stała się nie do wytrzymania.

- Nie. Wszystko w porządku. To znaczy, chyba. Jeśli, hm, ty tak uważasz.

- A czemu miałbym tak nie uważać? – zdziwiłem się.

- Nie wiem – znów westchnęła. – Po prostu, wiesz, nigdy o tym nie rozmawialiśmy, a teraz...

- Teraz co? – spytałem. Tego już było za wiele; kto to widział, żebym po wszystkim, przez co przeszedłem, musiał jeszcze znosić takie mętne rozmowy, jeśli w ogóle można to nazwać rozmową. Czułem, że gwałtownie wzbiera we mnie irytacja.

- Teraz, no... – bąknęła. – Lekarz mówi, że nic mi nie jest.

- Aha – odparłem. – To dobrze.

Pokręciła głową.

- Pomimo... – powiedziała. – No wiesz.

Nie wiedziałem i uznałem, że nie fair jest tego ode mnie oczekiwać, co też dałem jej jasno do zrozumienia. Rita długo odchrząkiwała i jąkała się, a kiedy wreszcie wykrztusiła, w czym rzecz, spostrzegłem,

że odebrało mi mowę zupełnie jak jej, i jedyne, co mogłem z siebie wydobyć, to puenta strasznie starego dowcipu; wiedziałem, że to niestosowne, ale nie zdołałem się powstrzymać i słowa same wyrwały mi się z ust, i jakby z wielkiego oddalenia usłyszałem głos Dextera wykrzykujący:

- Co będziesz miała?!

o książce *Dzieło Dextera*

Powieść będąca inspiracją do powstania hitowego serialu Dexter!

Jak socjopatyczny morderca spędzi swój miodowy miesiąc - w Paryżu i to z dala od Mrocznego Pasażera oraz jego wyzwania polegających na zabijaniu złych ludzi?

Przystojny i szarmancki Dexter coraz częściej odsuwa się od niczego nie podejrzewającej żony Rity i pragnie wznowić poszukiwania kandydatów na kolejne ofiary. Przełomem w życiu psychopatycznego nowożeńca może okazać się awangardowy performans pewnej artystki, która amputowała własną kończynę. Niestety plany Dextera nieco się komplikują, gdy jego siostra Deborah (sierżant w wydziale zabójstw) dowiaduje się o jego makabrycznym hobby, a Rita coraz bardziej martwi się o swoich synów, którzy różnią się od innych dzieci i podzielają pasję Morgana do zabijania ludzi-potworów...Przed wami czwarta część mrocznej serii o przygodach Dextera, możecie ją uznać za oddzielną historię lub czytać bez zachowania kolejności cyklu.

Powieści o Dexterze posłużyły za kanwę scenariusza popularnego serialu z lat 2006-2013 w telewizji Showtime, zaś odtwórca roli głównego bohatera Michael C. Hall otrzymał za nią wiele nagród i nominacji.

Jeśli macie dość przewidywalnych kryminałów z seryjnymi mordercami budzącymi wstręt i pogardę, dajcie się uwieść groteskowej opowieści o uroczym Dexterze, do cna złym, lecz bezwzględnie zabiegającym o sympatię otoczenia.